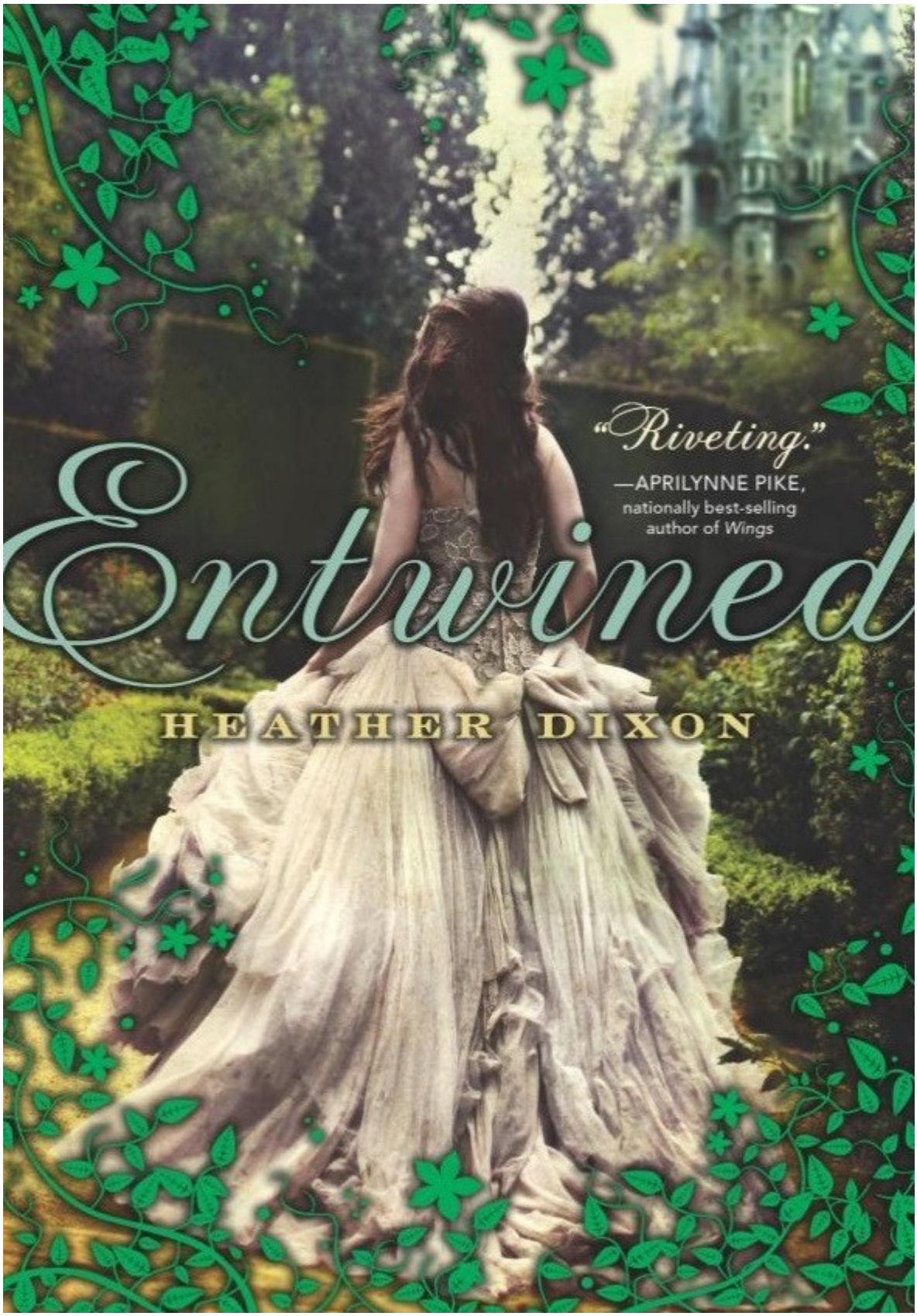
"Riveting."
—APRILYNNE PIKE,
nationally best-selling
author of Wings
Entwined
HEATHER DIXON

Entwined

HEATHER DIXON

(tłumaczenie nieoficjalne)

DD TRANSLATE TEAM

TŁUMACZENIE: AmadeusCat

KOREKTA: KlaudiaRyan

DD TRANSLATE TEAM

Z PODĘCZNIKA DO TAŃCA: *SPLĄTANY*

Splątany, znany także pod nazwą Pułapka Dżentelmena, to rozrywkowa i pełna wyzwań odmiana czeskiej redowy dla doświadczonych tancerzy. Jego początków należy doszukiwać się w Eathesbury, w roku 1635, za rządów Kawalera de Eathe (znanego również jako Wielki Król d'Eathe). W tych czasach, kiedy panowała magia, Wielki Król zwykł chwytać i „plątać" ludzkie dusze po ich śmierci, które następnie poddawał najczarniejszej magii.

Przez lata Splątany zamienił się w zwykłą szaradę tego konceptu. Przypominający walc na *trois-temps*, tańczony jest w otwartej pozycji z długą szarfą. Partnerzy chwytają za końce szarfy, których nie mogą puścić. W serii szybkich kroków (patrz poniżej), dama w ciągu trzech minut próbuje uniknąć schwytania, a dżentelmen próbuje owinąć szarfę wokół jej nadgarstków, łącząc je razem (ruch znany jako Pułapka).

KROKI:

Obrót (35), Ucho Igielne (35), Dyg i Obrót (36), Omdlenie Damy (36), Łuk Mostu (36), Zryw Pod Ręką (37), Nić (37), Nawlekanie Szarfy (38), Pułapka (38).

Rozdział 1

Na godzinę przed swoim pierwszym balem, Azalea przechadzała się po sali, ćwicząc kroki walca. Czekał ją taniec otwierający z królem... który tańczył jak kłoda.

Ale to nic nie szkodzi. Mogła dodać trochę ozdobników i piruetów, by ukryć jego sztywne, płytkie kroki. Jeśli w czymkolwiek była dobra, to w tańcu. A tego roku matka zachorowała i Azalea musiała zastąpić ją w roli gospodyni balu. Była zdeterminowana, by wyszedł idealnie.

W przeciwieństwie do zeszłego roku, kiedy to bal bożonarodzeniowy zakończył się awanturą. Zbyt młoda, by uczestniczyć na corocznym – i jedynym – balu organizowanym przez królewską rodzinę, Azalea wraz z dziesięcioma siostrami zebrały wszystkie koce, płaszcze i szale z pałacu i ukryły się na zewnątrz, pod oknem sali balowej. Azalea pamiętała mroźne powietrze, to jak drapały krzewy różane, a cała ich gromada tuliła się do siebie w poszukiwaniu ciepła. Przez oszronione szyby emanowała z sali złota poświata. Dziewczęta przyciskały nosy do szkła i wzdychały na widok tancerzy, a zwłaszcza matki, która tańczyła jak anioł.

Zasnęły w różanych krzewach, przytulone do siebie jak małe myszki. Kiedy odkryto ich zaginięcie, matka przerwała bal i zmusiła *wszystkich* – łącznie z muzykami – do poszukiwań. Znalazł je premier Fairweller. Azalea obudziła się, cała drżąc na widok stojącego nad nimi mężczyzny z lampą w dłoni i marsowym

czołem.

Dziewczynki obrzuciły go śnieżkami.

Przez Wielki Różany Krzew oraz Skandal Śnieżkowy straciły wtedy dwa tygodnie lekcji tańca. Wszystkie stwierdziły jednak równym głosem, że było warto. Mimo to, Azalea miała nadzieję, że tegoroczny bal bożonarodzeniowy zakończy się jak należy. Jej palce zwijały się w pantoflach, a dłonie drżały, gdy kręciła się wokół stołu z deserami w sali balowej, poprawiając zastawę i kierując służbę, która wnosiła tace z kremem cytrynowym i cynamonowymi słodyczami.

Pan Pudding znalazł ją w chwili, gdy płatki śniegu zaczęły wirować za wysokimi, zakończonymi łukiem oknami, a muzycy przybyli, taszcząc swoje instrumenty w kąt sali.

Azalea przyklękła na marmurowej podłodze w kłębie jedwabiu i krynoliny, by podnieść opadłe sosnowe igły. Pan Pudding był ich nadwornym zarządcą. A także nadwornym stajennym, nadwornym pucybutem oraz nadwornym człowiekiem od wszystkiego. Z niejaką trudnością, uklęknął na podłodze.

– W porządku, panie Pudding – rzekła Azalea. – Ja to zrobię.

– Tak, panienko, święta racja – odparł, zbierając igły sękatymi dłońmi. – Tylko że... matka panienki chce ją widzieć.

Azalea zatrzymała się; igiełki wpijały jej się w dłonie.

– Naprawdę? Król nie ma nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie – odparł pan Pudding, pomagając jej wstać. – Nie może być przeciwny, skoro pani mama tego chce!

Matka nie cierpiała na jedną z tych szybkich chorób, które zwalały z nóg w ciągu jednej nocy. Jej choroba przychodziła powoli i trwała już od kilku lat, okradając ją każdego dnia po kawałku. W czasie niektórych tygodni czuła się lepiej i udzielała im wtedy lekcji tańca, ale przez inne tygodnie... przez większość

tygodni, ostatnio – światło w jej oczach mieszało się z bólem. Ale i tak za każdym razem mówiła, że czuje się lepiej i zawsze posyłała im rozjaśniające cały pokój uśmiechy. Taka była matka.

Jako że zbliżał się poród, król zabronił Azalei oraz jej siostrom spędzania czasu w pokoju mamy, ani nawet odwiedzania jej dłużej niż kilka minut dziennie. Mimo to, kiedy dwie klatki schodowe później, Azalea bez tchu i z promiennym uśmiechem dotarła na górę, pokój mamy nosił wszędzie ślady jej sióstr. Komodę zdobiły kartki z nabazgranymi rysunkami, a wazony z różami i baziami wypełniały wnętrze zapachem kwiatów. Ogień w kominku rzucał żółte cienie na ukwiecone meble.

Matka siedziała podparta na sofie; jej kasztanowe włosy były jak zawsze zmierzwione. Miała na sobie ulubioną, niebieską suknię – połataną, ale czystą. Jedna dłoń spoczywała na brzuchu.

Spała. Uśmiech Azalei zniknął.

Potajemnie, mając nadzieję, że szelest spódnic obudzi matkę, Azalea zaczęła poprawiać domowej roboty kartki na komodzie, ale po chwili zganiła się za takie nadzieje. Sen był jedynym spokojem, na jaki matka mogła sobie ostatnio pozwolić. Na stoliku obok sofy, stary magiczny serwis do herbaty stukał lekko, w swoi nachalnym zwyczaju nalewając do filiżanki herbaty.

Azalea nie zwracała uwagi na posrebrzany serwis. Kilkaset lat temu, kiedy w Eathesbury były jeszcze popularne latarnie uliczne, a drogi pokrywał bruk, w pałacu rządziła magia. Panujący wówczas król, Wielki Król d'Eathe oszalał na tym punkcie. Zaczarował zasłony, by oplatały się służbie wokół szyi, kazał lampom zapalać się samoistnie, gdy ktoś umierał i więził nieszczęsnych gości w lustrach, by nigdy ich nie wypuścić. Dziewiąty wstecz pradziadek Azalei, Harold Pierwszy, obalił go, lecz pozostałości magii w pałacu wciąż dało się dostrzec. Jednym z jej szczątek był między innymi serwis do herbaty. W

komplecie znajdowała się nawet para szczypczyków do cukru, które szczypały palce dziewcząt, gdy te chciały wziąć więcej, niż jedną kostkę cukru. Dziewczyny nazwały je cukrowymi zębami, a Azalea podejrzewała, że były tak samo złe, jak ich twórca.

– Jeśli ją obudzicie – Azalea zagroziła cicho, podnosząc pełną filiżankę i odstawiając ją na tacę – przysięgam, że przetopię was na obrączki do serwetek.

Filiżanka skoczyła z powrotem na oparcie sofy i zaczęła szturchać rękę matki. Azalea chwyciła ją i ścisnęła pomiędzy wygiętą cukiernicą, a podstawkiem. Szczypce do cukru wyskoczyły z naczynia i ugryzły ją w palce.

– Au! – warknęła Azalea. – Wy małe...

Matka przebudziła się.

– Och, gąsko – powiedziała. Otworzyła oczy i zmusiła się do uśmiechu. – Nie gniewaj się. One tylko starają się pomóc.

– One ci dokuczają – zaprotestowała Azalea, której animusz tylko wzrósł, mimo widoku bólu w oczach matki. Matka miała ten rezolutny sposób uśmiechania się, który pogłębiał jej dołeczki w policzkach i rozjaśniał pokój. – Zabiorę je do kuchni. Jak się czujesz?

– Mmm. Lepiej. Gdzie dziewczęta? Je także chciałam zobaczyć.

– Na zewnątrz. Chyba w ogrodzie.

W całej tej krzątaninie i przygotowaniach, siostry zniknęły z oczu Azalei. Nie przyszły nawet zobaczyć jej w sukni balowej. Pani Graybe oraz pokojówki musiały jej pomóc ubrać się w kuchni, ściągając wiązania, gdy ona niecierpliwie rysowała stopą wzory na drewnianej podłodze.

– Och – rzekła mama. – Jeśli wesoło świętują wigilię, w takim razie... cieszę się. Ach, ale spójrz na siebie! Królewska księżniczka! Wyglądasz jak z obrazka! Miałam rację. Zieleń podkreśla twoje oczy.

Azalea spojrzała na swoje odbicie w błyszczącym serwisie do herbaty.

Kasztanowe loki okalały jej twarz, a ciasno ściągnięty gorset nadawał jej policzkom rumieńców. Przez ramię, aż do talii, przewieszona była srebrna szarfa. Wyglądała królewsko i w ogóle nie przypominała siebie.

– Wszyscy mówią, że wyglądam, jak ty – odezwała się nieśmiało Azalea.

– Ty szczęściaro! Teraz dyg à la Schleswig.

Stopa wysunęła się do przodu i zanim jej umysł zdał sobie z tego sprawę, Azalea dygnęła. Popłynęło to spod pięt aż do koniuszków palców w jednym płynnym ruchu i szeleście sukni. Zniknęła w kłębie krynoliny.

– Wyśmienicie! – Matka roześmiała się. – Jesteś lepsza ode mnie. Do góry, do góry. Bardzo dobrze! Płaszcze dam do biblioteki, kapelusze panów...

– Do holu wejściowego. Tak, pamiętam. – Azalea wstała i wygładziła suknię.

– Doskonale. Panowie oszaleją na twoim punkcie. Zatańcz z każdym z nich i znajdź tego, który spodoba ci się najbardziej. Nie możemy pozwolić, by parlament wybrał za ciebie.

Palce Azalei skręciły się w pantoflach.

Nienawidziła tego chorego uczucia, kiedy tylko przyszło jej myśleć o jej przyszłym dżentelmenie. Wyobrażała sobie to jak bal, który będzie trwać całe życie i na którym parlament wybiera jej partnera do tańca. A ona nie miała pojęcia, czy będzie on taktownym tancerzem – takim, który z lekkością poprowadzi ją przez trudne figury – czy może będzie potykał się o własne nogi. Albo jeszcze gorzej – czy będzie takim partnerem, który taniec z nią uzna za przymus i zadrwi z niej, gdy ta się potknie. Azalea starała się przełknąć to uczucie.

– Chciałabym, żebyś ty również tam była – powiedziała.

– Twój ojciec będzie.

– To nie to samo. – Azalea pochyliła się i pocałowała matkę, wdychając

słodki zapach ciasta i oliwki dla dzieci. – Będę tęsknić.

– Azaleo – rzekła matka, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Zanim pójdziesz... Uklęknij.

Azalea uklęknęła, nieco zaskoczona. Jej spódnice wydęły się wokół niej.

Z szuflady na końcu stolika, matka wyciągnęła chustkę – złożony kwadrat srebra. Srebro było kolorem rodziny królewskiej. Wyhaftowane litery B.E.W. migotały w miękkim świetle. Matka chwyciła dłonie córki i położyła je na chusteczce.

Azalea wciągnęła powietrze. Dłonie matki były zimne jak lód.

– Chodzi o twoje siostry – powiedziała matka. – Tak dobrze poradziłaś sobie z opieką nad nimi, gdy ja chorowałam przez te miesiące. Zawsze będziesz przy nich, prawda?

– Coś jest nie tak?

– Obiecaj mi.

– O...oczywiście – odparła Azalea. – Wiesz, że tak.

Z chwilą, gdy słowa opuściły jej usta, przeszły ją zimne ciarki. Szły po plecach, przez żyły, aż po czubki palców, zalewając ją deszczem lodowatych mrówek. Obce uczucie sprawiło, że Azalea wciągnęła powietrze.

– Matko...

– Chcę, żebyś zatrzymała chusteczkę. Jest teraz twoja. Dama zawsze potrzebuje chusteczki.

Azalea trzymała zimne dłonie matki w swoich, starając się je ogrzać. Matka zaśmiała się – zmęczonym śmiechem, który mimo to dźwięczał, a potem pochyliła się i ucałowała palce Azalei.

Jej wargi, białe od przyciskania do skóry Azalei, powoli znów zyskiwały czerwonej barwy.

– Powodzenia – powiedziała.

~ ~ ~

Gdy Azalea weszła do biblioteki, król nie podniósł wzroku znad biurka. Dwie klatki schodowe pokonane w przepastnych, jedwabnych spódnicach zabrały jej dech i teraz połykała powietrze małymi porcjami.

– Panno Azaleo – powiedział, maczając pióro w kałamarzu. – Zdaje się, że w tym domostwie panują pewne zasady, nie prawda?

– Tar, sir, wiem...

– Zasada numer osiem, ustęp drugi, panno Azaleo.

– Sir...

Król spojrzał na nią. Miał ten zwyczaj ściągania brwi, który mroził powietrze i sprawiał, że pękało jak lód.

Azalea zacisnęła dłonie w pięści i powstrzymała się od ciętej riposty. Dwa lata! Prowadziła dom od niemal dwóch lat, podczas choroby matki, a on nadal kazał jej pukać! Wypadła jak rażona z biblioteki, zatrzasnęła drzwi z hukiem, policzyła do dwóch i zapukała.

– Tak, możesz wejść – rozległ się głos króla.

Azalea zacisnęła zęby.

Król był już ubrany na bal – w formalne czerwienie i srebro. Jego wojskowy mundur zdobiły skrupulatnie równe rzędy guzików i medali, a przez ramię, podobnie jak u Azalei, przewieszona była srebrna szarfa. Gdy przeglądał dokumenty, Azalea wychwytywała słowa takie jak: „traktat" i „regimenty" czy „starcie zbrojne". Jako główny generał wojsk za kilka tygodni miał wyjechać, wraz z regimentem kawalerii, by wspomóc sąsiedzki kraj w wojnie. Azalea nie chciała o tym myśleć.

– I tak powinno być – powiedział, kiedy Azalea stanęła przed biurkiem. –

Nie można rządzić krajem bez prawa; nie można zarządzać domem bez zasad. Tak już jest.

– Sir – zaczęła Azaela. – Chodzi o matkę.

Król odłożył dokumenty.

– Sądzę, że powinniśmy wezwać sir Johna – rzekła Azalea. – Wiem, że już dzisiejszego ranka tu był, ale... coś jest nie tak.

Przez myśli Azalei przeszło wspomnienie bladych warg matki, które powoli, bardzo powoli stawały się czerwone. Potarła dłonie. Król wstał.

– Dobrze – odparł. – Wezwę go natychmiast. – Z wieszaka nieopodal kominka ściągnął płaszcz i kapelusz. – Zajmij się gośćmi. Wkrótce zaczną się zjawiać. I... – Król zmarszczył brwi. – Upilnuj siostry, by zostały w swoim pokoju. Kazałem im obiecać, że zostaną w środku, ale... to w końcu one.

– Kazałeś im obiecać, że zostaną w środku? – spytała oburzona Azalea. – Nawet Bramble?

– *Zwłaszcza* Bramble.

– Ale to tradycja, by podglądać bal bożonarodzeniowy! Nawet matka...

– Tradycji stało się zadość, Azaleo. Nie pozwolę na to, nie po tej kompletnej klęsce z zeszłego roku.

Azalea wydęła usta. Oczywiście, że nie chciała, by bal skończył się tak, jak rok temu, ale zamykanie ich w pokoju nie było sprawiedliwe.

– Tak będzie, panno Azaleo – rzekł król. – Posłałem im do pokoju słodycze i obrazek w częściach do ułożenia. Nie będą się nudzić.

Król odwrócił się do wyjścia, a Azalea zawołała za nim:

– Wrócisz w ciągu godziny? Na taniec otwarcia?

– Doprawdy, Azaleo – powiedział król, zakładając swój sztywny kapelusz. – Czy wszystko dla ciebie kręci się wokół tańca?

Właściwie, tak było, ale Azalea postanowiła lepiej tego nie potwierdzać.

– Wrócisz na czas? – spytała.

Król machnął ręką na odchodnym.

– Jak sobie chcesz – powiedział i wyszedł.

Rozdział 2

Prawie godzinę później, gdy wieża wybiła ósmą, a goście wypełnili salę niczym jaskrawe bukiety, a zapachy perfum, gałki muszkatołowej i świerków rozniosły się w powietrzu, natomiast świąteczne drzewka w kątach błyszczały i migotały od szklanych ozdób, Azalea położyła rękę w zgięciu łokcia premiera Fairwellera.

– Naprawdę nie może przyjść? – spytała zmartwiona Azalea, gdy Fairweller prowadził ją na środek sali balowej. – Czy wszystko w porządku? Czy po prostu stara się wykręcić od tańca?

– Kazał przekazać, że żałuje – odparł Fairweller – i przypomina o zajęciu się gośćmi. Pragnął zostać z pani matką. Doktor nie okazał żadnych obaw.

Azalea odepchnęła z pamięci wspomnienie bladych warg. Zamiast tego, spojrzała z grymasem na dłoń Fairwellera w czarnej rękawiczce, spoczywającą na jej dłoni, gdy ten ją eskortował. Dlaczego król musiał prosić właśnie jego, by go zastąpił? Faiweller nie był brzydki, a do tego nie stary – zwłaszcza jak na premiera. Ale, niebiosa! Azalea pamiętała jego poprzednika, lorda Bradforda. Mimo, że był w tym samym wieku, co król, zmarł gdy jeszcze była mała. Sprawiał wrażenie porządnego dżentelmena, który pachniał mydłem i kawą; na jego ustach zawsze majaczył uśmiech, a w oczach często pojawiał się radosny błysk.

Dla kontrastu, Fairweller przypominał burzową chmurę. Nigdy się nie uśmiechał. Jedynym kolorem, jaki nosił, była czerń, nie wyłączając kamizelki i

spinek do mankietów, co nadawało mu wygląd śliskiego, przerośniętego pająka. Z tą wadą, że nie można było go zgnieść.

– Czy matka zbliża się do porodu? – spytała Azalea. – To chyba za wcześnie na dziecko, prawda?

– Nie mam pojęcia – odparł Fairweller.

Azalea posłała mu niebezpiecznie słodki uśmiech.

– Mam nadzieję, że dobrze pan tańczy – wycedziła przez zęby. – Bo inaczej ten bal skończy się kompletną tragedią.

Fairweller ustawił ich w idealnej pozycji do tańca.

Muzycy zaczęli grać, rozmowy ucichły, a Azalea rozpoczęła z Fairwellerem walca. Ku jej zaskoczeniu, był wyśmienitym tancerzem. Kroczył z nią po parkiecie, prowadząc przez kąty i pomiędzy spódnice dam, płynąc idealnie w takt muzyki. W zasadzie, jedyną niepasująca rzeczą w tańcu z Fairwellerem było... cóż, tańczenie z Fairwellerem.

Walc dobiegł końca, a premier eskortował ją na koniec sali, gdzie Azalea została otoczona przez gromadę dżentelmenów, proszących o kolejne tańce.

Żywa muzyka, dekoracje, śnieg wirujący za oknami i odbijający się w lustrach po drugiej stronie oraz tańce zamieniły salę balową w coś niemal magicznego. Gdy tańczyła jigi, korowody i walce, Azalea prawie zapomniała, że sala jest stara i pełno w niej przeciągów, a okna przeciekają, gdy pada.

Szczerzyła się w środku za każdym razem, kiedy dżentelmen ustawiał się w pozycji, a jego brwi unosiły się i unosiły jeszcze wyżej, gdy prowadził ją przez całą salę. Kroczyli między damami w szyfonach i koronkach, a ich spódnice falowały przez wywołany ich ruchem podmuch. Tańczyła lekko, podążała za najlżejszym dotykiem, miała mocną ramę i silną postawę i nigdy nie zapominała kroków. Zanim panowie eskortowali ją do wyłożonego aksamitem krzesła z boku sali, uśmiechali się promiennie i obsypywali komplementami odnośnie jej

wdzięku. Azalea odpowiadała wówczas płynnym, głębokim dygnięciem, które rozpłaszczało jej zielone spódnice w jedwabne kałuże na podłodze i chichotała w środku, gdy takiemu dżentelmenowi opadała szczęka. Poczuła się zdeterminowana, że pewnego dnia będzie tak samo pełna gracji jak matka. Matka nie chodziła. Ona *sunęła*.

Dzwony zadudniły, gdy wieża wybiła dziesiątą, a goście rozpoczęli skoczną polkę. Azalea, która nie przepadała za tym trudnym, zawrotnym tańcem, wymknęła się przez morze tańczących w kąt, gdzie stało migoczące drzewko bożonarodzeniowe, mając nadzieję, że spędzi tam niezauważona kilka chwil. Jak dotąd, bal był idealny. Gdyby tylko matka i jej siostry mogły tu być, byłoby jeszcze idealniej.

Azalea rozważała wymknięcie się na górę i zajrzenie do nich. Wyobraziła sobie dziewczęta, zamknięte w pokoju jak w klatce, gdy z dołu unosiła się muzyka. Siedziały pewnie przy okrągłym stole, wpatrując się rozbieganymi oczami we fragmenty obrazka. Azalea westchnęła. Trąciła palcem jedną z ozdób na przystrojonym wstążkami i srebrem drzewku.

Ozdoby zadźwięczały. Spomiędzy gałęzi wyłoniła się dłoń z chusteczką. Azalea odskoczyła.

– Otrzyj łzy ptaszyno – odezwało się drzewko.

– Dobry Boże! – zawołała Azalea, biorąc chusteczkę z odłączonej od reszty ciała ręki, która z szelestem schowała się z powrotem między gałęzie. Na chusteczce byle jak wyhaftowano B.E.W.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miała się rozpłakać – powiedziało drzewo.

– Bramble!

Zza gałęzi, obwieszonych srebrnymi i szklanymi ozdobami mrugnęła w jej stronę para żółtozielonych oczu. Azalea powstrzymała się od zachwyconego okrzyku.

– Dzień doberek, Az!

Choinki ustawione były w rogu sali balowej w niewielkich odstępach, które teraz wypełniały jej siostry. Cała dziesiątka tłoczyła się na podłodze, schowana i wciśnięta pomiędzy drzewkami a ścianą.

– Wygląda... wygodnie – rzekła Azalea.

– Nie jest tak źle, zwłaszcza teraz, gdy nie czujemy już nóg. – Bramble wyszczerzyła się, a jej wąskie wargi wykrzywiły w cierpkim uśmiechu. – Trochę ciasnawo, ale warto było.

Azalea rzuciła okiem na miejsca między gałęziami. Clover tuliła na rękach zarówno Jessamine, jak i Kale, które mocno spały. Obok nich przyciśnięta była Eve, ściskając w ręku książkę. Tuż przed jej twarzą wisiała szyszka.

– W porządku, Eve? – spytała Azalea.

Eve przewróciła stronę z książce.

– Trochę słabe światło – odparła.

Azalea rzuciła spojrzenie na zamazaną plamę tańczących gości.

– Król będzie koszmarnie zły – powiedziała. – Czy nie kazał wam obiecać, że zostaniecie w środku?

– Jesteśmy w środku! – odparła Bramble. – Ta-dam! Następnym razem król powinien przemyśleć swoje sformułowania. A ty cieszysz się, że tu jesteśmy?

Zachwyt zabulgotał w Azalei, która nie mogła powstrzymać się przed roześmianiem.

– Jak nie wiem co!

– Tegoroczny bal jest wprost wspaniały!

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę pełnoletnia!

– Jedzenie wygląda kapitalnie!

– A panowie za tobą szaleją!

– Tylko pamiętaj, by się nie przywiązywać do żadnego – przypomniała Delphinium, która mimo dwunastu lat, uważała siebie za eksperta w sprawach miłosnych. – Nie tańczą z tobą bo ty to ty. Tańczą, bo wiedzą, że jeśli cię poślubią, zostaną królem.

Uśmiech Azalei zniknął. Odsunęła się na krok od świątecznego drzewka, czując się jakby ktoś przyłożył jej pięścią w brzuch.

– Och... cicho bądź, Delphinium – powiedziała Bramble.

– Ja tylko mówię, że nie powinna się zakochiwać – broniła się Delphinium. – I tak to parlament wybierze następcę, więc...

– Tak, dziękujemy.

Bramble odepchnęła na bok Delphinium, przez co całe drzewko zadrżało. Ozdoby zabrzęczały. Bramble zwróciła się do Azalei, a jej cierpki uśmiech powrócił.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – powiedziała. – Nasz Wielki Choinkowy Skandal zajął dużo czasu. Bocząc się, powiedziałyśmy królowi, że cały dzień spędzimy w naszym pokoju, a potem, zaraz po podwieczorku, wyślizgnęłyśmy się tu.

– Jesteście tu od podwieczorka? – spytała Azalea. – Musicie być głodne!

– Głodne? – powiedziała Bramble. – My umieramy z głodu!

– O, tak! – zaświergotała reszta dziewcząt. – Nie dostałyśmy do jedzenia ani okruszka, okruszka, okruszka!

Gromada choinek zadrżała

Azalea roześmiała się.

– To się da załatwić! – rzekła i podeszła do stołu z deserami.

Napełniła talerz wszelkiego rodzaju słodyczami – kandyzowanymi malinami, rozmarynowymi tartami, mrożonymi orzechami, klejącymi słodkimi bułeczkami – jednym słowem, rzeczami, które jadały tylko raz do roku, jako że

bal finansował parlament i mogli sobie na to pozwolić. Ich raczej biedne domostwo żyło na owsiance i ziemniakach. Wracając pod drzewka, w momencie, kiedy kończyła się polka, a zaczynał mazurek, Azalea pochyliła się, niby poprawiając pantofel i wepchnęła talerz po gałęzie. Kilka chciwych rąk wciągnęło go do środka, a drzewka eksplodowały wniebowziętymi piskami.

Co każde pięć tańców, pamiętając, by napełniać talerz po zapierających dech jigach, uważnie, żeby nikt jej nie zauważył, Azalea dostarczała dziewczętom łakoci. Każdorazowo wiwatowały cichymi głosikami. Kiedy pary tańczyły warszawiankę, Azalea załadowała talerz dziesięcioma małymi szklanymi miseczkami puddingu – specjalnym życzeniem dziewcząt. Łyżeczki i kryształ brzęczał o talerz, który przypominał pałacową wieżyczkę. Azalea podkradła się ostrożnie do drzewek...

… i omal nie wpadła na dżentelmena.

Azalea straciła równowagę, niosąc w rękach puddingi, a znajdująca się na szczycie stosu salaterka ześlizgnęła się. Dżentelmen złapał ją między kciukiem a palcem wskazującym z niezwykłą szybkością i odsunął się, gdy suknia Azalei opadła na miejsce. Spojrzał na nią, na jej kasztanowe loki i jedwabną suknię i zatrzymał wzrok na talerzu zastawionym salaterkami z puddingiem. Każdy z nich zwieńczony był packą śmietany.

Azalea z płonącą twarzą uniosła podbródek i spojrzała na niego zimno, jakby wyzywając do powiedzenia czegokolwiek.

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Potem powoli, jakby w obawie że go uderzy, ostrożnie odłożył miseczkę z puddingiem na szczyt i odsunął się.

– Och! – zawołała Azalea. – Pan krwawi!

Teraz dopiero zobaczyła, dlaczego ukrywał się między choinkami a kotarami. Był strasznie nieogarnięty! Strąki jego potarganych włosów, trudnego do określenia koloru – pomiędzy ciemnym blondem a brązem – wpadały mu do

oczu. Plamy z błota brudziły jego policzek i elegancki czarny garnitur, a chustka, którą teraz znów przyciskał do dłoni, poplamiona była krwią i brudem.

– To... nic takiego – wyjąkał.

Ale Azalea odłożyła już talerz na marmur z brzdękiem i szczęknięciem sztućców i z rękawa wyciągnęła czystą chusteczkę Bramble.

– Cicho – odparła i przycisnęła materiał do rozcięcia. – Nie wygląda źle. Oczyścimy to. Co sobie pan myślał, używając takiej brudnej chusteczki?

Rozcięcie nie było głębokie, a dżentelmen stał spokojnie, podczas gdy Azalea opatrywała ranę. Jej dłoń niemal znikała w jego wielkiej dłoni i Azalea ledwie zdołała owinąć wokół niej chustkę.

– Koń mi się poślizgnął, gdy tu jechałem – wyjaśnił. Jego głos przypominał Azalei wspaniały, gęsty krem, taki który poprawi smak każdej potrawie. – Na moście na Królewskim Trakcie. Dopiero co przyjechałem.

Azalea kiwnęła głową, myśląc o tym, jak każdej zimy król unikał oblodzonego mostu. Niczym ekspert, zawiązała końce chusteczki w ciasny, misterny supeł. Dżentelmen dotknął go.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie powinien pan długo zostawać. Potrzebuje pan prawdziwego bandaża, albo inaczej dostanie się zakażenie i dłoń będzie bolała przy każdym obrocie w tańcu z damami. Nie chciałby pan tego.

– Z pewnością nie.

Na jego ustach pojawił się zbłąkany uśmiech.

Azalea spojrzała na niego ponownie, tym razem omijając błoto, pognieciony krawat i potargane włosy. Było w nim coś uderzająco znajomego. Sposób, w jaki stał; jego poważny, łagodny temperament. Miał długi nos, ale to jego oczy – ciepłe i brązowe – dopełniały wyglądu. Wszyscy w jej rodzinie mieli niebieskie lub zielone tęczówki. Brąz przykuł jej uwagę i zafascynował.

– Azalea, gdzie nasze jedzenie? – szepnęło drzewko za nimi.

– Umie-ee-ramy z głooodu!

Azalea kopnęła w gałęzie za nią, z brzdękiem ozdób uciszając szeptanie.

– Czy pani... – zaczął dżentelmen.

– Nie – przerwała mu Azalea. – Czy my się się znamy?

Dżentelmen uśmiechnął się ponownie i dotknął rąbka chustki, gdzie wyhaftowano inicjały B. E.W.

– Wieki temu. Kiedy oboje byliśmy mali. Pani... nie pamięta mnie?

Azalea potrząsnęła głową.

– Przykro mi – powiedziała. – Jak się pan nazywa?

Schylił głowę.

– Lord Bradford.

– Bradford! Jak poprzedni premier?

– Dokładnie.

Azalea uchwyciła iskrę w jego oczach, przebijającą się przez jego poważny wyraz twarzy. Rozbawiło ją to. Nic dziwnego, że wyglądał tak znajomo! Przyjrzała mu się i zastanowiła, czy wie, że wszyscy w Eathesbury oczekują, że będzie kandydował na stanowisko ministra. Z potarganymi włosami i wymiętolonym garniturze w ogóle nie wyglądał na takiego.

– Czy jest pani... wolna na kolejny taniec? – spytał – To znaczy, jeżeli...

Nagle urwał i zamknął usta. Wpatrywał się gdzieś przed siebie. Za nimi zabrzęczały ozdoby, a Azalea zdążyła zobaczyć pulchną, małą rączkę sięgającą za nogawkę jego spodni. Azalea skrzywiła się.

– Nie tam, Ivy, ty mała tępoto – doszedł szept spomiędzy gałęzi. – Lewo... lewo... nie, lewo jest w drugą stronę...

Spod choinek wyłoniły się ręce, pomacały i chwyciły za talerz, który powoli, z brzdękiem i szczekiem, został wciągnięty pomiędzy gałęzie. Brwi Lorda

Bradforda powędrowały do góry, gdy puddingowa wieżyczka w każdym calem znikała głębiej pod drzewkiem. Z pomiędzy gałęzi dobiegł pisk zachwytu.

Azalea zakryła twarz dłońmi.

– E... – zaczął Lord Bradford

– Proszę... – powiedziała Azalea. – Niech... pan nic nie mówi.

– Tu pan jest! Ojej. Przeszkadzam?

Azalea i Lord Bradford szybko odsunęli się od siebie, gdy obok stanęła Lady Caversham patrząc niewinnie wielkimi oczami. Lady Caversham przypominała Azalei jedną z lalek w sklepie na Silver Street: bladą, idealną i drogą. Azalea zmusiła się do uśmiechu.

– Bynajmniej – odparła. – Już jest naprawiony.

Oczy Lorda Bradforda zwróciły się ku choince za nimi; jego brwi wciąż były wysoko w górze, a wówczas Azaela spojrzała na niego najbardziej błagalnym spojrzeniem, na jakie było ją stać, prosząc, by nie robił sceny.

– Och! – Lady Caversham wydała nagły okrzyk. – Co to było?

– Co było co? – spytali Azalea i Lord Bradford w tym samym czasie.

– Choinka! Coś się za nią poruszyło!

Wszelki kolor odpłynął z twarzy Azalei.

– Ja... nic nie widziałam – wyjąkała.

Lady Caversham podeszła bliżej, a delikatne falbanki jej sukni powiewały za nią, gdy starała się zajrzeć między gałęzie.

– Tam coś było... och! I znowu!

– Lady Caversham – powiedział Lord Bradford, stając przed nią. Wyciągnął dłoń i ukłonił się. – Czy mógłbym mieć ten zaszczyt i prosić panią do następnego tańca?

Lady Caversham oderwała wzrok od choinki i zmrużyła oczy na wyciągniętą dłoń Bradforda. Spojrzała krótko na Azaleę, a jej idealną twarz

przeciął lekki uśmiech.

– Cóż, skoro pan nalega.

Z ostatnim spojrzeniem w kierunku Azalei, które mówiło: „Wygrałam", chwyciła dłoń Lorda Bradforda na wysokości opatrunku z chusteczki – zarówno on, jak i Azalea skrzywili się – i na wpół eskortowała, na wpół pociągnęła za sobą Bradforda na parkiet.

Rzucił przez ramię spojrzenie na Azaleę, która siłowała się z chęcią zabrania go z powrotem i przygładzenia mu włosów.

Azalea nie widziała go już więcej tego wieczoru. Bal powoli zamykał się jak pozytywka. Gdy wybiła późna godzina, zaczęli wychodzić pierwsi goście. Blisko północy Azalea dostarczyła dziewczętom kolejny talerz łakoci, ale gdy wturlała pod drzewko bożonarodzeniowe jabłko, wyturlało się z powrotem. Zasnęły.

Ostatni taniec – Splątany – był ulubionym tańcem Azalei. Miała nadzieję, że zostanie poproszona przez Lorda Bradforda, ale on już wyszedł i zamiast tego, znalazła się w pozycji do tańca z młodym i raczej mokrym dżentelmenem o nazwisku Penbrook, który wyglądał, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Reszta gości utworzyła okrąg, by podziwiać, jak ona i pan Penbrook chwytają końce długiej szarfy.

Muzycy zaczęli grać i...

Trzask.

Drzwi do sali balowej otworzyły się z hukiem, zaskakując gości i uciszając muzyków.

Fairweller.

– Koniec balu! – oznajmił i podszedł do najbliższego okna.

Ze strony gości dobiegły grzeczne protesty.

– Premierze? – spytała Azalea, schodząc z parkietu. – Co pan wyprawia?

Fairweller nie odpowiedział. Ze stojaka obok kominka wyciągnął pogrzebacz i przeciął nim sznury, które podtrzymywały zasłony, udrapowane w wysokie łuki. Materiał opadł na ziemię, zasłaniając oszronione szyby.

– O, nie – odezwał się starszy dżentelmen z parlamentu. – To znowu księżniczki, tak? Ho, ho! Szukaliście na żyrandolach?

Kilkoro gości zachichotało. Azalea pokryła się rumieńcem.

– Powinniśmy pomóc je szukać? – zapytała jedna z dam. – W zeszłym roku omal nie zamarzły na śmierć.

– Powinniście wszyscy udać się do swoich domów. – Fairweller podszedł do kolejnego okna, gdzie również odciął sznury. – Bądźcie tak łaskawi.

Goście zwrócili spojrzenia ku Azalei, której policzki niemal płonęły.

– Premierze – powiedziała.

Przez długość sali, żelazno-szare oczy Fairwellera spotkały oczy Azalei. Coś w nich stwardniało – coś, czego Azalea nie mogła odczytać – i w końcu do niej dotarło. Upuściła koniec szarfy.

– Och – powiedziała. A potem zwróciła do gości: – Dz... Dziękuję za wasze przybycie. Za rok na pewno... bal skończy się normalnie.

Te słowa zostały przyjęte chichotami i donośnym aplauzem. Podczas gdy Faiweller kontynuował zasłanianie okien, Azalea odprowadziła każdego z gości do drzwi, pomogła muzykom spakować instrumenty i życzyła wszystkim na pożegnanie wesołych świąt.

Gdy wszyscy wyszli, sala wydała się pusta.

– Nie musiał pan tak tego przerywać – odezwała się Azalea. – Bal już i tak dobiegał końca.

Fairweller skończył zasłanianie ostatniego okna.

– Pani siostry, pani Azaleo.

Azalea westchnęła. Kolejna awantura. Król znowu będzie zagniewany, co

oznaczało posiłki w pokoju i zero lekcji tańca przez tydzień. Wykończona Azalea poprowadziła Fairwellera do choinek. Odsunął na bok gałęzie, które drapały o marmur, ujawniając śpiące dziewczynki.

Spały, wtulone w siebie jak gniazdo łabędzi. Wokół nich leżały puste salaterki po puddingu i rozrzucone łyżeczki. Użyły dekoracyjnego dywanika pod drzewko jako koca i wyglądały wprost anielsko. W ogóle nie przypominały siebie.

Fairweller wpatrywał się w nie bez ruchu. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Zamknął też oczy i otworzył je po chwili. Nagle odwrócił się na pięcie i przeszedł przez parkiet na drugi koniec sali. Odłożył pogrzebacz, który zabrzęczał o marmur. I wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Światła żyrandola zamigotały.

– To – powiedziała Azalea, mrugając ze zdziwieniem i wpatrując się w drzwi do sali – było dziwne.

Odwróciła się do śpiących dziewczyn – bezładnego stosu jaskrawokolorowej bawełny i szali ułożonego na jedwabnym dywaniku – i uśmiechnęła się. Nagle sama poczuła się bardzo, bardzo sennie.

~ ~ ~

– Obudź się! Obudź się! Obudźsięobudźsięobudźsię!

Azalea jęknęła, gdy dziesięć par rąk zaczęło ją szturchać. Zeszłej nocy była tak zmęczona, że nawet nie poszła do łóżka. Zamiast tego, zasnęła razem z siostrami, z ozdobnym dywanikiem pod choinkę jako kocem.

– Już, już, już – jęknęła. – Nawet nie wiecie, jak guziki w tej sukni wpijają się w kręgosłup.

– Biedna, mała Azalea – powiedziała Bramble; jej ognistoczerwone włosy

zwisały aż do kolan. – Małe, biedne dzieciątko.

– Są Święta, Lea! – odezwała się Flora. – Święta!

– Dostaniemy pomarańcze!

– I kiełbaski!

– I... i nawet książkę od króla!

– Święta, święta, święta!

– Wiem! – rzekła Azalea, gdy dziewczynki podciągnęły ją na nogi. Palcami powyciągała ozdoby, które w nocy przykleiły się do jej włosów. Pociągnęły ją za sobą. – Zwolnijcie! – zawołała, potykając się o krynolinę. – Ledwie idę!

Wrzeszcząc z nieboską radością, dziewczęta pobiegły na łeb na szyję do kącika, gdzie na stole, ułożone w stosu, miały czekać na nie wszystkie obiecane pomarańcze i prezenty. Azalea potykała się, gdy biegła za nimi korytarzem i przez składane szklane drzwi, gdzie zobaczyła stłoczone wokół stołu siostry, wpatrujące się w niego szeroko otwartymi oczami.

Był pusty.

Tuż obok stał Faiweller, odwrócony do nich plecami, z oczami utkwionymi w draperiach zasłaniających oszronioną szybę.

– Nasze pomarańcze – powiedziała Ivy, gapiąc się na stół.

– Nasze książki – dodała Eve.

– Zaraz – powiedziała Bramble. – To przez nasz skandal.

Dziewczynki zaczęły płakać. Azalea, teraz całkowicie obudzona, skrzyżowała ręce na piersi.

– Gdzie król? – spytała twardym głosem królewskiej księżniczki. – Premierze?

– Jest poza domem – odparł Fairweller. – Wybrał się na przejażdżkę.

– W świąteczny poranek?

Fairweller milczał.

Azalea uśmiechnęła się i odwróciła do dziewczynek.

– Jestem pewna, że mama ma wszystkie prezenty. Wiecie, jak ona uwielbia Gwiazdkę.

Dziewczęta pociągały nosem i pocierały oczy. Fairweller coś mruknął.

– Słucham, premierze?

Fairweller odwrócił się od zasłon.

– Powiedziałem, że wasza matka nie żyje. – Spojrzał z powrotem na zasłony. – Zmarła zeszłej nocy.

Rozdział 3

Azalea spoliczkowała Fairwellera. Tak mocno, że aż zapiekła ją ręka. Z pulsującą dłonią wybiegła z kącika, przeszła przez starą kuchnię i wypadła prosto na zaśnieżony ogród, gdzie mróz porannego powietrza szczypał w policzki.

Jak *śmiał*! Jak Fairweller śmiał powiedzieć coś takiego! Kiedy doskonale *wiedział*, jak bardzo chora jest matka! Azalea postanowiła znaleźć króla. Idąc ogrodowymi ścieżkami, potykała się o zaspy, mijając pokryte śniegiem żywopłoty i zamarznięte rzeźby z krzewów. Przeszła przez żelazną bramę i w końcu wyszła na łąkę, a stamtąd skierowała w stronę lasu. Podążała śladami kopyt Dickensa. Król będzie wiedział. Powie jej, że to nie prawda i...

Ale sama nie poszłaś do pokoju matki, szepnął cichy głosik wśród gniewnych, palących myśli Azalei. Nie miałaś odwagi...

– Sir! – krzyknęła Azalea, potykając się na przerośniętej polnej ścieżce. Zimno przeniknęło już przez wysłużone pantofle do tańca. – Sir!

Las odpowiedział lodowatą ciszą.

Drzewa górowały nad nią na tle głębokiego błękitu poranka, a Azalea przełykała łzy i kaszlała, gdy powietrze piekło ją w gardło. Jej rękawiczki były brudne od błota, a ciężka suknia poszarpana od wystających gałęzi. Oparła się o najbliższe drzewo i mimowolnie zadrżała.

Jej usta były białe...

– Sir! – krzyknęła Azalea.

Gorący gniew próbował wydostać się na zewnątrz. Azalea upadła na kolana i zaczęła szlochać. Rozpacz była tak potężna, że oddychanie niemal bolało. Zakryła twarz dłońmi, nie mogąc przestać. Za każdym razem, gdy starała się powiedzieć „matko", słowo grzęzło w gardle. Matko, niezastąpiona matko!

Wzeszło słońce, rzucając złote promienie na cienie drzew i błyszcząc wśród mgły oraz śniegu. Azalea prawie się uspokoiła. Wyciągnęła z rękawa chusteczkę, a na srebrny materiał padło poranne światło.

Chusteczka matki. Azalea jak przez mgłę pamiętała to, jak schowała ją do rękawa po opuszczeniu jej pokoju i wmówiła sobie, że jest zbyt ładna, by ją używać. Zdrętwiałymi palcami obróciła w dłoni kawałek materiału. Gdy matka jej go wręczyła, powiedziała...

Zaopiekuj się twoimi siostrami.

Dziewczynki! Azalea zostawiła je tam, w pokoiku, same. A może pobiegły za nią? Nic im nie jest? I co... Azalea zamknęła oczy, chroniąc je przed zimowym słońcem. Ale co... co z dzieckiem mamy? Była taka samolubna.

Zaopiekuj się...

Dziwne, mrowiące uczucie, jedynie echo tego, co czuła zeszłej nocy, rozeszło się przez palce i gardło. Niezrozumiale, prawie magicznie wypełniło nieco pustki wewnątrz niej. Ścisnąwszy srebrną chusteczkę, Azalea podniosła się na nogi.

~ ~ ~

Godzinę później, wciąż przemarznięta i ubrudzona błotem, Azalea znalazła dziewczęta w pałacowej bawialni. Był to mały, zagracony pokój na drugim piętrze, umeblowany delikatnymi, białymi meblami i ozdobiony masą

falbanek. Gdy tylko Azalea przybyła do tego żałosnego miejsca, pilnująca je niania wyszła. Dziewczynki siedziały na podłodze, wśród bujanych foteli i zburzonego domku dla lalek. Każda przyciskała do piersi pomarańczę. Płakały. Wyglądały tak żałośnie, jak ona sama się czuła.

– P...p...przemarzłaś – powiedziała czternastoletnia Clover.

Natychmiast znalazła się przy boku Azalei i przycisnęła ciepłe dłonie do zesztywniałych palców siostry. Jej oczy były zaczerwienione, a złote włosy potargane. Jak reszta dziewcząt, miała na sobie wczorajszy strój.

– Tak bardzo przepraszam – rzekła Azalea. – Nie powinnam była was zostawiać.

Bramble poderwała się nagle na nogi i rzuciła w Azaleę pomarańczką, która uderzyła ją w ramię, odbiła się i upadła na podłogę.

– Nie, nie powinnaś! – krzyknęła.

Wyrwała Florze z dłoni owoc i rzuciła. Azalea nie ruszyła się, nawet gdy pomarańcza uderzyła ją w skroń i upadła na włochaty dywan.

– Jak *śmiałaś* tak nas porzucać!

Bramble rzuciła pomarańczą Goldenrod, która znów trafiła Azaleę w ramię. Bramble rozpłakała się na nowo.

– Przynajmniej postaraj się uchylić!

W dwóch krokach Azalea znalazła się przy Bramble i przyciągnęła ją do ramienia. Bramble szlochała. Dziewczynki przybiegły do Azalei; młodsze uczepiły się jej sukni, a wyglądały na naprawdę zrozpaczone.

– Jesteś cała mokra – zauważyła Bramble pomiędzy szlochami.

– Wiem – odparła Azalea.

Z jej włosów ściekała woda.

– L...lea – odezwała się Clover. Zawsze miała problemy z wypowiadaniem się, jakby każde słowo stanowiło ogromny wysiłek. Zmusiła się do uśmiechu. –

Chce...chcemy ci... ci coś pokazać. P...patrz.

Pośrodku pokoju stała ozdobiona falbankami kołyska, do której Clover przyciągnęła Azaleę. W środku leżało maleńkie zawiniątko złożone z koronkowego kocyka i ciemnych loczków.

Azalea nigdy wcześniej nie widziała mniejszego niemowlęcia – a jako obecnie najstarsza z dwunastki, widziała ich wiele. Zmieściłoby się nawet w złożonych złożonych dłoniach. I sądząc po maleńkim, falbaniastym czepku, była to dziewczynka. Azalea zdjęła mokre rękawiczki, po czym dotknęła zwiniętych paluszków dziecka.

– A więc kolej na L – powiedziała Azalea.

Jako że król lubił porządek, wszystkie jej siostry dostały imiona w kolejności alfabetycznej. Był w tym bardzo skrupulatny. Nawet słoiki z dżemami w spiżarni miały swój indeks.

– Matka na...nazwała ją – rzekła Clover – Lily.

– Lily – wydyszała Azalea.

Wdzięcznie, delikatnie. Dziecko przypominało jej o białych ogrodowych liliach, które kwitły na śniegu. Matka zawsze wiedziała, co było właściwe.

– P...premier powiedział, że matka... t...trzymała Lily. Zanim...

Clover nie dokończyła, bo znów się rozpłakała. Wszystkie zaczęły płakać, szlochać i czkać. Azalea poczuła się zagubiona, jak gdyby podskoczyła do góry, wykonując *jeté* i zaczęła spadać w dół i w dół, a jej żołądek skręcał się w oczekiwaniu na dotknięcie gruntu, którego nie było. Z rękawa wyciągnęła chusteczkę. Błysnęło srebro.

Obiecaj...

W palcach poczuła mrowienie.

Azalea wzięła głęboki wdech i ustawiła stopy w pozycji czwartej, potem przesunęła stopę do tyłu i uklęknęła. Taniec zawsze ją uspokajał. Otarła z łez

małe twarzyczki Jessamine i Kale. Wytarła im też nosy.

– Wiecie – spytała, przesuwając się do Ivy – czego nie zrobiłyśmy?

Ivy potrząsnęła jasnymi loczkami.

– Nie przedstawiłyśmy się Lily. – Azalea zmusiła się do uśmiechu. – To jej pierwszy dzień tutaj, a wszystko co robimy, to tylko płaczemy. Tak nie można.

Bramble skrzywiła się.

– Och, doprawdy, Az...

– Chodźcie – powiedziała Azalea. Wstała i wyciągnęła ręce. – Chwyćcie się za dłonie, przesuńcie lewą stopę do pozycji numer dwa.

Nikt się nie poruszył.

Azalea nie poddała się. Dziewczynki miały zaskoczone, zszokowane lub zniesmaczone miny, gdy obserwowały, jak ich siostra dyga w piątej pozycji, osuwając się na prawe kolano i wyciągając do przodu lewą stopę, tak że wystawała spod ubłoconego rąbka sukni. Gdy się wyprostowała, ich miny złagodniały.

– Twoje dygnięcie było niestabilne – zauważyła Bramble. – Kiedy przenosiłaś równowagę na drugą nogę.

– Wprowadzenie do królewskich ukłonów – powiedziała Azalea, wyciągając dłoń do Bramble. – Nikt nie ma lepszej równowagi niż ty.

Bramble zacisnęła usta w cienką linię, ale wzięła dłoń Azalei i wstała. Odrzucając do tyłu długie, czerwone włosy, pochyliła się, głęboko dygając, a wszystko to zrobiła miękko, płynnie. Wyciągnęła dłoń w stronę kołyski.

– Za późno na wycofanie się, smarkulo – rzekła Bramble. – Witamy w rodzinie królewskiej.

Azalea chwyciła dłoń pięcioletniej Ivy i ukłoniła się. Ivy okręciła się pod ręką Azalei i dygnęła przed Lily. Jessamine ujęła drugą dłoń Azalei i dygnęła razem z nią, a wtedy wszystkie dziewczęta z zaczerwienionymi oczami podały

sobie ręce. Taniec przepłynął przez nie i razem ruszyły do korowodu. Krew napłynęła do policzków Azalei i ogrzała je. Kostki złączone, stopy do tyłu, muśnięcie do przodu, dotknięcie, ukłon w wypracowanych, wdzięcznych ruchach. Ich spódnice muskały o siebie.

Uniosły w górę ręce i rozdzieliły się, nieśmiało spoglądając na siebie, jak gdyby nie do końca pewne, co w nie wstąpiło.

To była... magia. Ale nie takiego rodzaju, jak serwis do herbaty. Zeszłej zimy, kiedy Azalea w pełni zdała sobie sprawę z roli parlamentu w jej przyszłym małżeństwie, matka wygładziła Azalei włosy, otarła twarz i przyprowadziła do sali balowej. Tam nauczyła ją fruwającego mazurka.

– Czujesz to? – spytała matka, kiedy Azalea opanowała zawrotne, skomplikowane kroki. – To ciepłe, trzepoczące uczucie w środku? To magia. Jej najgłębszy rodzaj. Tak głęboki, że nawet nie ma nazwy. Ale, tak czy inaczej, to także magia.

I teraz, mimo że ich oczy były zaczerwienione i opuchnięte, siostry Azalei już nie płakały. To przez to ciepłe, trzepoczące uczucie. Nawet uśmiechały się słabo.

– Dalej, Floro – powiedziała Azalea, chwytając delikatną dłoń Flory. – Obrót z drugiej ręki...

Przerwało jej dochodzące z dołu zamieszanie. Trzask drzwi wejściowych, krzątanina służących, warczące odgłosy rozkazów króla. Oczy dziewcząt zapaliły się.

– Król – powiedziała Flora.

– Wrócił!

– Spokojnie.

Azalea przyciągnęła do siebie młodsze siostry, by wygładzić im suknie i włosy. Potem, trzęsącymi dłońmi, owinęła Lily w koc i poprowadziła dziewczęta

korytarzem. Król. Nareszcie! On będzie wiedział, co robić. Był najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego znała Azalea. I nie widział jeszcze Lily – na pewno nie.

Korytarz na drugim piętrze otwierał się na antresolę z widokiem na hol wejściowy. Na dole stał król, rozmawiając przyciszonym głosem z panem Puddingiem, który miął w ręku czapkę.

Podobnie jak wszyscy, król również miał na sobie wczorajsze ubranie. Jego mundur był ubłocony i mokry, a kilka z medali odpadło. Twarz i krótko przystrzyżoną brodę plamiła wstęga krwi. Mimo to, stał sztywno i formalnie, królewsko i stosownie jak zawsze.

– ...w bibliotece. Muszę zająć się pewnymi interesami. Nikt nie ma mi przeszkadzać, panie Pudding.

– Tak jest, sir, ale eee... księżniczki. One bardzo chcą zobaczyć waszą wysokość, sir...

– Nie mógłbym znieść ich widoku – warknął król wystarczająco głośnym szeptem, by rozległ się echem w holu. – Nie mogę! Trzymaj je ode mnie z daleka, Pudding.

Azalea rzuciła szybkie spojrzenie na potargane dziewczęta stojące obok niej z wytrzeszczonymi oczami. Clover zakryła dłonią usta.

Azalea zamrugała w szoku, zacisnęła wargi, owinęła kocyk wokół małej szyi Lily i ruszyła schodami w dół.

– E...nie... panienko, nie radziłbym – powiedział ostrożnie pan Pudding, gdy Azalea minęła go, kierując się do biblioteki.

Azalea zapukała, ale nie zaczekała na zaproszenie. Otworzyła drzwi. Król stał nad biurkiem, sortując papiery. Z szuflady wyciągnął klucz.

– Sir! – powiedziała Azalea. – Czekaliśmy na ciebie.

Król podszedł do drzwi. Azalea pobiegła za nim.

– Spójrz.

Odsunęła kocyk z twarzy Lily i pokazała mu maleńki tobołek w czepku.

Nie zatrzymał się i nie spojrzał.

– Matka nadała jej imię – kontynuowała Azalea. – Lily. Pomyślałyśmy, że może...

Król zacisnął mocno dłonie na ramionach Azalei, odwrócił ją i wyprowadził, niemal brutalnie, z biblioteki. Azalea starała się strząsnąć z siebie jego żelazne dłonie.

– Sir... nie możesz... sir...

Król wypchnął ją na korytarz.

Azalea odwróciła się, by zobaczyć jak ciężkie, drewniane drzwi do biblioteki zatrzaskują się. Ciche szczękanie zamka zasygnalizowało jego zamykanie.

Azalea otworzyła usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

Dziewczynki w milczeniu wyglądały znad antresoli.

– Tylko zgaduję – powiedziała po chwili Bramble. – Ale on chyba nie jest w nastroju na spotkanie z nami.

~ ~ ~

Dopiero po utuleniu wszystkich zapłakanych i zasmarkanych dziewcząt w ich maleńkim pokoiku na trzecim piętrze, wyszczotkowaniu im włosów, opowiedzeniu bajki i upewnieniu się, że Lily znajduje się w bawialni wraz z nianią, Azalea wymknęła się do pokoju matki. Tradycja Eathsbury wymagała, by zarządca rodziny czuwał pierwszą noc przy zmarłej, ale Azalea aż z drugiego końca pałacu słyszała urywane szlochy pana Puddinga, więc dołączyła do niego w pokoju matki, nalewając mu filiżanki herbaty dla uspokojenia.

Azalea rozpłakała się, widząc jemiołę, świerk i suche kwiaty porozrzucane po pokoju. Przygryzła wargę, powstrzymując się przed zerknięciem na łóżko, ale w końcu jednak musiała to zrobić. I zaskoczył ją ten widok. Matka leżała na łóżku, ubrana w biel, z kwiatami w kasztanowych włosach.

Wyglądała tak spokojnie. Przez minione miesiące, kiedy Azalea ją widywała, miała zmarszczki na twarzy i ból w oczach. Teraz odpoczywała. Stary magiczny serwis do herbaty, wciąż stojący na stoliku, nie miał już w sobie iskry zadziorności. Opierał się smutno na podstawku.

Azalea usiadła na twardej sofie matki, podniosła srebrną filiżankę i obróciła ją w dłoniach. Srebro było chłodne. Na spodzie filiżanki widniał grawer maleńkiego półksiężyca z trzema symbolami. *DE*. Znak rodziny D'Eathe.

Azalea przypomniała sobie portret Wielkiego Króla D'Eathe, który znalazła kiedyś podczas sprzątania na strychu w skrzydle północnym. Z ram spoglądał na nią groźnym wzrokiem starszy jegomość ze śladami po ospie i ciemnymi oczami. Nawet wspomnienie o jego portrecie przyprawiało Azaleę o dreszcze. Więził i torturował ludzi na tyle głupich, by odważyli szwendać się po ciernistych terenach pałacu. W najgorszych koszmarach Azaleę prześladowały historie o Wielkim Królu rozrywającym człowieka na części. Zaczynał od kciuków, potem przechodził do uszu i palców u stóp, wyrywając je jakby były włosami, a wszystko to, by zobaczyć, jak długo taka osoba będzie żyła.

A potem najgorsza część: po ich zabiciu, zatrzymywał ich dusze. Ciała odnajdywano gdzieś w mieście, porozrywane, ale nocami, kiedy okna pałacu jaśniały przez cierniste bluszcze, widywano tę samą osobę jako sylwetkę na tle światła świecy, wędrującą po korytarzach.

Myślenie o tym przeraziło Azaleę. Mimo to, po raz pierwszy w życiu, była z tego rada. Bo jeśli Wielki Król naprawdę porywał dusze, oznaczało to, że ta

osoba jakąś miała. Znaczyło to, że w człowieku istniało coś ciepłego i kruchego. Znaczyło to, że matka już nie cierpiała. Azalea desperacko przylgnęła do tej nadziei. Jeśli to była prawda, Azalea mogła uwierzyć we wszystko.

Rozdział 4

Tej nocy Azalea śniła, że tonie w strumieniu włosów; obudziła się z włosami na twarzy. Pamiętała mgliście, że pozwoliła Jessamine, Kale i Ivy spać z nią, kiedy całą noc płakały, ale nie pamiętała kiedy przyszły Hollyhock, Flora, Goldenrod, Eve, Delphinium, a nawet Clover i Bramble. Mimo to, wszystkie leżały tam razem, a te, które nie zmieściły się do łóżka, spały na dywaniku obok albo siedziały oparte o materac.

Dziewczęta powoli budziły się, a wtedy szły myć twarze i szczotkować włosy – bardziej z przyzwyczajenia niż z jakiegoś powodu. Dzieliły ciasny, kwadratowy pokój na trzecim piętrze w północnym skrzydle pałacu, z sześcioma łóżkami, rzędem okien na jednej ze ścian i wielkim kominkiem na końcu. Pachniało tam pudrem, kwiatami i starym drewnem. Zwykle, podczas porannej toalety, potykały się o siebie i panował wśród nich rozgardiasz. Dziś jednak, kiedy otworzyły swoje kufry z sukniami, spotkało je zaskoczenie. Kufry były puste.

– Może są w praniu – powiedziała Flora, gdy Azalea, ubrana w koszulę nocną zeszła na dół, a dziewczynki poczłapały za nią. – Pewnie dziś jest dzień prania.

– O tak, pokojówki na pewno je piorą – rzekła Goldenrod, bliźniaczka Flory.

Dziewięcioletnie bliźniaczki przypominały Azalei dwa małe wróbelki –

obie płochliwe i jednocześnie pełne entuzjazmu.

– Nie mogą prać wszystkich naszych sukien jednocześnie – odparła Azalea. Coś jest nie tak. Pani Graybe!

Azalea skręciła w stronę antresoli i już miała schodzić na dół, kiedy zobaczyła w holu Fairwellera.

– Och! – powiedziała Azalea.

Fairweller spojrzał na nią i natychmiast odwrócił wzrok w stronę drzwi. Azalea zanurkowała do tyłu w bezpieczne schronienie korytarza, rumieniąc się jak szalona.

– Premierze – zawołała. – Widział pan może panią Graybe?

– Zapomnij o pani Graybe! – powiedziała Delphinium, podbiegając do balustrady. Mając ledwie dwanaście lat, nie przejmowała się, czy Fairweller zobaczy ją w koszuli nocnej, czy nie.

– Gdzie są nasze suknie! Nie mamy ani skrawka do ubrania!

– Zdaje się, że są w kuchni. Suszą się – odparł Fairweller.

Azalea wysunęła się kawałek, tak że widziała teraz srebro holu wejściowego. Fairweller nie podnosił głowy, w skupieniu wkładając czarne rękawiczki. Na jego twarzy widniał różowy ślad.

– Miałyśmy rację! – zawołała Flora. – Są prane.

– Są farbowane – poprawił Fairweller. – Na żałobę. Dobrego dnia.

Zanim dziewczęta zdążyły zapytać o cokolwiek więcej, Fairweller wyszedł. Po tym jak drzwi zatrzasnęły się, dziewczynki odwróciły się do Azalei z niezrozumieniem na twarzach.

– Żałoba? – spytała Flora

– Och. – Azalea zapomniała tej części czyjejś śmierci: izolacja, zegary, ubrania, zasady – cały rok. I cisza. Teraz ogromny ciężar powrócił. Powoli wypuściła powietrze. – Żałoba.

~ ~ ~

Delphinium wrzasnęła, kiedy odnalazły swoje suknie, zwisające ze sznura w kuchni niczym czarne cienie. Każda nitka ubrań, jakie posiadały, została zafarbowana nie do rozpoznania.

– To tylko kolor – powiedziała uspokajająco do Delphinium, która opłakiwała swoje niegdysiejsze różowe sukienki, teraz czarne. – Już dobrze.

Pomogła odpiąć suche suknie i ułożyć je równo na stole dla służby. Niektóre wciąż były w środku wielkiej bali, tonąc w czarnej farbie.

Azalea pomogła się ubrać dziewczynkom w kuchni, nad miskami gorącej owsianki. A kiedy już były gotowe, Azalea powiedziała im wszystko na temat żałoby.

Powiedziała im o tym, że bale, korowody i zaloty były zabronione, o tym że nie mogą nigdzie wychodzić, nawet do ogrodu. Powiedziała im, że okna zostaną zasłonięte na cały rok i że będą musiały przywyknąć do noszenia czerni – również przez cały rok. I powiedziała im o zegarach, które zostaną zatrzymane na godzinie, w której nastąpiła śmierć oraz to, że nie usłyszą przez ten czas ani jednej melodii.

Zajęło to nieco czasu. Kiedy skończyła, dziewczynki wyglądały jak żałosne, opadłe, czarne pączki kwiatów.

– Czy t...taniec jest dozwolony? – wyjąkała Clover.

Azalea przygryzła wargę i odwróciła głowę.

– Ooooch!

Delphinium uniosła chudą rękę do czoła, zamknęła oczy i upadła na

drewniany parkiet.

Leżała tam, bez ruchu.

– Och, wstawaj, Delphi – powiedziała Bramble. – Kiedy ludzie naprawdę mdleją, uderzają głową o podłogę. To bardzo nieromantyczne.

– Rok! – krzyknęła Delphinium. – Nie możemy tańczyć przez cały rok! Umrę bez tańca!

– M...matka pozwoliłaby nam tańczyć – wtrąciła Ivy.

Na wspomnienie matki, spokój dziewcząt powoli zburzył się, a Azalea znowu znalazła się pośrodku płaczących dziewczynek.

Azalea także chciała się rozpłakać. Nienawidziła tego uczucia, kiedy tańczy się, nie znając kroków, i potyka o własne stopy. Tak rzadko jej się to zdarzało – pamiętała kroki do każdego tańca – że niepewność w jej ruchach ją przerażała.

To było tysiąc razy gorsze. Słynne pałacowe okna – wysokie i wielodzielne, które wpuszczały światło do wnętrz, zostaną zakryte draperią, zamieniając dzień w smolistą czerń. Dziewczęta trzymane będą w środku, zamknięte w klatce, jak te świergoczące ptaszki w sklepie na Hampton Street, a wychodzić będą mogły jedynie w królewskich interesach... a tych nie było wiele. Gdyby matka tu była...

Gardło Azalei zacisnęło się, a jej podbródek zadrżał. Nienawidziła siebie za to. Matka wiedziałaby, co robić. Przygryzając usta, by się nie rozpłakać, Azalea wyciągnęła chusteczkę matki. Srebro zamigotało w świetle, wraz z tym przedziwnym, mrowiącym uczuciem. Gardło Azalei rozluźniło się i już prawie mogła się uśmiechnąć. W tej chusteczce coś było. Ale nie wiedziała co.

Była pewna jednego: szybko się uczyła. Kiedy przyswajała nowe kroki, już po chwili wyczuwała rytm i dawała się mu ponieść. Skoro matka potrafiła sprawić, że wszystko było lepsze, ona także mogła.

Azalea pomogła Delphinium wstać i podsadziła pięcioletnią Ivy na stół, karmiąc ją dodatkowa łyżką owsianki. Ivy miała niezaspokojony apetyt. Azalea delikatnie otarła twarze i uciszyła łkania.

– Ciii. To tylko rok. Będę nad wami czuwała. Obiecuję.

~ ~ ~

Gdy następnego wieczora dziewczęta zastawiły stół w jadalni, ich nastroje były tak samo czarne jak suknie, które nosiły. Jadalnia była pięknym, starym pomieszczeniem, z długim stołem, szafkami i sklepionym wejściem z zasłonami. Ogień w kominku rzucał cienie na ich ponure twarzyczki, lecz nie różnił się wiele od mdłego światła przenikającego przez zasłonięte okna. Usłyszały, jak wieża zegarowa wybija siódmą i sztućce zabrzęczały o talerze.

– Nie mogą zatrzymać *tego* zegara – powiedziała Delphinium, podnosząc głowę. – Trzeba by było sprowadzić zegarmistrza.

Azalea kochała ogromny zegar i dzwony na szczycie pałacu, który wybijał melodie o pełnych godzinach. Dzięki niemu pałac sprawiał wrażenie żywego, a tego Azaela pragnęła najbardziej, zwłaszcza gdy wszystko inne było jak zastygłe.

– Król nie pozwoli, by go zatrzymano – powiedziała Azalea, pomagając Kale usiąść na krześle. – Matka zbyt bardzo go kochała.

Na wspomnienie o królu, dziewczynki ucichły. Flora uniosła do góry chudy palec, jakby znajdowała się na lekcji.

– Lea. My... sądzisz, że tak myślał? Kiedy mówił...

– Oczywiście, że nie – zapewniła Azalea, posyłając jej i jej bliźniaczce, Goldenrod pocieszający uśmiech. – Jest tylko poruszony. Jak w jednej z bajek z książek Eve.

– No nie wiem – Eve wpatrywała się w talerz. – W bajkach dzieci mówią

do swoich ojców „tato”.

Zdjęła okulary i przetarła oczy.

Azalea zawahała się. Właściwie nigdy nie były blisko z królem, ale zawsze pojawiał się na śniadaniach i obiadach. Jadanie posiłków z rodziną należało do jednej z zasad. Jednak przez ostatnie kilka dni ojciec nie wychodził z biblioteki, gdzie zajmował się królewskimi interesami i całkowicie ignorował dziewczęta.

– Opuścił wszystkie posiłki od Wigilii – powiedziała Delphinium. – I dziś także go nie będzie. Czuję się jak sierota.

Jak na zawołanie z holu dobiegł głos króla. Słychać było sztywne, surowe słowa, które, choć nierozpoznawalne, na pewno dobiegały z biblioteki. Dziewczynki już miały rzucić się do drzwi, ale Azalea je powstrzymała.

– Wygładźcie sukienki, dłonie połóżcie na kolanach. Clover, przypilnuj, by się zachowywały. Ja z Bramble pójdziemy po niego. – Azalea rzuciła wyniosłe spojrzenie w stronę Delphinium. – *Sieroty*. Na miłość boską.

Przechodząc przez ciemne korytarze, gdzie ściany pokrywały wyblakłe tapety i niedopasowane obrazy, Azalea złapała Bramble za rękę. Bramble ścisnęła ją równie mocno. Azalea nie sądziła, że będzie tęsknić za królem, za jego twardym przywiązaniem do reguł i formalności, ale trzepotanie w jej piersi mówiło co innego.

Gdy dotarły do holu wejściowego, zobaczyły króla rozmawiającego z młodym dżentelmenem. Dżentelmen ów spojrzał w górę, kiedy dostrzegł Azaleę i Bramble. Mimo słabego oświetlenia w holu oraz czarnego kiru na oknach, światło i tak błysnęło w ciepłych, brązowych oczach dżentelmena. Lord Bradford!

Król również spojrzał w górę i zmarszczył groźnie czoło. Jego broda była równo przystrzyżona, a mundur wyprasowany, ale sam ojciec wyglądał na wychudzonego. Azalea poczuła ulgę, że na obiad były zapiekanki z ryby, które

dobrze napełniały brzuch.

– W końcu jesteś! – zawołała Bramble. – No, najwyższy czas!

– Czekamy na ciebie w jadalni – dodała Azalea. – Nie zaczniemy bez ciebie.

– Zasada numer osiemnaście – przypomniała Bramble.

Bruzdy na czole króla pogłębiły się.

– Mam sprawy do załatwienia – odparł. Zimno, formalnie, sztywno. – Ten młody dżentelmen zatrzyma zegar na wieży na czas żałoby.

– Zatrzyma zegar! – Bramble poczerwieniała. – Co? Sir, nie możesz! Matka go kochała! Miała nawet taki skoczny taniec dla niego... na pewno pamiętasz!

Z błaganiem w oczach chwyciła za rękę króla.

Bramble! Pomyślała Azalea. Błękitne oczy króla stały się jeszcze twardsze i zimniejsze na dźwięk słowa „matka".

– W porządku – powiedziała szybko Azalea, mając nadzieję na załagodzenie sprawy. – Ja zaprowadzą pana do wieży. Wy możecie wrócić do stołu.

– Dobrze. Możesz go zaprowadzić. A ty, młoda damo – Król wyrwał się z uchwytu Bramble – natychmiast zajmiesz się swoimi siostrami.

Serce Azalei zatrzepotała z nadzieją, ale król minął ją, ściągnął z wieszaka płaszcz i otworzył drzwi. Nadzieja zamieniła się w oburzenie. On... on wychodził! Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, Azalea wcisnęła między nie a futrynę buta, zagryzają z bólu zęby.

– Nie możesz teraz wyjść – wyszeptała. – I nie możesz też siedzieć w bibliotece. To znacznie ważniejsze niż królewskie interesy. Potrzebujemy cię!

Król puścił rzeźbioną klamkę i wyszedł. W napadzie złości Azalea zatrzasnęła za nim drzwi.

Dlaczego król tak się zachowywał? Nigdy nie był dla nich tak dobry jak

matka, ale też nigdy nie był taki oziębły. Wszystko było napięte i poplątane, ale Azalea czuła, że gdy król był w domu, to mogła poradzić sobie ze wszystkim. Teraz poczuła się opuszczona.

Podbródek Bramble zadrżał, gdy wpatrywała się w drzwi. Przełknęła, a potem odwróciła się do lorda Bradforda.

– *Ty!* – warknęła, a jej żółto-zielone oczy zapłonęły. – *Ty!*

Wymaszerowała z holu – suknia szeleściła przy każdym kroku, a czerwone włosy opadały kaskadą na jej plecy. Jej kroki odbijały się echem od ścian.

Dopiero wtedy Azalea zdała sobie sprawę, że dłonie zaciska mocno w pięści. Powoli wyprostowała palce i w słabym świetle zobaczyła małe ślady paznokci w kształcie półksiężyców na wnętrzu dłoni.

Rozległo się uprzejme kaszlnięcie i Azalea poczerwieniała, przypominając sobie o osobie lorda Bradforda. Odwróciła się.

– Ja nie chciałem... – powiedział głębokim głosem. W dłoniach ugniatał kapelusz.

– Oczywiście, że nie – odparła Azalea. – Sprawy nieco się ostatnio pogmatwały. Jak pana ręka?

– Lepiej – przyznał. – Dziękuję.

Mimo że wnętrzności skręcały jej się w środku, Azalea poprowadziło go głównymi schodami pałacu na górę, tak jak obiecała. Nie mówiła wiele. On mówił, wypełniając ciszę aksamitnym barytonem. O tym, że posiada sklep z zegarami na Silver Street i że król posłał po zegarmistrza, ale z racji tego, że pana Grunningsa nie było, a on sam wie co nieco o mechanizmach zegarowych, więc przyszedł on.

– Wiem, że podczas żałoby wizyty są zakazane – powiedział z wahaniem. – Ale pomyślałem, że to zalicza się do królewskich interesów... – urwał. –

Chciałem powiedzieć, jak bardzo pani współczuję. Straty matki. Uważam, że miała najmilszy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Azalea chciała rozpłakać się i rzucić mu w ramiona. Zamiast tego, odwróciła się, stojąc kilka stopni nad nim, z ręką na wypolerowanej poręczy. Przyjrzała się jego zmierzwionym brązowo-blond włosom i szybkim ruchem wygładziła je. Chciała to zrobić już od balu.

Lord Bradford przyglądał się jej osłupiały, a Azalea, z twarzą pokrytą głębokim rumieńcem, poprowadziła go dalej po stromych schodach prowadzących na dach.

Wieża wznosiła się nad holem – zbudowana na planie kwadratu, symetryczna i stara. Pachniało tam stęchlizną z nutą metalu. Gdy dotarli do głównej platformy, Azalea musiała osłonić oczy. Przez szklaną tarczę zegara przebijało światło słoneczne, rzucając cienie liczb na przeciwległą ścianę. Tryby i koła dźwięczały i trzaskały.

Lord Bradford przyglądał się temu wszystkiemu z fascynacją, dotykał każdego z ogromnych zębatych kół wielkości tych do powozu, a jego oczy błyszczały z podekscytowania.

– To magia – powiedział, wskazując na główne koło, które obracało wskazówki. – Zastanawiałem się, jak przeciwwagi mogą napędzać się nawzajem bez siły czy pary. Proszę spojrzeć.

Azalea spojrzała na koło. Blisko środka, niczym logo zegarmistrza, widniał znak *DE*, identyczny co na spodzie filiżanki. Znak D'Eathe.

– Najwyraźniej tak – powiedziała. – Wciąż istnieją tu szczątki magii, z czasów, kiedy mieszkał tu Wielki Król.

Powinno ją to przerazić, gdy pomyślała sobie o pałacu, niegdyś tak złym i magicznym, z ożywionymi kandelabrami i freskami, ale nie przeraziło. Trudno było bać się budynku, który śmierdział spalonym tostem. Kiedyś Azalea

wyobrażała sobie, że musiał być onieśmielający i wspaniały, z magicznymi ścianami, przez które można było przechodzić i kominami bez ptasich gniazd w środku. Kiedy Wielki Król został zabity – najpierw otruty, później zastrzelony z pistoletu, zdekapitowany, a następnie spalony w wielkim ogniu (...jakoś nikt nie chciał o tym rozmawiać) – to Harold Pierwszy jakimś cudem odczarował pałac, odbudował go i przekształcił w przyzwoity dom. Pozostało po tym bardzo niewiele magii. Jedynie szczątki – jak serwis do herbaty czy wieża.

– Ojciec często opowiadał o magii w pałacu – powiedział lord Bradford, podchodząc do małego kominka na końcu platformy. Azalea czuła jak drewniane panele poruszają się pod jej stopami z każdym jego krokiem. – Mówił, że gdy był chłopcem, on i pani ojciec zwykli bawić się razem w zaczarowanych przejściach.

Azalea uniosła brwi.

Jak dziwnie było myśleć o bawiącym się królu. Albo w ogóle królu jako chłopcu. Gdy lord Bradford wziął ze stojaka przed kominkiem szuflę na popiół i przeszedł z nią obok, podłoga znów zatrzeszczała, a Azalea spytała:

– Magiczne przejścia? Tu? W naszym pałacu?

Lord Bradford uśmiechnął się małym krzywo i pochylił ku niej w konspiracyjnym geście, tuż pod powoli obracająca się wskazówką. Azalea przysunęła się, wdychając zapach lnu i świerku.

– Ten znak, znak D'Eathe, gdy znajduje się na jednej z cegieł, oznacza ukryte przejście. Wiedziała pani o tym? Można je otworzyć, pocierając o niego srebrem.

– Naprawdę? – spytała Azalea.

– Jeśli dobrze pamiętam, ojciec mówił, że teraz używa się ich tylko jako spiżarnie. – Lord Bradford wzruszył przepraszająco ramionami. – Obawiam się, że to nie jest aż takie ekscytujące.

Azalea pokiwała głową i umieściła tę informację na jednej z dalszych

półek umysłu.

Z zadaniem do wykonania i wciąż ściskając w reku szuflę, lord Bradford podsunął małą drabinę do platformy z trybami dzwonów tuż nad nimi. Masa mechanizmów i zgrzytających kół zasłoniła go i by go zobaczyć, Azalea stanęła na palcach. Dookoła rozległo się kilka zgrzytów i trzeszczenie. A potem nastała cisza. Tykanie ustało. Azalea wyciągnęła rękę i dotknęła wskazówki zegara, czując jak jej żołądek obraca się, podczas gdy wskazówka ani drnęła.

Lord Bradford wyłonił się zza mechanizmu, już bez szufli, znów z poważna miną. Azalea, która bardzo pragnęła stamtąd wyjść, poprowadziła go do schodów.

Najwyraźniej wyczuł, że nie była w nastroju do rozmowy, bo przez całą drogę powrotną milczał.

Azalea zatrzymała się jednak, gdy usłyszała głuche uderzenie, a Lord Bradford wydał ciche:

– Uf.

– Wszystko w porządku? – spytała Azalea.

– Ee, tak – odparł po chwili.

– *Do ataku!*

W całej wieży rozległ się echem bitewny okrzyk, sprawiający, że dzwony aż zawibrowały. Głos Bramble! W jednej chwili w powietrzu pojawiły się ziemniaki. W słabym świetle u dołu schodów stały wszystkie dziewczynki; spódnice miału uniesione i wywinięte tak, że tworzyły koszyczek; stamtąd brały kolejne pocisko. Ziemniaki fruwały naokoło, uderzając o ściany, misterną poręcz, drewniany parkiet a także o lorda Bradforda, który blokował je ręką.

– Czyście wszystkie oszalały? – krzyknęła Azalea. – Natychmiast przestańcie... auu!

Ziemniak uderzył ją w skroń. Delphinium sięgnęła po kolejnego, ale

zanim ją trafił, lord Bradford chwycił go w swój kapelusz.

– Co wy wyprawiacie? – spytała Azalea, zbiegając po reszcie stopni. – Eve! Flora i Goldenrod! I Clover... tylko nie *ty!*

Clover, która nic nie rzucała, zrobiła krok w tył i poczerwieniała do łez.

– I *ty* – rzekła Azalea, zwracając się do Bramble. – Ile ty masz lat, *trzy*?

Bramble przynajmniej miała na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzoną. Przez dwie sekundy. Potem uniosła podbródek, rumieniąc się gwałtownie.

– Nie możemy nic nie robić – odparła. – Jeśli on nie uruchomi zegara w wieży, nigdy już nie będziemy na czas na żaden posiłek i na...

– Król będzie bardziej zły, niż kiedykolwiek! – powiedziała Delphinium.

– Niedługo wyrusza na wojnę i może nawet w ogóle go już więcej nie zobaczymy. - Głos Goldenrod załamał się.

Azalea raz jeszcze otoczona została zapłakanymi siostrami. Jessamine zwinęła się na podłodze w kłębek; jej koronkowe pantalony wystawały spod sukni. Zaczęła zawodzić piskliwym, krystalicznym głosikiem.

– Mam zegarek.

Azalea podskoczyła, przypominając sobie o lordzie Bradfordzie. Zszedł na dół i wyciągnął dłoń ku Azalei. Na niej leżał złoty zegarek kieszonkowy z łańcuszkiem.

– Proszę go wziąć – powiedział. – Może go pani trzymać w kieszeni, w ukryciu przed żałobą; wtedy wciąż będziecie wiedzieć, która jest godzina.

Azalea domyśliła się, że to pamiątka rodzinna. Złoto między zdobieniami było wytarte do samej czerni.

– Nie możemy tego przyjąć – zaprotestowała Azalea.

Bramble wyrwała mu zegarek z dłoni i przyciskając go do piersi, odsunęła się.

– Ty...!

Azalea chciała go jej odebrać, ale Bramble znalazła się poza zasięgiem jej reki.

– Zatrzymamy go w zastaw – powiedziała Bramble. – Dostaniesz go, kiedy uruchomisz zegar w wieży.

Lord Bradford ukłonił się.

– Jak sobie życzysz.

– Do tego czasu jest nasz.

– Dokładnie.

– Nie możesz go do tego czasu odzyskać.

– Jak sobie życzysz.

– I... i... i... więc ustalone – zakończyła Bramble.

Chora z zażenowania, Azalea zaczęła zbierać ziemniaki, podczas gdy młodsze dziewczynki zebrały się wokół Bramble, która demonstrowała jak zegarek klika, kiedy się go otwiera i zamyka. Gdy wszystko zostało już uprzątnięte, Azalea zdała sobie sprawę, że w pokoju nie ma już lorda Brandforda.

Azalea wybiegła przez drzwi i pokonując korytarz, pobiegła na antresolę. Właśnie wychodził. Bez tchu Azalea zatrzymała się na szczycie schodów i wychyliła przez balustradę.

– Sir! – zawołała. – Lordzie Bradford.

Odwrócił się. Jego oczy pojaśniały na widok Azalei.

– Dziękuję – powiedziała.

Lord Bradford ukłonił się głęboko i zdjął kapelusz, co na nowo zmierzwiło mu włosy. Gdy się wyprostował, uśmiechał się, tak krzywo, jak krzywy był jego krawat. Azalea nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała mu uśmiechem.

Rozdział 5

Następnego dnia odbył się pogrzeb. Księżniczki tuliły się do siebie wokół grobu, stojąc tak daleko od niego, jak tylko mogły, nie okazując przy tym braku szacunku. Cmentarz po brzegi wypełniali żałobnicy, wylewając się aż na ulicę; wszyscy ubrani w czarne garnitury, czarne woalki i czepki. Konie do procesji pokryto czarną farbą; lampy uliczne zakryto czarnym kirem. Wszystko było czarne.

Padał śnieg – płatki stanowiły małe fragmenty bieli na tle tej scenerii.

Naprzeciwko nich, po drugiej stronie grobu, stał król z członkami parlamentu. Trzymał ręce sztywno przy bokach i wciągał policzki, jak zwykł robić, gdy był niezadowolony. Nie patrzył na grób. Nie patrzył... na nic.

Po odmówieniu modlitw i ułożeniu na grobie gałązek świerku, jemioły i ostrokrzewu, masy ludzi zaczęły kierować się w stronę żelaznej bramy. Lunch dla rodziny i członków parlamentu miał zostać podany w kawiarni pałacu. Król, nie mówiąc ani słowa, wyszedł z żałobnikami. Nie uronił nawet łzy. Azalea starała się powstrzymać paznokcie przez wbiciem w skórę. Wczorajsze ślady wciąż piekły.

Dziewczęta zostały przy grobie, aż cmentarz na powrót stał się pusty i wyludniony. Wpatrywały się w rzeźbę płaczącego anioła. Płatki śniegu prószyły na ich włosy – na tło czerwieni, złota i brązu – i w ciszy zamieniały się w krople.

– Będą na nas czekać – odezwała się po chwili Azalea. – I będziemy dziś

jeść z królem. Musi, skoro są goście. Taka jest zasada.

Dziewczynki milczały i trzęsąc się, ściskały wokół ramion swoje płaszczyki i szale.

– Panno Azaleo.

Azalea odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Fairwellera, który wyglądał bardziej posępnie niż zazwyczaj. Z kapeluszem w ręku wskazał na wąską ścieżkę między grobami i krzewami.

– Może mi pani towarzyszyć?

Azalea poszła z nim przez zamarznięte gałązki i liście, czując na sobie zaciekawione spojrzenia sióstr. Skrzywiła się nieco, gdy pomyślała o niekończących się docinkach, jakie na pewno z tego wynikną. Fairweller – przystojny, młody, nieprzyjemny jak szerszeń. Pachniał miętówkami.

– Był tu premier z Delchastire – powiedział po chwili Fairweller. Śnieg skrzypiał pod jego stopami. – Na pogrzebie. Widziała go pani?

Azalea przypomniała sobie brodatego mężczyznę z monoklem i pokiwała głową.

– Na pewno wie pani, że Delchastire już od dłuższego czasu naciska nas na dopełnienie naszego aliansu, zwłaszcza teraz, w obliczu trwającego konfliktu zbrojnego, i że pani ojciec... i ja z całym regimentem niedługo wyjeżdżamy?

Azalea zatrzymała się nagle. Dół jej sukni omiatał śnieg na ścieżce.

– Ale chyba nie wyjeżdża teraz? – spytała.

Fairweller skinął głową.

– Dali mu nieco czasu ze względu na pani matkę, ale teraz musi zająć się obowiązkami. Regiment może wyruszyć już jutro, jeszcze przed kolejną burzą. Pomyślałem, że powinna pani się dowiedzieć, zanim przeczyta to w gazetach.

Azalea nie wiedziała, co powiedzieć. To matka zawsze informowała ją o takich rzeczach i zawsze udawało jej się wszystko łagodzić. Usłyszenie tego od

Fairwellera dodawało przeszywającego zimna do wiatru. Azalea owinęła się ciaśniej szalem.

– To tak szybko – powiedziała. – Chyba nie musi tak szybko wyjeżdżać? Co z żałobą?

Fairweller potrząsnął głową.

– W polityce nie ma miejsca na uczucia.

– Ale to król! W ogóle nie musi wyjeżdżać! Króla Delchastire na pewno tam nie będzie!

Fairweller sięgnął do góry i oderwał zamarzniętą gałązkę z drzewa. Przyjrzał się jej, zanim przemówił:

– Jest pewna stara magia – rzekł z wolna. – Bardzo głęboka magia obietnic. Sięga czasów Wielkiego Króla D'Eathe i pierwszego Generała Dowódcy. Pani ojciec złożył taką przysięgę Delchastire, kiedy podpisywaliśmy sojusz. Wszyscy ją złożyliśmy. Nie można jej tak łatwo porzucić.

– Złożył przysięgę – powtórzyła Azalea pustym głosem.

– Zgodnie z którą musimy jechać. Jeśli to jakieś pocieszenie, wątpię żeby to była długa wojna. Z pewnością nie dłuższa niż rok.

Azalea oparła się o pień zamarzniętego drzewa i po raz enty tego dnia, starała się nie rozpłakać. Szare, wyblakłe – jak cała reszta postaci Fairwellera – oczy przyglądały jej się przez długą chwilę, ale po chwili następnie ukłonił się i wyszedł przez żelazną bramę cmentarza.

Zarośla za nią zaszeleściły, lecz nie od wiatru. Azalea wpatrywała się w zasypaną śniegiem ziemię i westchnęła.

– Możecie już wyjść.

Siostry wyłoniły się zza nagrobków i nagich drzew, gdzie się ukrywały. Spoglądały na Azaleę wielkimi, przerażonymi oczami. Clover przyciskała do piersi Lily. Milczały, wszystkie za wyjątkiem jedenastoletniej Eve, która

podniosła grudę śniegu, uformowała w kulę i cisnęła w posąg płaczącego anioła nad grobem matki.

– Nienawidzę tego posągu! – powiedziała. – Wcale nie wygląda jak anioł. Wygląda, jakby dławił się łyżeczką.

– Eve – odezwała się Azalea.

Eve czknęła, zdjęła okulary i czerwoną dłonią przetarła oczy.

Wszystkie stały tam żałośnie i sztywno; ich włosy powiewały na wietrze, który się właśnie zerwał. Azalea wzięła wdech.

– Floro, Goldenrod, znacie kroki mazurka? Proszę je wykonać.

Flora pociągnęła nosem i pokręciła głową.

– To nie takie trudne – rzekła Azalea. – Spróbujcie. W porządku, możecie to tutaj zrobić. Nikt nas nie zobaczy.

Flora spróbowała bez przekonania. Zrobiła krok w tył, potem ćwierć obrót, ale następnie wybrała złą nogę i pogubiła się. Jej podbródek zadrżał.

– Nie mogę nic zrobić w tych butach – powiedziała. – Są zbyt sztywne.

– Było dobrze! – Azalea ustawiła obok niej bliźniaczki. – Już byłaś w połowie. Rozdzielcie się. Dalej, Goldy. Najpierw lewa stopa i do tyłu. Obrót, dobrze, skok , posuwisty obrót. Dobrze!

– Udało nam się! – krzyknęła Flora.

Powtórzyła krok, a jej jasnobrązowy warkocz podskakiwał wraz z nią. Goldenrod śledziła jej ruchy.

– To proste! – powiedziała Goldenrod.

– Tak szybko się uczycie – rzekła z uśmiechem Azalea. – Spróbujmy teraz wszystkie razem. Złączcie dłonie. Holli, Ivy i wy, najmłodsze, wykonajcie podstawowe kroki. W porządku?

Żadna z dziewcząt nie zaprotestowała, nawet Eve, która prawie się uśmiechnęła i powiedziała:

– Łamiemy pewnie z pięćdziesiąt zasad.

Złączyły ręce, Clover podała wolną dłoń Kale. W śniegu, starając się omijać nagrobki, zaczęły. Krok, ślizg, razem, naprzód. Łączyły dłonie w środku, a potem rozdzielały i klaskały.

Szybko złapały rytm. Azalea zapomniała o wietrze i zimnie, o tańczeniu na cmentarzu, a nawet żałobie, o bólu, który czuł podczas tańca w sztywnych butach, a zamiast tego poczuła znajome trzepotanie w piersi. Ciepłe trzepotanie. Wszystkie dziewczynki teraz się uśmiechały.

Właśnie, gdy Azalea zaczynała kolejny ćwierć obrót, dziewczęta rozdzieliły się. Stłoczyły się za Azaleą, rujnując kroki, a potem złączyły dłonie i skierowały wzrok pod nogi.

– Co się stało? – spytała Azalea. – Byłyście wspaniałe.

Ze zmarszczonymi brwiami odwróciła się... i zobaczyła nikogo innego, jak króla.

Taniec wyparował. Azalea cofnęła się o krok.

– Sir! – powiedziała.

Król otworzył usta i zamknął. I otworzył znowu.

– Co wy robicie?

– Och – wyjąkała Azalea. – Tylko... tańczymy.

– Tak, widzę.

Dziewczęta szurały stopami po ściegu.

– Byłyśmy cicho – zaświergotała Hollyhock. – Ciszej niż świerszcze!

Król podrapał się po głowie. Z bliska wyglądał na wykończonego; małe bruzdy wokół oczy były głębsze, niż Azalea pamiętała, tak samo jak zmarszczka pomiędzy brwiami.

– Nie gniewaj się – rzekła Azalea. – Już dobrze... naprawdę, nikt nas nie widział.

– Tylko dlatego, że nikt nie patrzy, ani nie słyszy, nie znaczy że jest *dobrze.*

Król chwycił Azaleę za ramiona, na tyle mocno, że się skrzywiła.

– Żałoba – powiedział – jest po to, by okazać nasz żal. Tańczenie hańbi pamięć o waszej matce. Źle sobie poczynasz, Azaleo! Jako przyszła królowa powinnaś wiedzieć lepiej! Źle poczynasz!

Reprymenda zabolała. Azalea nagle poczuła, jak zimny jest wiatr i jak piecze w twarze. Odwróciła głowę.

– Idźcie do domu – polecił król, zanim ją puścił i potarł dłonią twarz. – Wszystkie. Natychmiast, zanim zacznie się burza.

~ ~ ~

Tego wieczora Azalea pokłóciła się z siostrami. Bardzo rzadko się kłóciły, ale ich temperamenty były wzniecone i na dodatek za karę musiały zjeść obiad w pokoju. Deszcz uderzał o szyby i kapał do misek podłożonych pod przeciekającym dachem. Dziewczęta zgromadziły się wokół wielkiego kominka, ze ściągniętymi twarzami pijąc zupę grzybową. Przynajmniej zupa była gorąca.

– Ja tylko mówię, że powinnyśmy przeprosić – powiedziała Azalea. Rzuciła Ivy kolejną bułkę, pozostawioną z lunchu, która złapała ją łakomie. – Nawet, jeśli się z nim nie zgadzamy. Nie możemy tak tego zostawić.

– Myślę, że to przez rum – powiedziała Bramble, pocierając dłonie o parującą miskę. – Rozmawia z nami pierwszy raz od wielu dni i już krzyczy.

– Porozmawia z nami, zanim wyjedzie – zapewniła Azalea. – Musi. To zasada numer dwadzieścia jeden. Pamiętacie? Formalne pożegnanie. Zawsze ustawiałyśmy się rzędem w holu, zanim wyjeżdżał na dłuższy czas w królewskich interesach.

Bramble uśmiechnęła się ponuro.

– Posiłki z rodziną także należały do zasad.

Przez całą wymianę zdań, usta Delphinium stawały się coraz bardziej zaciśnięte. Wciąż rzucała spojrzenia w kierunku Eve, która bazgrała coś i nie odzywała się. Eve przysiadła na krańcu łóżka i wydała z siebie zduszony dźwięk, jakby starała się powstrzymać łzy.

– Eve? – spytała Azalea.

Eve bawiła się okularami leżącymi na kolanach.

– W porządku – rzekła Azalea. – Delphinium?

Delphinium uniosła ostry podbródek, rzucając uparte, wyzywające spojrzenie. Eve przełknęła i powiedziała:

– On się nie pożegna. – Jej ciemnoniebieskie oczy utkwione były w okularach. – Odjedzie, zanim nas zobaczy.

Wszystkie spojrzały po sobie, a potem na Azaleę, która zmarszczyła brwi.

– Słuchaj, Eve...

– Ona ma rację – przerwała jej Delphinium i rzuciła zużytą serwetkę na ziemię. – Och, na raki. Nie wierzę, że jeszcze tego nie rozgryzłyście. Eve i ja doszłyśmy do tego już dwa dni temu!

– Co ty wygadujesz?

– Król – powiedziała Eve. – On nie...

Pociągnęła za swoje grube, czarne włosy. Delphinium dokończyła za nią.

– On nas nie kocha. I nie chce nas.

Delphinium była tak blada, że Azalea bała się, iż teraz naprawdę zemdleje. Hollyhock, Ivy i bliźniaczki przerzucały wzrok między Delphinium a Azaleą; ich oczy były ogromne. Azalea skrzyżowała ręce.

– Co? Oczywiście, że nas kocha – powiedziała. – Oczywiście, że tak. Delphnium, doprawdy.

– On... on jadał z nami posiłki – podsunęła odważnie Flora. – I... i podarował nam pantofle do tańca, na lekcje.

– Jadł z nami i dał pantofle – rzekła Delphinium – bo matka tego chciała. Nie widzicie? Przywiązywał do nas jako taką uwagę tylko, kiedy matka tego chciała. Teraz, kiedy jej nie ma, dlaczego miałby się przejmować? Na pewno cieszy się, że wyjeżdża.

– Delphinium...

– Lea? – spytała Flora.

Azalea zebrała razem wszystkie miski w stos tak gwałtownie, że uderzały o siebie. Wmawiała sobie, że nie ma ulubionych sióstr, ale gdyby miała, Delphinium na pewno by do nich nie należała.

– Bzdura – powiedziała. – Bramble też w to nie wierzy.

– Cóż, Az. – Bramble stukała łyżką w miskę. – Nigdy jakoś nie okazywał nam miłości.

Azalea położyła z brzdękiem stos misek na stół.

– Ty też? Jak wy możecie w ogóle myśleć o czymś tak okropnym? On... on chciał otworzyć bal razem ze mną, nie pamiętacie?

– Bo matka go o to prosiła – szepnęła Dephinium. – A potem zostawił cię z Fairwellerem.

Azalea rzuciła w Delphinium łyżeczkę – chybiła i łyżeczka trafiła w okryte kirem okno za nią, a potem Azalea obróciła się na pięcie. Ruszyła w kierunku drzwi.

– Sprowadzę go tutaj – oznajmiła, ściskając klamkę tak mocno, że jej dłoń drżała. – Zobaczycie. To nieprawda! Zobaczycie!

Kiedy Azalea dotarła do biblioteki, drzwi były otwarte. Zapukała w boazerię obok framugi i zajrzała do środka.

Nad biurkiem króla stała zgarbiona postać. Rozczarowana, Azalea

zobaczyła, że to nie król, ale pan Pudding. Owijał książki w materiał powolnymi, starczymy ruchami, a kiedy Azalea weszła, uśmiechnął się.

– Panienko! – powiedział. – Panuje tu straszny chłód.

– Gdzie król? – spytała.

Uśmiech pana Puddinga znikł i mężczyzna zaczął unikać jej wzroku.

– Wyjechał, panienko. Wyruszył do portu.

Paznokcie Azalei wbijały się w dłonie; coś twardego ugrzęzło w jej gardle.

– Nie zrobił tego!

– Powiedział, że nie chce przeszkadzać, z całą tą krzątaniną i przygotowaniami, panienko. Eee... panienko.

Azalea wybiegła z biblioteki z pięściami zaciśniętymi do białości.

~ ~ ~

Podświadomie Azalea wiedziała, że to co robiła, było głupie. Nie lubiła koni, a jednak udało jej się samej osiodłać Thackeraya w damskie siodło i ruszyć w stronę portu. Azalea nienawidziła jazdy konnej. Tańczenie było łatwiejsze i nie można było spaść. Nie śmierdziało również tak... końsko.

W ferworze Azalea zapomniała nawet płaszcza. Mroźny deszcz ze śniegiem przemoczył ją do suchej nitki. Ale ledwie to zauważyła. Płynęła przez nią gorąca, paląca krew, która chroniła od zimna.

Droga do portu nie była długa. Wszystkie statki, które chciały kierować się na Rzekę Rosings, były już zadokowane. Światła lamp ulicznych stawały się coraz jaśniejsze, gdy Azalea zbliżała się do doku. W drodze zgubiła lejce, które plątały się gdzieś naokoło, więc trzymała się z całych sił grzywy Thackeraya. Deszcz ze śniegiem osłabł nieco, gdy kopyta wierzchowca uderzyły o drewniane deski.

Pomimo pogody, w porcie kotłowało się od ludzi. Tuziny mężczyzn prowadziło przemoknięte konie po kładkach na statki oraz ładowało siatki ze skrzyniami. Azalea poczuła zapach mokrego, starego drewna i w oddali zauważyła Fairwellera, a po chwili usłyszała króla, wykrzykującego rozkazy. Przedarła się przez masę kawalerzystów i ich koni.

– Sir! – wrzasnęła.

Poprowadziła konia niezgrabnym galopem w kierunku króla, ale w pewnej chwili, gdy Thackeray zrównał się z Dickensem, straciła równowagę i spadła z siodła. Złapała się pakunku zwisającego z siodła Dickensa, a gdy ten wylądował na ziemi, zobaczyła że to srebrna szpada.

Szpada była tępa, wygięta i zardzewiała z zawiniętym kabłąkiem i zwykle leżała w gablocie w galerii portretowej. Król pokazywał ja na paradach i przemowach, bo niegdyś należała do Harolda Pierwszego i miała historyczne znaczenie. Azalea zdała sobie sprawę, że ojciec bierze ją na wojnę.

– Azalea! – Dwie silne dłonie pomogły jej wstać z mokrych desek. Dłonie obróciły ją i Azalea znalazła się twarzą w twarz z królem, którego czoło znaczyła troska. – Na miłość boską! Nie masz nawet płaszcza.

– Nie myślałam o tym – odparła Azalea, zdając sobie sprawę, że drży.

Jej czarna suknia przylgnęła do niej.

Król odpiął swój grubo tkany płaszcz i zarzucił jej na ramiona. Był tak ciężki, że omal się pod nim nie zapadła. Następnie podniósł z ziemi szablę i przyjrzał się jej badawczo ze zmarszczonymi brwiami.

– Porysowałaś ją – powiedział, pokazując jej maleńki ślad grubości włosa, po czym schował z powrotem do pochwy. – To własność rządu, Azaleo. Co ty tu robisz?

– Wyjeżdżasz – rzekła Azalea pomiędzy drgawkami. – Nawet się nie pożegnałeś! Dziewczynki...

Przerwały jej krzyki – mężczyźni wrzeszczeli do króla o cumach, podziale regimentu i zapasach. Smród mokrego konia, słowa wykrzywiane z odpowiedzi przez króla, pęknięcia w belkach pod stopami – wszystko zostało dla niej zapomniane. Azalea chwyciła mocno płaszcz króla i gotujący się żar opuścił jej usta.

– Nie możesz jeszcze wyjechać! – powiedziała. – Zasada numer dwadzieścia jeden! Mamy zasady!

Król odwrócił się do niej; jego piękny czerwony mundur był teraz czarny od deszczu. Gdy się błysnęło, na jego twarzy pojawił się ostry cień.

– Nie mogę zostawić tu moich ludzi, Azaleo! Potrzebują generała.

– Jeśli nie wrócisz – powiedziała Azalea – dziewczynki pomyślą, że ty... że ty ich nie... proszę, sir, musisz wrócić i się z nimi pożegnać!

– Premierze Fairweller – zawołał król. – Premierze, proszę eskortować Azaleę z powrotem do pałacu. I na miłość boską, nie pozwól jej znowu spaść!

W jednej chwili król podsadził Azaleę z powrotem na Theckeraya i podał lejce Fairwellerowi, który wsiadł na swoją śnieżnobiałą klacz, Lady Fair.

Żar w środku Azalei palił jej palce, zaciskał gardło i przyprawiał o zawroty głowy. Fairweller wyprowadził ją z doku; ogon LadyFair podskakiwał przed nią. Na szczęście Fairweller milczał.

Gniew, który płonął w Azalei był tak przenikający, tak ostry, że jej ręce zadziałały same. Azalea pochyliła się i zanim Fairweller zdążył eskortować ją na brukowana ulicę, wyrwała mu z rąk lejce.

– Pani! – krzyknął Fairweller.

Zostawiła go za sobą.

– Więc! – krzyknęła przez zawieruchę, gdy kopyta z powrotem uderzyły o drewno. – Więc!

Podjechała do króla i zatrzymała się tak gwałtownie, że Thackeray wpadł

w poślizg.

Król spojrzał znad lejców w dłoni. Jego brwi uniosły się, a potem zmarszczyły.

– Azalea... – zaczął, ale ona mu przerwała.

– Wiedziałeś, jak bardzo cię potrzebujemy! Mogłeś przynajmniej... przynajmniej udawać, że ci zależy!

Zdjęła z ramion płaszcz i zwinęła go z ciężką, mokrą kulę.

– Jaki to wstyd, że obdarzyłyśmy uczuciami kogoś, kto na nie zasługuje. Jeśli nas nie chcesz, w porządku! My nie chcemy ciebie!

Z całych sił cisnęła płaszczem w króla. Upadł na ziemię w mokrym stosie ledwie kawałek od niej.

– Do widzenia! – powiedziała.

Obróciła Thackeraya i popędziła galopem z dala od portu, przez śliskie ulice, z powrotem do pałacu. Wspaniałe, euforyczne uczucie wybuchło spod jej palców i policzków i omal nie wybuchnęła śmiechem z czystej, gniewnej frywolności.

Jednak do czasu aż Thackeray zbliżył się do bramy pałacu, ogień przekształcił się z tępe pulsowanie, a frywolność w ból. Obróciła konia i spojrzała na srebro ulicy oświetlonej portowymi lampami. Śnieg topniał na jej twarzy i wzmagał wyczerpanie.

– Do widzenia – powiedziała.

Rozdział 6

– Znakomicie! – Matka zaśmiała się. – Jesteś lepsza ode mnie! W górę, w górę. Bardzo dobrze! Płaszcze dam do biblioteki, kapelusze dżentelmenów...

– Do holu. Tak, pamiętam.

Azalea wstała i wygładziła spódnicę.

– Doskonale. Panowie oszaleją na twoim punkcie.

– Szkoda, że ciebie tam nie będzie.

– Twój ojciec będzie.

– Właściwie to nie – odparła Azalea. – Będzie tu z tobą. Ja skończę, tańcząc ze strasznym Fairwellerem.

– Słucham? – spytała matka.

– Na litość boską – powiedziała Azalea. – Znowu mi się to śni!

I obudziła się.

Przez chwilę leżała, wpatrując się w baldachim nad łóżkiem; jej kasztanowe loki leżały rozrzucone wokół niej.

Ten sen! Myślała, że się go pozbędzie. Nie śnił już się jej od trzech tygodni. To lepiej niż na początku, kiedy pojawiał się co najmniej dwa razy w tygodniu, trzy miesiące z rzędu. Zawsze był taki realistyczny. Czuła nawet biały puder matki, lekarstwa i zapach oliwki dla dzieci oraz ciepło ognia z kominka obok którego stał fotel. Azalea wolałaby śnić o piknikach i wycieczkach na targ. Nie o ostatnich minutach matki, kiedy ta tak bardzo cierpiała. Azalea nienawidziła

myśleć o cierpiącej matce.

Mimo to Azalea nie chciała, by sen kończył się tak szybko.

Wygrzebawszy zegarek Lorda Bradforda z kieszeni nocnej koszuli, Azalea otworzyła wieczko, czując za niego ogromną wdzięczność. Z oknami zasłoniętymi czarnym kirem, każdy dzień w pałacu nie różnił się od nocy.

Wciąż jeszcze było wcześnie. Azalea opatuliła kocem Kale, z którą dzieliła łóżko i upewniła się, że Lily śpi mocno w kołysce. Potem wyślizgnęła się z pokoju.

Mimo czerwca za oknem, marmurowa podłoga sali balowej była chłodna pod jej bosymi stopami. Lampa, którą trzymała w dłoni sprawiała, że żyrandole migotały, a ich blask odbijał się w lustrach. Postawiła lampę na bok i dygnęła głęboko do swojego odbicia w lustrze, wyciągając palce od stóp i unosząc do góry ręce. Uwielbiała to rozciąganie nóg podczas tańca. Uniosła się na palce i wykonała piruet, czując jak jej nocna koszula kręci się wokół niej. Skierowała wzrok ku dalekiemu końcu sali, wykonując kolejne kroki i kręcąc głową, zatrzymując się po każdym obrocie, przy którym jej ciało wyginało się wdzięcznie.

– W...wyglądasz pięknie.

Azalea przekształciła obrót w dyg, potem wyprostowała się, by zobaczyć Clover trzymającą w ramionach Kale. Za nimi pojawiły się sylwetki zaspanych dziewcząt w koszulach nocnych.

– Dzień dobry – powiedziała Azalea z uśmiechem. – Wczesne dzień dobry. Kale was obudziła?

– Strzał w dziesiątkę – odparła Bramble.

Przeczesała ręką sięgające kolan włosy.

Azalea z uśmiechem pokręciła głową. Mimo, że miała zaledwie dwa latka, głos Kale mógłby zawstydzić primadonnę. Właściwie, to gdy raz zaczynała

płakać, przestawała jedynie wtedy, gdy dostawała to, czego chciała, albo aż zwymiotowała. Azalea wzięła ją z rąk Clover, a Kale objęła jej szyję małymi rączkami. Azalea odsunęła ją nieco, trzymając ją z dala od ramion. Kale lubiła też gryźć.

– Mia...miałaś ten... sen znowu, prawda? – spytała Clover, gdy usiadły wokół lampy. Jej złote włosy odbijało światło. – Dlatego... przyszłaś tutaj?

Azalea wzruszyła ramionami.

– M...może powinnaś... powinnaś napisać o tym królowi – kontynuowała Clover. – On może... wiedzieć, co robić.

– Oszalałaś? – spytała Bramble. – Co go to niby obchodzi?

Clover wzruszyła lekko ramionami i opuściła wzrok.

– No, już – powiedziała Azalea, prostując się. – Umówiłyśmy się. Żadnego rozmawiania o królu.

Dziewczęta chwyciły się za ręce i spuściły wzrok. Przypomniało to Azalei, jak późnego grudniowego wieczora wróciła do pałacu, cała drżąca i tak przemoknięta, że robiła kałuże na dywanie. Nie powiedziała wtedy dziewczynkom. Same wyczytały to z jej twarzy. Pomogły jej przebrać się w suche ubrania, wyszczotkowały i zaplotły włosy, a wszystko to nie wypowiadając ani słowa.

Azalea nie mówiła o tym, bo słowa mogły sparzyć każdego, kto je usłyszy. Więc wrzały i buzowały w środku niej, zaciskając gardło. Dobrze sobie poradziła przed dziewczętami. Tylko małe blizny w kształcie półksiężyca zostały jej na dłoniach.

– Co tańczyłaś? – spytała Goldenrod.

– Och, to i tamto. Myślałam o zingarelli – Azalea uśmiechnęła się, patrząc w sufit – jeśli tylko uda mi się zebrać wystarczająco dużo ludzi do tańca.

Z okrzykiem radości, dziewczynki skoczyły na nogi, a Azalea ustawiła je

w rzędzie, pokazując jak wyciągać palce i wykonywać obroty na pięcie i jak lekko skakać na stopach. Ich blade policzki pokryły różowe rumieńce, a rozstawione pod ścianami okna chłonęły ich uśmiechy. Wszystkie wydawały się czuć ciepłe trzepotanie w środku. Azalea uwielbiała taniec właśnie dla tego ciepła.

– Ale zaingarella to zamknięty taniec – powiedziała Delphinium, po wyprowadzeniu idealnego podskoku i wylądowaniu w pozycji trzeciej. – Jak wszystkie dobre tańce. Chciałabym być na tyle dorosła, by tańczyć z dżentelmenem.

– Dżentelmen - szmentelmen – powiedziała Azalea. – Nie pamiętasz lekcji matki? Tańczyłyśmy korowody i kadryle i inne tańce bez partnerów.

– Ale z dżentelmenem jest inaczej.

Azalea zastanowiła się nad tym, myśląc o balu bożonarodzeniowym i o dreszczu bycia prowadzoną w idealnej ramie, o kroczeniu z partnerem jako jedno ciało, mijaniu innych tancerzy w kłębie spódnic. Taniec *był* inny, jeśli tańczyło się z dżentelmenem.

W drzwiach sali zajaśniała lampa, rzucająca poświatę na lustra i żyrandole. Pan Pudding stał w wejściu, w jednej dłoni trzymając lampę, a drugą pocierał twarz i siwe, zmierzwione włosy. Azalea zdała sobie sprawę, że ich śmiechem i tańcem musiały narobić niezłego hałasu.

– Znowu panienki tańczą? – spytał.

Azalea zebrała siostry, które teraz ziewały i szurały nogami i wyprowadziła je z sali na wielką klatkę schodową.

– No, panienko, tak dłużej nie można – powiedział pan Pudding, gdy Azalea popędziła dziewczynki na górę. Stał na dole schodów ze ściągniętymi brwiami i lampą w dłoni. Ściągnięte brwi pana Puddinga w niczym nie przypominały tych króla. Ściągnięte brwi pana Puddinga były raczej wyrazem zakłopotanym. Odchrząknął i wziął głęboki wdech, sygnalizując, że właśnie ma

zamiar wygłosić prawie-wykład-ale-nie-do-końca-bo-był-tylko-nadwornym-zarządcą-a-nie-królem. – Mogę zrozumieć jedno lub dwa takie zdarzenia; nie jest to tyle tańca, by mnie martwiło. Nawet ja mogę uchylić oka na mały podskok, ale to wbrew regułom, a ja dostałem zadanie opiekować się panienkami i nie mogę łamać reguł żałoby, nawet dla tańca, choć wiem, jak bardzo wasza matka go kochała. Będę musiał zamknąć salę balową na klucz i obawiam się, że następnym razem będę także zmuszony napisać do waszego ojca.

Dziewczęta wstrzymały oddech na dźwięk ostatniego słowa, „ojciec". Zebrały się wokół Azalei, podczas gdy pan Pudding, grzechocząc swoim wielkim kołem z kluczami, zamknął salę ze szczękiem. Na widok młodszych dziewczynek, które zaraz miały się rozpłakać, oddał im swoją lampę i obiecał posłać ciastka i herbatę do ich pokoju, sam przy tym omal się nie rozklejając. Ale nie otworzył ponownie sali.

– Tym razem chyba naprawdę tak myślał – powiedziała Delphinium, gdy wdrapywały się po trzeszczących schodach, ciągnąc za sobą zaspane młodsze siostry. – Zamknął drzwi i nigdy wcześniej nie groził listem do króla.

– Ten zamek jest niemal niemożliwy do wyłamania – zauważyła Eve, skubiąc końce pięknych, ciemnych włosów, jak zwykła robić, gdy się zamartwiała. – To będzie problem.

– *Naszym* problemem jest to, że zostałyśmy przyłapane – rzekła Azalea.

Niosła na rękach Jessamine i Kale, opierając je o biodra i przystanęła na szczycie schodów. Oparła się o tapetę pod zakurzonymi portretami ciotecznych babek: Mugwort i Buttercup i odetchnęła. Każdego ranka tych ostatnich miesięcy, kiedy pan Pudding przynosił „Haroldowe Wieści", dziewczęta wyrywały mu gazetę z rąk i nad miskami z owsianką wertowały każdy artykuł, z nadzieją na jakiekolwiek wieści o wojnie. Tam kończyła się ich lojalność. Król mógł radzić sobie sam. Raz Clover zasugerowała napisanie do niego, lecz myśl tą

szybko stłumiono. Azalea była pewna, że jej pióro pękłoby na pół, gdyby zasiadła do listu.

– Nie będziemy więcej tam tańczyć – powiedziała. – Nie możemy znowu dać się złapać. To nasz sekret.

– On napisze do króla...

– Och tam król... – warknęła Azalea. Słowa sparzyły powietrze. – Jakie on ma niby prawa? Król nie jest częścią tej rodziny!

Clover, zagryzając usta, przytuliła zmierzwioną główkę Lily do piersi. Flora i Goldenrod zakryły usta chudymi dłońmi. Azalea próbowała załagodzić ostre słowa, ale gardło jakby nie chciało się rozluźnić.

– Nie jest. – powiedziała. – Nic nie musi wiedzieć.

~ ~ ~

Minęło dwa tygodnie od kiedy ostatni raz tańczyły, a Azalea nie spała. Tym razem nie obudził ją sen, ale raczej dziwny, cichy głos, który rozchodził się po drewnianej podłodze ich pokoju, pod łóżkami i w klekoczącym odgłosie uderzał o boazerię. Brzmiało to jak... cóż, szczerze, brzmiało to jakby pająk ciągnął za sobą łyżeczkę.

Azalea wiedziała, że to niemożliwe (a raczej miała taką nadzieję), ale nawet jeśli, podniosła się z łóżka i podniosła jeden z rozrzuconych po całym pokoju butów Hollyhock. Stukanie zabrzmiało niedaleko kominka i Azalea dostrzegła coś srebrnego pomiędzy popiołem. Unosząc w górę but, na palcach zakradła się do w tamtą stronę.

Kominek, który znajdował się w ich pokoju był ogromny – tak wielki, że Azalea mogła wejść do niego i nawet nie otrzeć się suknią o ściany. Coś srebrnego podskoczyło. Azalea zanurkowała.

Azalea usiadła w kominku, a coś małego i srebrnego migotało jak szalone. Azalea wyciągnęła rękę, w zamian otrzymując bardzo ostre i bardzo znajome ugryzienie.

– O *wy*! – warknęła Azalea, zrywając się do góry.

Teraz rozpoznała tan ruch. Szczypce do cukru! Azalea skoczyła i położyła na nich stopę. Usiłowały się wyrywać, jak schwytana w pułapkę mysz.

Wciąż siedząc w kominku, wybrudzona sadzą Azalea z całych sił chwyciła szczypce, tak by jej nie ugryzły i przyjrzała im się z bliska. Były wygięte i czarne od sadzy. Azalea zastanawiała się, co wyprawiały, szwendając się same w nocy. Zwykle nie rozstawały się z magicznym serwisem do herbaty pozostawionym w kuchni, gdzie uderzały o miseczkę ze śmietanką i rzucały kostki cukru w każdego, kto przechodził obok. Ale jakby się zastanowić, Azalea nie widziała serwisu przynajmniej przez kilka ostatnich tygodni. Oparła się o murowaną ścianę kominka, zastanawiając się, gdzie się podziewał

A wtedy zerwała się nagle, bo cegła za jej plecami była zaskakująco nierówna. Zapominając o szczypczykach do cukru – które wyskoczyły z jej dłoni i uciekły – przeciągnęła palcami po wybrzuszeniu. Było ledwie widoczne w słabym świetle i pokryte sadzą. W zasadzie, dzięki kształtowi obudowy kominka, jeśli ktoś nie stał w środku, nie zauważyłby go.

Serce Azalei waliło pod koszulą. Starła nieco sadzy z cegły. Jej palce drżały. Kształt pod nimi stał się wyczuwalny – półksiężyc litery D i trzy linie przecięte pionową kreską.

Magiczne przejście!

Rozdział 7

Azalea wpatrywała się w ścianę. Krew pulsowała jej w uszach.

Magiczne przejście! W *ich pokoju*! Starała się przypomnieć sobie wszystko, co tyle miesięcy temu Lord Bradford mówił jej o przejściach. Król używał ich teraz jako spiżarni, owszem, ale cóż, magia to magia! Azalea zastanawiała się, jak wielkie jest to pomieszczenie. Jeśli nie walało się tam zbyt wiele skrzyń i kufrów, czy byłoby wystarczająco duże do...

Palce u stóp Azalei zwinęły się w popiele, tak bardzo pragnęła podskoczyć z radości.

Jak to mówił Lord Bradford, że można je otworzyć? Pocierając o nie srebrem. Ale miała szczęście! Azalea rozejrzała się za srebrnymi szczypczykami i po chwili znalazła je na skraju dywanu.

– No chodźcie – powiedziała najmilszym szeptem. – Nic wam nie zrobię.

Szczypce czmychnęły.

– Wy małe, paskudne...

Azalea ruszyła za nimi, po drodze wyciągając chusteczkę matki, by dzięki niej uchronić palce przed ugryzieniem... a wtedy zatrzymała się.

Srebrne migotanie chusteczki zawsze przykuwało jej uwagę. Poczuła w ciele lekkie mrowienie, więc Azalea z szerokim uśmiechem podniosła kawałek materiału na wysokość oczu. Król podarował ją matce lata temu. Na królewskich barwach wyhaftowano jej inicjały. Chociaż włókna były miękkie i elastyczne jak

len, chusteczka wykonana była z najprawdziwszej srebrnej nici.

Azalea podeszła do kominka i przytknęła chusteczkę do znaku DE. Zawahała się, niepewna, co to da. Ale i tak jej palce świerzbiły z podekscytowania. Potarła chusteczkę o cegłę.

Z początku nic się nie stało. Reka Azalei zmęczyła się. Po pół minucie pocierania, kiedy już miała się poddać, znak powoli zaczął stawał się ciepły. Potem gorący, a potem aż palił w palce przez chusteczkę. Azalea odsunęła się gwałtownie.

Symbol DE jaśniał srebrnym blaskiem. Azalea wstrzymała oddech. Zaprawa między cegłami zaczęła się świecić, rozprzestrzeniając srebrny blask na kolejne cegły, które jaśniały tak bardzo, że Azalea musiała zasłonić oczy. Srebro rozlało się po ścianie, by wreszcie uformować się w wysokie, zwieńczone łukiem wejście, ozdobione zawijasami i liśćmi.

Światło eksplodowało.

Azalea potrzebowała kilku chwil, by odzyskać chwilowo utracony wzrok. To, co zobaczyła, odebrało jej dech w piersiach. Ściana kominka przemieniła się w sklepione wejście, którego krańce jaśniały świecącym bluszczem i liśćmi. W wejściu – niczym pajęcza tkanina na lekkim wietrze – falowała cienka zasłona srebra.

Nagle Azalę przestraszył klekoczący odgłos i u stóp zobaczyła ubrudzone sadzą szczypce. Podskoczyły i pociągnęły ja za rąbek koszuli nocnej.

– Cśś, uciekajcie – szepnęła Azalea, spoglądając w stronę łóżek sióstr.

Ząbki upadły na ziemię, metal pisnął. Brzmiało to prawie jak skomlenie.

– Co, teraz chcecie wejść?

Ząbki zaczęły skakać wokół jak szalone.

– Och... no dobrze. Ale musicie się *zachowywać*.

Azalea podniosła je, wsadziła do kieszeni i zawahała się. Wiedziała, że

znajdzie tam najwyżej stare meble i książki, ale... Rzucając spojrzenie na łóżka, gdzie dostrzegła poruszające się pościele, Azalea odrzuciła wszelki wątpliwości, wzięła głęboki wdech i weszła z migoczące, jarzące się srebro.

Poczuła się, jakby przeszła przez srebrny, lodowato-zimny wodospad, który spłynął po jej głowie i ramionach. Ogarnął ja zapach, jakby wnętrza imbryka. Z kolejnym krokiem Azalea odetchnęła świeżym powietrzem. Drżąc, otrząsnęła się z nitek migoczącego światła i potarła ramiona.

Stała na małym, drewnianym podeście, mniej więcej wielkości kominka. Przed nią rozpościerały się kręcone schody prowadzące w dół. Azalea przełknęła, dotknęła dłonią murowanej ściany i zaczęła schodzić. Chybotliwe drewno trzeszczało pod jej bosymi stopami i ogarnęła ją ciemność. Jej ręce zadrżały, gdy po omacku szukała drogi. Żałowała, że nie zabrała ze sobą lampy.

Ciszę przeciął głośny, szurający odgłos. Azalea krzyknęła.

– Stop, stop, *stop* – dobiegł głos z góry. – Naprawdę, Az, jesteś taka sama, jak Kale!

Przejście wypełniło światło, a Azalea poczuła ulgę, gdy zza rogu wyłoniła się Bramble z Lily na rękach, szczerząc się w cierpkim i bardzo zadowolonym z siebie uśmiechu.

Po kolejnych trzeszczeniach i dudnieniu na szczycie schodów pojawiła się cała jedenastka zaspanych sióstr Azalei. Tylko Clover miała wystarczająco rozumu, by zabrać ze sobą lampę.

– Pokój eksplodował światłem – powiedziała Bramble. – To było jak budzenie się w promieniach słońca – a nie widziałyśmy go od miesięcy. Az... ściana za kominkiem...

– Wiem – odparła Azalea. – Uwierzycie?

Dziewczynki zebrały się bliżej Azalei i razem stłoczyły wokół lampy, słuchając opowieści siostry, która powtórzyła to, co Lord Bradford mówił o

magicznych przejściach. Powiedziała im o szczypczykach do cukru, ich ucieczce z kuchni i znalezieniu ich w pokoju, a także o użyciu srebrnej chusteczki do otwarcia przejścia. Oczy dziewcząt, już i tak wielkie, powiększyły się jeszcze bardziej z podekscytowania.

– Powinnam was wszystkie obudzić – rzekła Azalea na końcu. – Byłam chyba zbyt ciekawa, by czekać. Ale cieszę się, że przejście pozostało dla was otwarte. Czy wciąż jest?

– Nie – odparła Eve. – Zamknęło się.

– Znak jest też po tej stronie – powiedziała Bramble. – Sądzę, że trzeba będzie po prostu potrzeć je, kiedy zechcemy wyjść. – Zadrżała, lustrując wzrokiem nieruchomy mur. – Nie chciałabym zostać tu uwięziona.

– Gdzie one prowadzą? – spytała Flora.

– Nie wiem – odparła Azalea spoglądając w ciemność, w spiralę kolejnych stopni. – Prawdopodobnie to tylko spiżarnia, ale może być tam trochę magii, jak w wieży. Chcecie się dowiedzieć?

– *Tak!*

Clover podała Azalei lampę i Azalea, trzymając ją nad głową, poprowadziła je schodami w dół. Ciągnęły się znacznie dalej, niż oczekiwała, i dopiero po kilkunastu długich minutach przejście zaczynało się rozjaśniać. Pokonały kolejny zakręt i przed sobą ujrzały sklepione łukiem wejście. Emanowało z niego miękkie, srebrne światło. Azalea zmarszczyła brwi. Światło księżyca? W środku pałacu?

Gdy Azalea ruszyła naprzód, dziewczęta zostały nieco w tyle. Trzęsącymi się dłońmi oparła się o krawędź i wychyliła.

A potem cofnęła, osłupiała.

Scena przed nią oszołomiła ją niczym dźwięki kryształowej symfonii. *Las*.

Ale w niczym nie przypominał lasu za pałacem! Każda gałązka, liść,

łodyga bluszczu wyglądała jakby zamrożona w srebrze. Migotały w miękkim, mglistym świetle.

Azalea wciągnęła powietrze i poczuła stłumiony zapach porannej mgły z sosnową nutą i weszła do jasnego lasu. Wszystko iskrzyło i z każdym jej krokiem odbijało refleksy światła. Nawet ścieżka pod jej stopami. Odwróciła się do przypominającego szkło drzewa po jej lewej. Srebrne ornamenty błyszczały na delikatnych, srebrnych listkach – z gałęzi zwisały szklane śliwki. Azalea dotknęła jednej. Owoce zamigotały, gdy nimi poruszyła. Poza zdobiącymi drzewa ornamentami, zwisały z nich sznury pereł.

– Jak tu pięknie – szepnęła Flora.

Dziewczynki podążyły za Azaleą, rozmawiając cichymi głosami.

– Jak zima, kiedy śnieg dopiero co spadnie – wyszeptała Goldenrod.

– Albo... choinki – powiedziała Clover.

Azalea pomyślała, że scena wygląda jak połączenie wszystkiego razem – ogrodu, pałacu i okresu bożonarodzeniowego – wszystko połączone w jedno i zanurzone w srebrze.

– Az, co to za miejsce?

Bramble spojrzała w górę z otwartą buzią. Najwyższe ze srebrnych drzew znikało we mgle.

– Myślę, że to jest pałac.

Bramble uniosła cienką, czerwoną brew.

– Chyba nie *nasz* smoliście czarny pałac! Nic dziwnego, że nikt nam nie powiedział o tym przejściu – już nigdy nie wrócimy na górę!

Bramble miała rację. Azalea dotknęła pasów pereł i kokard, pod palcami czując supły sznura. Nie oczekiwała, że znajdzie tu tyle magii; i to wszystko pod ich pokojem!

Dziewczęta powoli posuwały się w głąb ścieżki; wszystko było ciche,

przytłumione, jak wtedy gdy padał śnieg. Co jakiś czas Azalea wyciągała dłoń i dotykała srebrzysto-białych gałązek lub ozdób w kształcie łez, tylko by upewnić się, że to nie sen.

Przed nimi srebrne gałęzie wielkiej wierzby zakrywały ścieżkę, znacząc koniec drogi. Gdy dziewczęta się zbliżyły, usłyszały cichy dźwięk granej gdzieś pozytywki. W milczeniu, z uniesionymi brwiami, rozejrzały się w poszukiwaniu źródła. Gdy podeszły bliżej, brzdąkanie muzyki zmieniło się. Dźwięk stał się teraz głębszy, jakby dochodził z granej na żywo przez trio orkiestrowe melodii. Stopy Azalei aż swędziały, by się poruszyć.

– Dochodzi zza wierzby – szepnęła Delphinium.

Azalea zrobiła krok przez błyszczące, srebrne liście. Zanurzyła dłoń między gałęzie i rozsunęła.

Dziewczynki wstrzymały oddechy.

Ścieżka się nie kończyła. Zamieniała się za to w misterny, łukowaty most, prowadzący do stawku ze srebrnymi liliami. Woda rzucała tańczące, białe refleksy na mostek.

A na końcu mostu, z srebrnymi winoroślami wijącymi się między białymi kratkami, które sięgały szczytu kopuły na górze, znajdował się pawilon. Wypełniony *tancerzami!*

Panie ubrane były w jasne jedwabie i szyfony, powiewające z każdym krokiem. Obracały się i kręciły; ich kolorowo ubrani partnerzy chwytali dłonie i porywali do tańca.

Azalea odsunęła się od gałęzi wierzby, które wróciły na swoje miejsce. Nagle poczuła się przerażona. To za dużo magii, magii, o której matka z pewnością nie wiedziała.

– Chodźmy stąd – rzekła. – Nie powinno nas tu być.

– Co? – krzyknęły dziewczęta.

– Przepraszam bardzo – odezwała się Bramble. – *Nas* nie powinno tu być? A co z *nimi*? Panoszą się po *naszym* pałacu? Dlaczego, u diaska, nas nikt nie zaprosił?

– Kim oni są? – wyjąkała Clover.

– Nie wiem – odparła Azalea. – Ale coś tu nie pasuje.

Nagle zapragnęła, by nigdy tu nie przychodziły.

– Chcępodejść bliżej! – powiedziała Delphinium i zanim Azalea zdążyła ją powstrzymać, przepchnęła się obok niej i przeszła przez gałęzie wierzby.

– Ja też! – krzyknęła Hollyhock.

Azalea chwyciła jej ramię, ale Hollyhock wyrwała się i pognała za Delphinium. Nagle wszystkie dziewczynki przebiegły obok Azalei i znikły za liśćmi wierzby.

Spanikowana Azalea zanurkowała w srebro za nimi, prosto na most.

Ku jej uldze siostry nie skoczyły na śnieżnobiałe schody prowadzące na parkiet; zamiast tego schowały się w krzakach na zewnątrz, sprawiając, że te zaszeleściły cichutko. Azalea przeżyła jedynie krótki moment szoku, kiedy Bramble wypadła zza liści, chwyciła ją za nadgarstek i wciągnęła w krzaki. W mgnieniu srebra Azalea znalazła się na plecach pomiędzy srebrnym krzakiem róż. W kręgosłup wpijała się jej gałązka. Siostry szczerzyły nad nią zęby w uśmiechach.

– Jak za starych czasów – powiedziała Bramble, podciągając Azaleę do przysiadu. – Nazwiemy to Wielkim Skandalem Magii D'Eathe.

– A może Wielkim „Złapią Nas" Skandalem? – szepnęła ze złością Azalea.

– Och, przestań jęczeć – odezwała się Delphinium, gdy popchnęły ją w stronę krańca pawilonu, pośród krzewów obwieszonych srebrnymi różami i perłami. – Czy kiedykolwiek widziałyście, żeby ktoś tak tańczył?

Azalea uklękła, wyjrzała przez zarośla i jej gniew osłabł. Pochłaniała

scenę przed nią jak słodki deser. Damy miały na sobie suknie, o jakich Azalea mogła tylko pomarzyć – z brokatem, złotymi lamówkami z wysokimi, białymi perukami. Panowie ubrani byli w falbaniaste krawaty i jaskrawe kamizelki. Nie jak konserwatywne, nudne czarne garnitury, które nosili dżentelmeni z Eathesbury.

– Czy oni są prawdziwi? – spytała cicho Eve. – Czuję prawie... pustkę.

Dziewczęta schowały się, gdy jedna z par zbliżyła się krawędzi. Okazała spódnica damy powinna wywołać wiatr, ale Azalea nic nie poczuła.

– Magia – szepnęła.

– Magia lub nie – powiedziała Delphinium – powinni nas zaprosić. To w końcu *nasz* pałac.

Azalea poczuła szarpnięcie na rękawie koszuli i zobaczyła, że Ivy z uporem wskazuje na stolik z deserami, stojący w dalekim końcu pawilonu. Zastawiony był kremowymi bułeczkami, tartami z melasą, kandyzowanymi śliwkami, truskawkami w czekoladzie oraz lnianymi serwetkami z koronkami na brzegach. Dłoń w ciemnej rękawiczce chwyciła za jedną z serwetek, a Azalei stanęło serce.

Przy stole stał dżentelmen. Ubrany był cały na czarno. To nie była nudna czerń, ale *stylowa* czerń. Tak gładka, że gwiazdy mogłyby w niej zabłądzić. Jego strój składał się z długiej kamizelki i peleryny, która dotykała marmurowej podłogi.

Ubranie wspaniale komponowało się z jego twarzą – zjawiskowo wysokimi kośćmi policzkowymi z dołeczkami. Jego kruczoczarne włosy ściągnięte były z tyłu w kucyk, a oczy – nawet z oddali – płonęły głęboką czernią. Azalea nigdy nie widziała nikogo tak... pięknego.

Gdy tak się wpatrywała, dżentelmen podniósł koronkową serwetkę w długie palce i rozdarł na pół. Z lekkością, jakby była zrobiona z papieru. Złożył

części razem, przedarł, złożył ponownie, aż zostały tylko małe kawałki. Potem podniósł do ust i dmuchnął.

Kawałki poderwały się, przeobrażając w migoczące płatki śniegu, wirujące wokół tańczących. Siostry westchnęły w podziwie.

– Kto to? – szepnęły jednocześnie Flora i Goldenrod.

– Nie mam pojęcia – odparła Azalea. – Ale on jest *prawdziwy*.

Dżentelmen omiótł wzrokiem scenę i przez krótką chwilę zatrzymał się dłużej na krzewach, za którymi chowały się dziewczyny. Na *Azalei*.

Serce Azalei podskoczyło do gardła, a ona zanurkowała w krzewy, przyciskając się do ściany pawilonu. Odczekała, aż jej serce zwolni na tyle, by móc rozróżnić pojedyncze uderzenia, a potem zaryzykowała kolejne spojrzenie.

Tym razem, jej wzrok napotkał czarne buty. Zdusiła w sobie okrzyk i poderwała do tylu szyję.

Dżentelmen wychylał się przez poręcz, wpatrując się w dal. Nie widział ich! Gdy tak wszystkie wpatrywały się w niego jak zamrożone, Azalea zakryła dłonią maleńkie usteczka Lily.

Dżentelmen westchnął. Było to długie, smutne westchnięcie, jakby oderwane z głębi duszy. Potem nagle odwrócił się i odszedł. Dziewczęta wypuściły powietrze.

– To – szepnęła Bramble – było blisko.

– Wynośmy się stąd.

Tym razem nikt się nie buntował. Przeczołgały się przez most i już prawie znalazły się po drugiej stronie, kiedy Azalea rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku tańczących...

I zobaczyła między nimi Ivy.

Stała tuż przy stole z deserami, z którego nakładała już sobie na talerz po każdym smakołyku, jaki tylko mogła sięgnąć i właśnie częstowała się serwetką. Z

promiennym uśmiechem układała bułeczkę z kremem na czekoladowym rogaliku na już spiętrzonym talerzu. Nikt jej nie zauważył, nawet dżentelmen, który stał po drugiej stronie pawilonu, wyciągając dłoń do damy. Mała, śnieżnobiała koszulka nocna Ivy nie odróżniała się wiele od obrusu na stoliku.

– Och, nie – szepnęła Deplhinium. – Nie, nie, nie!

– Do diaska, Ivy, czy ty zawsze musisz *jeść*? – warknęła Bramble.

Azalea podniosła się tak wysoko, na ile się odważyła, starając się uchwycić spojrzenie Ivy. Zdawało się to trwać godzinami. Ivy nuciła pod nosem i sięgnęła po kulkę z ciasta, która zsunęła się jej z talerza.

Kiedy Ivy w końcu zobaczyła Azaleę stojąca w wejściu, Azalea desperacko zaczęła przywoływać ją dłonią. Ivy mrugnęła, kiwnęła głową do Azalei, odstawiła talerz na podłogę, ujęła rąbek koszuli w dłoń i podniosła, robiąc z niej koszyk. Jej małe, pulchne nóżki poczłapały do stołu, gdzie zaczęła ładować tyle jedzenia, by móc podzielić się z siostrami.

– Nie, Ivy, nie – jęknęła Azalea. – To był gest „chodź tutaj".

A wtedy Ivy, z załadowaną koszulką, huśtając się na boki pod naporem jedzenia, ruszyła *prosto przez środek parkietu*.

– Może jej nie zauważą – szepnęła Delphinium. – Może nie. Jest mała...

Tancerze zaczęli wrzeszczeć.

Spódnice zaszeleściły, obcasy stukały o marmur, zasłaniając wejście. Muzyka z pozytywki kliknęła i zatrzymała się, jakby coś weszło między trybiki. W całym zamieszaniu i kłębie sukien, Azalea usłyszała cienki głosik pięcioletniej Ivy:

– Lea!

Azalea ruszyła w jej stronę.

– Przez most! – krzyknęła. Dziewczęta wyplątały się z zarośli, potykając się jedna o drugą. Azalea wskoczyła na schodki prowadzące do pawilonu i

utorowała sobie drogę przez tancerzy, którzy znowu zaczęli krzyczeć. Ivy stała pośrodku parkietu, przyciskając dół koszulki do piersi; jej podbródek drżał.

Azalea dotarła do Ivy i objęła w pół, rozsypując wszędzie tartaletki. Ivy zaczęła płakać. Azalea, uciekać. Gdy biegła do wyjścia, jej usmolona sadzą koszula nocna falowała wokół nóg, a jej włosy powiewały za nią. Tancerze zrobili przejście...

...i *zniknęli*.

– Proszę pani! Zaczekajcie!

Azalea zbiegła ze schodów i ruszyła w stronę mostu.

– Proszę, niech pani zaczeka!

W połowie mostu wpadła na siostry i przystanęła na chwilę, by złapać oddech.

– Jeśli się nie zatrzymacie, zmuszę was do tego!

Azalea zaryzykowała spojrzenie na dżentelmena. Klęcząc na schodach, zanurzył okrytą rękawiczką dłoń w stawie.

Przez mgłę zaczęła wlewać się woda.

Dziewczęta wrzasnęły, gdy woda podeszła pod niżej położone krańce mostu. Stłoczyły się pośrodku, a woda wdzierała się między gałęzie wierzby i dotykała już ich pięt. W ciągu kilku sekund poziom stawu podniósł się pod same stopnie pawilonu, zalewając srebrne krzewy różane i więżąc dziewczęta pośrodku mostu.

Woda zatrzymała się. Gałęzie wierzby unosiły się teraz na powierzchni. Siostry przytuliły się do Azalei.

– Powiedziałem *proszę*. – Dżentelmen wstał. Oddychał ciężko, był blady, jakby wyczerpał wszystkie swoje siły. Oparł się o kratkę w wejściu, łapiąc oddech. – Czy nie powinnyście robić co mówię, gdy mówię, *proszę*?

Zdjął mokrą rękawiczkę, palec za palcem i wykręcił. Krople wpadły do

jeziora.

– To moja jedyna para – powiedział. – Mam nadzieję, że jesteście zadowolone.

Azalea otworzyła usta, by wyjąkać jakieś przeprosiny, albo krzyknąć cokolwiek, ale słowa uwięzły jej w gardle. Młodsze siostry trzymały się kurczowo jej koszuli nocnej. Dżentelmen, wciąż bez tchu, uśmiechnął się, a potem ukłonił się w najbardziej wdzięcznym ukłonie, jaki Azalea widziała. Jedną rękę trzymał z tyłu.

Zaśmiał się i wyprostował.

– Moje panie. Wybaczcie mi. Przestraszyłem was? Och, na pewno tak. Spójrzcie na siebie, takie skulone.

Dziewczęta nie otwierały ust.

– Jesteście blade jak perły – powiedział. Jego głos był gładki, jak czekolada. – Musicie mi wybaczyć. Pierwszy raz widzę prawdziwych ludzi od czasów Wielkiego Króla D'Eathe.

Rozdział 8

Refleksy na poruszającej się powierzchni wody tańczyły wokół nich, rzucając odblaski na lawendową mgłę.

– D'Eathe – wyjąkała Clover.

– Jesteś *stary*! – powiedziała Hollyhock.

– Nikt nie może żyć ponad dwieście lat – dodała Eve, ciągnąc za swoje ciemne włosy. – To niemożliwe.

Dżentelmen zaśmiał się, chociaż nie było w tym dużo śmiechu.

– Jestem stary – powiedział. – Moje wnętrze popękało i zamieniło się w pył. Ale nie jestem martwy. I... nie jestem też żywy. Jestem... nieumarły.

Dziewczęta rzuciły sobie nawzajem zakłopotane spojrzenia. Azalea pamiętała opowieści związane z Wielkim Królem. Potrafił chwytać dusze umarłych...

– To trudno wyjaśnić – rzekł dżentelmen. – Ale należy wam się to. Proszę.

Gładkim, jedwabistym ruchem złożył razem dłonie i odsunął, przywołując misterne filiżanki na podstawkach. Każda z filiżanek wypełniona była po brzegi herbatą; położył je na wodzie i dmuchnął, a one, unosząc się na powierzchni, popłynęły w stronę dziewcząt jak świeczki w maleńkich łódkach.

Dziewczynki podniosły filiżanki z wody i zanim Azalea zdążyła ją powstrzymać, Ivy wypiła herbatę do ostatniej kropli. Z westchnięciem Azalea zaryzykowała łyk. Posmak masła i jagód rozpłynął się na jej języku, nie

pozostawiając nic do przełknięcia. Magiczna herbata.

– Jestem szlachetnie urodzony – powiedział, gdy siostry ściskały filiżanki w dłoniach. – Jestem lordem. Za rządów wielkiego Króla D'Eathe byłem członkiem jego dworu.

Dziewczęta wzięły ciężki, spięty wdech, wszystkie jednocześnie. Dżentelmen uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

– A, tak – powiedział. – Byłem nawet jego *przyjacielem*. Och, oszczędźcie. Nie jestem tym złym. Byłem wtedy ledwie chłopcem.

I tak zaczął swoją opowieść gładkim niczym czekolada głosem, tak czarującym, że dziewczynki zapomniały o swoich herbatach, które trzymały w połowie drogi do ust.

Azalea wyobraziła sobie ich małe państewko, kiedy dżentelmen był młody – z brudnymi ulicami i nieutwardzonymi brukiem, z dzikim lasem i nowym pałacem.

– Byłem młody – powiedział cicho. – I byłem głupcem. Wielki Król zrobił ze mnie praktykanta, uczył uroków i odrobiny magii. Ale oszalał, na pewno o tym wiecie. Gdy usłyszałem, co wyprawiał z duszami... – Dżentelmen dotknął winorośli okalającej wejście, śledząc ją palcem w zamyśleniu. – Cóż... oczywiście dołączyłem do rebelii.

W umyśle Azalei fragmenty zaczęły układać się w całość. Ta sama rebelia, której przewodził jej dziewiąty z kolei pradziadek, Harold Pierwszy. Azalea słuchała uważnie.

– To była zdrada, której Wielki Król nie wybaczył. – Długie palce mężczyzny zamknęły się wokół srebrnego liścia i urwały go. – Odnalazł mnie. Nie równałem się jego magii. Zwykłe zabicie mnie go nie zadowalało. Zamiast tego, zamknął mnie w swoim wspaniałym, magicznym pałacu. Mianował mnie strażnikiem tego pawilonu. Bo bardziej niż cokolwiek innego, Wielki Król kochał

taniec.

Eve zachłysnęła się herbatą.

Bramble powiedziała:

– Zmyślasz to!

Flora dodała:

– To już wtedy wymyślono taniec?

Dżentelmen zaśmiał się.

– Lubicie tańczyć, prawda? – rzekł. – Byłybyście pod wrażeniem Wielkiego Króla. Każdej nocy sprowadzał do pawilonu swój dwór. A ja zajmowałem się nim, jako służący i błazen Wielkiego Króla. Upokarzające. A potem, po niezliczonych nocach tańca, Wielki Król wraz ze swoim dworem zniknęli. Jakąś sztuczką magiczną, ja również zniknąłem w murach tego budynku – beznadziejny fragment myśli pośród cegieł i granitu. Dopiero niedawno uwolniono mnie, bym znowu stał się strażnikiem, ale tylko małej części magii, jak ten pawilon, niezdolny do przekroczenia tych schodów. I tak oto jestem.

Dżentelmen zakończył opowieść smutnym uśmiechem. Azalea chwyciła w dłonie filiżankę, czując pod palcami porcelanę. Uwięziony... dżentelmen został powiązany z pałacem – tak jak one.

– Biedaku – powiedziała Flora.

– Je...jest pan głodny? – spytała Clover. – Potrzebuje pan jedzenia... albo... czegokolwiek?

Dżentelmen roześmiał się.

– Czarująca istotko. Nie. Wszystko w porządku.

Azalea spytała:

– Jak panu na imię?

Oczy dżentelmena zwróciły się do Azalei. Objęły jej wygniecioną, usmoloną koszulę nocną, jej kasztanowe loki, rozpuszczone i sięgające talii. Cień

uśmiechu zagościł na jego twarzy, gdy Azalea z rumieńcem mocniej przytuliła do siebie Lily.

– Strażnik – odparł. – Tak zostałem nazwany przez Wielkiego Króla. Nie mam już innych imion.

Strażnik. Niezwykłe imię dla niezwykłej historii i niezwykle tajemniczego dżentelmena.

– Proszę, wybaczcie mi – powiedział pan Strażnik. Gdy się uśmiechnął, na policzkach pojawiły się dołeczki. – Obniżę poziom wody i puszczę was wolno. Ale proszę, czy mógłbym doznać tego zaszczytu i wiedzieć, kim *wy* jesteście?

Azalea zarumieniła się, przypominając sobie o manierach. Dygnęła i przedstawiła je wszystkie, zaczynając od siebie: – Azalea Kathryn Wentworth, Królewska Księżniczka – a potem Bramble, Clover, Delphinium, Evening Primrose, Flora, Goldenrod, Hollyhock, Ivy, Jessamine, Kale i maleńka Lily, teraz śpiąca w ramionach Clover. Każda z sióstr dygnęła na dźwięk swojego imienia, a Eve wtrąciła: – Ale ja jestem po prostu Eve, bez tego Primrose – co mówiła zawsze, gdy ją przedstawiano. Dżentelmen za każdym razem kłaniał się głęboko.

– Wentworth – powiedział.

Pawilon zamigotał w srebrnej mgle, a magia usypiała je. Jessamine ziewnęła i oparła się o nogę Clover, a Kale zwinęła się w kłębek przy stopach Azalei. Azalea wiedziała, że muszą iść, ale nie chciała. Jej oczy spotkały oczy Strażnika, przez staw z liliami, a on wciąż miał na ustach ten uśmiech.

– Księżniczko Azaleo Kathryn Wentworth – powiedział. – Proszę spojrzeć do kieszeni.

Azalea dotknęła kieszeni w koszuli, czując tam płaski, sztywny kawałek papieru. Zmieszana, wyciągnęła kopertę ozdobioną srebrnymi ornamentami. Dziewczynki pochyliły się i westchnęły, gdy złamała pieczęć i rozłożyła kartkę.

Księżniczki Eathesbury
są zaproszone na
bal, który odbędzie się
jutrzejszego wieczora
–
Strażnik Pawilonu

~ ~ ~

– Czy to był sen? – spytała Flora następnego ranka, tuląc się do poduszki.

Wszystkie dziewczęta spały do późna i obudziły się z błyszczącym w oczach podekscytowaniem.

– Nie sen – powiedziała Bramble z wyszczerzonym, cierpkim uśmiechem. Przetarła podłogę obok kominka. – Sny nie zostawiają śladów z sadzy.

W powietrzu pojawiła się pełna zadowolenia iskra. Wielki dreszcz ekscytacji jakiej nie czuły od balu bożonarodzeniowego. Azalea pomacała kieszeń koszuli w poszukiwaniu zaproszenia i nic nie znalazła. Znowu magia.

Dziewczynki szczebiotały nieco sennie przy śniadaniu, mieszając w miskach z owsianką, zbyt podniecone, by ją jeść. Azalea nalegała, by chociaż spróbowały, zanim zaczną się lekcje.

– To takie... niezwykłe – powiedziała Clover, obracając łyżkę w papce; jej ładna buzia niemal promieniowała. – Ten dżentelmen...

– Mmm! – rzekła Delphinium! – Ten dżentelmen!

Uszy Azalei zrobiły się gorące na myśl o dżentelmenie; sposób w jaki sunął po parkiecie, to jak dmuchał na serwetki w dłoni i jak potem zamieniły się

w płatki śniegu, jak ogarniał ją spojrzeniem ciemnych oczu...

– On jest obcy – powiedziała stanowczo. Podsunęła łyżkę owsianki do ust Kale. – Nie zamierzam tam wracać.

Dziewczęta krzyknęły, zszokowane.

– Och, *nie*! – wrzasnęły bliźniaczki.

– Nie możesz! – rzekła Eve.

– *Musimy* tam wrócić – powiedziała Delphinium. – Potrzebuję tańca tak bardzo, że moje stopy aż bolą.

– Az – odezwała się Bramble, przysuwając bliżej krzesło, tak że siedziały teraz na wprost siebie, oddzielone dzbankiem ze śmietaną i wytartym obrusem. – Nie widzisz jakie to jest *idealne*? W końcu mamy gdzie tańczyć, gdzie nikt nas nie znajdzie!

– Oczywiście, że widzę! – odparła Azalea. Jej palce skręcały się w sztywnych pantoflach, wyrywając się do tańca. – Po prostu to takie... nadzwyczajne!

Myśl o Strażniku Pawilonu, żyjącym w murach pałacu, nieznanemu królewskiej rodzinie, męczyła jej umysł. Król wiedział o przejściu... na pewno wiedział; czy Lord Bradford o tym nie wspominał? Ale nie mógł wiedzieć o Strażniku i o magii. Dla niego przejście było tylko spiżarnią, prawdopodobnie dla starych trunków i połamanych mebli. Nie mógł wiedzieć o Strażniku, z jego ciemnymi, zawadiackimi oczami i gładkim kucyku.

Nie, król na pewno nie wiedział o panie Strażniku.

Azalea zastanawiała się, jak to się stało, że Strażnik uwolnił się spomiędzy murów, na tyle, by stworzyć magiczną spiżarnię w czarodziejskim świecie, ale nie na tyle, by samego siebie uwolnić?

– Nawet gdybyśmy chciały tańczyć – powiedziała Eve z załamaną miną – to nie możemy. Nie mamy żadnych pantofli do tańca.

To położyło cień na wspólnej ekscytacji. Nie mogły przecież tańczyć boso, nie z dżentelmenem w pobliżu, a nie mogły też tańczyć w ich starych, ciężkich butach – poskręcałyby sobie nogi. Jakby na zawołanie, o zasłonięte okna zaczął uderzać deszcz.

– Właściwie... – powiedziała Azalea, powoli nakładając owsiankę na łyżkę. – Sądzę, że może i mamy.

Zaprowadziła je wszystkie na górę, na strych we wschodnim skrzydle, a potem pomiędzy zakurzone, popsute zabawki, przeciekający dach i stare rupiecie, aż w końcu dotarła do kufra. Przed żałobą ćwiczyły taniec codziennie, tak często, że ścierały szwy na pantoflach. Mieli nawet szewca, który każdego ranka przynosił im naprawione obuwie. Był to luksus, na który matka nalegała, a król niechętnie przystawał.

Odkąd nastała żałoba, nie pozwolono im tańczyć, ale miały jeszcze pantofle, których nie używały od Świąt. Azalea wyciągnęła pakunek i odwinęła, ukazując jedenaście kolorowych par pantofelków. Dziewczynki westchnęły.

Przymierzyły je na miejscu i wszystkie rozpromieniały, gdy okazało się, że pantofle wciąż pasują. Nieco ciasne, ale pantofel nigdy nie męczyły stóp jak inne buty. Delphinium wykonała pełen gracji piruet, posyłając naokoło kłęby kurzu.

– Czuję się jak księżniczka – powiedziała.

~ ~ ~

Tego wieczora przygotowywały się z wielkim poruszeniem. Włosy były szczotkowane, upinane i zaplątywane; sukienki zapinane, wiązane i wygładzane. Z pudełka pod łóżkiem Azalea wyciągnęła suche kwiaty, a młodsze dziewczynki promieniały, gdy starsze siostry przypinały delikatne pączki do ich włosów i

wiązały pantofelki.

Z chusteczką i kolejną eksplozją srebra, dziewczęta zadrżały, gdy pokonywały magiczny wodospad. Tego wieczora w srebrnym lesie kapało gdzieniegdzie; ale zamiast deszczu, z nieba spadały perły, które odbijały po drodze światło lampy. Azalea złapała jedną w dłoń, ta, jak normalna kropla deszczu, zmoczyła jej rękawiczkę, jednak zostawiając perłowy, biały ślad.

Tuż przed mostem Azalea odstawiła lampę i odsunęła na boki gałęzie wierzby, ukazując migoczący, biały pawilon. Dziewczęta złapały się za ręce i ruszyły przed siebie. Perły spadały do wody z cichym pluskiem.

W wejściu stał Strażnik – ostra, gładka sylwetka na tle srebra. Ukłonił się, tak głęboko, że upadł na jedno kolano.

– Przyszłyście – powiedział.

– Oczywiście – odparła Azalea, zapominając o swoich wcześniejszych wątpliwościach.

– Witam – wydyszał. – Moje panie.

Wyciągnął dłoń w stronę parkietu. Z piskiem zadowolenia, dziewczynki wskoczyły na schody i wpadły na marmurową posadzkę. Azalea uśmiechnęła się i podążyła za nimi; jej pantofle były tak miękkie, że niemal czuła żyłki na marmurze. Siostry rozejrzały się wokoło, obejmując wzrokiem aksamitne sofy bez oparć i siedziska do odpoczynku, stół z deserami, zastawiony czekoladkami i bułeczkami, a także sufit kopuły nad nimi.

Azalea odwróciła się do Strażnika, który stał w wejściu z założonymi rękoma i wpatrywał się w nią czarnymi oczami. Odwróciła głowę, czując jak rumieniec pokrywa czubki jej uszu.

– Mam nadzieję, że zadowoli panie ta noc tańców.

Strażnik wycofał się na pierwszy stopień. Delphinium krzyknęła w proteście.

– Pan wychodzi?

Strażnik uśmiechnął się. Nawet jego uśmiechy były gładkie.

– Ja nie tańczę – odparł. – Jestem tylko Strażnikiem. Zostawiam tańczenie tym, którzy są w tym obdarzeni lepiej, niż ja.

Biały deszcz padał ciężkimi kroplami nad nimi, perły spływały, przypominając biała ścianę wokół pawilonu. Mleczna kurtyna zasłoniła sylwetkę Strażnika. Gdy krople ustały i most oraz krzewy różane ponownie stały się widoczne, jego już nie było.

– Łał – powiedziała Hollyhock. – Łał!

Rumieniec nie zszedł z twarzy Azalei. Odwróciła się do dziewcząt, uśmiechając się, gdy niewidzialna orkiestra zaczęła grać skoczną melodię.

– Tramblanka! – zawołała Azalea. – Pamiętacie? Matka uczyła nas tego zaledwie rok temu... przypomnicie sobie! Chodźcie!

Złączyły ręce i Azalea nauczyła ich kroków. *Krok, podskok, podskok, dotknięcie, podskok.* Pokazała im, jak obracać stopy, a dziewczęta szybko załapały. Nawet dwuletnia Kale już w następnym tańcu wykonywała prawidłowe kroki.

Kadryle, gorlitze, walc redowa i więcej korowodów. Mijały godziny, a dziewczęta śmiały się, gdy Azalea prowadziła je przez kolejne tańce.

Uwielbiała to. Uczucie rozciągania, puszczania, kręcenia się, opadania bez tchu i dotyk powietrza na twarzy. Widok szczęśliwych sióstr z bladymi policzkami różowymi teraz z zadowolenia. To była magia.

Zegarek Lorda Bradforda wskazywał dobrze po pierwszej, kiedy dziewczęta w końcu usiadły pośrodku parkietu, wykończone, szczęśliwe, z sukienkami niczym czarne pączki na śnieżnobiałej podłodze. Najmłodsze już posnęły zwinięte na aksamitnej sofie, a Lily, która była podawana z rąk do rąk i piszczała w zachwycie przy każdym obrocie, teraz spała mocno na poduszce. Jej

sukienka powiewała na wietrze, ukazując falbaniaste, różowe pantalony.

– Moje pantofle już całkiem się wytarły – powiedziała Delphinium.

Wysunęła stopy i pokazała wszystkim różowe palce wystające spomiędzy szwów.

– Moje też – rzekła Hollyhock.

Siedziała z wyprostowanymi nogami, w podartych, zielonych pantoflach na stopach. Wszystkie dziewczęta poprawiły pozycje, pokazując znoszone i dziurawe obuwie. Śmiały się, poruszając dla zabawy palcami.

– To znaczy, że wykonałyśmy dobrą robotę – powiedziała Azalea. – Kiedy wytarłyśmy tak swoje pantofle. Tak... tak zwykła mówić matka.

Dziewczęta ucichły. Flora złożyła dłonie na kolanach. Azalea mrugnęła, patrząc na sufit, na sznury pereł zwisające w łukach nad nimi.

– Tęsknię za nią – szepnęła Flora.

Goldenrod potaknęła. Bramble zacisnęła usta i nie podnosiła wzroku z podłogi. Clover śledziła palcem żyłki na marmurze, ledwie dotykając kamienia.

– Kiedy... kiedy tańczę – powiedziała cicho. – Kiedy tańczę, ja...ja zapominam o wszystkich... złych rzeczach.

Eve bawiła się swoimi okularami.

– Jak to, że nie ma z nami matki.

– Jak żałoba – rzekła Delphinium.

– I król – dodała Bramble.

– Pa...pamiętam tylko dobre rzeczy. To na...najlepsze w t...tańcu.

– Więc wróćcie.

Gładki, niski głos przestraszył je.

– Pan Strażnik – powiedziała Azalea, wstając.

Dziewczęta również wstały i wygładziły swoje czarne sukienki. W wejściu stał pan Strażnik, jego twarz była wyrazista, głos spokojny.

– Nie możecie tańczyć na górze – powiedział cicho. – Widzę, że jesteście w żałobie. Ale możecie tańczyć tu, pośród magii. Proszę. Wróćcie i naprawcie swoje złamane serca. Wracajcie każdego wieczora.

Azalea poczuła nagle pragnienie, by śmiać się i płakać jednocześnie.

Rozdział 9

Następnego dnia, po zajęciach z łaciny dziewczęta przyniosły w koszu swoje pantofle, a Azalea pokazała im, jak naprawić porwane szwy. Potrzebowały do tego mocniejszych igieł i naparstków, ale Azalei nie bardzo szło reperowanie delikatnych bucików. Nawet bliźniaczkom, których dłonie należały do sprawniejszych, zajęło godziny zanim zszyły prawidłowo pantofle. Wszystkie ogarnęła frustracja, aż w końcu Hollyhock – rozpuszczona i nieprzewidywalna ośmiolatka – rzuciła swój naparstek przez stół.

Azalea rozumiała ich zniecierpliwienie, choć bardzo ją to zniechęcało do dalszej pracy. Nie mogły przecież poprosić o pomoc królewskiego szewca, nawet w tajemnicy. W zastępstwie króla, Pan Pudding zajmował się rachunkami, a nie mogły przecież wzbudzić żadnego podejrzenia. Azalea starała się jednak myśleć pozytywnie.

– Sądzę, że wytrzymają co najwyżej dwa, góra trzy tygodnie – powiedziała, wrzucając ostatnią parę pantofli do kosza. – Jeśli zabezpieczmy je twardszym materiałem i będziemy ostrożne, oczywiście. To mnóstwo tańczenia.

– Och, tylko dwa tygodnie? – powiedziała Flora.

– Więc może będziemy tańczyć boso? – podsunęła Hollyhock.

– Hollyhock... – zaczęła Azalea i spojrzała na rudowłosą, piegowatą dziewczynkę.

– Gdzieś ty się chowała? – zaszczebiotały Bramble, Clover i Azalea

jednocześnie; dłonie, geście wielkiego szoku, przyłożyły do szyi.

Wszystkie zachichotały. To było jedno z powiedzeń matki. Hollyhock spuściła głowę, uśmiechając się nieśmiało.

– Wiem – odparła. – Zapomniałam.

– Nie chciałabym... chciałabym, by pan Strażnik po...ponownie widział nasze nagie kostki – odezwała się Clover, zajęta zawiązywaniem wstążek przy pantoflach. – Jego oczy zdają się wychwytywać niemal wszystko.

Azalea musiała się z nią zgodzić. Na wspomnienie o nim, poczuła łaskotanie w piersi.

Mimo męki podczas reperowania, tego wieczora dziewczęta skakały z podekscytowania, gdy Azalea pomagała wiązać im ich pozszywane pantofle. Nawet Lily je polubiła i chwytała za wstążki, które później wpychała sobie do buzi. Siostry wślizgnęły się do przejścia, zanurzając się w srebrnej magii; ich pantofle wystawały jaskrawymi kolorami spod czarnych rąbków spódnic.

Gdy dotarły na miejsce, w pawilonie było ciemno, ale w środku znalazły Strażnika. Uśmiechnął się, gdy wspięły się po stopniach i wykonał głęboki ukłon ze słowami: „Moje panie". Dziewczęta minęły go i udały się na parkiet, ale Azalea zostały w tyle i wdzięcznie przed nim dygnęła.

– Dziękujemy – powiedziała i dołączyła do sióstr na parkiecie.

Gdy spojrzała w stronę wejścia, Strażnika już nie było.

– Do licha, jak on to robi? – rzekła Bramble.

Pośrodku parkietu leżało dwanaście filiżanek, które tworzyły okrąg. W każdej stała świeczka.

– Taniec świec! – zawołała Azalea. Podniosła jedną filiżankę. Świeczka zamigotała, ale nie zgasła. Azalea uśmiechnęła się i umieściła filiżanki na głowach dziewcząt. – Nie tańczyłyśmy tego od lat. Odkąd matka zachorowała. Nie pozwólcie, by filiżanka wam spadła. Ten taniec opiera się na wdzięku i

równowadze.

Azalea pokazała im, jak ruszać stopami tak, by nie poruszała się górna część ciała. Niewidzialna orkiestra zaczęła grać jedynie wolne piosenki i zanim noc dobiegła końca, nawet Ivy i Jessamine kroczyły, nie gubiąc przy tym świeczek.

– I dwa, stopy razem i ukłon. Bardzo dobrze. Dygnijcie przez waszym dżentelmenem.

Dziewczynki dygnęły. Filiżanki zsunęły się im z głów i porozbijały na ziemi. Azalea, śmiejąc się, podniosła je, a świece w środku zapaliły się z powrotem.

– Dygnięcia poćwiczymy innym razem.

– Azaleo – rzekła Flora, gdy odstawiły filiżanki na stolik do deserów. – Mogłabyś nam pokazać Ukłon Duszy?

Rozmowy ucichły. Azalea zawahała się.

– No dalej – powiedziała, szczerząc się Bramble. – Są już wystarczająco duże.

Azalea uśmiechnęła się, wzięła wdech i dotknęła swojej prawej stopy. Wykonała nią okrąg za sobą i powoli opadła na lewe kolano. Ostrożnie utrzymując równowagę, złożyła się, ginąc pod kłębami spódnicy. Jej nogi zwinęły się jak precel. Skłoniła głowę, prawie całując podłogę i wyciągnęła przed siebie prawą dłoń, a lewą schowała za plecami. Dziewczęta zaklaskały.

– Jak pięknie – powiedziała Flora.

– *To* jest dopiero dyg – rzekła Bramble, pomagając Azalei wstać.

– Ale on nie jest dla wszystkich – odparła Azalea. – To ukłon dla męża albo kogoś z rodziny królewskiej, na przykład króla.

Flora zachichotała.

– Dla ciebie to będzie jedno i to samo!

Azalea uśmiechnęła się znowu, ale tym razem było to wymuszone i gdy Bramble uczyła siostry dygnięć, Azalea uciekła na skraj pawilonu. Oparła się o poręcz i żałosnym spojrzeniem wpatrywała się w zamglone jezioro.

Nienawidziła uczucia bezradności. Skręcał jej się wtedy żołądek, dusiły ją myśli o niekończącym się tańcu z dżentelmenem, który będzie ja popychał i śmiał, gdy się potknie, albo gorzej – nawet na nią nie spojrzy. Zastanawiała się, czy byłaby w stanie wykonać przed takim kimś Ukłon Duszy, z całym sercem i duszą, a myśl ta przyprawiła ją o mdłości.

Wokół niej liście na krzewach różanych zaszeleściły, potem zwinęły się i wplątały w treliażową kratkę. Ich pączki rozkwitły w wielkie, srebrne kwiaty, ukazując pośrodku perły.

– Są... piękne – powiedziała Azalea, po chwili zaskoczenia. – Panie Strażniku.

Odwróciła się i oto stał za nią, cichy jak zmierzch. Serce Azalei zabiło dwa razy szybciej.

– Jesteś smutna – powiedział cichym, łagodnym głosem.

Azalea poczuła, jak na jej policzki wpełza rumieniec.

– Nie. Nie jestem.

– Ach. Ale zgaduję, co myślisz. Myślisz, że gdybyś urodziła się po którejś z sióstr, być może twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Czy nie tak?

Ciepło z policzków zniknęło, a zastąpił je szok.

– Nie... do końca... ja... – wyjąkała Azalea.

Strażnik wyciągnął dłoń w rękawiczce.

– Powinienem powiedzieć – rzekł, podchodząc bliżej, tak blisko, że Azalea powinna czuć ciepło, ale nie czuła. – Gdybyś urodziła się po którejś z sióstr, to na na nią spadłby ten obowiązek. A sądząc po tym, co w tobie zobaczyłem, księżniczko Azaleo, zrobiłabyś wszystko, by uchronić je od nieszczęścia. Spójrz.

Azalea spojrzała na parkiet, gdzie Bramble usadziła młodsze siostry na podłodze, podczas gdy ona, Delphinium oraz Eve skakały wokół nich. Młodsze dziewczynki piszczały, kiedy rąbek sukni otarł się o ich policzki. Bramble zawołała:

– Nie ruszaj się, Ivy, głupia, chcesz stracić głowę?

Azalea zdusiła śmiech i okropne, beznadziejne uczucie zniknęło. Prawie.

– Pewnego dnia, moja pani – rzekł Strażnik, odstępując na krok – mam nadzieję mieć zaszczyt zobaczyć ponownie ten wdzięczny, nieziemski ukłon.

~ ~ ~

Następnego ranka dziewczynki spóźniły się na śniadanie i na lekcje. Kiedy dotarły na dół, na stole czekała na nie zimna już owsianka, podobnie jak ich nauczyciel, pan Rhamsden. Siedział na swoim miejscu i spał, opierając się o laskę.

Spadł dość często. Nikt jednak nigdy nie miał serca, by go budzić.

– Dlaczego śniadanie jest tak wcześnie? – jęknęła Bramble, kładąc głowę na serwecie. – Dlaczego lekcje są tak wcześnie?

Nikt jej nie odpowiedział, ale wszystkie pokiwały głowami. Czteroletnia Jessamine zwinęła się w kłębek na swoim krześle i wtuliła głowę w kolana Azalei.

Jednak tego wieczora, po długim popołudniu pełnym reperowania pantofli, dziewczęta były już obudzone i podekscytowane, gdy przechodziły przez srebrny las. Przy wejściu powitał je Strażnik, kłaniając się z nikłym uśmiechem. Azalea była zadowolona – nagle poczuła się nieśmiało i nerwowo.

Dziewczęta odkryły dwanaście misternych, wykonanych z jedwabiu i koronki wachlarzy i aż westchnęły na ich widok. Clover, która dobrze sobie radziła z wachlarzami, nauczyła resztę jak je otwierać jednym ruchem nadgarstka, jak podrzucać je i łapać w powietrzu i jak trzepotać nimi nieśmiało i

powabnie przez twarzą. Dziewczynki kibicowały jej.

– Jestem w tym dobra... bo... bo jestem nieśmiała – powiedziała, rumieniąc się.

Powróciły przez kominek do swojego pokoju z trzepotaniem wachlarzy w pamięci. Następnej nocy nauczyły się nowych kroków walca. Kolejnej nocy, jigów. A jeszcze innej moreski, którą tańczyło się ze srebrno-białymi kijkami, do których przyczepione były dzwonki i wstążki.

Żadne słowa nie mogły opisać tych ciepłych, letnich nocy, podczas których tańczyły w pawilonie. Euforyczne, wspaniałe, zjawiskowe – wszystko pasowało. Tak właśnie czuła się Azalea, kiedy obserwowała swoje siostry, które z promiennymi uśmiechami uczyły się nowych kroków albo utrzymania równowagi na samych palcach, albo kiedy Azalea przykrywała je kołdrą aż po same, czerwone z podekscytowania policzki.

– Czasami się budzę – powiedziała Flora pewnego ranka – i zastanawiam się czy to nie był sen.

– Bo to wydaje się snem – zgodziła się zaspana Goldenrod.

Ranki przychodziły zbyt wcześnie i po tym, jak dziewczęta niechętnie ubierały się, schodziły na śniadanie. Swoje pantofle reperowały nad owsianką albo popołudniami, na chłodnym strychu. Każdego dnia ich pantofle stawały się bardziej zniszczone i Azalea musiała dodawać materiału na obrusy, bo satyna była zbyt nietrwała. Wiedziała, że nie wytrzymają długo, ale gotowa była zetrzeć skórę na dłoniach, byle służyły im jeszcze trochę. Musiała zanurzyć się w srebrnym lesie, w tańcu, choćby na jeszcze jedną noc.

I chociaż nie śmiała przyznać się do tego nikomu, chciała znowu zobaczyć pana Strażnika.

Prawie wcale nie rozmawiał z nią, ani z resztą, poza przywitaniem, ukłonem i życzeniem dobrej nocy na odchodnym, ale jego esencja pozostawała.

Kiedy Azalea robiła piruet, a jej spódnice kręciły się wokół niej, mogła przysiąc, że widziała błysk jego czarnych jak noc oczu, spoglądających spośród krzewów albo z wejścia, ale gdy znów się obracała, widziała jedynie róże. Jego płynne ruchy oczarowywały ją i była ciekawa, jakim jest tancerzem. Desperacko pragnęła go zobaczyć w tańcu.

– Biedny pan Pudding – powiedziała Eve pewnej sierpniowej nocy w pawilonie.

Tańczyły, aż ich pantofle nie rozdarły się na kawałki i teraz siedziały, wykończone na parkiecie. Kiedy tej nocy przybyły do pawilonu, na ziemi leżały wstążki i przez kolejne kilka godzin tańczyły wokół nich.

– Prawie się nie rozpłakał tego ranka – ciągnęła dalej Eve – kiedy spóźniłyśmy się na śniadanie i nic nie zjadłyśmy, bo było zimne.

– Kit z panem Puddingiem! – rzuciła Delphinium, która często grymasiła, gdy była zmęczona.

Azalea jednak pomogła siostrom wstać, szturchając młodsze, które już spały i podniosła śpiącą Lily na ręce.

– Zostajemy tu zbyt długo – powiedziała. – Musimy być bardziej ostrożne.

Wślizgnęła dłoń do kieszeni w poszukiwaniu zegarka Lorda Bradforda. Azalea każdej nocy trzymała w kieszeni zegarek, sprawdzając go co jakiś czas i zawsze zabierając dziewczęta, gdy siedziały tam zbyt późno. Łatwo jednak było zapomnieć o czasie, kiedy pawilon wirował wokół nich. Azalea zanurzyła dłoń nieco głębiej i nie znalazła nic poza naparstkiem.

– Bramble, widziałaś mój zegarek?

– Ja? Nie.

Bramble ziewnęła.

– Czy którakolwiek widziała mój zegarek?

Dziewczęta odparły jedynie ospałymi mrugnięciami. Z niespokojnym

uczuciem w gardle, Azalea zaczęła krążyć po parkiecie, zastanawiając się, czy przypadkiem zegarek nie wypadł jej z kieszeni podczas mazurka. Nie mogła przecież go zgubić – zegarek nie należał do niej!

Azalea odwróciła się ponownie i tym razem w wejściu stała ciemna postać pana Strażnika – sylwetka buntowniczego spokoju. Jego dłonie trzymały na wysokości nosa jakiś przedmiot. Z zamkniętymi oczami, wziął głęboki wdech, jakby węsząc. Pomiędzy jego długimi, czarnymi palcami, Azalea zobaczyła błysk złota.

– Panie Strażniku! – zawołała z ulgą w głosie. Ruszyła w kierunku wejścia. – Znalazł go pan!

Oczy Strażnika otworzyły się, gwałtownie i ostro. Na widok Azalei ostrość w jego wzroku zniknęła, a pojawił się przebłysk uśmiechu. Opuścił ręce. W dłoni leżał złoty zegarek z łańcuszkiem.

– Tak – odparł gładko. – Leżał na rogu. Wybacz mi.

Azalea wykonała gest, jakby chciała go zabrać, ale jego palce zacisnęły się na zegarku i szybko cofnęły.

– Panie Strażniku.

– Taki piękny zegarek – powiedział cicho. – Należy do twojego dżentelmena?

Dech Azalei powędrował z gardła do piersi, a serce zadudniło jej pod gorsetem. Obok nich, przy treliażu, liście zaszeleściły na niewyczuwalnym wietrze.

– Nie... jest mój – wyjąkała Azalea. – Proszę, panie Strażniku, jeśli można...

Pan Strażnik sięgnął dłonią i przysunął jej rękę. Azalea wciągnęła powietrze; dotyk jego palców zdawał się wędrować prosto do jej wnętrza. Był taki namacalny. Jednocześnie ekscytował i przerażał. Obracając wnętrze jej dłoni do góry, ułożył tam zegarek i zacisnął drżące palce wokół przedmiotu. Jego dłoń

spoczywała jeszcze na jej przez dłuższą chwilę.

Potem, jednym, jedwabistym ruchem, puścił jej dłoń i ukłonił się na pożegnanie, tak szybko, że Azalea nawet nie pamiętała, jak przechodziła przez most. Ściskała zegarek w dłoni tak mocno, że złote zdobienia odciskały się na jej skórze, nawet przez rękawiczkę.

~ ~ ~

Kilka godzin później, kiedy jej serce zwolniło do normalnej częstotliwości i Azalea nie rumieniła już się za każdym razem na wspomnienie dłoni Strażnika na jej skórze, podkręciła lampę na okrągłym stoliku w ich pokoju, wyciągnęła gazetę spod łóżka i usiadła na pufie, przyglądając się zarówno zegarkowi, jak i gazecie.

W minionym miesiącu w Delchastire odbyły się dwie bitwy, co zmartwiło wszystkich. Pomiędzy lekcjami i posiłkami, a teraz też reperowaniem pantofli i spaniem, Azalea czytała dziewczętom „Heralda". Z ich twarzy nie schodziła wówczas troska. Potem Azalea kazała im rozcinać stare obrusy i zwijać w rolki bandaży.

Jednak ostatniego tygodnia dziewczynki zapiszczały ze szczęścia nad gazetą. Imię Azalei zostało wymienione w rubryce plotkarskiej Lady Aubrey. Lady Aubrey pisywała nowinki ze „Świata Elity", co w Eathesbury zwykle obejmowało dyskusję o tym, dlaczego to Lady Caversham oraz Premier Fairweller byliby tak idealną parą. Matka nigdy nie aprobowała rubryki Lady Aubrey, Azalea również nie – przynajmniej w teorii. Nie mogła się jednak powstrzymać tego tygodnia, kiedy to ona sama stała się tematem plotek.

– Wygląda na to, że Lady Aubrey dała spokój Fairwellerowi – powiedziała Bramble z uśmieszkiem, trzymając gazetę poza zasięgiem rąk Azalei. – Patrz tylko, kogo wytypowała na twojego idealnego partnera.

Azalea zdołała wyrwać gazetę z rąk Bramble, a dziewczynki zebrały się wokół i wychyliły przez jej ramię. Lady Aubrey pisała o dżentelmenie z Delchastire, który wprost opływa w ziemie i koleje, a którego niezwykle fatalne nazwisko brzmiało: Haftenravenscher. Pisała o tym, jak wspaniałe pod względem ekonomicznym byłoby to małżeństwo, a nawet przeprowadziła z nim wywiad:

Lord Haftenravensher mówi: – Myślę, że byłoby wyczesanie poznać księżniczkę! Serio, słyszeliście, że ich pałac jest magiczny? Musi być wyczesanie tam mieszkać. Nasze mamy były dobrymi kumpelkami, lata temu! Były jak siostry! Serio – to klawe wieści. Serio.

Reszta artykułu brzmiała mniej więcej podobnie, z mnóstwem: „serio" w zdaniach.

Delphinium zachichotała.

– Tylko wyobraź sobie mieć takie nazwisko! Azalea Haften...raven...co?

Bramble przewróciła oczami i zabrała gazetę z rąk Azalei.

– Nie bądź głupia – powiedziała, zwijając ją i klepiąc po głowie Delphinium. – Ktoś tak bogaty jak on nie zaprzątałby sobie nami głowy. Przeczytaj artykuł. Jesteśmy dla niego jak sport.

Azalea przeczesała palcami długie, kasztanowe loki, czując jak zbiera jej się na mdłości. Oczywiście, Bramble miała rację. Właściwie, nawet gdyby było między nimi jakieś zobowiązanie, Lord Haftenravenscher odrzuciłby ją z powodu braku pieniędzy. Wszystko to było jak pechowy taniec wypadków.

Ale rubryka Lady Aubrey nie była jedynym powodem, dla której Azalea zachowała tamto wydanie gazety. Na stronie trzeciej, gdzie wypisana była lista członków każdego regimentu i jego stan, Azalea odnalazła nazwisko Lorda

Bradforda – z *kapitanem* przed nazwiskiem – i chociaż nie było tam żadnej dokładniejszej informacji, wpatrywała się w litery, miętosząc w dłoniach gazetę, aż jej palce odbarwiły się na czarno. Potem przyjrzała się zegarkowi i przesunęła palce po złotych ornamentach.

Twój dżentelmen. Dlaczego Strażnik wywnioskował coś takiego? Gdyby ktokolwiek zobaczył zegarek, pomyślałaby od razu, że należy do króla. Skąd Strażnik wiedział, że należy do dżentelmena, nie *jej* dżentelmena oczywiście, ale dżentelmena? To było... niepokojące. I ten błysk w jego oczach, tuż przed spojrzeniem na nią...

Azalea ścisnęła zegarek, nagle czując do niego opiekuńczość. Trzymały już go zbyt długo. Obiecała sobie, że kiedy Lord Bradford wróci z wojny, odda mu go.

Rozdział 10

Koniec lata przyniósł ciepłe deszcze, które uderzały o zasłonięte kirem okna, a z ogrodu unosił się zapach lilii. Dziewczęta znały już wszystko od eathesburiańskiego kadryla, przez wszystkie cztery pozycje tańca i każdy wymyślony kiedykolwiek galop.

Jednego upalnego dnia, pod koniec sierpnia, kiedy dziewczęta delektowały się na strychu herbatą, siedząc wśród skrzyń z ziemniakami, do pokoju wpadła Eve, zarumieniona i bez tchu, za to wymachując przed sobą gazetą.

– Patrzcie – wydusiła z siebie. – Patrzcie!

Spojrzały.

– Wojna! – krzyknęła Azalea.

– Skończyła się! – powiedziała Bramble, z otwartymi ustami i uśmiechem jednocześnie.

– Koniec! – zawtórowały dziewczynki.

– Zwycięstwo!

– Hurra!

Młodsze dziewczynki zaczęły skakać wokół, niby w korowodzie, krzycząc piskliwymi, podnieconymi głosami:

– Hurra! Hurra!

Azalea rzuciła wzrokiem na nagłówki artykułów, z sercem bijącym tak

szybko, że omal nie wypadło jej z piersi. Wojna zakończyła się bitwą; Azalea przerzuciła stronę pierwszą, potem kolejne, w poszukiwaniu znajomych nazwisk wśród poszkodowanych.

– Ktoś, kogo znamy? – spytała Bramble. – Ktoś... ktokolwiek?

– Nie – odparła Azalea z ulgą w głosie. – Nie.

Wszystkie odetchnęły.

– Nie to, że nas to obchodzi – powiedziała Bramble.

– Oczywiście – rzekła Delphinium.

– To znaczy, mnie na pewno nie.

– Mnie też nie.

– To *koniec*!

Gazeta przeszła przez tak wiele rąk tego dnia, że na końcu była już wygnieciona i zmięta. Pani Graybe upiekła chleb cynamonowy – rarytas, na który pozwalali sobie tylko od święta, a pan Pudding krążył po pałacu, podśpiewując „hurra", świszczącym, fałszującym głosem. „Haroldowe Wieści" ukazywały się teraz codziennie z nowinkami z frontu, drukując każdego dnia inne dodatki, a z wiadomości z pierwszej strony dziewczynki odkryły, że premier Fairweller został ranny. Clover, która miała miękkie serce, rozpłakała się.

– Och, na pewno nic mu nie jest – pocieszała ją Bramble. – Potrzeba więcej, by go zabić. Jak czosnek i kołek w serce.

Clover wciąż płakała. Cała Clover.

Na wieści o zakończeniu wojny, całe Eathesbury wydało się ponownie narodzić do życia. Dżentelmeni przybywali i odchodzili w królewskich interesach, rozmawiając z panem Puddingiem o regimentach i statkach wracających do portu. Premier Fairweller był pierwszym, który powrócił, pojawiając się w pałacu pewnego słonecznego, wtorkowego poranka.

Nie przywitał się z nimi, co było jego zwyczajem, ale udał się

bezpośrednio do biblioteki, gdzie wertował jakieś dokumenty. Ku przerażeniu i fascynacji wszystkich domowników, miał świeżą ranę, która rozciągała się pod kołnierzem i przez szyję prowadziła pod ucho. Rana była zabandażowana, ale rdzawo czerwony ślad przebijał przez materiał. Fairweller krzywił się za każdym razem, kiedy obracał głowę.

Clover, zaróżowiona ze wzburzenia, wpadła do biblioteki z parującym czajniczkiem herbaty imbirowej oraz filiżanką, które położyła na biurku króla.

– Pan – powiedziała. – Pan... pan... pan... pan to wypije! *Natychmiast*!

Clover tak rzadko się gniewała, że widok ten był jednocześnie zabawny i przerażający. Fairweller przestał wertować dokumenty i mrugnął, co jeszcze bardziej rozzłościło Clover.

– Trzy filiżanki – powiedziała, nalewając herbatę i wpychając mu ją do dłoni. – Co najmniej trzy filiżanki! Czy widział się pan z doktorem? No? Niech pan pije!

Fairweller wypił.

Jak przypuszczała Azalea, nie był przyzwyczajony, by mu rozkazywano. Mieszkał sam w ascetycznej rezydencji. Clover skrzyżowała ręce, obserwując go z zaciśniętymi ustami, gdy posłusznie pił herbatę. Wyglądał prawie jak przestraszony uczniak. Dziewczęta przyglądały się temu z wejścia do biblioteki.

– Czy król szybko wróci, premierze? – spytała Flora, która pierwsza odważyła się odezwać.

Podniosła palec, jakby była na lekcji.

– Powinien przybyć w ciągu trzech tygodni – odparł Fairweller, powąchał herbatę i skrzywił się. – Został, by dokonać przeglądu regimentów. Wiedziałybyście o tym, gdybyście do niego napisały.

Dziewczęta aż zagotowały się w oburzeniu.

– Nie napisałyśmy do *niego*? – spytała Bramble; jej uszy były czerwone. –

To *on* nie napisał do *nas*!

– Tak. – Fairweller upił łyk mocno aromatycznej herbaty. – Wasza rodzina jest bardzo interesująca.

~ ~ ~

Fairweller nie był jedynym dżentelmenem, który przyjechał. Kilka dni później, pomiędzy podekscytowanymi gośćmi przybywającymi w królewskich interesach, Azalea podążyła za mruczącymi odgłosami i w galerii portretowej natrafiła na wysokiego, szczupłego dżentelmena. Stał w rękoma w kieszeni i balansował na piętach.

Galeria portretowa była długim korytarzem z oknami na jednej i obrazami olejnymi na drugiej ścianie. Korytarz zarezerwowany był jedynie dla gości i odwiedzających. Stały tam sofy tak delikatne, że gdyby ktoś kichnął kilka metrów dalej, zostałaby plama. Dziewczynkom nie pozwalano ich dotykać. Aksamitne sznury ogradzały szklane gabloty z rządowymi dokumentami, leżącymi na wysokich piedestałach pośrodku pomieszczenia. Stojący obok dżentelmen zauważył Azaleę i rozpromieniał.

– Och, dzień doberek! – powiedział silnym akcentem z Delchastire. – Serio! Dzień doberek!

– Dzie... to znaczy, witam – odparła Azalea.

Przypominał jej długą, rozciągniętą ciągutkę, ubraną w kraciastą kamizelkę. Wpatrywała się w jego ordynarnie zieloną muszkę.

– Serio! Jesteś księżniczką? – Uśmiechał się szeroko, gdy Clover, Delphinium i reszta dziewcząt ukazały się za Azaleą. – Słyszałem opowieści! Wystrzałowo, że was poznałem, po prostu wystrzałowo![1]

Podszedł do Azalei, chwycił jej dłoń i potrząsnął energicznie, jakby była

1 Nie no, po prostu nie wytrzymałam. Co to za postrzeleniec?! xD |K.

dżentelmenem.

Młodsze siostry zachichotały i zaczęły szeptać do siebie. Azalea zmusiła się do uśmiechu i zabrała dłoń, czując się nieco zdefemizowana.

Bramble przybyła do galerii z zaróżowionymi policzkami i wąskimi ustami wygiętymi w uśmiechu. Kilka wsuwek wypadło z jej intensywnie czerwonych włosów, nadając jej nieco potargany wygląd. Teraz starała się naprawić upięcie.

Wzrok dżentelmena powędrował w jej stronę i jego uśmiech zniknął.

– Serio – powiedział.

Uśmiech Bramble również zniknął, gdy spostrzegła tykowatego gościa.

– Kim pan, u diabła, jest?

– Eee, Lord Teddie – odparł, miętosząc w dłoniach kapelusz. – Eee, nasze mamy były kumpelami. Malowały kiedyś razem obrazy. Wieki temu. Były jak siostry. Więc, cóż, no wiecie, jesteśmy jakby kuzynostwem. Eee. Tylko że, właściwie, nie jesteśmy.

Oczy Bramble zwęziły się.

– Och, więc to *pan* jest Lordem Haftenravenscher.

Lord Teddie rozpromieniał.

– O, dobra robota – powiedział. – Wymówiłaś to prawidłowo. Ale wszyscy mówią na mnie lord Teddie. Haftenravenscher jest takie długie, wiem co mówię. Więc możecie się do mnie zwracać lord Teddie. Łatwo spływa z języka. Teddie Teddie! Haha.

– Nie możemy przyjmować gości w czasie żałoby – rzekła Bramble. – Zwłaszcza takich, którzy myślą, że są na wakacjach.

– Och, ja nie przybyłem w gościach! Tylko królewskie interesy, to ja. Serio, to wasza matka?

Machnął kapeluszem w stronę małego portretu ich matki wiszącego na

ścianie. Rodzina Wentworthów posiadała tylko jeden portret królowej, namalowany kiedy Azalea była jeszcze mała. Nie mieli pieniędzy, by wezwać profesjonalnego malarza, więc pozostało jedynie coś, co *mniej więcej* wyglądało jak matka, jeśli zmrużyło się oczy i przekrzywiło głowę. Azaleę zaskoczył fakt, że król nie kazał go schować. Cała reszta sukienek, biżuterii i szczotek do włosów zostały wrzucone do kufrów, a następnie zamknięte w pokoju matki.

Lord Teddie spojrzał na portret ze zmrużonymi oczami.

– Tylko *mniej więcej* wygląda jak ona – rzekł. – Nie ma tego czegoś. Blasku. W oczach.

Azalea przekrzywiła głowę, zaskoczona. Dziewczęta rzuciły sobie nawzajem spojrzenia.

– Znał ją pan? – spytała Eve.

– Och, na wielkie muffiny – powiedział, podskakując. – *Wszyscy* znali waszą matkę. Znałem ją zanim odfrunęła do Eathsbury! Spotkałem ją na jednym z bali mojej matki. Nauczyła mnie trochę Splątanego. Miałem wtedy pięć lat.

– Miałeś *pięć* lat? – wykrzyknęła Hollyhock, ciągnąc go za rękę. – Nie byłeś pełnoletni i wpuścili cie na bal?

– No przecież! Najlepszy sposób, by nauczyć się tańczyć, serio!

Młodsze dziewczynki okrążyły Lorda Teddiego, podskakując w podekscytowaniu. Azalea jęknęła w duchu na samą myśl o migrenie, którą zapewne dostanie po próbie wytłumaczenia dziewczynkom, że będą mogły uczestniczyć w balach dopiero, gdy skończą piętnaście lat.

Lord Teddie przyjął ich uwagę, pociągnięcia za marynarkę i namolne pytania z rozbrajającym uśmiechem.

– Cóż – rzekł, schylając nieśmiało głowę, po czym zdjął ze ściany obraz. – Chyba muszę już iść. Zanim powóz odjedzie beze mnie. Chyba, że zechcecie, no wiecie... zaprosić mnie na obiad albo coś takiego.

– Och, niech pan zostanie na obiedzie! – zapiszczały młodsze siostry.

– Co pan wyprawia z portretem matki? – spytała Bramble.

Twarz Lorda Teddiego stała się jaskraworóżowa, gdy spojrzał na portret schowany pod pachą, potem na Bramble i znowu na portret..

– Eee. Nic.

– Zabiera go pan!

Oczy Bramble zabłysły na żółto. Azalea znała to spojrzenie. Odciągnęła Bramble na bok, zanim jej usta zaczęłyby kąsać jak żmija.

– Nie... nie... nie. – Lord Teddie cofnął się, podnosząc portret przed siebie niczym tarczę. – To znaczy... no, tak, zabieram, ale... słuchajcie, mam pozwolenie!

Wciąż trzymając portret w górze, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złożoną notkę. Bramble wyrwała mu ją z dłoni i przeczytała. Jej cienkie, czerwone brwi uniosły się aż po samo czoło.

– Nie. Nie zrobiłby tego...

Azalea zabrała od niej wygniecioną kartkę i przeczytała sztywne pismo króla. Formalne pozwolenie. Zaadresowane było do pana Puddinga. Krótkie, zwięzłe. Wyjaśniał w nim, że ów dżentelmen zabierze portret matki.

To wszystko.

Przez mgłę szoku i rozczarowania dotarło do Azalei, że mogła to przewidzieć. Zwłaszcza, że wszystko inne należące do matki zostało usunięte. Było tylko kwestią czasu, zanim miał dołączyć do tego jej portret. Może powinny być rade, że kupił go ktoś bogaty.

– Pan naprawdę zamierza go zabrać! – Oczy Bramble płonęły. Zacisnęła dłonie w pięści. – Wszystko, co należało do matki zostało zamknięte; nic po niej już nie mamy! Jak pan może tu tak przychodzić... i... i robić coś takiego? Nie ma pan duszy!

Lord Teddie skulił się.

– To żegnam – powiedział i uciekł.

Bramble pognała za nim w kłębie czarnej sukni i krynoliny. Dziewczęta podążyły za nią, mając nadzieję, że ich dogonią. Długie nogi Lorda Teddiego pozwoliły mu jednak przekroczyć drzwi wejściowe, zanim siostry dotarły jeszcze na antresolę. Wpadł do czekającej na niego dorożki, po drodze gubiąc kapelusz i w odpryskach żwiru, ruszył spod pałacu.

Jego głowa wysunęła się jeszcze zza okna, by zobaczyć, jak Bramble rzuca na ziemię jego jedwabny kapelusz i wgniata go w żwir obcasami butów.

~ ~ ~

Tej nocy w pawilonie dziewczęta nie tańczyły. Zamiast tego siedziały pośrodku parkietu w okręgu i rozmawiały przyciszonymi głosami. Jakimś cudem, kiedy szeptały, tak bardzo nie bolało. Nad nimi niewidzialna orkiestra grała delikatnego, kojącego gawota.

– *Wiem*, że nie wyglądała jak ona – powiedziała Bramble pustym głosem. Jej jad przerodził się w zmęczenie. – Nie mogę uwierzyć, że go zabrał. Nie mogę uwierzyć, że król pozwolił *komukolwiek* go zabrać.

– Ja mogę – rzekła Delphinium, wpychając podartą wstążkę do połatanego pantofla. – Szczerze, to już nic, co król robi, nie może mnie zaskoczyć.

– Co się stanie? – spytała Eve. – Z królem?

Nastąpiła pauza, tak cicha, że omal nie słychać było mgły na zewnątrz.

– Nic – odparła Azalea. – Wróci do biblioteki. Nic się nie zmieni.

– Jak wtedy, gdy matka żyła?

Flora i Goldenrod spojrzały na Azaleę błyszczącymi oczami.

– Nie – powiedziała Azalea, czując gorące uczucie, które ściskało jej gardło. – Słuchajcie, obiecałyśmy, że nie będziemy rozmawiać o królu.

– Nie możemy... za...zachowywać się, jakby... nie żył– rzekła Clover.

– Dlaczego nie? – spytała Bramble. – To znaczy, wszystko wyglądałoby inaczej, prawda? Gdyby zamiast matki to on... – Natychmiast urwała; jej twarz płonęła. – Nie miałam tego na myśli. Naprawdę.

– Ale to prawda – zaoponowała Delphinium. – Nie pamiętacie, jak bardzo bolało, kiedy nie przychodził na obiady? Jak bolało, kiedy powiedział, że...

– Dość! – powiedziała Azalea, wstając. – Dość, dość, *dość*! Nie rozmawiamy o tym!

Azalea zaczęła przechadzać się po parkiecie z dłońmi zaciśniętymi w pięści tak mocno, że się trzęsły. Jej paznokcie wbijały się w skórę mimo rękawiczek, a ona zaciskała je jeszcze mocniej, pragnąc poczuć silniejszy ból. Kiedy dłonie bolały, w środku nie czuła się tak źle.

Dziewczęta nie otwierały ust, ale za to wpatrywały się w Azaleę z szeroko otwartymi oczami. Zwykle Azalea trzymała swój temperament w ryzach, ale teraz jej oczy płonęły, a spódnice powiewały wokół niej.

– Wiesz, że on się o nas dowie – odezwała się Delphinium. – O pawilonie. Że tańczymy.

– Nie, *nie* dowie się – warknęła Azalea. – Nie. On nie jest tego częścią. To jedyna rzecz, jaką teraz mamy i *on nam tego nie odbierze!*

Słowa paliły, zabijając wszelki nastrój.

– Hollyhock wszystko wypapla – rzekła cicho Delphinium. – Wiesz, że tak będzie.

– Nieprawda!

– Mogłybyśmy obiecać, że dotrzymamy sekretu – podsunęła nieśmiało Flora, tuląc się do Goldenrod, gdy Azalea przechadzała się obok. – Goldy i ja ściskamy sobie dłonie, kiedy mamy sekret.

– To musi być coś *silniejszego* – odparła Azalea. – To musi być coś, czego

nie złamiemy, coś czego *nigdy* nie oddamy!

Odwróciła się nagle i zatrzymała przed Jessamine, której oczy były wielkie i przestraszone oraz Ivy, która przyciskała swoje pulchne rączki do Clover. Pawilon był przytłumiony, cichy, ale Azalea zdała sobie sprawę, jak dziwnie zabrzmiały jej słowa. Przełknęła, starając się uspokoić.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja...

Zauważając swoją mokrą od łez twarz wyciągnęła chusteczkę z kieszeni. Błysnęła i zamigotała w świetle pawilonu. Po raz kolejny poczuła dziwne, mrowiące uczucie i Azalea wpadła na pomysł. Złożyła chusteczkę na pół i zastanowiła się.

Czy to zadziała?

– Kiedyś złożyłam obietnicę – rzekła Azalea. – Do tej pory jej nie złamałam.

Opowiedziała im, z niejaką trudnością, co się stało tej świątecznej nocy w pokoju matki. Nie o tym, jak zimne były jej dłonie, albo jak białe były jej usta... ale powiedziała im o obietnicy.

– Coś w tym jest. Zawsze sobie o tym przypominam, za każdym razem, kiedy sięgam po tę chusteczkę.

Usta dziewcząt były teraz lekko otwarte. Bramble uniosła podbródek.

– W porządku – powiedziała. – Skoro matka to zrobiła, to... my tez możemy.

Chusteczka była na tyle duża, że każda z sióstr mogła złapać za kawałek. Azalea wypowiedziała obietnicę. Kazała im obiecać, że nikomu nie powiedzą, ani nie pokażą i nikomu nie pozwolą poznać prawdy o przejściu, o pawilonie oraz Strażniku. Zwłaszcza królowi.

W chwili, w której dziewczęta powtórzyły ostatnie słowo, Azalea poczuła dziwne mrowienie rozchodzące się po całym ciele, które pozostawiło po sobie

gęsią skórkę.

Dziewczynki jednocześnie puściły chusteczkę. Eve wytarła dłonie, jakby coś na nich miała, a Clover po prostu wpatrywała się w palce, potem z chusteczkę, a potem znowu w palce.

– Co – odezwała się Bramble – to było?

Azalea zadrżała, gdy mrowienie zniknęło.

– Nie wiem.

– Myślę – rzekła Clover – że... tej obietnicy lepiej dotrzymać.

Rozdział 11

Kilka nocy później Azalea miała dziwny sen. Nie ten z matką. Tym razem był to raczej zlepek scen. Działo się tak, gdy wiedziała, że śni, ale nie miała siły się obudzić. W jednej z nich wraz z siostrami tańczyła w śniegu, skacząc, wirując, podczas gdy Bramble opowiadała o marynowanych morelach.

Potem przenosiła się z ogrodów do ich pokoju; słyszała skrzypnięcie drzwi i ciężkie kroki. To Bramble miała na nogach grube buty. Razem śmiały się, gdy ta zbliżyła się do łóżka Jessamine i Clover, a potem podeszła do kolejnego łóżka.

– Obudzić je, sir?

Głos pana Puddinga dochodził z progu i Azalea nagle zrozumiała, że on również znajduje się w jej śnie.

– Oczywiście, że nie. Niech śpią.

Nagle okazało się, że to nie Bramble, ale król miał na sobie buty. A jej siostry nie tańczyły, ale spały w swoich łóżkach. Azalea przebudziła się.

W jej śnie król podchodził do każdego z łóżek, odchylał zasłony i spoglądał na siostry Azalei. Dotarł do jej łóżka, a ona poczuła blask lampy, którą nad nią trzymał. Król wydał z siebie gardłowy odgłos.

– Sir? – spytał pan Pudding.

– To nic. Po prostu... bardzo urosły.

– Tak, one tak robią.

Więcej kroków; tym razem zatrzymały się nad kołyską Lily, niedaleko drzwi.

– Lily – rzekł król.

Wszystko ucichło na tak długi czas, że po pokoju zaczęły krążyć wróżki. Zniknęły, gdy ponownie rozległy się kroki, a potem drzwi zamknęły się ze skrzypnięciem. Przez chwilę Azalea zanurzyła się w snach o tańcu i pawilonie. Jej świadomość jednak dała o sobie znać.

Król, król, był tu, był tu... jego głos... brzmiał tak *prawdziwie*. Nieco ospale Azalea zdała sobie sprawę, że to była *prawda*. To nie sen... zaraz, to *nie* był *sen*!

– Ha! – krzyknęła, wyskakując z łóżka.

Był ranek. Dziewczęta stłoczyły się wokół okna nad dziedzińcem, klęcząc nad wyłożonym poduszkami parapetem i wyglądając przez zasłony. Azalea potarła swoje obolałe ramiona i dołączyła do nich. Spoglądały przez szparę w oknie, a gardło Azalei zacisnęło się na widok króla.

Dziewczynki nic nie mówiły, a cisza stawała się coraz cięższa. Patrzyły w dół przez okno. Król zawrócił Dickensa i Azalea zobaczyła, że lewą dłoń ma zabandażowaną.

– Jest ranny! – wyszeptała. – Tego nie było w gazetach!

– Tak. – Bramble była blada. – Pewnie nie chciał, żeby robili z tego aferę. Nie może trzymać nią lejców. Na pewno go boli.

– On mje psierazia – wyszeptała Jessamine.

Mimo czterech lat, bardzo rzadko mówiła. Rzadko można było usłyszeć jej dźwięczny głosik.

– Mnie też – rzekła Azalea.

Zasłoniła kotary.

~ ~ ~

Wyszorowane, umyte, z wyszczotkowanymi włosami, zeszły na śniadanie. Wszystkie, z wyjątkiem Flory i Goldenrod. Goldenrod zwykle miała trudności ze wstawaniem po zarwanej nocy, a Flora zawsze zostawała z nią, by zmusić ją do zejścia na śniadanie. Azalea obiecała zostawić im trochę owsianki.

Kiedy przeszły przez składane drzwi, dziewczęta wydały okrzyk zachwytu. Na stole leżał brunatno-brązowy chleb cynamonowy i miski z kremem. Były także trzy miseczki dżemu i cukier.

Stłumiły jednak okrzyk, kiedy zobaczyły króla stojącego u szczytu stołu, który wyglądał przez okna, jakby wcale nie były zakryte kirem. Azalea poczuła, jak dziewczęta instynktownie zbliżają się do niej. Nawet znajdująca się na jej rękach mała Lily przytuliła się mocniej do jej kołnierza.

– Spóźniłyście się – powiedział i odwrócił się do nich.

Azalea poczuła szarpnięcie.

Minęły miesiące, odkąd ostatni raz go widziała. Jego jasne włosy i krótko przystrzyżona broda nosiły ślady siwizny, a linie na twarzy zdawały się głębsze. Mimo to stał wysoki, krzepki, tak podobny do króli, o których tyle czytała w książkach do historii. Żadna z dziewcząt się nie poruszyła.

– No dalej, siadajcie – rzekł król. – Jest ósma trzydzieści! To niezgodne z zasadami. Chleb już prawie wystygł.

Jednak dziewczęta nie poruszyły się. Usta Bramble były zaciśnięte i przypominały ostrą linię. Azalea trzymała rączkę Lily tak, że mała zapiszczała. Dłonie samej Azalei drżały; częściowo ze zdenerwowania, ale głównie z powodu wrzącego, palącego uczucia, które się w niej tliło.

– Przepraszamy za spóźnienie. – Głos Azalei był gładki i chłodny. Nabrała odwagi. – Twój statek przybił zeszłej nocy?

– Dopiero co – odparł król. Usiadł u szczytu stołu i wskazał gestem, by zajęły miejsca. – Pomyślałem, że owsianka nie będzie dzisiaj pasowała. Chodźcie.

Sięgnął po cynamonowy bochenek ze stołu i zaczął przełamywać nad talerzem. Robił to z trudnością z powodu swojej zabandażowanej dłoni.

– Wygląda ja...jakby bolało – szepnęła Clover, chyląc się ku Azalei.

Bramble pochyliła się z drugiej strony.

– Myślisz, że co się stało?

– Nie wiem – odszepnęła Azalea.

– M...może powinnyśmy... powinnyśmy zapytać...

– Nie – szepnęła z tyłu Delphinium. – jeśli sam nam nie powie, to nie chcemy nic wiedzieć.

– Ale...

Król ściągnął brwi, spoglądając na zebrane wokół szklanych drzwi dziewczęta, a dźwięk: *pss psss pss* dochodzący z ich szeptanej konwersacji jeszcze bardziej pogłębiał jego grymas. W końcu odłożył bochenek.

– Jeśli chcecie rozmawiać, możecie rozmawiać na głos. W tym domu panują pewne zasady...

– Co się stało z twoją dłonią, sir? – spytała Azalea.

Szepty ucichły. Dwa niezabandażowane palce króla stuknęły w bochenek. Zawahał się, a potem przemówił.

– Rozciął ją bagnet.

Dziewczęta wstrzymały oddechy. Azalea ścisnęła Lily.

– Och – powiedziała, zaczerwieniona.

Dziewczęta zebrały się bliżej siebie, *pss pss psss*, podczas gdy Hollyhock szeptała gorączkowo:

– Co to jest bagnet? Niech ktoś mi powie, co to jest bagnet!

– Czy sir John to widział? – spytała Azalea.

– To nic takiego – odparł król. – Natychmiast chodźcie tu i siadajcie do stołu. Nie będziecie tam tak stały.

Dziewczęta spojrzały na Azaleę, która krótko skinęła głową. Zwykle rzucały się na jedzenie jak wygłodniałe sieroty. Teraz jednak rozsiadły się cicho przy końcu stołu.

Król zmarszczył brwi na ich zachowanie. Żadne z miejsc obok niego nie zostało zajęte.

– Gdzie bliźniaczki? – spytał.

– Nieco w tyle – odparła Azalea, przekazując Lily na ręce Clover. – Niedługo zejdą.

Król wciągnął policzki. Azalea zauważyła, że wkłada spory wysiłek, by powstrzymać się od długiego wykładu.

– Doskonale – powiedział w końcu. – Zatem zanim zaczniemy, zaczekamy na nie. Ale jutro taka opieszałość nie będzie akceptowana. Pan Pudding poinformował mnie, że zwykłyście schodzić na śniadanie i lekcje nawet wpół do dziesiątej! Wpół do dziesiątej, panno Azaleo! Mówił mi, że chodzicie spać o normalnych godzinach, a jednak... Jakie macie na to wytłumaczenie?

Azalea zacisnęła dłonie w pięści pod stołem; jej paznokcie wbijały się w skórę.

– Trochę nam trudno być na czas, gdy nie mamy dostępu do wieży – odparła spokojnym tonem.

– W takim razie zawsze możecie zapytać o godzinę mnie. Ja mam zegarek.

– Och, wyśmienicie – wymruczała Bramble. – Właśnie to będę robić, biegać do króla za każdym razem, kiedy potrzebuję znać godzinę.

Azalea zgromiła ją wzrokiem. Król wciągnął policzki, zawahał się... i zmienił temat.

– Panno Ivy. Co masz w dłoni?

Ivy, która siedziała obok Azalei, przeniosła wzrok z kolan na króla, Azalę i na króla, a potem z powrotem na przedmiot w jej pulchnych łapkach. Był to na

wpół napoczęty kawałek bochenka. Nic nie odpowiedziała, bo jej usta były napchane do pełna. W jej oczach rozbłysły łzy.

– Och, pozwól jej to zjeść – powiedziała Azalea obejmując Ivy, zanim król zdążył cokolwiek powiedzieć. – To jej ulubiona potrawa.

– W tym domu panują zasady – rzekł król, choć już nie tak surowo. – Jemy posiłki całą rodziną.

I właśnie wtedy, gdy tylko król to powiedział, temperament Azalei, tak skrzętnie tłumiony, rozgorzał niczym płonąca bestia. Nawet jej oczy zapłonęły.

– Oczywiście – powiedziała. – Ty jak zawsze wiesz wszystko o zasadach. – Poprawiła leżącą przed nią łyżeczkę, która zabrzęczała o stół. – Jeśli nie masz nic przeciwko, sir, wolałabym zjeść śniadanie w naszym pokoju.

Wszystko się wówczas zatrzymało: szuranie stóp Eve o podłogę, ciągnięcie Hollyhock za obrus, dłoń Clover wygładzająca ciemne loczki Lily – wszystko zamarło. Dziewczęta wpatrywały się w Azaleę w szeroko otwartymi oczami.

Wyraz twarzy króla pociemniał. Ze ściągniętymi brwiami spojrzał na świątecznie zastawiony stół, a potem na dziewczęta. Nie podobał mu się obrót rzeczy przy śniadaniu.

– Doskonale – rzekł. – Jak chcesz. Możesz tam zjeść także odbiad i podwieczorek, jeśli tak ci to odpowiada.

– Idealnie – odparła cierpko Azalea. Zapłonęło w niej gniewne, absolutnie euforyczne uczucie. – Chętnie spędzę cały przyszły tydzień, jedząc posiłki w naszym pokoju.

– O, dlaczego zatrzymywać się na tym? – spytał król. – Jeśli jesteście takie oddane posiłkom jedzonym z dala od stołu, to możecie je dostawać w swoim pokoju przez resztę waszych żyć?

– Idealnie – odparła Azalea.

– Idealnie – rzekł król.

Spojrzenie, jakie wymienili król i Azalea trudno było nazwać gniewnym, ale ich oczy spotkały się z taką intensywnością, że aż zatliło. Azlaea w końcu spuściła wzrok i rozprostowała palce. Wstała i zaczęła zbierać miski i bochenki.

Z głębi korytarza rozległo się echo lekkich kroków i cichych głosików.

– ...ale naprawdę wątpię, że wytrzymają jeszcze kolejny dzień – mówił głos Flory. – Tylko spójrz na tę dziurę!

Krew odpłynęła z twarzy Azalei, gdy w drzwiach stanęły Flora i Goldenrod, z promiennymi uśmiechami...

...trzymając między sobą kosz z pantoflami. Flora trzymała dodatkowo mały, zielony pantofel należący do Hollyhock.

Stanęły jak wryte, gdy zobaczyły scenę przed nimi.

– Och! – krzyknęła Goldenrod.

Wzrok króla spoczął na bliźniaczkach, potem na koszu i stosie pantofli do tańca. Uniósł brwi.

– Biegiem – szepnęła Bramble.

Dziewczynki zaczęły uciekać.

W chmarze poprzewracanych krzeseł i krynolin, dziewczynki uciekły w głąb korytarza, a Azlaea biegła, starając się za nimi nadążyć. Hollyhock pobiegła do kuchni, Delphinium w boczny korytarz, Eve w górę schodów dla służby. Clover, blada jak śmierć i ze łzami w oczach ściskała Lily, stojąc bez ruchu. Azlaea dogoniła bliźniaczki, uciekające do holu wejściowego; po drodze Bramble zabrała im kosz z pantoflami.

– Nie bójcie się, pisklaki – powiedziała Bramble, podciągając kosz pod pachę. – Schowajcie się w galerii, pod wystawą północną. Za minutę przyjdę po was. Jeśli nie wrócę... nie spowalniajcie mnie!

Ostatnią część skierowała do Azalei, która chwyciła jej ramię.

– *Oszalałaś*? – rzekła Azalea. – Teraz to już na *pewno* wie, że coś knujemy!

– Kogo to *obchodzi*? – krzyknęła Bramble, wyrywając się Azalei. – Nie mogę go znieść!

Mocna, twarda dłoń zacisnęła się na nadgarstku Azlaei.

– Do konserwatorium, młode panny – rzekł król. – Już.

Bramble wyrwała się i przycisnęła do siebie kosz obiema rękoma. Wyminęła ich i skoczyła na schody.

– Panno Bramble!

– Koniec z tyranią! – krzyknęła Bramble. – Arystokracją! Autokracją! Monokracją! I inną kracją! Mamy przewagę liczebną, sir! Poddaj się!

Król wciągnął policzki, ale nie popędził za Bramble. Zamiast tego, eskortował po wojskowemu Azaleę i bliźniaczki, których podbródki drżały, do konserwatorium – jak nazywał oranżerię. Clover, Lily i cała reszta, za wyjątkiem Bramble, stała w rzędzie, na równi z linią krzewów różanych, z poczerwieniałymi policzkami, złączonymi dłońmi i spuszczonym oczami.

Król zniknął; a kilka minut później z kuchni dobiegł je głośny trzask, po którym nastąpiło brzdękanie sztućców o podłogę a potem rozległ się huk, gdy spadła pokrywa.

Po chwili król wrócił, trzymając Bramble za ramiona i prowadząc ją do oranżerii; w drugiej dłoni trzymał kosz. Na jego policzku widniał ślad wielkości łyżeczki. Usta Bramble były tak cienkie, że Azalea ich nie widziała.

Król zamknął składane, szklane drzwi i postawił kosz na stole. Bliźniaczki czkały, gdy król przeglądał zawartość: podarte, wygniecione pantofle, połatane tak, że wykraczało to poza wyobraźnię. Podniósł jeden były pantofel, z którego właśnie odleciała wstążka.

– Cóż – powiedział po długim, długim momencie. – Cóż.

Odłożył pantofel, wciągnął policzki, złączył dłonie za plecami. Wziął

wdech, jakby chciał coś powiedzieć, a potem wypuścił. Podniósł z kosza pantofel i odłożył.

– Jestem wami *szczerze* rozczarowany – powiedział cicho. – Szczerze rozczarowany.

Żadna z dziewcząt nie śmiała nawet spojrzeć mu w oczy. Eve zerwała liść z krzewu i podarła na miniaturowe kawałki, a Ivy nie zjadła nawet okruszynki z cynamonowego chleba, który podwędziła ze stołu.

– Proszę, nie gniewaj się na nie – odezwała się Azalea. – To moja wina.

Król westchnął.

– I mam rozumieć, że nosiłaś je wszystkie naraz, każdej nocy panno Azaleo? Bzdura. – Założył ręce na piersi. – Więc dlatego codziennie się spóźniacie. Tańczycie w nocy, w czasie żałoby, kiedy jest to *surowo* zabronione. Wszystkie doskonale wiecie, że to jest zabronione!

– Nikt nas nie słyszał – powiedziała Hollyhock, skubiąc troczki od fartucha i owijając je wokół palców. – Nie można przecież usłyszeć ćwierkania.

– Nie, najwyraźniej nie można. Gdyby w waszym pokoju było wystarczająco dużo miejsca do tańczenia, a wiem, że nie ma, z pewnością spowodowałoby to istny harmider. Więc, skoro nie można was było usłyszeć z pokoju, to gdzieście tańczyły? Hmm? W tym domu nie ma żadnych sekretów, drogie panny. Jeśli macie jakąś tajemnicę, natychmiast macie mi powiedzieć.

Przez Azaleę przeszło dziwne uczucie zimna i mrowienia. Skrzywiła się, gdy poczuła igiełki wędrujące po palcach i spojrzała na siostry. Eve kręciła głową, jakby chciała strząsnąć z siebie to uczucie. Hollyhock zaczęła wycierać dłonie o spódnicę. Bramble rzuciła Azalei spojrzenie, unosząc brew. Najwyraźniej one też to poczuły.

– My... nie możemy ci powiedzieć – powiedziała do podłogi Flora.

– Złożyłyśmy przysięgę, że nie powiemy.

Goldenrod cofnęła się w stronę różanych krzewów, wyglądając, jakby bardzo chciała zniknąć.

– Na srebrną chusteczkę 'Zalei – rzekła Hollyhock.

Oblicze króla zamieniło się z zagniewanego na wstrząśnięte. Odwrócił się do Hollyhock ze zmarszczonymi brwiami i rozbieganym wzrokiem.

– Złożyłyście przysięgę? Na srebro?

Hollyhock poczerwieniała tak bardzo, że kolor pokrył jej piegi.

– Obiecłyśmy, ż nie powmy królwi – wymruczała.

Król zrobił krok w tył i przycisnął dłonie do rantu stołu znajdującego się za nim. Jeśli jego dłoń zabolała, nic nie dał po sobie poznać. Zamiast tego zmroził Azaleę lodowato błękitnymi oczami. Azalea nie mogła rozczytać tego spojrzenia.

– To, co zrobiłyście – powiedział – nazywa się Przysięganiem na Srebro. To bardzo *poważna* przysięga. Skąd o niej wiecie?

Azalea ścisnęła w dłoni chusteczkę tak mocno, że chyba odcisnęła inicjały matki na skórze.

Przysięga na Srebro.

A więc matka zmusiła ją, by Przysięgła na Srebro. Azalea nie wiedziała co to znaczy, ale nie mogło być złe, nie, jeśli matka w to wierzyła. Azalea przygryzła wargę i zamknęła oczy pod mrożącym spojrzeniem. Nigdy nie mogłaby powiedzieć królowi o matce, o tym jak zimne były jej dłonie i jak kazała jej przysiąc.

– Doskonale – rzekł król, kiedy Azalea nie podnosiła powiek. – Doskonale.

Zabrał kosz z pantoflami ze stołu.

– Karzę je wrzucić do pieca...

– Och! – krzyknęła Delphinium, a potem rozległo się głuche uderzenie.

– ...a wy spędzicie resztę dnia w waszym pokoju, rozważając konsekwencje żałoby – ciągnął dalej król, przechodząc przez leżącą na ziemi

Delphinium. – Natychmiast. I nie, nie możecie wziąć ze sobą chleba.

Rozdział 12

Tej nocy dziewczęta podłożyły krzesło pod drzwi swojego pokoju i wyślizgnęły się przez srebrne przejście, po czym zeszły po schodach, przeszły przez las i dotarły do pawilonu w sztywnych, twardych butach. Ich obcasy stukały z każdym krokiem. W wejściu przywitał je Strażnik ze swoim zwyczajowym ukłonem. Jego brwi drgnęły na widok ich obuwia, a oczy spotkały oczy Azalei. Objął wzrokiem jej zaciśniętą szczękę, sztywną postawę i cofnąwszy się, ukłonił się raz jeszcze na pożegnanie.

Taniec rozpoczął się od esperaldo i Azalea, w odrobinie lepszym humorze, nauczyła siostry trudnego rytmu tańca, pokazując jak poruszać piętami wraz z tonem i jak sprawiać, że stuknięcie obcasem równa się akcentowi w muzyce.

Po jakimś czasie, po niecierpliwych obrotach i skrętach stóp, dziewczynki przesiedziały resztę tańców. Zanim skończyła się noc, utykały. Utykały, wracając z powrotem przez srebrny las, w górę chwiejnych schodów i przez przejście do ich pokoju. Azalea nalała czajnik pełen gorącej wody do misek dla dziewcząt, gdzie ziewając, umoczyły swoje zaczerwienione, obtarte stopy.

– Zrobiłyśmy to – powiedziała Delphinium, unosząc podbródek. – Król myślał, że powstrzyma nas od tańczenia, ale nie.

– O, tak – odparła Bramble. Spojrzała po wszystkich czerwonych stopach i skrzywiła się. – Pokazałyśmy mu.

Następnego ranka, młodsze dziewczynki narzekały, gdy wkładały swoje buty, a starsze zaciskały zęby i gryzły się w języki. Azalea, która ze zwykłego uporu tańczyła więcej niż którakolwiek z nich, czuła jak jej prawa stopa pulsuje przy każdym kroku. Na szczęście przez cały dzień nie widziały króla, jako że wyjechał w królewskich interesach, by zwolnić regimenty, toteż nie musiały słuchać żadnych reprymend z powodu zadanych sobie ran.

Tej nocy, po zapiekance rybnej i herbatnikach podanych w ich pokoju, dziewczęta zeszły na dół, do pawilonu; tym razem nieco wolniej. Żadna nie miała ochoty tańczyć, ale tańczyły i tak. Ich ruchy były niezdarne i niewyważone. Przy trzecim tańcu młodsze siostry zaczęły jęczeć i w końcu usiadły na sofach, gdzie zajadały się kremowymi bułeczkami. Azalea starała się je zachęcić do zwykłego korowodu, ale one ani drgnęły.

Więc tańczyła sama. Twarde podeszwy dodawały jej szybkości w obrotach, a dziewczynki jej kibicowały. Zakończyło się źle; straciła równowagę i skręciła kostkę. Siostry natychmiast ją otoczyły, pomogły wstać, mimo iż Azalea upierała się, że nic jej nie jest. Wstała ostrożnie, a jej policzki poróżowiały, gdy w wejściu zobaczyła pana Strażnika, który z pewnością widział jej upadek. Jego ciemne oczy spijały jej postać, ale cofnął się, gdy zobaczył, że jest otoczona przez tak wiele sióstr. Azalea poczuła dziwny dreszcz strachu i radości.

– Może zechcą panie odpocząć tej nocy – powiedział swoim aksamitnym głosem, gdy dziewczęta podążyły za Azaleą, która opierając się na Bramble i utykając, ruszyła w kierunku wyjścia.

– Dziękuję, panie Strażniku – rzekła Azalea i była pewna, że jej policzki miały barwę karmazynu. Czuła klejącą krew pomiędzy palcami stóp. – Nie wiem, jak kiedykolwiek się panu odpłacimy za pozwolenie nam na tańczenie tutaj.

Na ustach Strażnika zagościł delikatny uśmiech.

– Jestem pewien, że coś wymyślimy.

~ ~ ~

Nazajutrz, gdy doszło do zakładania butów, wszystkie wszczęły awanturę. Azalea namawiała i droczyła się z nimi, aż w końcu ze skrzywionymi minami zawiązały sznurówki. Najwięcej hałasu robiła Hollyhock, a Azalea zrozumiała dlaczego, dopiero kiedy wyciągnęła z jej buta szpulkę nici, łyżeczkę, monetę i trzy zielone guziki. Jako że buty nosiły po siostrach, młodsze zwykle wypychały palce, gdy obuwie nie pasowało.

– Och, Holli. – Azalea westchnęła, wypychając bucik własnymi pończochami. – Takie rzeczy nic nie dadzą. Co z haftem z zeszłego tygodnia?

– Zgubłm w pawilnie – wymruczała Hollyhock. Jej twarz przypominała w kolorze rzodkiewkę i niemal zlewała się z włosami. – Zdjęłam buty i nikt mnie nie widział, ale zapomnłm potem włożyć je z powrotem.

Azalea ponownie westchnęła. Hollyhock zawsze wszystko gubiła.

– Nie cierpię być biedną – powiedziała Delphinium, częstując się owsianką z wielkiej miski na stole. – Gdybyśmy nie byli, moglibyśmy sobie pozwolić na buty, które naprawdę pasują i nie były noszone przez setki starszych sióstr.

– Wiecie co, á propos gubienia rzeczy, nigdzie nie mogę znaleźć mojej igły do haftów. – Flora zacisnęła usta, kończąc ubierać Lily w czarny, falbaniasty kostium. – I ja też zgubiłam mój haft.

– Kiepsko – powiedziała Bramble, zapinając bluzkę i kompletnie ignorując swoją miskę z owsianką. – W zeszłym tygodniu zgubiłam parę koronkowych rękawiczek.

Tego ranka lekcje rozpoczęły się późno; nauczyciel spał już przy stole. Zaczęto podawać sobie książki i podręczniki, kredy i tabliczki i Azalea zaczęła po

cichu lekcje. Ledwie dwie minuty później w drzwiach pojawił się król z miską czegoś w jednej i pakietem listów w drugiej dłoni. Wydawał się czymś martwić, ale gdy tylko je zobaczył, opanował się.

Jego wzrok spoczął na panu Rhamsdenie, śpiącym nad swoją laską, a potem na Azalei stojącej u szczytu stołu. Na tablicy wypisane było po łacinie: *SPONDEE, SPODNERE, SPONSUM*.

– Panie – powiedział.

– Dzień... d...dobry – wyjąkała Clover.

Reszta dziewcząt zapadła się głębiej w krzesłach, z oczami utkwionymi w ubrudzonych kredą palcach. Król zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Zamiast tego postawił miskę na stole i podał Azalei listy.

– Panno Azaleo, te są zaadresowane do ciebie.

Pokój eksplodował w szepty, szelest spódnic i szuranie krzeseł, gdy dziewczęta zgromadziły się wokół Azalei, spoglądając przez jej ramię z ochami i achami. To były *ładne* listy, wypełnione zawiłymi słowami i zapieczętowane z wstążkami.

– Zaproszenia! – wykrzyknęła Delphinium.

– Na bale i takie różne!

– Och, Lea, masz takie szczęście, że jesteś już pełnoletnia!

– Tylko pamiętaj, oni nie zapraszają cię dlatego, bo jesteś sobą, ale dlatego, że jeśli cię poślubią, dostaną...

– Wypchaj się, Delphi!

– Otwórz je!

– Dlaczego mieliby wysyłać zaproszenia? – spytała Eve, jak zawsze logicznie. – Jesteśmy w żałobie.

– To niegrzecznie nie wysyłać ich w ogóle – odparła Azalea. – Kiedy matka była chora, i tak otrzymywaliśmy zaproszenia, nawet jeśli wiedzieli, że nie

możemy przyjść. Po południu pokażę wam, jak napisać list z odmową.

Jedna po drugiej, Azalea złamywała pieczęcie. Rozpoznała nazwiska gości obecnych na balu bożonarodzeniowym i kilkoro ze znajomych matki – wszyscy zapraszali ją na mające odbyć się wkrótce bale i promenady oraz wieczorki z tańcami. Azalea zauważyła z zadowoleniem, że w kilku zaproszeniach były instrukcje, by zabrać także „pannę Bramble", a jedna zapraszała nawet Clover, mimo iż jeszcze nie była pełnoletnia. Bramble wyszczerzyła się, niemal nieśmiało, a Clover spuściła swoje ładne niebieskie oczy na obrus, promieniejąc. Azalea puściła zaproszenia w obieg, dając dziewczętom szansę na dotknięcie wytłoczeń i powąchanie papeterii.

– To takie okropne, że jesteśmy w żałobie! – powiedziała Hollyhock, pocierając palce o guzowate pieczęcie.

– To i tak nie ma znaczenia. – Delphinium podała pachnące kwiatami zaproszenie. – Azalea poślubi Fairwellera.

Czas zatrzymał się.

– Doszłyśmy do tego razem z Eve – ciągnęła dalej Deplhinium. – Nikt nie chciałby na króla cudzoziemca. Fairweller jest z Eathesbury, jest premierem i jest bogaty.

Krew odpłynęła z twarzy Azalei. Jej umysł zbuntował się, a ona wyobraziła sobie bezbarwnego Fairwellera, jego pajęcze ręce obejmujące jej talię i jego oddech przy uchu. Zrobiło jej się niedobrze.

– Och, doprawdy – odezwał się król, przestraszając tym dziewczęta. Ze zmarszczonymi brwiami potarł swoją zabandażowaną dłoń o różaną łodygę. – Żadna z was nie zostanie przedstawiona nikomu, kogo nie polubi. Taka jest zasada.

Uczucie mdłości zniknęło na tyle, by Azalea zdołała wyjąkać do tabliczki ciche „dziękuję".

Kolejne zdanie, jakie wypowiedział król, skierowane było bardziej do siebie niż do dziewcząt:

– Pytanie tylko, jak poznać dżentelmenów podczas żałoby. Hmm.

Azalea ułożyła wszystkie listy w równy stos. Ivy pokuśtykała do Azalei z ostatnim zaproszeniem. Król podniósł wzrok.

– Ivy. Co się dzieje? Masz ranną stopę?

Ivy zbladła. Rzuciła desperackie spojrzenie w kierunku Azalei.

– Ja... ja... ja nie wiem – pisnęła.

– Chodź tu. Niech spojrzę.

– W porządku – rzekła Azalea. – Usiądź, Ivy.

Zmarszczka między brwiami króla stała się jeszcze głębsza, kiedy jego wzrok padł na stopy Azalei, prawie schowane pod nogami krzesła. Azalea zdała sobie sprawę, że trzyma swoją chorą stopę w powietrzu. Postawiła ją na ziemi i skrzywiła się.

– Hmm.

Król podszedł do Ivy, podniósł ją pod ręce i posadził na stole. Ivy, która miała dopiero pięć lat zaczęła skomleć, gdy odwiązał jej buty i delikatnie zdjął.

Pończochy były następne i król zmarszczył brwi na widok jej stopy z pęcherzami na palcach i z zaczerwienionymi kostkami.

– To tylko, no wiesz, przez buty – powiedziała Delphinium.

– Zdejmować buty – rzekł król. – Wszystkie. Natychmiast.

Rozległy się krzyki protestu, ale król nie ustąpił. Podczas gdy nauczyciel chrapał, król podsadził Jessamine na stół i zdjął buty, ukazując małe, czerwone stópki. Badanie na Kale dało takie same rezultaty.

Pod groźbą posłania po sir Johna, starsze siostry pozdejmowały buty, odsznurowując i delikatnie ściągając. Stopy Delphinium pokryte były bąblami od palców do kostek, a prawa stopa Eve cała była spuchnięta. Stopa Bramble

krwawiła przez pończochę, ale ku zaskoczeniu Azalei, to jej własne stopy okazały się najgorsze. Jej palce ponownie zaczęły krwawić i na pończosze pojawiła się brązowo-czerwona plama. Lewa kostka była spuchnięta.

– Doprawdy! – zawołał król przyglądając się ich stopom. – Doprawdy! Wszystkie tańczyłyście! Tańczyłyście po tym jak wam zabroniłem! Nawet wtedy!

Twarze dziewcząt pokryły się karmazynowymi rumieńcami, ale nic nie powiedziały. Uparte, nieme nic. Król wciągnął policzki, potem odetchnął.

– Wiecie, czym jest żałoba. Wiecie, co żałoba oznacza. Nie będzie więcej tańców. Jak możecie szargać pamięć matki w tak *odpychający* sposób?

Azalea przycisnęła dłoń do tabliczki leżącej na biurku przed nią i przeciągnęła po niej paznokciem, starając się oddalić od siebie gorące, wrzące słowa od opuszczenia jej ust. To jednak Clover odezwała się za nie wszystkie, i do tego wyjątkowo odważnie.

– Nie możemy przestać... tańczyć – powiedziała głosem słodkim jak miód. – To... przypomina nam o... o matce.

Dziewczęta zgodnie pokiwały głowami. Król skrzywił się, jakby słowa Clover paliły.

– To w niczym nie pomoże – odparł szorstko. – To na nic się nie zda. Tańczenie nic nie da.

– Ale to pomaga – rzekła Clover. Cały czas nie podnosiła wzroku, rzęsy ocierały się o policzki, ale zebrała odwagę i zrobiła krok wprzód. – Matka kiedyś ta... tańczyła w nocy. W sali balowej... i... i ty też tam byłeś, i tańczyliście Splątanego i... ty ją pochwyciłeś i ona cię pocałowała. W nos. – Clover pokryła się głębokim rumieńcem. – I uważam, że to było najbardziej urocza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Powiedziała to wszystko z mniejszą ilością pauz, niż zazwyczaj, jak gdyby recytowała to setki razy. Azalea odjęła dłoń od tabliczki, myśląc o matce i o

Splątanym – zawiłym tańcu z szarfą. Jeśli matka dała się schwytać, to tylko dlatego, że pozwoliła, by król ją pochwycił.

Król odsunął się, spięty, w stronę parapetu z różami. Suche, cierniste gałęzie wpijały mu się w plecy. Jego twarz przybrała surowy wygląd.

– Pomaga pamiętać – powiedziała Clover.

– Nie będziemy rozmawiać o waszej matce – odparł król. Jego głos był spokojny, ale twardszy i zimniejszy niż zamarznięta stal. – Skończyłyście swoje lekcje. Idźcie do pokoju.

Słowa trzasnęły jak bicz. Clover skuliła się, przełknęła i utykając, z butami w ręku, wybiegła z oranżerii. Słychać było tylko jej urywane szlochanie w głębi korytarza.

– Och, Clover! – krzyknęła Flora.

Ze złączonymi dłońmi pobiegła za nią z depczącą jej po piętach Goldenrod.

– I zobacz, co zrobiłeś! – powiedziała Delphinium ze łzami złości w oczach.

Wzięła Lily na ręce i podążyła niepewnym krokiem za nimi. Kale, Eve, Jessamine, Hollyhock i Ivy wybiegły, a po nich Bramble, która na pożegnaniu posłała królowi płonące spojrzenie.

Pan Rhamsden chrapnął i wyrecytował przez sen po łacinie:

– *Tero, terere, trivi*.

– Azaleo... – zaczął król.

Azalea ułożyła tabliczki w stos, wbijając w nie palce tak mocno, że bolały. Zanim wyszła, zatrzymała się przez drzwiami.

– Być może przypomniały sobie – powiedziała cicho – jak nie mogłeś nas ścierpieć.

~ ~ ~

Wieczorem zjawił się sir John. Dziewczęta usiadły na brzegach swoich łóżek, a on klękał przed każdą z nich, zadając pytania cichym, lekarskim tonem. Podał maści, bandaże i łupki. Król stał natomiast w progu z założonymi rękoma i twarzą naznaczoną zmarszczkami.

Badanie było dla Azalei dość stresujące i gdy sir John ze zmarszczonymi brwiami bandażował jej stopę, ona przyciskała do siebie poduszkę. Wychodząc, rozmawiał o czymś z królem.

Rano zjawiły się pani Graybe wraz z jedną z pokojówek i zostawiły na stole duży kosz. Dziewczęta natychmiast go dorwały i kiedy Azalea zdjęła przykrywający go materiał, wstrzymała oddech.

W środku, w stosie kolorów i wstążek, znajdowało się dwanaście par pantofli do tańczenia.

Azalei tak ulżyło, że roześmiała się w głos. Dziewczęta piszczały z zachwytu i w końcu wywróciły kosz, wylewając ten satynowy wodospad na dywan. Każda znalazła swoje pantofle i wsunęła na stopy. Była nawet maleńka, niebieska para dla Lily.

– Ślicznie! – powiedziała Delphinium. – Prawdziwe pantofelki! To jak chodzenie w powietrzu! Nawet z bandażami na stopach!

– Och, radość, cudo i wszystko razem – rzekła Bramble. Jej żółto-zielone oczy błyszczały. – Sir John pewnie musiał przekonać króla.

W koszu leżała kartka, którą Azalea rozłożyła i przeczytała:

Oczekuję, że będziecie na czas, na wszystkie lekcje.

Nie chcę słyszeć ani słowa o waszej matce ani o tańcu.

Napisała to ręka króla. Azalea mrugnęła, wpatrując się w notkę.

– Czy... czy coś nie tak? – spytała Clover

– Nie – odparła Azalea, czując się zagubiona. – Wygrałyśmy.

Rozdział 13

Po dwóch nocach męki, tańczenie w pantoflach było wprost niebiańskie; zupełnie jak chodzenie po chmurach. Mimo że żadna z nich nie mogła tańczyć zbyt długo, śmiały się i pląsały tak wesoło, jak gdyby Wielka Obuwnicza Wpadka nigdy się nie wydarzyła. Były jeszcze bardziej rozweselone, gdy następnego ranka dowiedziały się, że będzie tak samo jak wtedy, gdy matka uczyła je tańczyć. Każdego dnia szewc będzie reperował pantofle, przynosił te zreperowane i zabierał te wymagające naprawy. Kiedy bliźniaczki się o tym dowiedziały, omal się nie rozpłakały z ulgi. Od prób zszywania pantofli ich palce były poprzekłuwane prawie do kości.

Kolejnym dniem była niedziela – ulubiony dzień dziewcząt. Przed żałobą stanowił dla nich największe utrapienie. Teraz, jako że był to jedyny dzień, kiedy mogły wychodzić, siedziały posłusznie na mszy, nawet ciszej niż kiedy towarzyszył im sztywno siedzący król. A kiedy zabiły dzwony, wyślizgnęły się na znajdujący się tuż za katedrą cmentarz.

Nie było to jakieś piękne miejsce, nie jak ukwiecone żywopłoty i pokryte mchem fontanny w ogrodach, ale słońce padało pstrokatymi promieniami na wszystko dookoła, powietrze pachniało liśćmi i dziewczynki delektowały się dniem spędzonym za murami pałacu.

Po jakimś czasie przed żelazną bramą pojawił się król, wciągając rękawiczkę na zabandażowaną dłoń i obserwując jak dziewczęta układają bukiet

kwiatów na figurze płaczącego anioła. Zmarszczył brwi.

– Powóz czeka – powiedział, kiedy podeszła do niego Azalea z Lily na rękach. – Azaleo...

– Nie gniewaj się – weszła mu w słowo, starając się wytrzymać jego dominującą stanowczość. – Daj im trochę więcej czasu. To nasza jedyna szansa, by pobyć na zewnątrz. Można to chyba zaliczyć do królewskich interesów, prawda?

Król wciąż miał zmarszczone brwi, gdy spoglądał na bladą twarzyczkę Lily, potem otoczoną czepkiem i kirem Azalei. Następnie przeniósł uwagę na dziewczęta, które z białymi twarzami nieśmiało bawiły się na słońcu; jego zmarszczka między brwiami pogłębiła się.

– Chyba tak – odparł. – Nie siedźcie za długo.

Król odwrócił się, by wyjść na ulicę, a Azalea siłowała się sama z sobą, by w końcu powiedzieć:

– Zaczekaj. – Król odwrócił się, a Azalea wyjąkała: – Dziękujemy. Za pantofle.

Król wciągnął policzki, zostawiając wgłębienia po obu stronach twarzy. Palcami stukał o rondo trzymanego w dłoni kapelusza.

– Nie popieram tego – powiedział.

– Nie, sir – dodała szybko Azalea.

– Nasz dom jest w żałobie. Będziecie na czas na wasze wszystkie lekcje i posiłki i ani słowa o tańcu. Czy to jasne?

– Tak, sir.

– I zdecydowanie nie akceptuję tego, że macie tajemnice. Wiecie, że wiem, gdzie chodzicie i wiem, że wy wiecie, że ja wiem.

– Eee...

Azalea starała się rozsupłać to zdanie, ale poddała się. Zastanawiała się

tylko, o jakiej ilości magii w przejściu on wie. Czy wie o lesie? Wątpiła. Bez Strażnika była to pewnie tylko zwykła spiżarnia.

– W tym domu nie będzie żadnych tajemnic. – Król włożył na głowę kapelusz. – Wrócę pieszo. Pan Pudding zaczeka z powozem. Panno Azaleo, przypilnuj, by twoje siostry nie narobiły bałaganu. Wieczorem będziemy mieli gości.

~ ~ ~

Wieczorem pokój dziewcząt wypełniał trajkot. Młodsze co chwila wskakiwały na łóżka lub wyglądały przez okna, czekając na dźwięk końskich kopyt. Od miesięcy nie mieli żadnych gości.

– Nie – powiedziała Delphinium, uparcie siadając na łóżku. – Nie możemy. Przysięgłyśmy, że do końca życia będziemy jadać nasze posiłki w pokoju. Nie możemy znieść jadania z królem, pamiętacie?

– Ona ma rację, Az. – Bramble przeczesała dłonią jedwabiście gładkie włosy. – Wolałabym zostać tutaj. On nas nie oczekuje. Poza tym, przy nim jestem zbyt ...pyskata.

– Takie są zasady – powiedziała Flora.

– Numer siedemnaście, paragraf drugi.

Eve czyściła okulary o poszewkę poduszki.

Clover, która nigdy nie pomyślałaby o kimś niemiło, powiedziała:

– On... pozwolił nam zachować pantofle.

Dziewczęta zacisnęły usta i spoglądały od Azalei po Delphinium, Clover, Bramble i Eve. Azalea otworzyła zegarek Lorda Bradforda, zamknęła, otworzyła i znowu zamknęła. Wyobraziła sobie stół , króla i gości siedzących w niezręcznej ciszy, wpatrujących się w swoje zupy. I potem na kawie w bibliotece. Król był

fatalny w konwersacjach – to matka zawsze prześlizgiwała się między tematami i sterowała dyskusją. Azalea spojrzała na swoje dłonie, wciąż noszące ślady po paznokciach, potem przeniosła wzrok na kosz z pantoflami związanymi razem i gotowymi na noc. Zamknęła zegarek.

– Zasada numer siedemnaście – powiedziała. – Wszystkie do mycia.

Kilka minut później, umyte i z wyszczotkowanymi włosami, dziewczęta przybyły do jadalni. Król natychmiast wstał, kiedy tylko je zobaczył i przez kilka chwil się w nie wpatrywał. Nie można było odczytać jego wyrazu twarzy.

Z rozgoryczeniem Azalea zauważyła, że gościem był Fairweller. Siedział na prawo od króla i jak zwykle sprawiała wrażenie poirytowanego. Jego szyja wyglądała już lepiej.

Wokół kolejnego gościa unosiła się miła, ale poważna atmosfera. Azalea zawahała się w wejściu, a jej dłoń automatycznie powędrowała do kieszeni i znajdującego się tam zegarka.

To był lord Bradford. Skłonił ku niej głowę.

Azalea musiała przypomnieć sobie jak się oddycha. Wrócił! Cały i zdrów. Oczywiście wiedziała, że nic mu nie jest; gazety nigdy nie wspominały, jakoby został ranny, ale zupełnie inaczej było zobaczyć go; jego miękkie, brązowe oczy, które błyskały w jej stronę...

– To ten przegniły, nie wart szylinga pajac, który zatrzymał wieżę! – szepnęła Bramble. – Mam nadzieję, że się udławi!

– To lord! – zaoponowała Azalea. – I jeśli zrobisz mu cokolwiek, przetrącę ci kark.

Z kuchni przyszła pani Graybe, niosąc tuzin talerzy, jakby wiedziała, że dziewczęta zjawią się lada moment; Azalea pomogła jej nakryć do stołu, podczas gdy panowie pomogli dziewczętom z krzesłami. Ponad hałasem i brzdękiem naczyń, król pochylił się ku Azalei.

– Najwyższy czas, że zdecydowałyście się zjeść kolację jako rodzina – powiedział cicho.

– To tylko dzisiaj – odparła, nie podnosząc wzroku znad talerza Delphinium.

– Zasada numer siedemnaście – rzekła ochoczo Eve.

Król wyprostował się. Miał dziwną minę. Przez chwilę po prostu stał. Potem wyraz jego twarzy stał się całkowicie nieczytelny, a on odwrócił się.

Kolacja, składająca się z kurczaka, ziemniaków i ciasta szła całkiem nieźle. Bramble ściskała przy sobie solniczkę, a Ivy nałożyła na swojego kurczaka łyżkę dżemu, ale poza tym zachowywały się jak należy. Przy końcu stołu Fairweller i lord Bradford dyskutowali o polityce, a król siedział zamyślony.

– Wybory parlamentarne zaczynają się w przyszłym roku – mówił Fairweller. – Dom mógłby zyskać dobrą, młodą głowę... Jego Wysokość i ja pomyśleliśmy, że da się pan przekonać.

Siedząca obok Azalei Bramble pożyczyła sobie jeden z ołówków Delphinium i zaczęła pisać po serwetce.

– Do prowadzenia? – spytał Bradford.

Jego sposób mówienia fascynował Azaleę. Był oszczędny w słowach. Stanowiło to ogromny kontrast w porównaniu z życiem z tuzinem dziewcząt i tysiącem prostych słówek.

Kale, siedząca obok lorda Bradforda, zjadła jednego ziemniaka, po którym nie wydawała się już być głodna. Stanęła na krześle i sięgnęła po wino lorda Bradforda. Gdy przesunął go poza zasięg jej rączki, wydęła usteczka i usiadła twardo na krześle. Potem wtuliła się w niego, potarła policzkiem o jego ramię i go ugryzła.

Lord Bradford wciągnął gwałtownie powietrze.

– Wolałbym nie – odparł Fairwellerowi, delikatnie odciągając Kale od

swojego ramienia. – Nie mam głowy do polityki.

– W moim doświadczeniu – rzekł Fairweller – najlepszymi ludźmi dla kraju są ci, którzy jej nie mają. Pana ojciec był znakomitym członkiem rządu. Zawsze oczekiwano, że pan również go poprowadzi.

Kątem oka Azalea uchwyciła to, co bladofioletową kredką Bramble napisała na serwetce:

Wciąż mamy twój zegarek. Możesz go dostać dziś wieczór. Wszystko, co musisz zrobić, to wymknąć się zaraz po kolacji do wieży, nastawić zegar i uciec z kraju. Zgoda?

Azalea omal nie spłonęła z zażenowania, gdy Bramble zwinęła serwetkę wokół ołówka i podała lordowi Bradfordowi wraz z bułeczkami. Lord wziął je i na kolanach rozłożył serwetkę. Jego ciemne brwi uniosły się odrobinę. Potem złożył serwetkę i położył pod talerzem. Bramble zmrużyła żółto-zielone oczy.

– Schlebia mi pan – rzekł lord Bradford głębokim, kremowym głosem. Azalea wsłuchała się w jego brzmienie, rozmyślając czy kiedykolwiek śpiewał. Miał głos, który rozmiękczyłby chór i nadał mu głębszego, pełniejszego dźwięku. Lord Bradford ciągnął dalej: – Wolałbym nie przewodzić parlamentowi.

Bramble wzięła kolejną kredkę od Delphinium, serwetkę od Azalei i napisała coś nowego:

Boisz się króla. Przyznaj to.

Azalea skrzywiła się, spojrzenie wbijając w nietknięte jedzenie. Płonęła z upokorzenia, gdy Bradford wziął serwetkę i przeczytał wiadomość. Tym razem wyglądało to tak, jakby pisał coś po kryjomu pod stołem.

– To nie kwestia chcenia czy niechcenia – rzekł Fairweller, który z każdą minutą wydawał się bardziej zirytowany. – A nawet tego, jakiej partii by pan przewodził. To kwestia obowiązku. Dziwi mnie, że się pan od tego wzbrania. Byłby znakomitym członkiem Domu, czyż nie, Wasza Wysokość?

– Co? Hmm? Och. Tak. Byłby.

Fairweller mrugał przez chwilę na króla, a lord Bradford wykorzystał jego nieuwagę i podał Bramble serwetkę. Rozłożyła ją i poróżowiała.

Proszę pani, a kto się nie boi?

Bramble zacisnęła usta i kopnęła lorda Bradforda pod stołem... z całych sił. Jego twarz drgnęła i przybrała poważny wyraz. Azalea ukryła twarz w dłoniach.

– Prosimy tylko, by pan to rozważył. To wszystko – rzekł Fairweller.

– Och. – Głos lorda Bradforda był nieco ściągnięty. – Tak. Dziękuję.

Bramble rzuciła na talerz swoją porysowaną serwetkę.

– Skończyłam – powiedziała. – Możemy iść do swojego pokoju?

Po raz pierwszy od początku kolacji, król skupił na kimś uwagę.

– O, nie – rzekł. – Na pewno nie. Do biblioteki, moje panie. – Wstał i rzucił im wszystkim wymowne spojrzenie. – Takie są zasady.

Przerażona zachowaniem sióstr w stosunku do lorda Bradforda, Azalea spędziła wieczór w bibliotece, siedząc naprzeciwko niego i umierając tysiącem małych śmierci. Delphinium „przypadkowo" wylała na niego kawę, Lily podczołgała się do jego buta i zaczęła gryźć jego sznurowadła, a Ivy i Hollyhock usiadły po obu jego stronach, ze swoimi haftami i co każde dwie minuty pytały się, co o nich sądzi. Odpowiadał, że są bardzo ładne.

W zasadzie, wyglądał jakby doskonale się przy tym bawił. Podobnie jak

król.

Z nadzieją, że uda jej się uratować nieco z wieczora, Azalea posłała dziewczęta na górę, a potem sama wyślizgnęła się na dziedziniec, gdzie pan Pudding zajmował się koniem lorda Bradforda. Azalea wyjaśniła, dlaczego jest na dworze, a on podał jej cugle, poklepał po głowie i poszedł do środka.

Azalea czekała cierpliwie, okręcając cugle wokół dłoni. Koń lorda Bradforda grzebał kopytem w żwirze, ale był na tyle wychowany, by nie zacząć wąchać jej włosów, czego Azalea u koni nienawidziła. Niebawem lord Bradford pojawił się w drzwiach ze stosem książek, zapewne o polityce, i żegnał się z królem i Fairwellerem. Azalea schowała się za koniem, dziękując w duchu, że czerń tak dobrze zlewała się z wieloma rzeczami.

Kiedy zamknięto drzwi, Azalea wyszła zza konia.

– Lordzie Bradford...

– Aa!

Potknął się na schodach i cofnął ku poręczy.

– Przepraszam! Przepraszam! Przestraszyłam pana?

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Odsunął się od poręczy i zaczął zbierać rozrzucone książki. – Doskonale...

– Doskonale... – powtórzyła z ulgą Azalea. Podniosła ze żwiru jego kapelusz i pomogła z książkami. – Przepraszam. Ja tylko chciałam prosić o wybaczenie. Za dzisiaj. Naprawdę, my nie kopiemy, nie gryziemy i nie rzucamy ziemniakami w każdego gościa.

Na twarzy lorda pojawił się krzywy uśmiech.

– Pani rodzina ma ikrę – powiedział, biorąc kapelusz z rąk Azalei. – Dobrze się dziś bawiłem.

– Cóż, dopiero pan wrócił z wojny.

Lord Bradford roześmiał się. To był miły śmiech. Cichy, niewypracowany,

szczery. Azalei się spodobał.

– Przepraszam, że trzymałyśmy go przez tak długi czas – powiedziała i wyciągnęła z kieszeni zegarek. Odwinęła chusteczkę matki, w którą był zawinięty i podała go lordowi Bradfordowi, trzymając go w złączonych w koszyczek dłoniach. – Nie powinnyśmy go w ogóle przyjmować.

Brwi lorda Bradforda uniosły się na widok tego gestu; otworzył usta, a potem zamknął. Spuścił oczy na książki, które trzymała w rękach, a potem spojrzał na Azaleę i uśmiechnął się.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedział – wieki temu, dałaś mi lizaka. Tak samo jak teraz, z tak samo ułożonymi dłońmi. Pamiętasz?

Azalea uniosła brwi.

– To było krótko po śmierci mojego ojca – kontynuował cicho. – Przyszłaś na cmentarz z lizakiem w ustach. Zobaczyłaś mnie. Położyłaś lizak na moich dłoniach, zacisnęłaś na nim moje palce i pocałowałaś je.

– Musiały być klejące – rzekła Azalea.

Lord Bradford zaśmiał się. Azalea poczuła ciepło i mrowienie, a w jej umyśle zamigotało wspomnienie, kiedy na targu oddaliła się od matki. Powietrze pachniało cydrem. A potem, spoglądając przez żelazną bramę cmentarza, zobaczyła samotnego chłopca siedzącego na kamiennej ławce. Wspomnienie było tak dalekie, że wydawało się zapomnianym snem.

– Wiesz – powiedział. – Przez te wszystkie lata myślałem, że byłaś swoją siostrą.

Azalea wykonała ruch pomiędzy kiwnięciem głowy, a wzruszeniem ramion.

– Wiele ludzi się myli. To dlatego, że jesteśmy tak blisko wiekiem... mniej niż rok dzieli każdą z nas. Właściwie, z nas wszystkich, chyba Clover wygląda na najstarszą.

– Wciąż mam twoją chusteczkę z balu.

– Rany, naprawdę?

Wyciągnął zgniecioną, ale czystą chusteczkę i podał Azalei. Starała się wręczyć mu zegarek, ale nie chciał wziąć.

– To wciąż okup, pamiętasz? Zabiorę go, kiedy ponownie nastawię wieżę.

Azalea uśmiechnęła się, a ciepło pokryło jej policzki.

– Cóż, był piekielnie użyteczny. Dziękuję, lordzie Bradford.

Z łatwością dosiadł konia, nawet z książkami w rękach, i uśmiechnął się tym krzywym uśmiechem.

– Panie Bradford – powiedział nieśmiało.

– Panie Bradford – powiedziała Azalea.

I teraz jej policzki płonęły. Nie było to nieprzyjemne.

– Dziękuję – rzekł, uchylając kapelusza. – Za przyjemny wieczór. Dobrej nocy, księżniczko Bramble.

– Co? – spytała Azalea.

Ale on gnał już w galopie, rozrzucając pod kopytami żwir. Azalea wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, a potem spojrzała na chusteczkę. Na niedbale wyhaftowane B.E.W w rogu. Wszelkie ciepło odpłynęło z jej twarzy.

– Bramble!

Od balu bożonarodzeniowego myślał, że ona to Bramble.

Azalea podniosła wzrok, by zobaczyć jak zatrzymał się przy bramie. Ich spojrzenia spotkały się, a potem on się uśmiechnął i zasalutował. I już go nie było.

Azalea objęła się rękoma, myśląc o tym, że będzie musiała wyprostować wszystko, kiedy zobaczy go po raz kolejny. *Jeśli* go zobaczy.

– Dobranoc.

Rozdział 14

W tygodniu Azalea nauczyła siostry Splątanego. Był to taniec skomplikowany i podobny do walca. Polegał na tym, że dama i jej partner trzymali krańce długiej szarfy, której nie mogli puścić. Dżentelmen starał się „schwycić" damę – oplątując szarfę wokół jej nadgarstków, obracając ją, okrążając; dama w tym czasie robiła wszystko, by szarfa się nie splątała. Dwa lata wcześniej matka przyprowadziła mistrza tańca na lekcje, który tańczył Splatanego z Azaleą. Azalea zwinnie robiła uniki i wyślizgiwała się z jego szybkich, wyćwiczonych ruchów i zanim minęły trzy minuty, oboje byli wykończeni, a mistrz tańca z uśmiechem i ukłonem okazał swój podziw i szacunek. Od tego czasu, kiedy tańczyła Splątanego, Azalea czuła w piersi drżące fleciki, a stopy sprawiały wrażenie, jakby miały skrzydła.

Bramble, która odgrywała rolę dżentelmena, obwiązała sobie chusteczkę wokół dłoni i mówiła niskim głosem, robiąc taki spektakl, że dziewczęta śmiały się jak szalone.

– Moja paaaaaniii – powiedziała Bramble, z głębokim ukłonem w stronę Azalei.

Dziewczynki chichotały na głos, a Azalea westchnęła. Nauka zamkniętego tańca bez dżentelmena była najtrudniejsza.

– Moja pani – odezwał się inny głos i wszystkie dziewczęta odwróciły się, by zobaczyć stojącego w wejściu Strażnika, który obserwował je ciemnymi

oczami. Uśmiechnął się, ukazując dwa dołeczki po bokach twarzy.

Azalea cofnęła się. Flecik w jej piersi odezwał się innym dźwiękiem. Przełknęła, w ukryciu starając się wytrzeć dłonie o sukienkę. Jego oczy zdawały mieć wgląd w jej duszę.

– Wybaczcie – rzekł i wszedł na parkiet. Jego kroki nie wydawały żadnego dźwięku. – Nie mogłem nie zauważyć. Być może ja mógłbym mieć ten zaszczyt zaprosić panią do tańca?

Wśród dziewcząt rozległy się szepty. Azalea wyobraziła sobie siebie w ramionach pana Strażnika, a flecik w jej piersi zapiszczał tonem, jaki ptak mógłby ledwie usłyszeć. Jeśli tańczył tak, jak się poruszał... gładkimi ruchami – musiał być naprawdę wyśmienitym tancerzem.

– Myślałam, że nie umiesz – powiedziała Eve.

– Droga pani, powiedziałem, że nie tańczę. A to nie znaczy, że nie umiem.

– Znasz w ogóle Splątanego? – spytała Flora.

Pan Strażnik podszedł do Azalei; jego ciemne oczy ją pochłaniały. Peleryna powiewała za nim.

– Moja pani – rzekł, nie odwracając wzroku od Azalei – sam go wymyśliłem.

Jedwabistym ruchem Strażnik położył dłoń Azalei na swojej i eskortował ją na środek parkietu. Tak jedwabisty i delikatny. Azalea mrugnęła i zdała sobie sprawę, że ustawił ją do otwartej pozycji. Przełknęła. To było trudne.

– Na razie uczyłyśmy się tylko z tym – rzekła, wyciągając srebrną chusteczkę matki. – Obawiam się, że jest zbyt krótka.

W bladym świetle zamigotało srebro. Strażnik drgnął.

– To się nie nada – odparł. – Ale, o! Tu jest.

Strażnik poruszył dłonią i znikąd pojawiła się długa szarfa. Strzepnął ją z trzaskiem. Jasnoczerwona barwa zabłysła na tle bieli i srebra. Teraz to Azalea

drgnęła.

Bramble przejęła pieczę nad zegarkiem lorda Bradforda, który odłożyła na stolik z deserami, by przypilnować czasu. Splątany trwał dokładnie trzy minuty. Dziewczęta obserwowały, podskakując z podekscytowania, a niewidzialna orkiestra zaczęła wolnego walca.

Azalea trzęsła się z nerwów, gdy Strażnik zrobił krok w przód, obracając szarfę wokół niej, gdy ona tymczasem zrobiła krok w tył. Naprawdę tańczył tak, jak mówił i chodził, z wypolerowanymi ruchami. Nieludzko powabnie.

– Pani porusza się jak łabędź – powiedział. Podrzucił szarfę i przełożył pod ręką. – Jest pani najlepszą partnerką z jaką tańczyłem. A ja, droga pani, tańczyłem z wieloma.

Przyciągnął szarfę jeszcze bliżej i Azalea dostrzegła jego oczy – ten sam głodny błysk, kiedy trzymał w dłoni zegarek Lorda Bradforda.

Azalea puściła nagle koniec szarfy.

To oznaczało natychmiastową dyskwalifikację. Orkiestra przestała grać.

– Tylko czterdzieści pięć sekund – oznajmiła rozczarowana Eve, spoglądając na zegarek.

– Wie pan, panie Strażniku – rzekła Azalea. – Nigdy nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni. Matka zawsze mawiała...

– Ach, wasza matka – powiedział Strażnik. Jego czarne oczy były pozbawione wszelkich emocji. – Zapewne wasza matka zawsze mawiała same słodkie rzeczy. Jak, „jesteś księżniczką tylko wtedy, gdy się zachowujesz jak ona" i inne bzdury.

– Cóż – odparła Azalea, rumieniąc się. – Co w tym złego?

Strażnik posłał jej wąski, zimny uśmiech.

– Zupełnie nic.

– Wie pan co, Az ma rację – odezwała się Bramble, gdy wraz z Clover

zebrały razem zaspane młodsze siostry. – Nic o panu nie wiemy. Gdzie się nauczył pan tak tańczyć?

Wąski, zimny uśmiech Strażnika stał się jeszcze zimniejszy.

– Znałem raz damę, która tańczyła Splątanego niemal tak dobrze jak wasza siostra.

Delphinium, która podnosiła Lily na nogi, spojrzała w górę. Z wszystkich sióstr, to ona czytała najbardziej romantyczne historie i rysowała najbardziej falbaniaste suknie na papeterii i Azalea wiedziała, że nie spocznie, póki nie zmusi pana Strażnika, by zwierzył jej się z każdego romantycznego szczegółu.

– Był pan zakochany? Och, proszę nam powiedzieć. Z tamtego okresu słyszymy jedynie okropne rzeczy, z rewolucją i tym wszystkim. Chcę usłyszeć coś romantycznego.

– Delphinium – zganiła Azalea.

Strażnik uniósł dłoń, by ją uciszyć.

– W porządku – rzekł. Zwrócił się do Delphinium, a jego peleryna musnęła marmur. – Opowiem wam o damie, którą kochałem.

Dziewczęta usiadły razem na wejściowych schodkach, nawet nie ważąc się oddychać ze strachu, że ich oddech poruszy krzewy różane wokół nich i zagłuszy słowa pana Strażnika. Strażnik stał bez ruchu na parkiecie.

– Dawno temu – zaczął. Jego głos spływał jedwabistymi wodospadami. – Był sobie Wielki Król, który ponad wszystko pragnął zabić Generała wznieconej przeciwko niemu rebelii. Pochłonęło go to całkowicie. Pragnienie zabicia generała wypełniło jego wnętrze, aż poświęcił każdy oddech, każdy krok, na myśleniu o sposobach zabicia go. Ale był stary i czas uciekał, jak zawsze.

Pan Strażnik urwał. Bramble rzuciła zdezorientowane spojrzenie w stronę Azalei.

– Więc – ciągnął dalej Strażnik – złożył przysięgę. Wypełnił kielich po

brzegi krwią. I na tę krew przysiągł, że zabije Generała Wentwortha i że nie umrze, póki tego nie uczyni. A potem wypił to. Koniec.

Po tym nastąpiła bardzo brzydka, naga cisza. Usta dziewcząt przypominały litery O.

– Przepraszam – powiedziała Delphinium. – Czy ominęła mnie część o damie?

– Ach – powiedział Strażnik. – Krew należała do niej.

~ ~ ~

Dziewczęta przepchnęły się jedna za drugą przez ścianę kominka, potykając się o spódnice i niezawiązane w pośpiechu pantofle. Podbiegły do lamp stojących na stole i parapecie, podkręcając płomienia tak wysoko, jak się dało.

– Po raz ostatni – powiedziała Azalea, gdy dziewczęta zebrały się wokół lamp; młodsze wciąż ściskały jej spódnicę. – To nieprawda. Uspokójcie się!

– Aaaa! Och, ha ha, Ivy, to tylko ty, ha ha.

Delphinium, cała drżąc, usiadła na skraju łóżka i starała się ściągnąć pantofle.

– To brzmiało tak prawdziwie! – zapiszczała Hollyhock. – Naprawdę!

Azalea zawahała się. W przeciwieństwie do reszty z nich, słyszała już tę historię. Tylko we fragmentach, czasem szeptaną przez służące, albo czytając „Historię Eathesbury", kiedy nauczyciel zasypiał. Nikt nigdy nie mówił o tym na głos.

Setki lat temu, Wielki Król schwytał przechadzającą się po ogrodach córkę Harolda Pierwszego. Wtedy ogrody wypełniały cierniste krzewy, które wpijały się w ręce i szyje, wciągając ofiarę w kujące gałęzie. Zabrał ją do pałacu, a

kilka dni później, przed rezydencją Harolda Pierwszego pojawiło się pudełko. Pośród chusteczek leżała dłoń. Jej dłoń.

Historię tę powtórzył Strażnik, który opowiedział o Wielkim Królu pijącym jej krew, obiecującym, że zabije jej ojca. Później odnaleziono jej ciało, pocięte na kawałki i rozrzucone po ogrodzie. Azalea wzdrygnęła się. Nienawidziła nawet myśleć o dalszej części tej historii.

Nocami okna pałacu jaśniały dziwnym, jasnożółtym światłem, a córkę Harolda Pierwszego widywaną krążącą po korytarzach, dotykającą obiema dłońmi ścian. Jakimś cudem, Wielki Król schwycił jej duszę. A dotykała na oślep ścian obiema dłońmi, bo... bo... Azalea nie mogła nawet w myślach dokończyć tego zdania, ale była w tym igła, nić i powieki duszy.

Jej dłonie trzęsły się tak bardzo, że Azalea omal nie wypuściła z nich lampy. Zmusiła się do uśmiechu, ustawiła lampę na okrągłym stoliku i zaczęła pomagać młodszym siostrom się rozebrać.

– To tylko częściowa prawda – powiedziała stanowczo. – Tak, wypił krew, ale to nie podziałało. Chyba widziałyście portret Harolda Pierwszego w galerii. Umarł w podeszłym wieku. To on zabił Wielkiego Króla. Przysięga krwi nie zadziałała. Picie krwi niewiele się różni od wessania krwi z rany od igły. To wszystko banialuki.

– On sprawił, że zabrzmiało tak tak żywo – rzekła Flora, która tuliła się razem z Goldenrod pod kołdrą.

Nawet się nie rozebrały.

– Wielki Król dokonał wielu okrutnych rzeczy – powiedziała Eve, gdy Azalea delikatnie wyciągnęła bliźniaczki z łóżka i pomogła przebrać się w koszule nocne. – Więził ludzi w lustrach. Oni tam poumierali.

– To... nie... tak źle jak... chwytanie dusz, tak...tak myślę – powiedziała Clover, jąkając się bardziej niż zwykle.

– Co za wielki stek bzdur – odezwała się Bramble. Rzuciła pantoflem o ścianę. Uderzył w boazerię obok drzwi i wpadł do kosza. – I co za pajac z tego Strażnika, że opowiada takie rzeczy. Czy nie zdawał sobie sprawy, że młodszym przestraszy migdałki z gardeł?

Azalea potarła spódnice, wciąż czując na sobie dłonie Strażnika.

Nikt nie spał dobrze tej nocy. Azalea przyniosła dwa parujące czajniki herbaty. Młodsze siostry przyczołgały się do jej łóżka i wtuliły nosy w jej boki, a ona głaskała je po policzkach za każdym razem, gdy się przebudzały.

Kiedy Azalea się obudziła, było już późno, a ona nie miała najlepszego humoru, który pogorszył się jeszcze, kiedy odkryła, że zostawiła zegarek Lorda Bradforda w pawilonie.

– Nie chciałam go tam zostawić – powiedziała Bramble, w równie diabelskim nastroju. – To nie moja wina. Tak nam się spieszyło, by wyjść po tej okropnej historii!

– Pan Bradford nam zaufał – rzekła zła na siebie Azalea. – Zaufał *mi*.

Bramble zmierzyła Azaleę od góry do dołu z dziwnym błyskiem w jej żółto-zielonych oczach.

– Więc idź po niego – powiedziała, wyganiając siostry za drzwi. – Ja przypilnuję młode na lekcjach.

Kilka minut później, ze zwiniętymi w butach palcami, Azalea potarła chusteczkę o znak, aż zapłonął i światło eksplodowało. Nigdy nie była w pawilonie za dnia. Schodzenie na dół w srebrnej poświacie wyglądało zupełnie inaczej. Wszystko było stłumione, a kroki Azalei nie zostawiały żadnego echa.

Gdy dotarła na miejsce, pawilon był ciemny i zanurzony w srebrzystej mgle. Nigdzie nie było śladu Strażnika. Azalea zapukała lekko w łukowate wejście.

– Przepraszam, halo?

Pukanie sprawiło, że poczuła się mniej jak intruz. Wślizgnęła się na parkiet i omal nie wyskoczyła z butów, kiedy orkiestra zaczęła grać żywego jiga.

– Cii! – szepnęła. – Cicho! Ci!

Orkiestra zatrzymała się, z wyjątkiem skrzypiec, które grały wesołe solo. Kiedy zdały sobie sprawę, że reszta instrumentów umilkła, zwolniły do zażenowanego jęku.

Azalea przeszukała pawilon w poszukiwaniu zegarka, a gdy się odwróciła, poczuła, że ktoś ją uważnie obserwuje. Spojrzała w górę i wrzasnęła.

Na suficie, niczym wielki, czarny pająk, siedział Strażnik.

Serce Azalei omal nie wypadło z gorsetu. Cofnęła się.

Strażnik odepchnął się od sufitu i z wdziękiem, niczym kot, wylądował na ziemi. Wyprostował się, a peleryna wróciła na swoje miejsce.

Azalea ruszyła ku wyjściu. Zaraz jednak Strażnik zablokował jej przejście. Uśmiechnął się, ukazując przy tym dołeczki w policzkach.

– Jej, ależ łatwo panią przestraszyć.

– Pan...to... na... suficie – wyrzuciła z siebie Azalea.

– Och, proszę się uspokoić, panno Azaleo. – Jedwabistym ruchem ujął dłoń Azalei, gładząc jej drżące palce swoimi dłońmi w czarnych rękawiczkach. – Życie od tylu lat w tak małym pawilonie czyni mnie, ech, kreatywnym. I cieszę się, że pannę widzę, panno Azaleo. Nawet, jeśli przyszła tu pani po zegarek innego dżentelmena, nie do mnie.

Azalea starała się zabrać dłoń, ale Strażnik jedynie się uśmiechnął, zacisnął długie palce wokół jej i eskortował w stronę sofy, obok stolika z deserami.

– Proszę usiąść. Cała pani drży. To moja wina, wiem. Ta historia zeszłej nocy. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Znikąd przywołał filiżankę z herbatą i podał Azalei, ale ona ją odepchnęła.

– Gdzie zegarek? – spytała.

– Och, tak szybko do rzeczy. Zdaje sobie pani sprawę, że świadczy to o złych manierach.

Odstawił filiżankę na stolik, a z małej tacy stojącej obok podniósł pokrywkę. Zamiast miniaturowego deseru, leżał tam zegarek kieszonkowy. Azalea sięgnęła po niego.

Strażnik zamknął pokrywkę z brzdękiem.

– Panie Strażniku.

Strażnik nie uśmiechał się ani odrobinę, kiedy odstawiał zakrytą tacę na bok i podniósł pokrywkę z większego półmiska.

Azalea głośno wciągnęła powietrze. Na półmisku leżała mieszanka różnych przedmiotów. Para koronkowych rękawiczek, igła ze szkarłatną nicią, jedna z pończoch Jessamine, łyżeczka Ivy, długopis Eve i inne rzeczy należące do jej sióstr.

Azalea była przerażona.

– To nasze rzeczy!

– Wiem – odparł Strażnik. – Lubię kolekcjonować rzeczy.

– To kradzież!

– Musi mi pani wybaczyć – rzekł. – Ale jestem zdesperowany. Potrzebuję od pani i pani sióstr przysługi. Wielkiej przysługi, ale żadna z was by mi nie pomogła, gdybym nie zrobił czegoś, ech, niekonwencjonalnego. Pragnę wyjść na wolność, panno Azaleo.

Azalea zmarszczyła brwi. Strażnik był... cóż, Strażnikiem. Magiczną i eteryczną częścią pawilonu. Przesunęła się na aksamitnej sofie, czując zarówno konsternację i poczucie winy.

– Ja... nie myślałam o tym – powiedziała Azalea.

– Wiem – odparł Strażnik. Uśmiechnął się, lecz nie gorzko. – Może teraz

pani pomyśli.

– O, doprawdy – powiedziała Azalea. Wstała i skierowała się do wyjścia. Znajome gorąco zaczęło krążyć w jej żyłach i nagle zapragnęła poczuć prawdziwe powietrze. – Nie mogę uwierzyć, że pan po prostu... po prostu ukradł te rzeczy!

– Wyjdzie teraz pani – zawołał – a pani i siostry już nigdy nie będziecie tu mile widziane.

Azalea stanęła tak gwałtownie, że rąb jej spódnicy pozostał za progiem. Obejrzała się na Strażnika, by sprawdzić, czy mówił poważnie. Na ustach gościł lekki uśmiech, ale reszta twarzy pozostała niewzruszona.

Palce zwinęły się w jej butach. Nagle poczuła do niego nienawiść.

– Nie... – wyjąkała. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. – To... my... my musimy tu tańczyć. To wszystko, co mamy. Proszę nam tego nie zabierać. Proszę.

– Więc pomoże mi się pani uwolnić?

Azalea chwyciła się łukowatego wejścia, pragnąc poczuć pod dłońmi teksturę srebra. Zamiast tego poczuła dziwną, szklaną gładkość, co było bardzo frustrujące.

– Dobrze. – Jej paznokcie uderzały o słupek. – Dla tańca. I zegarka. Co musimy zrobić?

Mimo, że nie słyszała kroków Strażnika, poczuła za sobą jego obecność, kiedy się zbliżał, aż odczuła, jak przesuwa po jej plecach wzrokiem.

– Wielki Król zaczarował wiele przedmiotów – powiedział gładkim głosem. – Wasz pałac. Pawilon. I mnie. Fascynowała go magia. Dla niego była nauką, radzeniem sobie z siłą i aurami. Istnieją także inne formy magii. Niektóre są znacznie silniejsze od innych. Panno Azaleo, w waszym pałacu jest pewien przedmiot, który został tak bardzo zaczarowany, że czyni mnie słabym. Znajdź go.

Azalea przypomniała sobie, jak Strażnik podnosił poziom bulgoczącej, spienionej wody pod most. Kiedy w końcu wstał, ciężko oddychał. Nie mógł złapać tchu i był wycieńczony. Azalea potarła butem o marmur.

– Magiczny przedmiot? Tu, w naszym pałacu?

– Tak.

– Co to za przedmiot?

– Nie wiem. Ale mam taką myśl: aż do zeszłego roku, byłem ledwie cegłą i żelazem. Coś się stało z magicznym przedmiotem... został częściowo popsuty. Zepsuty na tyle, że odzyskałem swoją magię, a przynajmniej jej część.

Brwi Azalei zmarszczyły się. Nie mieli nic magicznego, chyba że chodziło o wieżę, a ona nie została popsuta, tylko zatrzymana. Mieli jeszcze stary, powyginany magiczny serwis do herbaty, jeden z niewielu pozostałości po Wielkim Królu. Chociaż – tu brwi Azalei jeszcze bardziej się zmarszczyły – od jakiegoś czasu go nie widziała.

– Chcę, żebyś odnalazła magiczny przedmiot i go zniszczyła. Wasza żałoba kończy się za trzy miesiące. To chyba wystarczająco dużo czasu?

Azalea stukała obcasem o podłogę; zamglone powietrze paraliżowało ją.

– My... nie mamy wiele magicznych przedmiotów w pałacu – wydusiła z siebie. – Może znajdziemy go, jeśli wszystkie dziewczęta zaczną szukać...

Strażnik ujął dłoń Azalei spoczywającą na srebrnej framudze w obie ręce i przycisnął do ust.

~ ~ ~

– Co zrobił? – wykrzyknęła Bramble.

– Wiem, wiem – odparła Azalea.

Mściwie kroiła chleb.

Było popołudnie, a Azalea właśnie skończyła im opowiadać całą historię przy herbacie w kuchni. Brwi dziewcząt marszczyły się i unosiły coraz wyżej, a przy końcu, ich oczy wielkością przypominały talerze. Zapomniały o herbatach i muffinach, a zamiast tego, wpatrywały się w Azaleę przez wyszorowany kuchenny stół.

– Co za przegniły pajac! – zawołała Bramble, rozrywając chleb na kawałki. – Nie mogę uwierzyć, że ukradł nam nasze rzeczy! Zwłaszcza zegarek! To my pierwsze go ukradłyśmy!

– Coś magicznego? – spytała Eve, podając pokrojony w plasterki ser. – Ale co zostało? Był chyba klawikord, ale on się popsuł jeszcze przed urodzeniem króla.

– Cóż – rzekła Azalea. – Jest jeszcze peleryna niewidka...

– Co?

– Peleryna, która czyni cię niewidzialnym. Wielki Król używał jej, by niepostrzeżenie wymykać się do miasta. Nie została odczarowana, ale ją wydano. Nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje, ale na pewno podarto ją na kawałki. Więc, pozostaje tylko...

– Serwis do herbaty – dokończyły wszystkie chórem.

Azalea westchnęła i zamoczyła kawałek chleba w swojej malinowej herbacie.

– Racja. Ale nie widziałam go od wieków. Nawet szczypczyków do cukru... zniknęły po tej pierwszej nocy. Czy ktokolwiek wie, co się w nimi stało?

Nikt nie wiedział.

Clover, która karmiła Lily łyżeczką do herbaty, miała zaróżowione policzki, usta zaciśnięte i cały ten czas milczała. Potem, ni stąd ni zowąd, rozpłakała się.

– To moja wina! – wykrzyknęła. – Ja to zrobiłam!

Wszystkie siostry wymieniły spojrzenia, a potem przeniosły je na Clover, która łkała w swoją chusteczkę, jakby odkorkowała serce. Nawet z zapłakaną twarzą wyglądała ładnie.

– Eee, słucham? – odezwała się Azalea.

– To ja go zepsułam – odparła Clover. – Ja zepsułam serwis do herbaty! – Czkając, odważnie uniosła podbródek. – Pogrzebaczem!

Pomiędzy jąkaniem i urywanymi oddechami, wypłynęła historia. Mówiła, jakby to wyznanie zadawało jej wielki ból.

Kilka miesięcy temu, kiedy była chora, pani Graybe postawiła przed nią magiczny serwis. Ciągle szturchał Clover i gryzł, by posmakowała ohydnie pachnącej herbaty, aż w końcu nie mogła dłużej tego znieść, chwyciła za pogrzebacz i uderzyła nim serwis. Nie raz... ale wiele razy. W ścianie do dziś widniały wgłębienia.

Przy tej części dziewczęta głośno wciągnęły oddechy.

Historia stała się jeszcze bardziej skandaliczna. Clover zebrała szczątki serwisu w mały kocyk Lily i późną nocą wymknęła się i wrzuciła wszystko do strumyka w ogrodzie.

– A kawałki... kawałki... one wciąż się poruszały, i.. och! To było tak, jakbym utopiła je żywcem! – Clover czknęła. – Ale nie żałuję! Nienawidziłam tego okropnego serwisu!

Pod koniec wszystkie dziewczynki śmiały się tak bardzo, że trudno im było złapać dech. Bramble tak się śmiała, że herbata omal nie ciekła jej nosem. Azalea śmiała się z szoku, że słodka jak miód Clover mogła zrobić coś tak brutalnego.

– Zęby musiały uciec, kiedy zamordowałaś resztę – powiedziała Bramble, to kaszląc, to śmiejąc się w serwetkę. – Ha ha ha! Wiecie co, czasem myślę, że Clover ukrywa przed nami jakiś ciemny, straszny sekret. Pogrzebacz! Bu-

hahahahah!

Dziewczęta roześmiały się na nowo. Nawet Clover zdołała uśmiechnąć się małym, drącym uśmiechem. Azalea potarła palce, kiedy przypomniała sobie, jak szczypce ją ugryzły.

– A więc pozostaje nam tylko to – powiedziała do reszty. – Musimy odnaleźć cukrowe zęby.

~ ~ ~

Tej nocy, w swoich nowo zreperowanych pantoflach prosto od szewca, Azalea z siostrami zaczęły szukać cukrowych zębów tam, gdzie ostatnim razem je widziała – w srebrnym lesie. Nigdy wcześniej nie rozglądały się dobrze po srebrnych krzewach i klujących szyszkach, więc dziewczęta szukały tu i tam, podnosząc ornamenty, poruszając gałęziami. Flora i Goldenrod przyniosły nawet kostki cukru, na wypadek, gdyby je znalazły.

Okropnie spóźnione na lekcje tańca, dziewczęta wyłoniły się spośród błyszczących zarośli, z czarnymi sukienkami pokrytymi srebrnym pyłem.

– To jak szukanie igły w stogu siana – zauważyła Delphinium, gdy wchodziły na mostek. – Srebrnym stogu.

– Bądźmy szczerzy, cukrowych zębów tu nie ma – rzekła Bramble. – Już by nas zaatakowały. Pewnie uciekły. Założę się, że rzuciły się do ogrodu, by dołączyć do swoich bestialskich przyjaciół. Zresztą, kogo obchodzi, czy uwolnimy Strażnika, czy nie? I tak jest dziwny.

– Mnie na pewno nie – odparła Azalea. – I jeśli resztę też nie, powinnyśmy zapomnieć o tańczeniu i wrócić do pokoju.

– Spokojnie – powiedziała Bramble z dwoma czerwonymi plamami na policzkach. – Nie chodziło mi o to. Pewnie wszyscy dżentelmeni w tamtych czasach byli dziwni. To znaczy, nie bądźmy takie pochopne. Z resztą, gdzie indziej

byśmy tańczyły?

– To więcej... niż tylko... tańczenie – powiedziała Clover. – My... robimy dokładnie to, co... co Wielki Król zrobił b...biednemu panu Strażnikowi. Tańczenie i zwykłe... zwykłe zostawienie go tu. To takie niemiłe z... z naszej strony.

Pełna poczucia winy powaga opadła na nie wszystkie, gdy zdały sobie sprawę, że Clover ma rację.

– Cóż – rzekła Bramble. – Przynajmniej mamy gdzie tańczyć do Świąt.

Rozsunęła na bok gałęzie.

Strażnik stał w wejściu do pawilonu, z twarzą naznaczoną zmartwieniem. Za nim, pośrodku parkietu stał śnieżnobiały słup, skręcony jak długa pianka. Zwisało z niego dwanaście kolorowych wstążek, jasnych i gładkich Może to wyobraźnia Azalei, ale Strażnik wyglądał bladziej i nieco starzej niż tego ranka.

– Ani słowa Strażnikowi – powiedziała cicho Azalea. – Wiemy jak to jest być uwięzionymi.

~ ~ ~

Następnego dnia dziewczęta dokładnie przeczesały cały pałac w poszukiwaniu szczypczyków do cukru. Deszcz uderzał o zakryte kirem szyby, gdy przeszukiwały srebrną szafkę, wyrzucając z szuflad niedopasowane widelce, łyżki i starego, pomarszczonego ziemniaka. Przeszukiwały szafki, a nawet otworzyły zamek do pokoju matki. Wszystkie pudła z pudrem, sukienkami i biżuterią były pozamykane, jej koszula nocna leżała na łóżku, a wszystko było dziwne i przytłumione. Powstrzymując się od wdychania zasypki i oliwki dla dzieci, dziewczęta opuściły pokój, starając się przełknąć dławiące je uczucie.

Przeszukały nawet galerię portretową, między misternymi sofami i stołami, podczas gdy młodsze dziewczynki siedziały na czerwonym dywanie,

jedząc chleb z dżemem.

– A to? – spytała Eve z drugiego końca korytarza.

Wpatrywała się w zaszkloną gablotę na piedestale, gdzie leżał srebrny miecz Harolda Pierwszego. Ten sam miecz, który król zabrał ze sobą na wojnę. Zabierał go także na spotkania parlamentu, lub kiedy okazja tego wymagała – na przykład na orędzia. To był miecz ceremonialny.

Azalea po raz pierwszy zobaczyła go z bliska przez szkło. Przypominał bardziej rapier, niż prawdziwy miecz, taki, którym posługiwałby się dżentelmen sprzed dwustu lat – był stary, wygięty, niewypolerowany, a ornamenty na płazie pokrywały czarne plamy. Azalea przyjrzała się jeszcze bliżej i zobaczyła maleńkie pęknięcie. Zmarszczyła brwi, myśląc o brzdęku, jaki wydał, kiedy upadł na deski portu.

– To nie może być to – powiedziała Bramble. – Nie jest magiczny.

– Zaraz – rzekła Azalea. – W tym roku został uszkodzony. I jest wystarczająco stary. Równie dobrze może być to.

Z pomocą Bramble, Azalea podniosła wieko gabloty i położyła ostrożnie na ziemi. Podkasała rękawy.

– Nie dotykajcie tego – ostrzegła Eve, zanim Azalea zdążyła wyciągnąć rękę. – Tylko król może dotykać miecza. Jest taka... legenda, albo coś takiego. Czytałam.

– Rozchmurz się, Primmy – powiedziała Bramble.

Dziewczęta wstrzymały oddechy. Azalea powoli chwyciła za głowicę.

Krzyknęła.

Dziewczęta spanikowały i wydały głośny pisk.

– Ha.. ha ha – zaśmiała się Azalea i cofnęła dłoń. – Tylko żartowałam.

Siostry zgromiły ją spojrzeniem. To było nie fair... Gdyby Bramble tak zrobiła, pomyślałyby, że to niezły ubaw. Westchnęła.

– To tylko stary miecz – powiedziała, zamykając wieko. – Nawet, gdyby był magiczny, nie możemy tak po prostu się go pozbyć. To własność rządu..

Dziewczęta kontynuowały przeszukiwania pałacu, z każdym dniem zwalniając, aż w końcu skończyły, rozczarowane, w pachnącej skórą i drewnem bibliotece. Król wyjechał gdzieś w królewskich interesach, a młodsze dziewczynki bawiły się pod drabiną prowadzącą na antresolę, poruszając ją na kółkach wzdłuż półek.

Wtedy wypełnione okrzykami poruszenie przyprowadziło Azaleę do biurka króla, a reszta sióstr podążyła za nią. Eve wydawała stłumione okrzyki nad porannym wydaniem „Heralda", którego Delphinium ściskała w dłoniach. Ich oczy były wielkie jak spodki.

– Co to, znowu sekcja Lady Aubrey? – spytała Azalea, z uśmieszkiem na ustach.

– Tylko spójrzcie na to! – krzyknęła Delphinium. Jej przeszywający głos od półek wyłożonych książkami. Uśmiech Azalei zniknął. Wzięła od Delphinium gazetę, otworzyła stronę z ogłoszeniami i przesunęła wzrokiem po informacjach o zaręczynach, narodzinach i ślubach. Pomiędzy dwoma ogłoszeniami zaręczyn, znajdowało się duża notka, wypisane pogrubionym tuszem. Azalea przeczytała.

DOTYCZY TYLKO KRÓLEWSKICH INTERESÓW.
DLA MŁODEGO DŻENTLEMENEA, KTÓRY SPEŁNI KRYTERIA –
ZAGADKA DO ROZWIĄZANIA:

GDZIE DWUNASTKA KSIĘŻNICZEK EATHESBURY
TAŃCUJE NOCAMI?

NAGRODĄ BĘDZIE

OGRANICZONE SPOTKANIE
Z NASTĘPCZYNIĄ TRONU
ORAZ
TRZYDNIOWY POBYT W KRÓLESWKIM PAŁACU.

POSIŁKI I ZAKWATEROWANIE ZA DARMO.

APLIAKCJE WYSYŁAĆ DO JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI
HAROLDA WENTWORTHA, JEDENASTEGO KRÓLA EATHESBURY

– Co?! – wykrzyknęła Azalea.

Bramble wyrwała jej gazetę i przeczytała sama. Najpierw ogarnęło ją zdezorientowanie, a później gniew. Młodsze dziewczynki jęczały, by im także wytłumaczyć, o co chodzi.

– Och, już my zobaczymy! – powiedziała Bramble i złożywszy gazetę, wymaszerowała z biblioteki, a reszta sióstr za nią.

Jak na zawołanie, drzwi wejściowe otworzyły się i do środka wszedł król. Był przemoczony do suchej nitki. Ledwie zamknął parasol, a dziewczęta już go otoczyły.

– Co – powiedziała Bramble, rozkładając mu przed twarzą gazetę – to, sir, to jest?

Król zmarszczył brwi, wyglądając jednocześnie na zaskoczonego i rozczarowanego.

– Więc znalazłyście.

– Oczywiście, że znalazłyśmy! – powiedziała Delphinium. Ruszyły za nim jak rój pszczół, a on po kolei zdejmował mokry płaszcz i kapelusz. – „Zagadka do rozwiązania”? To brednie!

– Jak mogłeś?

– Teraz całe państwo wie, że nocami tańczymy!

– Jeśli chcecie powiedzieć mi, gdzie chodzicie – odparł cierpko król – z przyjemnością usunę ogłoszenie. Jakkolwiek, w przyszłości może pomyślicie dwa razy, zanim złożycie przysięgę taką, jak ta.

– Ale sir – powiedziała Eve. – Czy nie wiesz, gdzie chodzimy? Dlaczego zamieniać to w królewskie interesy?

Król westchnął i oparł swój ociekający parasol o stojak.

– Ponieważ, panno Evening Primrose, nawet ja przyznaję, że pewne rzeczy muszą zostać podjęte, mimo żałoby.

...spotkanie z Następczynią Tronu...

Azalea oparła się o ciężkie drzwi do biblioteki, kładąc rękę na brzuchu, starając się zwalczyć mdłości. Przypomniała jej się pewna zabawa bożonarodzeniowa, w której dżentelmen stara się stanąć na kawałku papieru. Tańczy się wtedy gorlitza z damą, której imię jest wypisane właśnie na tym skrawkuu. To jednak było gorsze; to była aranżacja małżeństwa, nie tylko gra.

Pojawiły się także inne wspomnienia; król podaje Azalei zaproszenie i mówi: „Pytanie tylko, jak doprowadzić do spotkania z dżentelmenem podczas żałoby." Lata temu, kiedy Azalea odkryła, ze następczyni tronu Delchastire była zaręczona z pewnym księciem niemal czterdzieści lat od niej starszym, Azalea poczuła się tak zniesmaczona tym artykułem, że zgniatając go, ubrudziła sobie tuszem całe dłonie.

Tamtej nocy matka szczotkowała jej włosy, ale Azalea nic nie musiała mówić; matka wiedziała.

– Och, gąsko – rzekła. – Nie martw się tak. Król nigdy nie połączyłby cię z kimś, kogo byś nie polubiła.

– Jesteś na królewskich łowach! – zawołała Bramble, przywołując ją do

rzeczywistości. Dziewczęta zapędziły króla w kozi róg, obok stojaka na parasole, ale król nie uległ.

– Nie, nie nie – rzekł, wyglądając na poirytowanego. – To nie tak. Jest w tym pewna metoda. Zobaczycie.

– Matka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! – powiedziała Bramble.

– Nie użyłaby Azalei jako przynęty! – dodała Delphinium.

– Dosyć, dosyć! – zawołał król. – Już dosyć. Musicie w końcu zrozumieć, że teraz macie tylko mnie, a nie matkę. Nic w tym nie pomoże. Nienawidźcie mnie za to, dobrze wiem, że znienawidzicie, ale kiedy przybędą goście, wszyscy będziemy zgodni i wszyscy będziemy jeść wspólnie posiłki jako bardzo, bardzo szczęśliwa rodzina! Którą jesteśmy! Czy to jasne?

Król zakończył swoją wypowiedź wrzaskiem, który uciszył je wszystkie.

– Doskonale. – Potarł czoło zabandażowaną dłonią. – Z niecierpliwością czekam na nasze wspólne posiłki.

Rozdział 15

Trzy dni później, właśnie gdy skończyły się lekcje, a dziewczęta odłożyły książki i wytarły tabliczki, w drzwiach oranżerii pojawił się król. Przyszedł z jakimś dżentelmenem, starannie ubranym w niebieski garnitur z niesłychanie pogniecionym krawatem.

– Moje panie – powiedział król sztywnym, formalnym tonem. – To pan Hyette. Jest naszym dalekim krewnym. I pierwszym gościem.

Dziewczęta zaczęły gwałtownie szeptać. Wzrok pana Hyette'a spoczął na ubrudzonym kredą obrusie, usychających krzewy różanych i chrapiącym panu Rhamsdenie. Chociaż jego twarz nic nie wyrażała, w oczach widniał grymas. Szybko przekształcił go w uśmiech i ukłonił się nisko.

– A więc to są małe księżniczki, o których tyle słyszałem – powiedział, prostując się. – A... ee, to jest przyszła królowa.

Zrobił krok wprzód i ujął dłoń Clover.

Azalea pokryła się rumieńcem. Młodsze dziewczynki zachichotały. Clover poczerwieniała jak szalona, starając się cofnąć dłoń.

– N...n...nie... nie... to nie... ja...

Król stanął między dżentelmenem a Clover i ze zmarszczonym czołem przerwał ich połączone dłonie.

– Panie Hyette, doprawdy! To trzecia z kolei. Nie jest nawet pełnoletnia!

Młodsze dziewczynki chichotały w najlepsze. Eve i Delphinium parsknęły

w swoje podręczniki. Pan Hyette błysnął uśmiechem z bardzo białymi i prostymi zębami.

– Proszę o wybaczenie. Jest ich tak wiele. Mogę prosić o przedstawienie?

Dokonano prezentacji, pomijając Lily, która drzemała w kołysce. Kiedy król zakończył przedstawianie na Azalei, pan Hyette spojrzał na nią i jego twarz spochmurniała.

Azalea stwierdziła wówczas, że kolejne dni będą dla pana Hyette'a bardzo samotne.

– Wszystkie odpowiadacie za zabawianie pana Hyette'a tego popołudnia – oznajmił król. – W ogrodach.

Tabliczki upadły na podłogę.

Pięć minut później, dziewczęta stały w otwartych kuchennych drzwiach, mrugając przed jasnym światłem. Zapach lilii, róż, słodkiego groszku i kapryfolium mieszał się z rześkim zapachem późno-letnich liści. Żadna nich nie była w ogrodach od dziewięciu miesięcy; nic więc dziwnego, że nasycone zielenie, czerwienie i fiolety przytłoczyły je. Ogrody przypominały Azalei o matce – piękno i jasność , zapach i ekscytacja. A król – on był jak pałac za nimi: same proste kształty i szarości, sztywność, symetria i zasadniczość.

– Czy to naprawdę dozwolone? – spytała Flora.

– Dozwolone *dozwolone*? – dodała Goldenrod.

– Po raz ostatni – rzekł król, wypychając je delikatnie z kuchni, prosto na ścieżkę – to są królewskie interesy! No, dalej. Złapcie trochę koloru na te policzki.

Młodsze dziewczynki wrzasnęły i wbiegły w zarośla. Bramble, Clover i reszta pobiegły za nimi i sprowadziły z powrotem, przypominając o Paragrafie Piątym Zasad w Ogrodach. Ogrody rozciągały się tak daleko, że obejście ich zajmowało niemal godzinę, a młodsze mogłyby się zgubić, gdyby zeszły z

wyznaczonych ścieżek. Azalea już miała pójść za siostrami przez treliażową ścieżkę, kiedy silna dłoń chwyciła ją za ramię i zatrzymała. Pan Hyette.

– Cóż – rzekł ze swoim białym uśmiechem, przyciągając ją jeszcze bliżej. – Nie wygląda pani tak źle w świetle dnia. Słońce podkreśla pani czerwone włosy.

– Och – odparła Azalea, starając się delikatnie cofnąć dłoń. – Panie Hyette, proszę.

– Nie wydaje ci się, że jestem przystojny?

– Nie.

Uśmiech pana Hyette'a zniknął.

– Posłuchaj no – powiedział. – Raczej nie powinnaś być wybredna. Wszyscy wiedzą, że za tą głupią zagadką stoi znalezienie przyszłego króla.

– Cóż... no i co z tego?

Azalea starała się wyrwać rękę.

– A to, że twój ojciec musiał ogłaszać się w gazecie, by wam znaleźć męża. A po poznaniu waszej niesfornej rodzinki widzę, dlaczego. Twoja ładna siostra jest jedyną osobą wartą mojego czasu. Ale, jeśli będziesz dla mnie miła przez te kolejne dni, może ja...

– Panie Hyette.

Pan Hyette puścił Azaleę tak szybko, jakby został postrzelony. Król wciąż stał w kuchennym wejściu, rzucając panu Hyette'owi lodowate spojrzenie. Azalea podbiegła do niego z wdzięcznością.

– Panie Hyette, proszę nas zostawić. Azaleo... na słowo.

Nadąsany pan Hyette odszedł w głąb ścieżki. Król już miał coś powiedzieć i po raz pierwszy w swoim życiu, Azalea zobaczyła, że wygląda na zakłopotanego. Wyglądał tak, jakby jego wnętrzności zostały nawinięte na zbyt skręconą szpulę.

– Azaleo – powiedział w końcu – podczas tej szarady powiesz mi, gdy...

spodoba... ci się któryś z dżentelmenów?

Azalea patrzyła na niego, a gorący rumieniec oblał jej twarz.

– O...oczywiście – wyjąkała.

Wewnętrzna nić króla musiała się rozsupłać.

– Dobrze – powiedział.

Azalea pobiegła przez ogród; jej czarna spódnica powiewała na wietrze pachnącym kapryfolium i bzami. Już zapomniała jak świeżo i żywo było w ogrodzie, z jasnymi kwiatami rozkwitającymi naokoło niczym fajerwerki. Chociaż nieco zaniedbany, z bluszczem porastającym ścieżki i mchem opatulającym marmurowe rzeźby, górował nad nią we wspaniałym obrazie przerośniętych figur z krzewów, drzew i ukwieconych łodyg, wijących się wokół treliażowych kratek. Gdy biegła, co chwila padały na nią różne cienie.

Jak zauważyła Azalea, zagadka była istną enigmą. Podobnie jak król. Przez ostatnie dni myślała tylko o tym, że te królewskie interesy służyły jedynie przyciągnięciu potencjalnych przyszłych królów. Jak bal, tylko że w żałobie. Teraz Azalea zastanawiała się, czy król nie zaaranżował tej gry dla niej? Dlaczego miałby być zaniepokojony, gdyby Azalea polubiła jakiegoś dżentelmena zanim parlament podejmie decyzję?

I ogrody. Azalea nigdy nie oczekiwała, że to wszystko wyniknie z zagadki. Czy wiedział, jak bardzo za tym tęskniły? Tak jak za jedzeniem z nim posiłków. To było dziwne. Nigdy wcześniej się tym nie przejmował.

Azalea znalazła dziewczęta w części ogrodów z fontannami, gdzie podziwiać można było białe rzeźby i sadzawki wyłożone marmurem. Woda w nich szemrała i tryskała, a mały wietrzyk tworzył zasłonę z mgły, która pod słońce zamieniała się w tęczę. Młodsze siostry pozdejmowały buty i pończochy – co było ściśle niedozwolone, jako że ogrody były publiczne – i moczyły sobie stopy w zamulonych stawikach.

Azalea usiadła na brzegu jednej z fontann i podzieliła się z siostrami tym, co powiedział jej król. Nastała głucha cisza, przerywana jedynie pluskiem przelewanej wody.

– Wiecie co – powiedziała Eve, usiłując przypiąć świeżo zerwany kwiat do ciemnych włosów – czasem zastanawiam się, czy król jest, no wiecie, bystry. Nie tak jak my, oczywiście. Ale bystry w cichszym rodzaju.

Bramble zanurzyła palce w sadzawce, tworząc okręgi na powierzchni i poruszając lilie wodne. Wyglądała bardziej poważnie, niż Azalea kiedykolwiek ją widziała.

– Jeśli to prawda – rzekła powoli – to wszystkie mamy więcej wolnej reki w wyborze dżentelmena niż sądziłam.

– Zapomniałaś, że to mi planuje się aranżowane małżeństwo? – Azalea założyła ręce na piersi. – Wy macie wybór.

Bramble podniosła wzrok z sadzawki i uśmiechnęła się, ale nie było w tym żadnej cierpkości.

– Nie, Az. Nie sądzę, że mamy.

Wstała, wytarła ręce o spódnicę, a na jej ustach wciąż gościł ten smutny uśmiech. Wykonała głęboki ukłon typu Schleswig w stronę Clover.

– Clover – powiedziała – jest taka piękna. Jest najładniejsza na świecie. Widziałyście, jak pan Hyette na nią patrzył. Byłby zachwycony móc się z nią ożenić.

Clover poprawiała kwiat, który wpięła we włosy Kale.

– Straszne – rzekła, próbując się uśmiechnąć.

– Kiedy tylko w grudniu stanie się pełnoletnia – ciągnęła Bramble – zostanie wybrana przez pierwszego dżentelmena, który tylko na nią spojrzy. Jak złoty słowik. I jest tak piekielnie słodka. Jest zbyt słodka, by odmówić. Zgodzi się z nim pójść.

Clover poczerwieniała.

– N...nie. To... tak nie... będzie.

– A ja – rzekła Bramble i nawet jej wymuszony uśmiech zniknął. – Cóż... ja. Mam zbyt mały posag i za dużą jadaczkę. A żaden dżentelmen tego nie lubi. Król będzie wdzięczny, jeśli ktokolwiek mnie zechce.

Fontanny szumiały, a odgłos ten maskował ciszę, jaka zapadła. Azalea przytknęła dłoń do brzucha, myśląc o tym okropnym, chorym uczuciu, które ogarniało ją za każdym razem, kiedy myślała o swoim przyszłym dżentelmenie. Teraz zdała sobie sprawę, że Clover i Bramble musiały się czuć podobnie. Wyglądały tak żałośnie.

Azalea wstała.

– Jest taki taniec, którego matka nas kiedyś uczyła – powiedziała, podchodząc do sadzawki. Pośród lilii leżało tuzin ośmiokątnych kamieni tworzących okrąg. Woda przepływała tuż nad nimi. – Wejdźcie na kamienie. Spróbujmy.

Mimo, że naokoło nie było żywej duszy, starsze siostry były nieco zaniepokojone tym, co by było, gdyby ktoś zobaczył ich nagie kostki. Ale i tak, nie potrzeba było długiego przekonywania, by po chwili buty i pończochy leżały na jednym stosie, a Azalea szła po brzegu sadzawki, pomagając siostrom wejść na kamienie. Stopami odepchnęły lilie.

Azalea wspięła się na swój kamień – oślizgły i gładki od wody, a dziewczynki chichotały, gdy woda opływała ich kostki. Ten taniec opierał się na równowadze; skakało się od kamienia na kamień i pod żadnym pozorem nie można było dotknąć wody.

– Tobie zawsze się udawało – powiedziała Bramble, skręcając palce na śliskich kamieniach – To całe pocieszanie.

– Od czego są siostry – odparła Azalea. – Opiekujemy się sobą nawzajem,

prawda? Król nigdy nie zaaranżowałby waszego małżeństwa... a ja nigdy bym mu na to nie pozwoliła. Obiecuję.

Cienkie usta Bramble wygięły się w łuk.

Azalea zaczęła odliczać; wszystkie przygotowały się do zrobienia kroku... kiedy nagle krzewy hortensji niedaleko od nich zaszeleściły i poruszyły się. Dziewczynki omal nie ześlizgnęły się ze swoich kamieni.

– Ktoś tam jest – wyszeptała Jessamine.

Azalea podążyła je jej wzrokiem w stronę krzewów.

– A-ha!

Dziewczęta wrzasnęły. Azalea wygrała z grawitacją i tylko jej halka lekko się umoczyła. Za nią rozległ się plusk, a potem kolejny i kiedy Azalea odwróciła się, zobaczyła Kale oraz Eve w wodzie, które kaszląc, wypluwały wodę. Okulary Eve leżały krzywo na nosie. Do głowy Kale przykleił się kwiat lilii.

Z krzaków rozległ się śmiech. Wyłonił się pan Hyette, z laską pod pachą, który śmiał się do rozpuku. Zaklaskał w dłonie.

– Dobra robota, moje panie. Doskonała. Złapane na tańczeniu w miejscu publicznym i do tego podczas żałoby. Ojej, czy król nie będzie zadowolony, że położyłem temu kres?

Kale wciągnęła głęboki, urywany wdech i wydała z siebie przeszywający krzyk.

– Jesteś koszmarny! – wykrzyknęła Eve ponad krzyki Kale i rzuciła się w kierunku swoich pończoch. – Jak śmiałeś!

Pan Hyette śmiał się jeszcze bardziej.

– Macie takie drobne kostki.

Azalea chwyciła swoje buty i pończochy ze stosu i pomaszerowała prosto do pałacu, przeciskając się przez trawniki i linię krzewów. Dziewczęta pobiegły za nią, zostawiając za sobą mokre ślady. Śmiejący się wciąż pan Hyette szedł na

końcu.

– Wasza Wysokość! – wrzasnęła Azalea, gdy dotarła do kuchni. – Wa-sza Wy-so-kość!

Razem z krzykiem Kale i zagniewanymi okrzykami pozostałych dziewcząt przez pałac przeszedł istny huragan.

Król wyłonił się w końcu z biblioteki, z dokumentami w dłoni i zmarszczonym czołem.

– No, o co chodzi, o co chodzi? – spytał gniewnie. – Czy nie dacie mi popracować przez pięć minut?

Dziewczęta wybuchły gniewnymi krzykami. Kale wydała kolejny, przeszywający wrzask.

– On...on...on – powiedziała Delphinium, wskazując palcem na pana Hyette, który wciąż śmiał się w najlepsze. – On... on... to on.

– On...on...on... nas szpiegował!

– A my nie miałyśmy nawet na sobie butów!

– Ani nawet pończoch!

Tszts- trzask.

Król rzucił pana Hyette'a o boazerię, a jego głowa uderzyła o panele.

Kale zamilkła w połowie wrzasku, czknęła i zachichotała.

– Panie Hyette! – warknął król.

Pan Hyette usiłował wyrwać się spod stalowego uchwytu króla.

– Au, au.

Król oderwał go od ściany i chwycił za pognieciony krawat, a potem pociągnął za sobą w stronę frontowych drzwi, wyrzucił za próg i zatrzasnął za sobą drzwi. Zaszurał żwir.

– No – powiedziała Bramble, nienagannie udając pana Hyette'a. – No, no! Te królewskie interesy mogą właściwie być całkiem zabawne!

Rozdział 16

Pan Hayette odpłynął tamtego popołudnia z wszystkimi kończynami na miejscu. Azalea dziękowała w duchu, że król nie wyzwał go na pojedynek. Był w takich wypadkach bardzo staroświecki, a Azalea szczerze nie życzyła panu Hyette'owi kuli w ramieniu.

Wiązało się to jednak z tym, że dziewczęta przez kolejne dwa dni musiały siedzieć w pałacu. Uparcie jadały posiłki w swoim pokoju, a pomiędzy lekcjami Azalea pomagała im przeszukiwać strych, mając nadzieję znaleźć cukrowe zęby. „Przeszukiwanie" obejmowało dyrygowanie siostrami, które miały wertować stare kufry i zakurzone pudła na kapelusze, co robiły z wielkimi narzekaniami. Kiedy Azalea nie patrzyła, zaraz uciekały.

Zamiast tego, przygotowując się na przybycie kolejnego dżentelmena, zrobiły Listę Królewskich Przymiotów. Obejmowała takie rzeczy jak: „miły dla sióstr" oraz „daje siostrom prezenty". Do czasu, aż nie przybył nowy dżentelmen – pan Oswald z uniwersytetu Delchastire, lista osiągnęła długość czterech stron.

Dżentelmen pojawił się ze stosem książek, kałamarzy i ogólną, pogodną aurą. Nie przeszkadzało mu to, że dziewczęta otoczyły go i dokuczały na widok krzaczastych bokobrodów.

– On pisze książkę – powiedział król, prowadząc je w stronę słonecznych ogrodów – o tutejszych ogrodach. Mamy nawet jego dwie książki. Biblioteka, północna strona, pod O. Co myślisz, panno Azaleo? Czy wpasuje się w listę,

twoich sióstr?

Azalea przekrzywiła głowę. Czyżby król się z nią droczył?

– Będzie musiał się ogolić – rzekła i poszła przodem.

– A co – zaczął król, głaszcząc swoją krótko przystrzyżoną brodę – jest takiego złego w baczkach?

Azalea roześmiała się z tego niezwykłego zachowania króla.

Obiad także był inny niż zwykle. Dziewczęta przyniosły kwiaty, dokuczały panu Oswaldowi. Podczas spożywania rybnej zapiekanki rozmawiali o ogrodach. Król zapytał, jak im minął dzień, a one nieśmiało odparły, że bardzo dobrze. Azalea spytała o jego dłoń, a on wciągnął policzki, podniósł zabandażowaną rękę i pomachał palcami w odpowiedzi. Obiad nie różnił się wiele od tych obiadów, które jadali z nim wcześniej, jednak było... miło. Coś skręciło się w środku Azalei. Tęskniła za posiłkami z rodziną.

Podczas swojego trzydniowego pobytu, pan Oswald spacerował po ogrodach, robiąc notatki w dzienniku, podczas gdy młodsze dziewczęta chwytały lwie paszcze i mu je pokazywały. Był zafascynowany labiryntem z lilii, fontannami oraz kwiatowym zegarem. Król także był wtedy w ogrodach. Kazał przenieść sobie papiery, kałamarze i suszki na zewnątrz, postawił je na kamiennym blacie i uparcie wszystkiego pilnował. Gdy on pracował, dziewczęta piły herbatę pod baldachimem z bluszczu i kapryfolium, a świeża bryza poruszała ich włosami i sukienkami.

Nocą Azalea wpięła kwitnące kwiaty we włosy młodszych dziewczynek, a one zebrały się przed toaletką, starając się dostrzec swoje odbicia w małym lusterku.

Kolejny dżentelmen przybył, kiedy Azalea robiła porządki pod łóżkiem, szukając cukrowych zębów, a znajdując jedynie kurz, guziki i kilka martwych pająków. Niechętnie porzuciła swoje zajęcie, by przywitać nowego gościa.

Był nim pan Penbrook, z balu bożonarodzeniowego. Wciąż wilgotny. Jego twarz błyszczała pod cienką warstwą potu. Kiedy pili popołudniową herbatę w ogrodach, gadał i gadał i gadał o parlamencie, obligacjach i o tym, ile dochodu przynoszą jego posiadłości. Bramble stała za nim, udając, że nalewa mu herbatę na głowę.

W końcu dziewczęta dały drapaka z ukradzionym serem, a Bramble ruszyła za nimi prosto w kwitnące krzewy.

– Zaczekajcie! – zawołała Azalea, omal nie przewracając krzesła. Złapała Bramble za rękę. – Nie skończyłyśmy przeszukiwać pokoju.

– Och, Az – odparła Bramble, zabierając rękę. – Mamy mnóstwo czasu. Gdy znajdziemy je teraz, zostanie nam mniej czasu na tańczenie podczas żałoby.

– Ale co, jeśli nie znajdziemy ich przed Świętami?

– Och, w końcu się pokażą. – Bramble uśmiechnęła się promiennie. – Gotowe zmasakrować kolejną ofiarę. Może będziemy mieć szczęście i okaże się, że to będzie on.

Siedzący na wiklinowym krześle pan Penbrook uśmiechnął się do nich, mdłym, zdezorientowanym uśmiechem.

– Nie zostawiaj mnie – błagała Azalea. – Proszę.

Bramble zanurzyła się w powabnym dygu; jej równowaga była jak zwykle perfekcyjna. Potem uciekła w krzaki.

– Panno Azaleo! – powiedział pan Penbrook. Chwycił jej dłoń. – Wreszcie zostaliśmy sami! To przeznaczenie!

– Panie Penbrook! – Azalea starała się zabrać dłoń. – Doprawdy.

– Jestem panią oczarowany, panno Azaleo!

– Och. Nie czuję palców. Proszę puścić.

Pan Penbrook puścił jej dłoń, ale wciąż miał na ustach ten mokry uśmiech. Azalea spojrzała ponad panem Penbrookiem, a nawet ponad królem,

który spoglądał na dżentelmena zmrużonymi oczami i zobaczyła fioletowe kwiaty na dalekim końcu żywopłotu.

– Panie Penbrook – powiedziała, wstając. – Proszę przejść się ze mną po ogrodzie.

Pan Penbrook skoczył na równe nogi. Azalea pobiegła w kierunku liliowego labiryntu. Ciężki zapach otumanił ją, a gdy biegła, musiała uchylać głowę przed gałęziami.

– Szybciej, panie Penbrook – zawołała Azalea, skręcając w pokryty liśćmi tunel. – Musi mi pan dotrzymać kroku!

– Ach, rozumiem! Ha ha! Idealnie, moja pani! Ee... księżniczko... biegnie pani zbyt szybko...

– Dalej, panie Penbrook!

– Księżniczko? Księżniczko Azaleo? Halo?

Azaleę ogarnęły wyrzuty sumienia, kiedy kończyła przeszukiwanie sypialni sama. Wiedziała, że nie powinna była tego robić. Niestety, pan Penbrook był tym typem dżentelmena, o którym opowiadała jej matka. Mogłabyś zatruć ich konie, ukraść ordery, podpalić rezydencje, odciąć palce, a oni wciąż będą myśleli, że jesteś przeurocza.

Gdy zapadł zmierzch, Azalea posłała pana Puddinga po pana Penbrooka. Dżentelmen przybył do jadalni, zasapany, z gałązkami we włosach, ale z szerokim uśmiechem skierowanym do Azalei. Azalea jęknęła w duchu.

Następnego ranka, pan Penbrook nie pojawił się na śniadaniu. Azalea dowiedziała się, że król odesłał go, zlecając mu napisanie czterdziestostronicowego raportu o kondycji mostów w Hannoverze. Z ulgą i wstydem jednocześnie, Azalea pomogła pani Graybe w przygotowaniu pieczonego kurczaka na obiad – ulubionego dania króla. Zauważyła, że jadanie z nim posiłków przez te kilka następnych tygodni nie będzie takie złe.

~ ~ ~

– Odwiedziło nas już ośmiu dżentelmenów – powiedziała Eve jednego wieczora, kilka tygodni później, w pawilonie. Zawiązały na nowo swoje pantofle, rozchodzące się już na szwach, i usiadły w okręgu na parkiecie. Był już prawie ranek, a najmłodsze posnęły, przypominając małe bryłki na sofach; wszystkie pozostałe otwarcie ziewały, sygnalizując Azalei, że najwyższy już czas zebrać stadko i pójść spać.

– Ośmiu dżentelmenów – kontynuowała Eve – a z każdym było coś nie tak.

– Och, byli w porządku – zaprotestowała Azalea, poruszając palcami stóp. Widziała różową skórę przez szwy. Te minione tygodnie były bardzo aktywne, z diukami, hrabiami, a nawet wicekrólem przybywającymi swoimi wyszukanymi karetami. Wicehrabia Scantlebury pomógł jej nawet szukać – chociaż bezskutecznie – cukrowych zębów w piwnicy, a z Sir Dietrichem można było porozmawiać na ciekawe tematy. Azalea uważała, że każdy z nich był miły – chociaż nie w tym ściskającym serce i zapierającym dech stylu. – Wszyscy byli strasznie grzeczni – powiedziała, jakby miało to usprawiedliwiać to, że nic do żadnego nie poczuła.

– Mówisz tak tylko – rzekła Bramble – bo jesteś zbyt miła. My znalazłyśmy w nich same wady. Eve?

Eve wyciągnęła złożoną kartkę papieru z wypisanymi nazwiskami dżentelmenów i nabazgranymi tuszem adnotacjami.

– Diuk Orlington.

– Miał krzywą twarz. Następny.

– Baron Rosenthal.

– Ha! Jadł więcej niż Ivy!

– Och, doprawdy – rzekła Azalea. – To żaden powód, by dyskwalifikować...

– Markiz DeLange – kontynuowała Eve.

– Yyy, był niższy niż my wszystkie!

– To nie... – zaczęła Azalea, ale po chwili zmieniła zdanie. W zasadzie, to był dobry powód.

– W każdym razie, chodzi o to – powiedziała Bramble, oddając Eve kartkę i wygładzając spódnicę na marmurze. – Żaden z nich nie był wystarczająco dla ciebie dobry.

– Azaleo – rzekła Delphinium. Siedziała na ziemi, naprzeciwko Azalei i pochyliła się z łokciami na podłodze. – A co z... no wiesz...

Azalea od razu pokryła się rumieńcem, myśląc o dżentelmenie z ciepłymi, brązowymi oczami.

– …Strażnikiem – zakończyła Delphinium.

Przygryzła wargę i rozejrzała się wokoło, a jej jasnoniebieskie oczy zamigotały ze strachu, jakby w obawie, że Strażnik mógłby ją usłyszeć, a potem odwróciła się do Azalei z diabolicznym uśmiechem.

– Strażnik? – spytała Azalea. – Nie, dziękuję.

Ale teraz wszystkie dziewczęta miały na twarzy małe, szelmowskie uśmieszki. Azalea skrzywiła się. Rozpoznała te spojrzenia, a oznaczały one jedno: „bezlitosne dokuczanie". Azalea musiała znosić je często przez kilka minionych tygodni, kiedy ogrody z zielonych zamieniły się w odcienie złota, czerwieni, i żółci. Podczas gdy młodsze siostry kłóciły się o zajęcie miejsca najbliżej dżentelmena, Delphinium rysowała, jak będą wyglądały przyszłe dzieci Azalei, gdyby poślubiła któregoś z nich, a Bramble kopała ją wtedy pod stołem.

– Strażnik – powiedziała Bramble przesłodzonym głosem. – Czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś tak piekielnie przystojnego?

– Cicho – powiedziała Azalea przez zęby. – On cię może usłyszeć!

– I taki stylowy – dodała Bramble, chociaż tym razem nieco ciszej.

– I idealny.

– Nigdy nie spotkałam nikogo z takimi... palcami – powiedziała Goldenrod.

Wszystkie zamilkły.

– Cóż, tak, palce też – odparła Bramble.

Wstała z fanfarą, po czym kazała dziewczętom podnieść się i uformować wokół Azalei okrąg. Azalea jęknęła. To była taneczna gra, gdzie osoba pośrodku okręgu była piłką, a dziewczęta naokoło „rzucają" ją sobie nawzajem, każda z czymś do powiedzenia.

– Więc, załóżmy że Azalea znajdzie w końcu cukrowe zęby – powiedziała Bramble, chwytając Azaleę za ramiona i okręcając.

Azalea przewróciła oczami, ale usłuchała i się obróciła. Lekkie pchnięcie i Azalea poleciała w stronę Delphinium.

– Zniszczy je – rzekła Delphinium, łapiąc Azaleę i popychając w kierunku Hollyhock, jak piłkę w spódnicy.

Azalea skrzywiła się, gdy Hollyhock okręciła nią i posłała z powrotem do Bramble.

– I w eksplozji fajerwerków, on wyłania się z przejścia! Bam!

Pchnęła Azaleę do Eve. Eve zatrzymała Azaleę.

– Ale co teraz? Strażnik nie ma gdzie się podziać?

– Cóż – odparła Bramble, a jej uśmieszek zniknął. – Chyba zacznie zalecać się do Az i będzie chciał ją poślubić. On najbardziej lubi Az.

Azalea zatrzymała się, myśląc jak by to było poczuć bliskość Strażnika, jego długie palce dotykające tyłu głowy, jego usta na swoich. Jeśli całował tak dobrze, jak tańczył...

Jej twarz płonęła jak szalona. Rzuciła gorączkowe spojrzenie na wejście, modląc się w duchu, by nie było tam Strażnika.

– Przybywa do drzwi pałacu na pięknym, karym rumaku – podsunęła Delphinium, ciągnąc dalej zaczętą przez Bramble nić, a Eve znowu ją okręciła.

– Ze srebrnymi kwiatami w ręku...

– A król otwiera drzwi... – pisnęła Flora, która złapała Azaleę.

A wtedy, wszystkie stanęły. Spódnica Azalei okręciła się i zatrzymała. Dotarło do wszystkich, co się stało.

– I wymierza mu cios prosto między oczy – zakończyła Azalea.

Wszystkie zachichotały, chociaż taka była prawda. Azalea z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Cóż – powiedziała Eve, gdy zebrały śpiące siostry z poduszek. – I tak byłoby dziwnie, gdybyś za niego wyszła.

– Tak – rzekła Bramble. – Wasze dzieci ciągle by gdzieś znikały.

Gdy wychodziły, w wejściu pojawił się Strażnik, by je pożegnać. Kiedy Azalea mu podziękowała, jego długie palce drgnęły. Azalea zastanawiała się, czy wszystko słyszał. W przelotnej chwili prawie żałowała, że król nic nie wie o Strażniku. Miał oczy, które zdawały się widzieć wszystko.

I tak, nie tylko Strażnika król by nie polubił. Wszystkich dżentelmenów, którzy przybywali do pałacu, oceniał swoim mrożącym spojrzeniem, z którego był znany. Kiedy nastał grudzień, zimny i suchy i zaczął zamieniać liście w lód, król spojrzał tak samo lodowato na Wicehrabiego Duquette. Wicehrabia Duquette został zaproszony tylko dlatego, że przybył z uniwersytetu, co preferował król. Ale Wicehrabia Duquette, choć przystojny, dobrze wykształcony, siwiejący po bokach, przybył tylko z jednego powodu: Clover.

– Tam, skąd pochodzę, twoja uroda zyskała miano legendarnej – powiedział przez stół zastawiony talerzami z zupą i bułkami. Uniósł kieliszek z

winem w stronę Clover, która poczerwieniała ze wstydu. – Cieszę się, że plotki nie przesadzały. Za piękno, moja pani, romanse i historie o złotych włosach.

Król wyrzucił Hrabiego za drzwi.

Skazane na siedzenie w pałacu przez kolejne dwa dni, dziewczęta były dla siebie zgryźliwe i niemiłe, a Clover bliska łez. Rzucała tęskne spojrzenia przez zasłony na ogrody, a potem odwracała się szybko.

Później pomagała Staremu Tomowi podcinać i przykrywać rośliny na zimę, ale Azalea zauważyła, że nie bardzo ją to bawiło.

– To wszystko moja wina – powiedziała, gdy przygotowywały herbatę w ich wyszorowanej do czystości kuchni. – Gdybym nie...

– Co, urodziła się ładna? – rzekła Bramble. Pomieszała wodę w imbryku.. – Dlatego właśnie musimy się wzajemnie sobą opiekować. Az o tym wie.

– Możemy przeznaczyć ten dodatkowy czas w pałacu na szukanie cukrowych zębów – powiedziała Azalea.

Dziewczęta jęknęły.

Kiedy pojawił się król, na zastawionym stole leżał już pokrojony ser i chleb. Dziewczęta wstały nie tylko przez wzgląd na protokół, ale z zaskoczenia. Obok niego, ubrany w elegancki, czarny garnitur, z zakończoną złotą gałką laską, stał Fairweller.

– Drogie panie – odezwał się król. – To nasz gość na kolejne dwa dni.

Zabrzękały sztućce.

– Chyba żartujesz – powiedziała Bramble.

– Już ustalone. – Głos króla był cierpki. – Premier Fairweller był na tyle łaskawy, że zgłosił się, abyście wy mogły wyjść.

– Ale powiedziałeś, że Azalea nie musi... – rzekła Flora.

– Na miłość boską! Po prostu tolerujcie go przez następne dwa dni, jasne?

Kazali Fairwellerowi nieść koszyk. I koc. I parujący imbryk. Uczynił to bez

słowa. Pół godziny później, usiadły skulone pod drzewem herbacianym – wielkim, przytulnym świerkiem w części ogrodu, gdzie żywopłot blokował wiatr. Rozłożono koc, wyciągnięto jedzenie, nalano herbatę, a wszystko to bez słowa ze strony Fairwellera. Nie było już miejsca na kocu, więc ukląkł na wilgotnych igłach, które pokrywały ziemię.

Azalea zajęła się dmuchaniem na gorące herbaty młodszych sióstr i unikaniem wzroku Fairwellera. Eve kaszlnęła.

– Wie pan co, panie premierze – powiedziała Delphinium, mierząc go od góry do dołu. – Nie jest pan taki brzydki. Czerwona kamizelka zdziałałaby na panu cuda. Powinien pan ubrać taką na kolejne orędzie. Wszystkie damy zaczęłyby namawiać swoich mężów, by na pana głosowały.

Fairweller zacisnął usta.

– Wolałbym teraz nie rozmawiać o polityce.

Dziewczęta wymieniły spojrzenia.

– To pan potrafi rozmawiać o innych rzeczach? – spytała Bramble.

– Jestem w stanie pójść na ugodę – odparł – jeśli druga strona jest chętna.

– Och, w takim razie jesteśmy chętne – rzekła Bramble.

– Premierze, dlaczego pan to robi? – spytała Azalea, odstawiając filiżankę na podstawek. – To znaczy, to miło, że poświęcił się pan, byśmy spędziły czas w ogrodach, ale z pewnością wolałby pan być teraz w swojej rezydencji? Wiemy, że nie bardzo nas pan lubi.

Coś drgnęło w twarzy Fairwellera, kiedy jego bezbarwne, szare oczy spojrzały na nie wszystkie.

– Robię to, bo stało się dla mnie jasne, że odnalazłyście jedno z ukrytych magicznych przejść w waszym pokoju.

Zabrzęczały filiżanki. Flora ścisnęła dłoń Azalei.

– I jeśli myślicie, że będą stał i nic nie robił i pozwolił, byście zostały

uwięzione przez magię, albo gorzej...

– Uwięzione? – spytała Clover.

– To nie jest niebezpieczne! – zaprotestowała Flora.

– Magia-szmagia – powiedziała Bramble, odstawiając filiżankę z dźwiękiem. – Rozpracowałyśmy pana! Jest pan tu tylko po to, by móc nas bliżej poznać. Niech pan to przyzna.

Usta Fairwellera stały się cienkie niczym żyletka.

– To nie... jedyny powód – odparł.

Azalea omal nie wypluła herbaty. Bramble omal nie krzyknęła, zszokowana. Twarz Clover była tak różowa, że nawet jej uszy pokrył rumieniec. Flora pierwsza przerwała ciszę.

– Ale jest pan Liberałem.

– To nie ma nic wspólnego z polityką – rzekł Fairweller.

– Jesteśmy bardzo wybredne, jeśli chodzi o naszych przyszłych mężów – powiedziała Bramble i urwała kawałek chleba. – Naszych szwagrów także.

Fairweller wstał, omal nie uderzając głową o zwisającą szyszkę.

– Okazujecie to bardzo dosadnie. Ale przecież zawsze tak było.

Odszedł. Nie podziękował im, ani się nie ukłonił. Po prostu przestąpił przez Lily, która skubała koniec koca, zrobił sobie drogę przez igły i już go nie było.

– Cóż, poszło dobrze – powiedziała Bramble.

Azalea nakroiła więcej chleba, opatuliła mocniej siostry szalami, starając się wszystko naprostować. Wszystkie były marudne, kiedy okazało się, że muszą wracać do środka. Azalea starała się nie myśleć o Fairwellerze, jego cienkim wąsiku i przeszywających, szarych oczach.

Kilka minut później, gdy pozbierały wszystkie rzeczy do kosza, rozbrzmiał kolejny głos, ciągnący się echem wśród chłodnego powietrza. Ten,

jeśli to możliwe, był nawet gorszy od Fairwellera.

– Moja pani – zawołał śpiewająco głos. – Moja pani... wiem, że tam jesteś...

– Na wszystkie kamizelki – powiedziała Bramble, kiedy krew odpłynęła z wszystkich twarzy. – To Wicehrabia Duquette! Wrócił!

Clover, blada jak śmierć, miała jedynie moment na schowanie się za świerk i ucieczkę, kiedy w łukowatym, naznaczonym przez gałęzie wejściu pojawiła się para czarnych, lśniących butów. A wraz z nimi przystojna, śmiejąca się do nich wszystkich twarz Wicehrabiego Duquette, który właśnie otrzepywał się od igieł i uśmiechał wilczo.

– A, tu jesteście. Schowane w małym kokonie. A gdzie motyl?

– O nie – jęknęła Bramble.

– Czego pan tu chce? – spytała Azalea, macając koc za sobą w poszukiwaniu noża do masła. Jej palce znalazły łyżeczkę. Zawsze coś.

– Przybyłem z propozycją – odparł i zaczął przesuwać wzrokiem po ich twarzach. – Zanim ktoś mnie wyprzedzi. Jak tylko będzie pełnoletnia, dżentelmeni zaczną napływać zewsząd z zamiarem złapania jej...

– Wasza Wysokość! – wrzasnęła Azalea. – Wasza Wysokość!

Wiedziała, że król jej nie usłyszy. Został w środku i zajmował się dokumentami. A i tak, Azalea przylgnęła do nadziei, że jej wrzaski odstraszą Wicehrabiego.

– Ach, pewnie wyślizgnęła się na tyły – powiedział. – Nie może być daleko.

W wejściu pojawiła się kolejna para butów.

Azalea omal nie krzyknęła z ulgi. Omal, bo buty nie należały do króla. Postać nawet nie schyliła się, by przejść, a zamiast tego po prostu przepchała sobie drogę przez górne gałęzie. Z góry posypały się szyszki.

Premier Fairweller.

Zlustrował wzrokiem scenę – Azalea wycofana pod pień drzewa, z łyżeczką w dłoni, dziewczęta stłoczone wokół niej, ściskające swoje filiżanki i kulące się przed Wicehrabią Duquettem.

Po długiej, niezręcznej chwili pełnej ciszy, Fairweller zwrócił się do Wicehrabiego.

– Kim pan jest? – spytał zimnym, bezbarwnym tonem.

Wicehrabia, niższy od Fairwellera o pół głowy, poprawił swój elegancki garnitur i laskę, a po krótkim ukłonie i stuknięciu obcasami, powiedział:

– Wicehrabia Anatolii, sir, rycerz czwartego orderu i...

– Pan jest Wicehrabią Duquette.

Coś w tonie głosu Fairwellera sprawiło, że ten drgnął.

– On chcie poślubić Clovel – szepnęła Jessamine, cichym, krystalicznym głosikiem.

– Tak też słyszałem – odparł Fairweller. – Słyszałem też, że panna Clover nie jest zainteresowana taką partią.

– Och, co za różnica – powiedziała wicehrabia z cierpkim uśmiechem. Jesteśmy światowymi mężczyznami, czyż nie? Damy jak ona można łatwo podporządkować.

Palce Fairwellera drgnęły na lasce.

– Premierze, Clover tu nie ma, prawda?

Azalea zagryzła usta i spojrzała na niego błagalnie. Fairweller odwzajemnił spojrzenie; jego żelazne oczy były nieczytelne. Serce Azalei stanęło. Nie zamierzał oddać jej prowadzenia.

– Panna Clover – powiedział Fairweller po dłuższej chwili – jest w tej chwili nieobecna. Udała się na wygłoszenie orędzia wraz ze swoim ojcem, do Werttembergu. Mogę zaopatrzyć pana w powóz, jeśli jest taka potrzeba.

Szczęki dziewcząt opadły. Na szczęście wicehrabia tego nie zauważył.

– Cóż! – rzekł i raz jeszcze stuknął obcasami. – To miło, że przynajmniej ktoś zachowuje się tu jak prawdziwy dżentelmen!

Godzinę później dziewczęta znalazły Clover schowaną między nieprzyciętym jednorożcem a lwem z bukszpanu, wypłakującą oczy na kamiennej ławce. Otoczyły ją, opatuliły w dodatkowy szal i opowiedziały wszystko.

– Werttemberg – powiedziała Eve. – To dwa hrabstwa stąd!

Clover płakała i śmiała się jednocześnie.

Rozdział 17

– Czy nie można wam zaufać na tyle, byście w ciągu pięciu minut nie odstraszyły dżentelmena? – powiedział król z niezadowoleniem, kiedy później odnalazł je grające w bierki w holu głównym, ale już bez Fairwellera.

Dziewczęta uśmiechnęły się nieśmiało, ale nie powiedziały o wizycie wicehrabiego. To by obudziło w nim mordercze żądze, a ostatnio był w tak dobrym humorze. Wciąż jednak dawał im wykłady, na przykład kiedy przyłapał bliźniaczki na ślizganiu się po poręczy, albo kiedy nakrył Kale na rozlaniu atramentu na dywan w jadalni, albo gdy Hollyhock zszyła ze sobą zasłony podczas haftowania. Ale przynajmniej zwracał teraz na nie uwagę podczas wspólnych posiłków i pytał, jak im minął dzień. Żadna z nich nigdy nie podejrzewała, że do tego przywyknie (zawsze były takie zestresowane w jego obecności), aż pewnego dnia wyjechał w królewskich interesach i dziewczęta musiały zjeść obiad bez niego.

Czuły... pustkę.

– Widział nas, jak się trzęsłyśmy w kuchni – powiedziała Flora, gdy wiązały pantofle pewnej wczesnej, grudniowej nocy. – I kazał panu Puddingowi rozpalić ogień w kuchennym piecu i w kominku w oranżerii, a nawet dorzucić dodatkowe wiadro węgla do każdego.

– I zawsze pilnuje, żeby się dobrze paliło! – dodała Goldenrod.

– I powiedział, że na święta nie zaprosi żadnego dżentelmena!

– Będą święta! Prawdziwe święta!

Dziewczęta promieniały. Żar podekscytowania rozniecił się w nich, podczas gdy na zewnątrz ogrody pokrył lód, zwijając liście i oszraniając kwieciste krzewy, rzeźby i ścieżki. Z niepokojem wyczekiwały śniegu, a z nadzieją w oczach czegoś jeszcze: końca żałoby.

– Zostało mniej niż miesiąc – poinformowała Eve, gdy Azalea zaplatała w warkocz czerwone włosy Bramble. Jej policzki były zaróżowione z podekscytowania. Każdego dnia stawała się ładniejsza, nawet z okularami na nosie. – A właściwie ledwie trzy tygodnie.

– Ledwie, ledwie mogę się doczekać! – zawołała Hollyhock.

– Nie będziemy potrzebowały dżentelmena, by wyjść do ogrodów!

– Po prostu... wyjdziemy!

– I znowu będziemy mogły nosić kolory!

– I będziemy tańczyć!

– Już tańczymy – powiedziała Azalea, ale uśmiechnęła się, gdy tak skakały z jednej nogi na drugą, obijając się o pufy, stoliki i łóżka i rzucając w siebie poduszkami. Tej nocy, wpasowując się w nastrój, nauczyła je świątecznego jiga. W tym tańcu, dama kładzie dłoń na dłoni dżentelmena, następnie podnoszą je na wysokość oczu obojga i obracają się. Clover grała posłusznego partnera Azalei, idealnie załapując kroki dżentelmena.

– Rozłączamy się i obrót – instruowała Azalea, a spódnice obracały się wraz z nią.

Puściła oczko w stronę sióstr, stłoczonych jak czarna masa na marmurowym parkiecie, odwróciła się z powrotem do Clover...

… i stanęła twarzą w twarz ze Strażnikiem.

– Och! – wykrzyknęła.

– On... jakoś tak... się wciął – odezwała się stojąca z boku Clover.

Jej spódnica wciąż się poruszała od obrotu Strażnika. Mrugnęła, a jej ładna buzia płonęła z zaskoczenia.

Zanim zdążyła się wycofać, Strażnik chwycił dłoń Azalei, posyłając dreszcz w górę jej ręki. Uniósł ją tuż nad ich ustami, wciąż utrzymując z nią kontakt wzrokowy.

– Ach, świąteczny taniec – powiedział, obracając ją bez wysiłku. Jego peleryna muskała marmur. – To by było nie fair, gdyby zatańczyła go pani bez dżentelmena.

Azalea zmrużyła oczy. Gorący płomień rozniecił się w jej piersi i rozszedł po ciele. Nie lubiła, gdy na nią naciskano. Instynktownie cofnęła dłoń.

– Clover zupełnie dobrze sobie radziła...

Strażnik szybkim ruchem ponownie chwycił jej dłonie. Ścisnął tak mocno, że palce zapulsowały.

– Nie szukałyście. – Mówił nisko i cicho. Oczy Strażnika wwierciły się w jej, ale Azalea unikała tego czarnego spojrzenia, znajdując sobie za to inny punkt, na jego kołnierzu, który znajdował się na jej poziomie wzroku. Tuż nad krawatem drgnął mu mięsień. – Nawet się nie starałyście.

– Myli się pan – wyszeptała Azalea, a gorąca krew wypełniała jej policzki. Palce pulsowały w uścisku Strażnika. – Proszę puścić.

Strażnik uśmiechnął się łagodnie.

– Może powinnyście się nieco przyłożyć?

Azalea wyrwała dłonie z uścisku. Wyślizgnęły się spod jej rękawiczek, które zwisały teraz w jego długich palcach.

– Mamy czas do Świąt – powiedziała.

Strażnik, wciąż nie spuszczając z niej oczu, wsunął rękawiczki do kieszeni kamizelki, a Azalea zdała sobie sprawę, jak martwe i zimne było jego spojrzenie. W przeciwieństwie do pana Bradforda, nie było w nim światła.

– Owszem, macie – odparł.

~ ~ ~

Następnego dnia, palce Azalei były posiniaczone i spuchnięte. Bolało ją, gdy trzymała pióro lub zapinała bluzkę, a cały dzień czuła się poirytowana i zła.

– Mówię szczerze, jeśli nikt nie pomoże mi w szukaniu cukrowych zębów – powiedziała, gdy schodziły do ogrodu – to nie powinnyśmy tam w ogóle tańczyć.

W odpowiedzi usłyszała protesty i tupania. Azalea zacisnęła pięści, co jedynie spotęgowało ból w palcach.

– A co ze strumykiem? – spytała Bramble. – Szukałaś tam? Cukrowe szczypce pewnie węszą gdzieś tam w pobliżu pozostałości po serwisie.

Biorąc radę Bramble do serca, Azalea ruszyła o poranku do najdalej wysuniętej części ogrodów. Części, która od lat nie była pielęgnowana; gdzie korzenie drzew przebijały się przez brukowane ścieżki, a suche liście blokowały dostęp słońca. Śmierdziało tam gnijącym drewnem i mokrymi trawami. Bluszcz, mech, korzenie drzew porastały niemal wszystko, a pokrywał to koc z upadłych liści.

Za Azaleą podążał lord Howley – premier Delchestire i jednocześnie najnowszy uczestnik ich gry. Miał bujne bokobrody i wąsy, a był tak arogancki, że nie odzywał się nawet do młodszych dziewcząt. Zasypywał Azaleę pytaniami, gdzie zmierzała, aż w końcu musiała mu powiedzieć.

– Magiczny serwis do herbaty? – powtórzył, potykając się o wystający korzeń. – Myślałem, że rodzina królewska już go sprzedała. Widziałem ogłoszenie.

– Nie sprzedaliśmy – odparła Azalea.

Nie wchodziła w szczegóły. Rok wcześniej, kiedy matka była w zaawansowanym stadium choroby, król posłał po doktora z Delchastire. Milczący i ponury, przepisał leki tak drogie, że musieli oddalić jedną z pokojówek. Król zagroził nawet, że pozbędzie się ich pantofli do tańca, ale po naleganiach matki, ustąpił. Zamiast tego, Azalea i jej siostry spędziły wiele godzin na pieczeniu babeczek i chleba na sprzedaż. Król dał ogłoszenie do gazety w celu znalezienia kupca na stary magiczny serwis, ale z jakiegoś powodu nikt nie chciał cukrowych szczypców, które mogły wydłubać oczy.

Koniec końców jakoś sobie poradzili, a matce się poprawiło... do czasu.

– Wie pani, nie musielibyście sprzedawać waszych rzeczy, gdyby król podniósł podatki na import i eksport – powiedział Lord Howley, gdy szli krzywym brukiem. – Podatek i zmienna stopa procentowa w wysokości dwóch i pół procenta...

– Król nie podnosił podatków od dwustu lat – odparowała Azalea.

Odepchnęła gałąź z twarzy, która odskoczyła i uderzyła lorda Howley'a. Ten coś mruknął, ale kontynuował.

– Gdybym to ja został królem, mógłbym to zmienić.

Uśmiechnął się przebiegle, przez co jego wąsy najeżyły się.

Azalea odwróciła się nagle, balansując na ruchomej kostce brukowej. Posłała mu szeroki uśmiech, ten sam który, jak wiedziała, tworzył w jej policzkach głębokie dołeczki.

– Lordzie Howley. Dlaczego sam pan nie podzieli się z królem tym wspaniałym pomysłem na zmianę systemu rządzenia? Z pewnością chętnie to usłyszy.

Lord Howley odepchnął z twarzy gałązkę.

– On chyba nie za bardzo mnie lubi.

– On jest taki dla wszystkich. Poza tym... – Azalea klasnęła w dłonie. – To

mu zaimponuje.

– Tak pani myśli?

– O, tak. Uwielbia, gdy inni mówią mu, jak ma rządzić krajem.

Lord Howley pomaszerował do króla, który doglądał dokumentów w nie tak odległej od nich części ogrodów, a Azalea odetchnęła z ulgą. Kilka minut później stała na skraju strumyka – malowniczego krajobrazu z mostkiem.

Po przeszukaniu wzrokiem prędkiego nurtu, Azalea straciła nadzieję. Strumyk był zbyt głęboki i wzburzony, by móc dostrzec dno. Balansując na kamieniu, wychyliła się w poszukiwaniu jakiegoś błysku srebra, a kiedy nic nie znalazła, zgrabnie przeskoczyła na inny kamień.

Coś w kącie pola widzenia przykuło jej uwagę. Ciemna sylwetka – nie czarna, ale brązowa, z szerokimi ramionami, trzymająca w ręku wysoki kapelusz i stos książek. Azalea przez dłuższą chwilę przyglądała się potarganym włosom...

… i straciła równowagę.

Pochłonęła ją lodowata woda. Szok odebrał jej dech, a nurt szarpał za krynoliny i spódnice. Świat skurczył się do lodowatych, zniekształconych i podwodnych dźwięków jej własnego serca. Azalea spanikowała.

Ciepłe ramię objęło ją w pasie i wyciągnęła na powierzchnię. Walcząc o oddech, Azalea patrzyła prosto w jeszcze cieplejsze brązowe oczu. Pan Bradford!

Azalea kaszlała i wypluwała wodę, z gwałtownym rumieńcem na twarzy, bo jak zauważyła, strumyk sięgał jedynie do pasa. A potem zarumieniła się bardziej, gdy pan Bradford nie spuszczał ręki z jej talii w obawie przed wartkim nurtem.

– Jest pani cała?

Woda spływała z jego twarzy i długiego nosa.

On mówi do ciebie! Krzyczał jej umysł. *Mówi do ciebie! Powiedz coś błyskotliwego! Coś błyskotliwego!*

– Mffaksekopfsan?

– Woda jest raczej zimna – odparł.

Wyciągnął ją na brzeg. Azalea trzęsła się, szczekała zębami i kaszlała, a on nie przestawał pytać jej, czy wszystko w porządku. Nie było. Otóż czuła się śmiertelnie zażenowana.

– Dziękuję – wydusiła z siebie Azalea pomiędzy szczękaniem zębów. Zdołała nawet uśmiechnąć się do niego trzęsącymi ustami, gdy pomagał przejść jej przez ścieżkę. – Co pan tu robi?

– Przyszedłem, by zwrócić książki, które pożyczyłem. – Nawet mokre, jego włosy odstawały we wszystkie strony. – Szukałem króla.

Azalea zgadła, że się zgubił – ona sama czasem się gubiła w tych częściach ogrodów. Nalegała, że zabierze go do króla, który był niedaleko. Nalegała także, że pomoże mu w pozbieraniu książek i kapelusza, które rzucił, by ją ratować.

Na szczęście pan Bradford nie pytał jej, co robiła nad strumykiem. Razem poszli przez nierówną ścieżkę, uchylając się pod gałęziami i zostawiając za sobą mokre ślady.

– Co by pan zrobił? – spytała Azalea, starając się powstrzymać zęby przed szczękaniem. Ich buty piszczały z każdym krokiem. – To znaczy, gdyby wygrał pan miejsce w Domu?

Światło w oczach pana Bradforda pojaśniało.

– Nie wiem.

– Może kazałby pan założyć rynny na Królewskim Moście, by nie zamarzał? – zażartowała Azalea

Pan Bradford uśmiechnął się nieśmiało i w zamyśleniu przeczesał dłonią włosy.

– Myślałem o drogach i takich tam – przyznał. – O kolei.

– Kolej! W Eathsbury?

– W zeszłym roku byłem na wystawie w Delchastire – odparł, gdy weszli w bardziej ujarzmioną część ogrodów, gdzie drzewa rosły w rzędach, a z treliaży nie wystawało tyle bluszczu. W kroku miał taką żywiołowość, jakiej Azalea wcześniej u niego nie widziała. – Taka technologia jest ponad mną! Mieli tam nowy silnik; wentyle utylizowały parę inaczej, tak że efektem było więcej energii. To cud. Gdyby tylko Eathsbury miało taki. Cały nasz import i eksport odbywa się przez statki i wozy...

Mówił dalej, o drogach, stacjach, imporcie, nadwyżce i wydatkach, a wszystko to z takim podekscytowaniem, że Azalea mogła tylko pomyśleć: *O jej. Fairweller miał rację. Byłbyś świetnym premierem*

–... wiem, że to nudne – przyznał, kiedy po kilku minutach skończył. – Ale mógłbym mówić o tym cały dzień.

– To wcale nie jest nudne – odparła Azalea z uśmiechem. – Panie Bradford, dlaczego nie startuje pan na stanowisko premiera? Byłby pan tak dobry, jak pana ojciec.

Wesoły nastrój pana Bradforda zniknął jak zgaszona świeca. Zamilkł, a jego oczy stały się poważne i smutne.

Po dłuższej chwili, powiedział:

– Rząd wykończył mojego ojca. – Jego bogaty głos był teraz cichy. – Po śmierci mojej matki. Odznaczał się na każdej jego zmarszczce i pchnął do załamania.

Azalea wyciągnęła dłoń w mokrej rękawiczce i dotknęła jego ramienia. Delikatnie, tylko w łokciu. Miała ochotę dać mu tosta. Takiego, na którym rozpływa się masło i z miodem na wierzchu. To była głupia myśl, ale w toście było coś kojącego.

Pan Bradford odwrócił się i chociaż jego oczy były smutne, widniała tam też nadzieja. Położył swoją własną wilgotną rękawiczkę na dłoni Azalei. Jej serce

omal nie eksplodowało.

– Księżniczko... aaa!

Rozdzielili się, odstąpili od siebie na krok, gdy zobaczyli przed sobą Lorda Howleya, który drżącą dłonią przyciskał do twarzy chusteczkę. W oddali, na kamiennej ławce siedział król. Wyglądał na poirytowanego.

– Lordzie... Howley – wyjąkała Azalea.

– Co, u diabła, się pani stało? – spytał. – Pachnie pani jak... jak... coś mokrego! I kim, u diabła, jest pan?

Pan Bradford zamienił się w kamień. Nawet jego oczy stwardniały. Jedynym ruchem w nim były spływające po jego twarzy i marynarce krople wody. Spojrzał na Lorda Howleya – jego mina była całkowicie nieczytelna – a potem na Azaleę, i znowu na Howleya.

– To jest Lord Howley – powiedziała Azalea, mając nadzieję, że z królewskim wdziękiem oczyści niezręczną atmosferę. – Jest naszym gościem. Przybył w... królewskich interesach.

– A, tak. – Pan Bradford pozostał kamieniem. – Królewskie interesy. Słyszałem o tym.

A kto nie słyszał? Pomyślała Azalea. Uśmiechnęła się do Lorda Bradforda.

– Gdyby Lord Howley został królem – rzekła – podniósłby podatki.

– Och, czyżby?

Przez chwilę dżentelmeni mierzyli się wzajemnie politycznymi spojrzeniami.

– Cóż – odezwała się Azalea, przełamując napięcie. – Zamieniam się w sopel. Pójdę się przebrać. Tam jest król, panie Bradford. Jeszcze raz... dziękuję.

Pan Bradford zmiękł zauważalnie. Już nie przypominał głazu, gdy na nią spojrzał. Ukłonił się, stukając obcasami w wojskowym stylu.

– Księżniczko.

Azalea pobiegła do pałacu. Całą drogę kapała na ziemię, ale biegła z determinacją, że gdy spotka go po raz kolejny, będzie musiała pilnować swoich dłoni. Jej lodowato zimna spódnica i bluzka przylegały do niej, ale nie czuła tego – tak bardzo musiała ogrzać ją para ciepłych, brązowych oczu.

Rozdział 18

Na tydzień przed świętami spadł śnieg, zamieniając ogrody w baśniową krainę. Wszystko migotało od białego lodu: każde pokryte śniegiem liście i gałązki. Wszystkie rzeźby miały śniegowe czapeczki, a bluszcze spływały z żywopłotów zamarzniętymi łodygami. Powietrze miało nowy, świeży zapach, a zimno smagało po twarzach dziewcząt i pokrywało ich policzki różem.

Spędziły cały dzień na zabawach na śniegu – ślizganiu się po sadzawce i rzucaniu śnieżkami w ostatniego gościa, barona Hubermanna. Był całkiem przyzwoity, ale trzeciego dnia wymaszerował z pałacu, kiedy dziewczynki zrzuciły mu z głowy kapelusz. Wszystkie zebrały się potem na końcu ogrodów i obserwowały, jak król jedzie na przejażdżkę po łąkach.

– Jest świetnym jeźdźcem, prawda? – powiedziała Delphinium, gdy wyglądały przez żelazną bramę, oglądając króla galopującego na Dickensie.

Skinął na nie głową, gdy przejeżdżał obok. Każdy krok wyrzucał spod kopyt kłąb śniegu.

– Powinnyśmy iść do środka – powiedziała Azalea. – Jeśli pomożecie mi zastawić stół na obiad, potem możemy znowu przeszukać komórkę na srebro w poszukiwaniu cukrowych zębów.

Dziewczynki wydały zbiorczy jęk.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż się tym przejmujesz – rzekła Bramble.

Azalea oburzyła się.

– On ma zegarek pana Bradforda!

– Co z tego? Pan Bradford jest bogaty. Niech sobie kupi drugi taki.

Azalea kopnęła śnieg w stronę Bramble.

– Zresztą – odparła Bramble, strzepując śnieg, jak gdyby nigdy nic. – Tak sobie myślałam. Zostało nam tylko kilka dni tańczenia w pawilonie, zanim będziemy mogły tańczyć gdziekolwiek chcemy. Więc, co jeśli w naszą ostatnią noc po prostu powiemy „Serwus, Strażniku, było wystrzałowo, dzięki za tańce, będziemy się rozglądać za tym magicznym czymś, a kiedy tylko znajdziemy, wrócimy. Wiemy, gdzie cię szukać!" to chyba nie byłoby takie złe, co? Po prostu nie podoba mi się wizja jego buszującego gdzieś poza pawilonem.

– Dokładnie – odezwała się Eve, tak opatulona, że tylko jej różowe policzki i okulary wystawały znad szalika. – Jeśli go uwolnimy, co on zrobi? Nie ma już przecież żadnych ziem, ani posiadłości.

– Strażnik? – spytała Bramble. – Kogo on obchodzi? Co z nami? Gdyby król dowiedział się, że tańczyłyśmy przy kimś takim, jak Strażnik, chyba by nas pozabijał. Jeśli mamy dobre informacje, to król nie przechodził przez to przejście odkąd był małym chłopcem... jeśli kiedykolwiek był małym chłopcem, w co wątpię – i wolałabym, żeby tak zostało.

Król zatrzymał się blisko bramy, rozrzucając naokoło śnieg. Dickens prychnął i potrząsnął grzywą.

– Chodźcie na łąki, panie. Tak się stłoczyłyście przy tej bramie. To nie jest wbrew zasadom; to królewskie ziemie. Chodźcie.

Brama zaskrzeczała od rdzy i zimna, gdy ją otworzyły i wyszły na śnieg, gdzie zachodzące słońce tworzyło na niebie jasnobłękitne i fioletowe plamy.

– Któraś chciałaby się przejechać? – spytał król.

Dziewczynki cofnęły się.

– Nie, dziękuję! – pisnęła Ivy.

– Zdecydowanie nie!

– Chyba nie sądzę.

Król zmarszczył brwi, gdy młodsze dziewczynki złapały się spódnicy Azalei i tylko rzucały ukradkowe spojrzenia na Dickensa, który uderzał kopytami i wydychał kłęby pary. Król wciągnął policzki, krótko skinął głową i popędził Dickensa do galopu.

Kilka chwil później, gdy dziewczęta odetchnęły z ulgą, król zawrócił Dickensa i skierował z powrotem w ich stronę. Krzyknęły i cofnęły się pod kamienny mur. Pochylając się z siodła, król wyciągnął rękę, poderwał Hollyhock i pocwałował przed siebie. Hollyhock wydała piszczący krzyk.

Azalea wstrzymała oddech, gdy król wciągnął Hollyhock na siodło przed siebie, mocno trzymając ramię wokół jej talii. Wkrótce krzyki zamieniły się w śmiech. Król przegalopował przez łąki trzykrotnie i zatrzymał się przed dziewczętami. Hollyhock ześlizgnęła się z siodła, oszołomiona, ale z wielkim, zadowolonym uśmiechem na ustach.

– Jechaliśmy tak szybko! – powiedziała

W mgnieniu czarnych spódnic i szalików, dziewczynki błagały o swoją kolej. Król zgodził się. Wciągał każdą z nich na siodło i galopował przez łąkę. Eve, Delphinium, Ivy i bliźniaczki ściskały grzywę Dickensa, gdy ten gnał pod nimi w cwale. Jessamine ścisnęła króla za szyję i schowała twarz w jego kamizelce, wyglądając jedynie spod niej niebieskim okiem. Clover i Bramble także dostały swoją rundkę, ale jedynie gdy nalegały, że będą mieć na rękach Kale i Lily, żeby najmłodsze także się przejechały. Bramble szczerzyła zęby, choć nieco nieśmiało, gdy ześlizgiwała się z siodła z Kale w ramionach.

– Panno Azaleo – powiedział król wyciągając do niej dłoń.

– Nie, dziękuję – odparła.

Król zmarszczył czoło, ale popędził Dickensa do galopu. Dwie sekundy

później Dickens ruszył w jej stronę, a król pochylił się i wyciągnął rękę. Azalea ledwie miała czas, by zdać sobie sprawę co planował, kiedy poczuła nagły zryw i wokół niej zaczęły migać błękity i biele, a gardło omal nie wypadło jej przez usta, gdy król wciągnął ją na siodło.

Gdy świat przestał wokół niej wirować, Azalea starała się wyślizgnąć z uścisku króla i wrócić na stabilny grunt.

– Nie lubię jeździć konno! – zawołała.

– Gdybyś się tak nie wierciła, polubiłabyś bardziej – odparł król. – Nie zsiadaj teraz! Złamiesz sobie kark!

Skierował Dickensa nieco na bok, w stronę długiej linii zacienionych drzew, zatrzymał się i zsiadł. Azalea została sama w siodle, ściskając grzywę Dickensa.

– Teraz sama spróbuj. Uczyłem cię, kiedy miałaś sześć lat. Wtedy byłaś całkiem dobrą, małą amazonką. Pamiętasz?

– Nie!

– Zeszłej zimy pamiętałaś jak się jeździ – powiedział cicho król. Skrzyżował ręce na piersi. – Jeśli dobrze pamiętam, pewnej nocy jechałaś bardzo dobrze.

Koń pod Azaleą poruszył się, a ona ścisnęła grzywę, by utrzymać równowagę.

– To było prawie rok temu – wyjąkała.

– Niektóre rzeczy są głęboko schowane w pamięci.

Król pomógł jej delikatnie zsiąść, nie mówiąc przy tym ani słowa. Później, w pachnącej sianem stajni, król polecił dziewczętom, by nakarmiły i wyszczotkowały konie. Dziewczynki wymieniały się po kolei szczotkami, a Flora i Goldenrod znalazły nawet kilka kostek cukru w kieszeniach fartuszków. Piszczały z zachwytu kiedy Dickens wąchał ich zaciśnięte dłonie.

– Gdzie się tego nauczyłeś, sir? – spytała Azalea, gdy król zajmował się innymi końmi. – Tak chwytać kogoś w galopie?

– Ach. – Król zarzucił derkę na Thackeraya. – Służba w regimencie. To stara tradycja, z czasów rewolucji. Mówili, że rebelia – kawaleria – wskakiwała przez okna, porośnięte cierniami i bluszczem i ratowała tak więźniów z magicznego pałacu. Wszystko uromantyczniono, oczywiście. Ale to tradycja, więc się jej uczymy. Na workach ze zbożem i ziemniakami.

Azalea uśmiechnęła się.

– Nigdy o tym nie słyszałam, sir.

Król wygładził derkę na grzbiecie Thackereya. Otworzył usta i zamknął. Potem otworzył znowu i po chwili powiedział:

– Kiedyś mówiłyście do mnie, tato, pamiętasz?

To pytanie zaskoczyło ją.

– Nie – odparła.

Król zmarszczył czoło, a Azalea szybko poprawiła się:

– To znaczy. Cóż... tata... nie bardzo do ciebie pasuje. Nigdy nie czułam, że pasowało. Dziewczynki też nie. Pamiętam tylko, jak zawsze mówiłam do ciebie sir.

Król wciągnął policzki i pociągnął za końce derki, prostując ją. Nic nie powiedział. Zapach koni nagle stał się przytłaczający.

Napięcie przerwał okrzyk zachwytu i Azalea z wdzięcznością skręciła w główną alejkę. Hollyhock, która szperała w jukach, zwisających z haka, znalazła coś schowanego w jednej z kieszonek. Dziewczęta zebrała się wokół niej.

W piegowatej dłoni ściskała czarną broszę. Otaczała ją mała linia srebra; szkło pochłaniało refleksy lampy. Azalea powstrzymała okrzyk.

– To należało do matki! – wykrzyknęła, zachwycona. – Nie wszystkie jej rzeczy zostały schowane..

– Musiała włożyć to pod siodło – rzekła Eve. – Może bała się, że ją zgubi.

– No...nosiła t...to cały... czas – powiedziała Clover. – Tu... tutaj.

Dotknęła guzika tuż przy szyi.

– Jest piękna – wydyszała Flora.

Król skończył układać szczotki na półkach, w kolejności od twardych, do miękkich i podszedł, by zobaczyć, o co to całe zamieszanie. Jego spojrzenie stało się lodowate, gdy padło na piegowatą dłoń Hollyhock zaciśniętą wokół broszki. Wyciągnął rękę.

– Proszę mi to oddać. Nie jest twoja.

Hollyhock przycisnęła broszkę do piersi.

– Znalazłm w torbie mmy. Możemy ją wziońć? Jes czarna. Podzielę się. Naprawdę.

– Należy do twojej matki. Nie do ciebie, panno Hollyhock.

Azalea poruszyła się tak, że stała teraz przed Hollyhock.

– Sir. Dlaczego nie? Pozostanie między nami; nie złamie zasad żałoby.

– Nie w tym rzecz, panno Azaleo.

– Co, jeśli ją pożyczymy? Na następne sześć dni? Tylko do czasu, aż skończy się żałoba?

– Będziemy ostrożne – rzekła Eve.

– Och, prosimy, sir! Prosimy.

Młodsze zaczęły skakać z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Ivy odważyła się nawet, by pociągnął króla za płaszcz.

– Dosyć! – uciął król, uciszając je machnięciem ręki. – Dosyć. Sześć dni. Sześć. Zrozumiano? Robię to wbrew woli i zasadom. Ani rysy, moje panie!

~ ~ ~

– Bramble – odezwała się Azalea tej nocy, kiedy tańczyły kadryla. Stały naprzeciwko siebie, krzyżowały, obracały i zmieniały miejsca przy skocznej melodii. Azalea przeszła na skos, pochyliła się, by złączyć dłonie z Jessamine i zatrzymała się naprzeciwko Bramble. – Bramble, pamiętasz, jak mówiłyśmy do króla tato?

Bramble okrążyła Azaleę i wróciła na swoje miejsce.

– Co? – spytała.

– Król. Powiedział, że kiedyś nazywałyśmy go tatą. – Azalea stanęła w jednej linii z Florą. – Był tego pewny. I... i wydaje mi się... wydaje mi się, że on chce, żebyśmy mówiły do niego tato.

Muzyka skończyła się, ale dziewczęta zapominały na końcu dygnąć.

– Tak powiedział? – spytała Bramble.

– Nie. Nie do końca.

– Ta-ta – powiedziała Hollyhock. – On?

– To nie bardzo do niego pasuje – rzekła Eve. – Tata to coś z bajek.

– On... on się stara – odezwała się Clover.

Delphinium usiadła na marmurowym parkiecie, rozciągając nogi i ukazując różowe palce wystające spomiędzy podartych szwów.

– Nie sądzę, że może być tatą – powiedziała. – Nie po tym wszystkim. Wciąż jestem na niego zła.

Azalea zdjęła czarną rękawiczkę i przyjrzała się różowym śladom na palcach. Westchnęła.

Nagle jej uwagę przykuło brzdęknięcie o marmurową podłogę – broszka. Hollyhock obracała ją w dłoni przez całą noc, odpinała i polerowała o spódnicę, a potem przypinała z powrotem. Teraz bawiła się nią w dłoni i w końcu niechcący upuściła.

– Och, Holli, doprawdy – powiedziała Azalea i ruszyła w kierunku treliażu

z bluszczem, by ją podnieść. – Jeśli nie możesz trzymać jej przypiętej do...

Zanim Azalea zdążyła się pochylić, para czarnych rękawiczek podniosła ją szybko.

Azalea wyprostowała się .

– Proszę to oddać!

Strażnik stał zaledwie kilka cali od niej, a jego ciemna sylwetka zasłaniała cały jej widok. Potarł kciukiem o gładką, wypukłą powierzchnię broszki i leniwie spojrzał na Azaleę.

– Strażniku!

Wciągnął wolno powietrze, chwycił wyciągniętą dłoń Azalei – był taki namacalny, że dreszcz przeszedł przez jej gardło – i położył na dłoni broszkę.

– Tylko ją podnosiłem – powiedział cicho. Kciukiem pogładził czerwone ślady po paznokciach. Uśmiechnął się. – Temperament, temperament.

Azalea cofnęła dłoń, czując jak gorące są jej uszy i oddała broszkę Hollyhock. Całą powrotną drogę przez srebrny las i przejście wycierała ręce o spódnicę, starając się pozbyć jedwabistego uczucia kciuka Strażnika, pocierającego o jej dłoń.

~ ~ ~

Następnego ranka Azaleę obudziło zamieszanie – ciche szepty z szelestem pościeli i koców. Hollyhock, Ivy i bliźniaczki zdejmowały prześcieradła ze swoich łóżek i podnosiły poduszki, rumieniąc się przy tym tak, jak ktoś kto bardzo chce ukryć fakt, że się rumieni. Azalea jęknęła.

– Och, Hollyhock. Proszę, tylko nie mów mi, że zgubiłaś to, co myślę, że zgubiłaś.

Hollyhock rozpłakała się.

– Ja...ja ...ja.. nie chciałam! – krzyknęła. – Po prostu ją zgubiłam!

Wszystkie dziewczęta, teraz obudzone przez harmider, jaki się rozległ, zaczęły poszukiwania broszki. Potrząsały sukienkami, wyciągały, składały, rozkładały, wygładzały, przeszukiwały. Azalea chwyciła Hollyhock za ramiona.

– Przyniosłaś ją z powrotem, prawda? Gdy Strażnik ją oddał, przypięłaś ją do bluzki?

Hollyhock przełknęła i czknęła.

– Nie pamiętam! Chyba włożyłam ją do kieszeni!

– Strażnik!

Azalea wypluła to słowo, a krzyk przytłumiły zasłony i pościele. Wszystkie zaprzestały poszukiwań. Bramble jeszcze ostatni raz potrząsnęła butem Hollyhock, a na drewnianą podłogę spadła łyżeczka.

– Nie... wiemy, czy to on, nie mamy pewności – powiedziała Clover, obwiązując pantofle wstążkami.

– Och, to on, na pewno!

Znajome gotujące krew uczucie rozeszło się po jej palcach. Przypomniała sobie zimne i martwe spojrzenie jego oczu, kiedy przyciskał broszkę do jej dłoni. Azalea wyciągnęła z kieszeni fartucha srebrną chusteczkę.

– Powiedzcie nauczycielowi, że nie będzie mnie na lekcjach. Wymyślcie jakąś chorobę. Zamierzam przynieść broszkę z powrotem.

~ ~ ~

Azalea prawie wcale nie zwracała uwagi na migoczący, srebrno-biały las, gdy przez niego kroczyła, a gorący temperament przyspieszał jej kroki. Owionęło ją zatęchłe, nieruchome powietrze pawilonu, tak różne od tego w ogrodach. Czuć było śmiercią. Odepchnęła srebrne liście wierzby na boki i stukając obcasami

dotarła do pawilonu.

Strażnik leżał na balustradzie, pomiędzy łukowatymi kratkami. Jego peleryna opadała aż do ziemi, a na oczach leżał kosmyk atramentowo-czarnych włosów. Wyglądał jak czarna pajęczyna, która przylgnęła do kraty pawilonu. Jedynie jego podłużne, czarne palce poruszały się.

Wspinały się i owijały wokół szkarłatnej sieci z niesamowitą precyzją, a gdy tak poruszał palcami, z nici zwisała igła. Grał w „pająka" z zestawem do haftowania Flory, nucąc pod nosem dziecięcą rymowankę:

Jak wdzięcznie leci motyl,
prosto w pajęczy splot.
Srebrną nicią oczarowany,
migoczącym wdziękiem splątany.
Ależ chytrze mówi pająk,
szepcząc: „nie bój się".
Głaszcze zatrutą nogą
i wciąga w swoją sieć.

– Gdzie ona jest?

Azalea stała pośrodku parkietu, z założonymi rękoma, tak spięta, że prawie słyszała krew płynącą w jej żyłach.

Strażnik wygiął dłonie, a nić zaplątała się, jeszcze bardziej przypominając pajęczą sieć.

– Ach, moja pani.

– Gdzie ona jest?

Strażnik z wdziękiem zeskoczył z poręczy.

– Wiesz, dlaczego nazwano mnie Strażnikiem? Bo lubię strzec. Znasz

mnie już od tak dawna.

– Oddaj to.

– Nie. To pierwsza rzecz, jaką mam, a która należała do waszej matki. Zatrzymam ją i będę strzec.

Ciasna część sukni Azalei – gorset, mankiety sukni, kołnierz – zapulsowały.

– Och, bez urazy – powiedział Strażnik. – Po prostu wiem, że nie staracie się wystarczająco. Broszka waszej matki powinna dać wam... motywację.

Twarde, palące ciepło wewnątrz Azalei trzasnęło.

– Nie da – warknęła. – Zatrzymaj tę głupią broszkę. Zatrzymaj ten głupi zegarek. Zatrzymaj rękawiczki i hafty i cokolwiek jeszcze ukradłeś. Możesz się nimi cieszyć sam. Już więcej tu nie zejdziemy. Nigdy nie powinnyśmy były ci zaufać.

Obróciła się, spódnica okręciła się wokół niej i z płonącymi oczami ruszyła w kierunku wyjścia. Strażnik roześmiał się.

– Może ostatni taniec, zanim nigdy więcej już się nie zobaczymy?

Azalea odwróciła się do Strażnika i zmrużyła oczy. Jego ciemna, kontrastująca na tle miękkiego srebra sylwetka wypaliła się w jej pamięci, podobnie jak jego gładki, zawadiacki kucyk ściągnięty z tyłu głowy. Jego martwe oczy.

– Nienawidzę z tobą tańczyć – powiedziała.

Przekroczyła próg.

Zgrzytliwa, pękająca eksplozja pochłonęła powietrze. Srebrne krzewy różane, które otaczały pawilon wystrzeliły w górę, niczym cierniste monstra, oplatając się wokół treliażu. Wygięły się wokół wejścia, a Azalea cofnęła się o krok, zanim zdążyły zaczepić się o jej spódnicę.

Z pawilonu powoli znikało światło, gdy winorośla oplątały go całkowicie.

Nowe, dziwne, żółtawe światło rozbłysło z sufitu i Azalea wstrzymała oddech, gdy setki świeczek zamigotały nad nią, przyczepione do kopuły, a wszystkie bezkształtne i na wpół stopione, rzucając straszne cienie.

Azalea odwróciła się gwałtownie

– Otwórz to, Strażniku – krzyknęła. – Dość już tych twoich głupich gier.

– Jaka szkoda – odparł, wciąż stojąc z boku sali, uśmiechając się leniwie – że nie masz ochoty tańczyć. Zaplanowałem taki wspaniały bal!

Przez pokryte cierniami treliaże wyłonili się tancerze, poruszając się w ciasnych kręgach wraz ze swymi partnerkami. Podmuch wiatru owiał Azaleę, gdy tancerze krążyli w plamie kolorów, szyfonów i satyny, muskając jej czarną, wysłużoną suknię. Stłumiła krzyk.

Tancerze mieli na sobie maski, przypominające zdobione, błyszczące głowy zwierząt. Zobaczyła złotego szakala wraz z damą z piórami i złotym dziobem. Maski z klejnotami i koralikami przylegały do twarzy tańczących. To myła maskarada, coś o czym Azalea tylko słyszała. W jej wyobraźni taki bal był bardziej niewinny – dżentelmeni przebrani za husarzy, damy w białych, misternych maskach na patyku. Nic jak ten chaos błyszczących bestii i bogatych potworów.

W jaskrawym wirze kolorów i wstążek, tancerze rozdzielili się na dwa długie rzędy, tak ze sobą ściśnięci, że ich okazałe kostiumy znajdowały się teraz pod dziwnym kątem. Na końcu przejścia stał wyprostowany i zrelaksowany Strażnik.

– Witam, moja pani, na dworze D'Eathe. Podoba ci się?

Azalea spojrzała do tyłu, na wyjście. Zastanawiała się, czy mogłaby jakoś przedrzeć się przez zarośla.

– Zapytam raz jeszcze. – Głos Strażnika był zimny. – Czy mogę prosić o ten taniec?

– Niech cię szlag – rzuciła Azalea.

Strażnik ukłonił się elegancko.

– Jak mniemam, to znaczy nie, dziękuję. Wciąż jednak, radzę nie tańczyć tego tańca bez partnera, który cię będzie prowadził. Mogłoby to być, hmm ...niebezpieczne.

Strażnik klasnął w dłonie dwa razy i, jak na zawołanie, wszystkie damy otworzyły swoje wachlarze. Azalea cofnęła się.

– Nie uciekaj, moja pani. Zaprosiłem do nas gościa, którego na pewno chciałabyś zobaczyć.

Muzyka zaczęła grać. Urocza muzyka z pozytywki została zastąpiona przez symfonię spragnioną tonacji molowej. Chór skrzypiec wzniósł się do forte, a tancerze naraz zaczęli taniec.

Azalea odwróciła się do wyjścia, ale została zablokowana. Niedźwiedź, kot i wilk stanęli przed nią i odwrócili do tańca. Damy rozłożyły wachlarze i złączyły ręce ze zwierzęcymi dżentelmenami. Azalea cofnęła się, ledwie unikając kolizji z rysiem, który właśnie ją mijał. Nie było miejsca – w momencie, gdy jedna para ruszała, kolejna wchodziła, spódnice dam stykały się ze sobą.

To tylko magia, starała się siebie pocieszyć Azalea. Nic prawdziwego. Przecisnęła się między rysiem i wilkiem. Para odwróciła się gwałtownie i dłoń dżentelmena uderzyła ją w twarz.

Zanim zdała sobie sprawę, co się stało, Azalea upadła na marmurowy parkiet, z piekącą twarzą. Krzywiąc się, zabrała dłoń, zanim ta została kopnięta przed sprzączkę buta. To było takie realistyczne. Tancerze nie zamierzali się zatrzymywać ze względu na nią.

Azalea podciągnęła się na nogi, omal nie topiąc się we własnych spódnicach, zanim pary odwróciły się i zaczęły korowód. Każda z dam wymachiwała swoim wachlarzem, rozdzielała się z partnerem, wachlując przed

upierzoną, czarno-złotą maską.

Na znak, wszyscy rozłożyli ręce. Azalea potknęła się, starając uniknąć dłoni trzymającej lodowy, różowy wachlarz. Przeskoczyła przez kogoś, a jej ręka musnęła wachlarz jednej z dam. Z początku nic nie poczuła, ale po chwili zobaczyła krew skapującą na złotą spódnicę. Chwyciła rękę i obejrzała się. Wachlarz rozciął rękaw i przeciął skórę.

Azalea przycisnęła dłoń do rany i spojrzała w górę, tylko by zobaczyć na dalekim końcu sali Strażnika – jego czarną figurę na tle jaskrawych czerwieni i złota. Uśmiechał się do niej.

Tancerze odwrócili się i skrzyżowali ręce. Strażnik zniknął. Azalea przełknęła, czując suchość w ustach, aż w końcu ustawiła się wraz z pozostałymi w pozycji, starając się nadążyć w piruetach i krokach. Powtórzyła za nimi kroki, przypominając stopom, by były czujne i nadążały za tą hybrydą kadryla i walca, gdy ona starała się utorować sobie drogę do wyjścia. Ciężki, metaliczny posmak strachu otulił jej gardło i spowolnił. Jej kończyny drżały, ale strach z każdym krokiem popychał do przodu.

Azalea odwróciła się do kolejnej części tańca i zamarła.

Pomiędzy krzykliwymi kolorami i błyszczącymi piruetami tańczących, stała spokojnie postać w prostej sukni. Azalea uchwyciła wzrokiem bladą twarz, dołeczki, lekko potargane, kasztanowe loki i jej kolana omal się pod nią nie ugięły.

Obracając się, odpychając od siebie suknie, Azalea wychyliła się, by lepiej zobaczyć postać. Zamknięty wachlarz uderzył ją po twarzy, ale nawet tego nie poczuła. Przez luki między tańczącymi, Azalea ponownie ujrzała kobietę, a jej serce podskoczyło w piersi.

Jej sukienka miała jasnobłękitny odcień; była połatana, znoszona, ale czysta. Przy kołnierzu widniała czarna broszka. Azalea musiała zamrugać, i to

kilkakrotnie.

Tancerze wirowali wraz ze swymi partnerkami, dłoń przy dłoni, a wtedy wszyscy razem cofnęli się, formując dwa rzędy. Pióra unosiły się i podskakiwały, jakby pod wodą, a spódnice opadały jeszcze wolniej. Azalea raz jeszcze znalazła się na końcu alejki, która się utworzyła, a na jej drugim końcu stała...

Matka.

Słowa z opowieści, które Azalea słyszała tak dawno temu rozległy się echem w jej umyśle.

Ich dusze...

Wielki Król potrafił chwytać ich dusze...

Azalea zakrztusiła się.

Tancerze złączyli dłonie i rozpoczęli korowód. Muzyka przyspieszyła do dudniącego, upajającego walca. Żakardy i brokaty wirowały wokół w jednej plamie. Azalea stała, otoczona wirem tancerzy, jak osłupiała, wpatrując się przed siebie, a emocje wewnątrz niej wirowały jeszcze bardziej nić ludzie wokoło.

Zrobiła krok naprzód, obejmując wzrokiem jasne oczy matki i jej miłą twarz, zmarszczoną znajomym grymasem bólu. Jej usta zdawały się uśmiechać jakby we mgle, a Azalea nagle skupiła wzrok na szkarłatnych liniach wokół ust matki, otoczonych fioletowymi siniakami. Azalea nagle zdała sobie sprawę...

Jej usta zostały zaszyte.

Azalea wrzasnęła. W panice pobiegła do matki, przeszukując kieszenie za nożyczkami, które zwykle trzymała w fartuchu. Dziś jednak ubrała się zbyt szybko i jej kieszenie okazały się puste. Jej dłonie trzęsły się gwałtownie, a kolana nie mogły dłużej utrzymać.

Ramiona matki chwyciły ją, zanim upadła na parkiet. Pociągnęła ją w ciasnym uścisku. Była taka namacalna. Prawdziwa! Nie tak, jak przezroczyste dusze zmarłych w opowiadaniach. Azalea nie była w stanie spojrzeć w górę, gdy

matka przytuliła ją jeszcze mocniej, przyciskając policzek Azalei do swojej bluzki. Gdy wzięła urywany wdech, Azalea czuła oliwkę dla dzieci i zasypkę. Matka głaskała jej włosy.

Azalea chciała coś powiedzieć, ale zakrztusiła się słowami. Matka odsunęła ją na odległość ramion i kciukami starła łzy z jej twarzy, kiedy jej własne oczy pozostawały mokre. Nawet z zaszytymi, posiniaczonymi ustami, matka wciąż usiłowała się uśmiechnąć. Pocieszyć ją.

– Matko...!

Tancerze wznowili taniec i oddzielili Azaleę od zimnego objęcia matki. Sala zawirowała. Azalea walczyła, by przedrzeć się przez tańczących, torowała sobie drogę przez kłęby jedwabiu i szyfonu. Przez luki między jaskrawymi kolorami, które wypełniały jej całe pole widzenia, Azalei udało się jeszcze raz spojrzeć w stronę matki, ale nie zobaczyła nic. Zniknęła.

– Strażniku! – krzyknęła Azalea. – Strażniku!

Kłębiaste spódnice zepchnęły ją na ziemię. Obcas damy nadepnął na jej dłoń. Azalea podniosła się na nogi, rozhisteryzowana, przepychając się przez tańczących. Ci jednak odpychali ją jeszcze mocniej.

Muzyka osiągnęła apogeum, gdy Azalea ponownie została popchnięta na podłogę, tym razem uderzając się w głowę. Przed oczami mignęły jej kolory. Rąbki jaskrawych spódnic muskały ją, cicho jak śnieg. Wolniej i wolniej i wolniej.

Muzyka ustała.

Azalea tylko połowicznie była świadoma, że tancerze zniknęli. Srebrno-białe światło otuliło ją, a pawilon powrócił do swojej dawnej magicznej formy. Azalea leżała zwinięta, z policzkiem na marmurze i szybko poruszającą się piersią. Marmur był mokry. Azalea nie widziała, czy od łez, czy krwi.

Przed nią pojawiła się para czarnych butów, a po nich kolana, gdy Strażnik uklęknął przy niej. Ciężko oddychał, a twarz miał ściągniętą. Wciąż

jednak jego oczy błyszczały w triumfie.

– Jak śmiesz – wypluła Azalea. – Jak śmiesz? Zabiję cię!

Strażnik wysunął swoje długie palce, chwycił ją za ramię i pogłaskał kciukiem jej ranę. Azalea chciała zebrać wszystkie pozostałe siły, by od niego odskoczyć, ale nie mogła; zupełnie jakby w jej kończynach nie pozostało już ani kropli krwi. Nie miała nawet siły, by odsunąć się, gdy jego palce powędrowały do jej szyi.

– Cii – wymruczał. – No już. Cicho. – Muskał palcem po linii jej żuchwy. – To taka urocza myśl. – Tylko że, moja pani. Ja nie mogę umrzeć.

– Jesteś *nim* – powiedziała, a był to ledwie stłumiony szept.

– Otóż to.

Palcami dotknął jej ust.

– Sądzę – wyszeptał – że zastanawiasz się teraz, co mogłabyś zrobić, bym przestał dalej krzywdzić twoją matkę. Czy nie tak?

Azalea skrzywiła się.

– Powiem ci, czego chcę, moja pani. Wolności. Tego zawsze pragnąłem. Znajdź magiczny przedmiot i go zniszcz. Masz czas do Świąt.

Przycisnął palec do ust nieco mocniej, jakby chciał ją uciszyć. Pulsowały pod jego dotykiem.

– Niech to zostanie między tobą a mną. Nikim więcej. Jeśli zrobisz, jak powiedziałem, twoją matkę nie spotka dalsza krzywda. Czy to nie sprawiedliwa umowa?

Azalea zadrżała.

Strażnik wstał, a jego peleryna wyprostowała się. Z błyskiem srebra, wyciągnął coś z powietrza i rzucił. Zabrzęczało o marmur tuż przed Azaleą. Cukrowe zęby zadrżały.

– No i – dodał jeszcze z lodowatym spojrzeniem. – już nigdy więcej nie

odmówisz mi tańca.

Rozdział 19

Azalea nie wiedziała, jak wróciła do pokoju. Pamiętała tylko, że szła, potykając się i podpierając o błyszczącą ścianę kominka i upadła na kolana, rozsypując dookoła sadzę.

Przez dłuższy czas leżała zwinięta na podłodze, a serce waliło jej jak młot.

W końcu jednak zebrała z ziemi spódnice i automatycznie zacerowała rozcięty rękaw, tworząc idealne, małe szwy. Potem nalała wody do miski i umyła ranę. W lustrze na toaletce zobaczyła swoją twarz – ściągniętą i trupio bladą. Siniaki jeszcze się nie pokazały; ale wkrótce pokażą.

Dotknęła ust. Dech ugrzązł jej w gardle i musiała się odwrócić.

Wtedy przez zakładki jej leżącej na ziemi pogniecionej spódnicy dostrzegła nikły błysk srebra. Wtedy przypomniała sobie, że zanim uciekła, schowała do kieszeni cukrowe zęby. Teraz, gdy im się dokładnie przyjrzała, zobaczyła rysy, wgłębienia i plamy o rdzawo-brunatnym kolorze. Zamiast skierowanych pionowo ząbków, szczypce zostały wygięte niemal całkowicie do tyłu.

Azalea wyobraziła sobie Strażnika, leniwie bawiącego się zębami, wyginając i skręcając je, gdy te drżały w ciszy pawilonu.

– Trzymał was od samego początku? – szepnęła.

Zadrżały.

Kilka minut później, gdy się przebrała, udała się do galerii portretowej.

Tam podkręciła ogień w lampach, które rzuciły światło na gablotę z mieczem. Był taki zwyczajny i stary... nawet nie migotał w świetle.

– To musi być to – powiedziała Azalea do nikogo, poza cukrowymi szczypcami, które owinęła i schowała do kieszeni. Dotknęła szkła nad cienką jak włos rysą na klindze i potrząsnęła głową. – Musi być magiczny. Ale nie mam pojęcia jak to możliwe.

Azalea usiadła na podłodze i podciągnęła kolana pod brodę, a suknia wydęła się wokół niej. Zanurzyła głowę w spódnicy.

Strażnik był Wielkim Królem. We wspomnieniach, portret Wielkiego Króla, schowany w dalekim krańcu strychu wpatrywał się w nią pożądliwym wzrokiem ze starą, woskową skórą na twarzy. Malarz oddał jego wygląd kompletnie źle, malując go tak obrzydliwego. Ale martwe, czarne oczy były te same. Azalea oparła głowę o kolana, starając zaprzestać jej pulsowaniu.

Potrafił chwytać dusze...

Strażnik był szalony, jeśli myślał, że jeszcze kiedykolwiek sprowadzi do niego dziewczynki. Będzie musiała powstrzymać je przed zejściem na dół bez zdradzania im czegokolwiek. Strażnik dowiedziałby się, gdyby im powiedziała. Wiedział wszystko. Azalea potarła usta o bawełniany materiał sukni i skrzywiła się.

Szwy...

Obiecał zostawić matkę w spokoju, prawda? Nie ośmieliłby się... nie, kiedy tak bardzo potrzebował Azalei, by wydostać się z niewoli. Azalea zmusiła się do drżącego uśmiechu i położyła dłoń na kieszeni, gdzie znajdowały się cukrowe zęby, jakby w geście pocieszenia.

– Mam czas do Świąt, by coś wymyślić. To pięć dni. Chyba wystarczająco, nie?

Cukrowe zęby zadrżały.

~ ~ ~

Dobrze po podwieczorku Azalea ruszyła korytarzami w poszukiwaniu swoich sióstr. Zeszła na drugie piętro, gdzie usłyszała dziwny, uderzający odgłos, po którym nastąpiła seria brzdęków i trzasków spadających przedmiotów. Dźwięki dochodziły ze schowka na miotły naprzeciwko antresoli.

– Halo? – spytała.

Wyleciały mopy. Z mopami wyleciał dżentelmen. Na głowie miał wiadro, a pod szyją ordynarnie wielką, zieloną muszkę.

– Lord Teddie! – zawołała Azalea.

Lord Teddie natychmiast wstał.

– Dzień doberek, księżniczko A.! – odparł, ściągając z głowy wiadro i uśmiechając się promiennie. Jego kręcone włosy były w nieładzie. – Brakowało nam ciebie przy śniadaniu! Zjadłem twoją porcję owsianki. Mam nadzieję, że się nie gniewasz!

– Co pan tu robi?

– Och! Ha! Założę się, że się zastanawiasz. Jestem tu w królewskich interesach. W związku z zagadką! Chyba, że masz na myśli schowek na miotły, gdzie byłem, bo graliśmy w chowanego po śniadaniu i... ktoś mnie zamknął.

– To pewnie Bramble. Zwykle zamyka ich w galerii. Naprawdę musi pana nie cierpieć.

Twarz lorda Teddiego spochmurniała.

– Ale klops. Cały ja. A ona jest taka wspaniała i bystra jak szpicruta.

Azalea obserwowała zdziwiona, jak lord Teddie odzyskuje nagle wspaniały humor, niczym emocjonalna guma. Jego orzechowe oczy rozbłysły.

– Cóż, i tu jest pies pogrzebany, serio! Żadna dama tak na mnie nie podziałała! Co za wystrzałowa dziewczyna!

– Nie przyniósł pan portretu matki?

Sprężyna w kręgosłupie lorda Teddiego osiadła odrobinę.

– Ach. Właściwie, to nie.

– Och!

Całkowicie nieproszony pojawił się jej przed oczami portret matki, lecz tym razem miała na nim zaszyte usta. Zabolało to tak, jakby ktoś dźgnął ją w brzuch i Azalea musiała oprzeć się o balustradę antresoli, próbując złapać dech, powstrzymując żołądek przed zwróceniem zawartości. Starała się wytrząsnąć z umysłu ten obraz.

– Serio – wyjąkał lord Teddie. – Serio... dobrze się czujesz? Jesteś blada... nie chciałem... to znaczy... halo? Serio, halo? Są tam jacyś służący?

– Nic mi... nie jest – wydusiła z siebie Azalea. – Po prostu... potrzebuję powietrza.

Azalea spróbowała zejść ze schodów, ale ściany zawirowały, przez co musiała usiąść na najwyższym stopniu i oprzeć głowę o zimne żelazo balustrady. Lord Teddie dał jej cukierka, wyrecytował limeryk, zgadywał wszystkie jej ulubione tańce i mówił, które on najbardziej lubi. W końcu Azalei udało się odepchnąć z pamięci obraz matki i nawet zdołała się uśmiechnąć, gdy Lord Teddie zaczął żonglować monetami, które po chwili opadły mu na głowę.

– ...nie wiem, gdzie jest Clover, pewnie pomaga Staremu Tomowi w ogrodzie, ostatnio często tam łazi... Jess, co?

Głos Bramble niósł się echem po korytarzu. Lord Teddie pozbierał monety z podłogi i wyprostował się szybko, stając bez ruchu – pierwszy raz, od kiedy Azalea go poznała. Zza rogu wyłoniła się Bramble wraz z masą dziewcząt, które małymi nóżkami starały się za nią nadążyć. Gdy dziewczynki zobaczyły

lorda Teddiego, rozległ się wrzask podekscytowania.

– Lord Teddie! – krzyknęła Ivy, gdy otoczyła go masa czarnych spódnic.

– Lolt Teddie! – zawołała Kale, która dopiero co uczyła się mówić i gawędziła do każdego, kogo spotykała.

– Co tam! – spytał Lord Teddie. – Co tam! Co byście ode mnie chciały? – Skakał na piętach, cały promieniejąc. – Hmm? Och... w porządku.

Z kieszeni wyciągnął cukierki, na co dziewczęta zapiszczały i zaczęły sobie wzajemnie podawać słodycze, rozwijając i wąchając miętowe i melasowe smakołyki. Bramble pozostała z tyłu, z zaciśniętą szczęką i pięściami.

– Blamble powieciała, że uciekłeś do motylowego lasu – powiedziała Ivy, sięgając do kieszeni marynarki lorda Teddiego w poszukiwaniu cukierków. Sepleniła, odkąd straciła dwa przednie mleczaki.

– Bo byłem w motylowym lesie – odparł Lord Teddie. – Ale postanowiłem wrócić na herbatę.

– Herbata była wieki temu! – zawołała Eve. – Musisz być głodny!

– Och, nic mi nie jest! Nie jem wiele! Tylko trochę szynki i kawałek ciasta lub dwa, i będę jak nowy!

Rozległa się lepka cisza. Ivy poczuła się winna, gdy spojrzała na cukierki w dłoni.

– Mamy chleb – odezwała się Bramble. Jej głos rozbrzmiewał w cichym holu. – I ser. Przykro nam, że to panu nie wystarcza.

Lord Teddie spojrzał na połataną, znoszoną sukienkę Bramble. Przez ułamek sekundy jego uśmiech drgnął. Ale natychmiast wrócił. Czubki jego uszu błyszczały na różowo.

– Uwielbiam chleb! – powiedział w końcu. – Uwielbiam chleb z serem, ser z chlebem! Jadam to cały czas! Pewnie niedługo zamienię się w jeden wielki serowy krąg, tak bardzo go lubię!

Bramble odwróciła głowę. Jej uszy także poróżowiały. Gdy podniosła swoje żółto-zielone oczy, zobaczyła Azaleę siedzącą na szczycie schodów, niemal schowaną pod górą krynolin i materiału. Bramble przepchnęła się między siostrami i ruszyła ku Azalei.

– Az – rzekła, klękając i chwytając jej dłoń. – Jesteś blada! Co się stało? Co on ci zrobił?

– Nic, to nic takiego – odparła Azalea. Pociągnęła ramię Bramble, gdy ta gotowa była rzucić się na lorda Teddiego. Jej oczy płonęły. – Spokojnie. On nic nie zrobił.

Bramble łypnęła groźnie na lorda Teddiego, ale jej jasnozielone spojrzenie złagodniało, gdy spojrzały na Azaleę. Schowała luźny kosmyk włosów za jej ucho.

– Chodzi o broszkę?

Azalea palcem objęła jedną z żelaznych barierek obok twarzy i mocno ścisnęła. Bramble skrzywiła się.

– Clover mówiła, że jej nie odda, a ten przegniły złodziej... Świetnie. Król się wścieknie, kiedy dowie się, że ją zgubiłyśmy.

– Kogo obchodzi król? – zawołała Azalea. – Sama mu o tym powiem, kiedy zajdzie taka potrzeba. Ale... najpierw będę musiała coś wymyślić. – Spojrzała na lorda Teddiego, który wyciągnął właśnie monetę z czarnych loczków Jessamine, na co dziewczęta pisnęły w zachwycie i śmiechu, a Jessamine uśmiechnęła się wstydliwie.

– Więcej opowiem ci wieczorem – obiecała Azalea. – Kiedy nie będzie przy nas dżentelmena.

~ ~ ~

Tego wieczoru, po kawie w bibliotece, gdzie lord Teddie nauczył młodsze dziewczynki grać w kółko i pętelkę przy pomocy pióra i starego kałamarza, dziewczęta wróciły do swojego pokoju, wyciągnęły połatane pantofle z kosza i zaczęły szczotkować włosy. Delphinium usiadła przed toaletką, z rozmarzoną miną przeciągając palce przez falowane blond włosy i przeglądając się w lustrze.

– Postanowiłam, że wyjdę za niego – powiedziała – to znaczy, za lorda Teddiego.

– Nie bądź durna – odparła Bramble, rzucając poduszki na łóżko. – Lubisz go tylko dlatego, że jest bogaty.

– No i? – rzekła Delphinium. – Jestem wystarczająco ładna. Gdyby przestał wymyślać te głupie rymowanki i nauczył się dobrze ubierać i może stłumił ten śmiech, to za pięć lat...

– Spojrzy prosto przez ciebie. – Bramble usiadła na jednej z puf i skrzyżowała ręce. – Więc nie łudź się, gołąbku. Dżentelmen jak on nie ożeni się z kimś bez grosza przy duszy.

Delphinium zacisnęła usta i gwałtownie zaczęła szczotkować włosy. Azalea, która stała między kominkiem a okrągłym stolikiem zdecydowała, że czas, aby wyciągnąć cukrowe zęby z kieszeni i tak też zrobiła, a potem położyła je na stole, ku przerażeniu dziewcząt, które odskoczyły jak poparzone.

Podczas gdy cukrowe zęby tylko leżały tak i drżały z nikłym, brzęczącym dźwiękiem, dziewczynki otoczyły stolik, zapominając o tym, że niegdyś były istnym utrapieniem pałacu. Przestraszone tym, że szczypce zostały wygięte, zaczęły mówić przyciszonymi głosami.

– Kto mógłby... zrobić coś takiego? – powiedziała Clover, głaszcząc je delikatnie.

– Och, oczywiście, że Strażnik! – odparła Azalea. – Oczywiście, że to on!

Bramble wyjęła z wazonu stojącego na środku stołu suchą różę i ułamała

kwiat od łodygi.

– Drań – powiedziała, odrywając płatki. – Kiedy go spotkam, powiem mu dokładnie, co...

– Nie! – krzyknęła Azalea.

Dziewczęta spojrzały na Azaleę, z dłońmi zatrzymanymi w połowie wiązań kolorowych wstążek u pantofli. Azalea potarła dłonią czoło.

– Słuchajcie, po prostu... sama poradzę sobie ze Strażnikiem, dobrze? A zęby... cóż.

Siostry wpatrywały się ze smutkiem w wykręcony kawałek metalu. Żadnej z nich nie uśmiechał się widok porzuconych, bezradnych szczypczyków. Z ponurymi minami wzięły pudełko po pudrze Azalei i nasypały na dno nieco suchych płatków, tworząc dla nich małe łóżeczko. Azalea zgodziła się wyślizgnąć do kuchni, by przynieść kilka kostek cukru i może filiżankę, by dotrzymała towarzystwa szczypcom. W środku kurczowo trzymała się nadziei, że jeśli zostanie w kuchni wystarczająco długo, młodsze siostry zasną, a ona zdoła je przekonać, by zostały tej nocy w pokoju. Wcześniej to się nie zdarzało, ale Azalea widziała kiwające się główki Kale i Lily, wtulone w ramię Clover.

Azalea dotarła do skrzypiących kuchennych drzwi i zatrzymała się na widok króla, który siedząc przy wyszorowanym stole w migoczącym świetle świecy przeglądał stos dokumentów, pijąc ostatki łyk zimnej kawy. Jego dłoń wyglądała teraz dużo lepiej, chociaż wciąż była nieco sztywna. Gdy Azalea weszła do kuchni, podniósł głowę, a ona wplotła palce w końce szala. Jego onieśmielający wzrok zawsze sprawiał, że czuła się jakby balansowała na trzypoziomowej balustradzie.

– Jest wyjątkowo późno, panno Azaleo – powiedział król, odstawiając filiżankę na stół. – Powinnaś być w łóżku.

– Tak, sir...

Azalea spojrzała na dokumenty.

Zawsze zajmował się dokumentami. Po raz pierwszy zastanawiała się, czy to go nie nudzi.

– Przyszłaś coś zjeść? Znasz zasady.

– Nie, sir.

– Nie jadłaś obiadu. – Król zaznaczył piórem, gdzie skończył. – Opuściłaś śniadanie i podwieczorek i widziałem, jak oddajesz swoje jedzenie pannie Ivy. Mam wierzyć, że nie przyszłaś tu po coś do jedzenia?

– Tak – odparła krótko Azalea. – Gdybym była głodna, jadłabym. Chcę przynieść coś dziewczętom.

Słysząc jej ton, król wciągnął policzki. Z palcami wciąż zawiniętymi w szalu, Azalea otworzyła szafkę obok piecyka i zaczęła szukać kostek cukru.

– Zniknęła, prawda? – odezwał się król znad dokumentów. – Żadna z was jej dziś nie miała. Wiedziałem z chwilą – dokładnie z tą samą chwilą, z którą pozwoliłem wam ją wziąć, że zniknie. Podarowałem tę broszkę waszej matce, panno Azaleo, a teraz zginęła.

Azalea zatrzymała się z dłonią na zimnym słoiku z marynowanymi gruszkami, pomiędzy słojami z brzoskwiniami i śliwkami.

Oczywiście, że wiedział, że zginęła. Azalea wątpiła, by cokolwiek uchodziło jego uwadze. Wiedział o wszystkim...

Cóż... no tak. Wiedział o wszystkim. A na pewno wiedział więcej, niż ona, jeśli chodziło o magię. W środku zapaliła się w niej iskierka nadziei. Może odnalezienie cukrowych zębów pomoże jej w rozwiązaniu zagadki. Azalea przełknęła ślinę.

– Sir. – Zamknęła szafkę i oparła się o jej drzwiczki. Gałka wpijała się w gorset.. Dłonie wciąż drżały. – Eee. Pamiętasz może... że cukrowe zęby były magiczne?

Król spojrzał w górę.

– Były?

~ ~ ~

W ich pokoju król szturchnął cukrowe zęby. Przewróciły się na bok, brzdękając o wypolerowany blat. Dziewczęta zebrały się wokół, przygryzając z niepokojem usta.

– Nie wyglądają za ciekawie – powiedział król. Podniósł je i przyjrzał się im z bliska, przeciągając kciuk po wystających ząbkach.. Chciał je wygiąć z powrotem, ale zaniechał, gdy zdał sobie sprawę, że może tylko złamać metal. Odłożył z powrotem je na stół. – Co im się stało? Kto je tak wygiął?

Zimne, mrowiące uczucie owionęło Azaleę, a skórę pokryła gęsia skórka. Kaszlnęła, chcąc się pozbyć nieprzyjemnego uczucia. Najwyraźniej wszystkie to poczuły, bo przesuwały się teraz niespokojnie na łóżkach i pufach, pocierając dłonie i krzywiąc się. Eve pociągnęła za kosmyki czarnych włosów. *Przysięga...*

– A jeśli już o tym mowa – rzekł król – to gdzie jest reszta magicznego serwisu? Nie widziałem go od dłuższego czasu.

Dziewczęta spojrzały po sobie nerwowo, ale to Clover się odezwała:

– W porządku. – Siedziała na skraju łóżka, głaszcząc ciemne loczki Lily, która spała na jej kolanach. – To moja wina. Powiem mu.

Clover opowiedziała historię o tym, jak w napadzie gniewu rozbiła serwis i wyrzuciła szczątki do strumyka. Powiedziała to z uniesionym czołem i swoją ładną, lecz bladą twarzą i – co zaskakujące – bez zająknięcia. Brwi króla najpierw zmarszczyły się, a potem uniosły, aż wpatrywał się w nią z lekko otwartymi ustami. Azalea zgadywała, że pewnie byłby zły, gdyby ktokolwiek inny to zrobił. Ale jeśli chodziło o słodką jak miód Clover, król jedynie się na nią długo patrzył.

– Twoja matka zawsze mówiła – powiedział powoli, kiedy skończyła – że pewnego dnia zrobisz coś naprawdę zaskakującego. Z pewnością nie oczekiwałem, czegoś takiego.

Bramble wyszczerzyła zęby w stronę Azalei.

– Co teraz, sir? – spytała Flora.

– Teraz? – Król przerzucił uwagę z powrotem na drżące szczypce. – Cóż. Chyba trzeba będzie je odczarować.

Wyszedł. Po kilku minutach wrócił i zamknął za sobą drzwi. W sztywnej dłoni trzymał stary, srebrny miecz. W zamyśleniu spojrzał na cukrowe szczypce.

– Odczarowanie – powiedziała Azalea, smakując to obce słowo. – Zabierzesz z nich magię?

– W rzeczy samej.

Dziewczęta obserwowały w napięciu, gdy delikatnie i z poważną miną zbliżył klingę do cukrowych zębów. Z cichym brzdękiem przytknął srebro do srebra.

Tak szybko i chicho niczym zdmuchnięcie świecy, cukrowe zęby... straciły połysk. Wyglądały tak samo, ale... Azalea nie potrafiła tego opisać. Już się nie trzęsły, były spokojne... Wszyscy odetchnęli cicho.

– Cóż – rzekł król. Podniósł zęby i wsunął do kieszeni kamizelki, tak delikatnie, jak gdyby był to martwy ptak gotowy do pochówku. Zwrócił się do dziewcząt. – Co robiła wasza matka?

– Sir?

– Kiedy był czas iść spać? Powiedzcie mi.

Dziewczęta wymieniły nerwowe spojrzenia. On mówił o *matce*.

– Pomagała młodszym w modlitwie – odparła niepewnie Azalea. – I... czasem czytała nam bajki.

Król odłożył miecz na stół, obok wazonu.

– Doskonale – powiedział, a dziewczęta zaczęły szeptać między sobą. – Przeczytam wam bajkę.

Szepty ustały.

Jessamine ześlizgnęła się z łóżka na ziemię, a niezawiązane wstążki od pantofli ciągnęły się za nią, gdy podeszła do kufra Eve i wyciągnęła stamtąd księgę bajek. Podeszła do króla, trzymając ją w swoich małych, czteroletnich rączkach, a jej krystalicznie błękitne oczy spoglądały na niego z nadzieją.

Król usiadł na dywanie i oparł się o łóżko Delphinium i Eve, podczas gdy młodsze usiadły nieśmiało obok, spoglądając na obrazki. Clover uśmiechnęła się, ukazując prawy dołek w policzku i przytulając małą Lily. Bramble usiadła na pufie, rzucając Azalei cierpki, pełen zaskoczenia uśmiech.

– „W pewnym kraju..." – zaczął sztywnym głosem.

Przeczytał im bajkę o „Jasiu i Małgosi", „O kozach z Hemland", „Księżniczce na ziarnku grochu". Nie był jak matka, która potrafiła modulować głosy i wybuchała niekiedy śmiechem, ale... był w porządku. Wszystko wydawało się ciepłe i bezpieczne w przytulnym pokoju, pośród pościeli i strzelającego w kominku ognia.

Powieki dziewcząt zaczęły powoli opadać. Nawet król stał się śpiący, czytał coraz wolniej, aż musiał się otrząsnąć, by nie zasnąć. Potem, z pomocą Azalei, ułożył księżniczki w łóżkach. W końcu wyszedł z mieczem w ręku i życząc im dobrej nocy.

Miecz! Umysł Azalei zawirował. Zrolowała w palcach suche płatki róż, a wszystko powoli stawało się jasne. Przecież był magiczny, koniec końców! Azalea nie wiedziała jak, ale przecież odczarował pałac te setki lat wcześniej, ręką Harolda Pierwszego. Nic dziwnego, że Strażnik chciał się go pozbyć! Miecz mógłby go odczarować!

Z nadzieją promieniującą wewnątrz Azalea zdjęła z haka przy drzwiach

szal i wyślizgnęła się na zimny korytarz. Pobiegła w dół schodów, cicho, o bosych stopach, i za rogiem skręciła do galerii portretowej. W mdłym świetle migotały krawędzie szklanych gablot i złote zakończenia aksamitnych sznurów. Azalea podeszła do miejsca, gdzie leżał miecz. Król zawsze odkładał wszystko na swoje miejsce i po raz pierwszy Azalea się z tego ucieszyła. Podniosła wieko i po dziesięciu minutach z powrotem znalazła się w swoim pokoju.

Żadna z dziewcząt się nie obudziła, gdy Azalea zgasiła lampę i ugasiła ogień w kominku. Przetwarzała to sobie wszystko w pamięci, raz za razem. Odczaruje przejście. Nie odzyskają zegarka i broszki, ale to już nie miało znaczenia. Znaczenie miało to, że Strażnik utraci swoje moce.

Ale czy na pewno? Azalea zawahała się. Jest jeszcze krwawa przysięga... a ze złamanym mieczem...

– Zamknij się! – rozkazała swoim myślom. Obiema dłońmi chwyciła rękojeść szabli, weszła do kominka i przytknęła srebrną klingę do symbolu *DE*.

Nic się nie stało.

Oczywiście, nic się nie stało także i wtedy, kiedy król odczarował cukrowe zęby, ale ona coś poczuła. Coś dziwnego. Teraz, gdy jej podekscytowanie opadło, górę wzięło logiczne myślenie.

Co ona sobie myślała? Odczarowanie przejścia na nic się nie zda – Strażnik przecież nie mógł umrzeć, prawda? Wciąż by tam był, wraz ze swoją magią, z tym dodatkiem, że byłby bardzo zły. Azalea przeczuwała, że już teraz był na nią zły, kiedy nie przyszły tej nocy do pawilonu. Gdyby naprawdę odczarowała przejście, Strażnik zatrzymałby duszę matki...

W panice Azalea wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i potarła znak.

Stał się gorący, tak gorący, że palił. Oszołomiona z ulgi, Azalea cofnęła dłoń. Znak świecił się jeszcze przez chwilę, po czym znowu wtopił się w kamień. Przełknęła, chwyciła mocniej miecz i wyszła z kominka, pozostawiając za sobą

ścieżkę sadzy.

Po odkryciu, że w kuchni nie ma nikogo, Azalea pobiegła do biblioteki, nie mogąc złapać tchu. Nawet nie zapukała, zważywszy na późną porę, ale od razu otworzyła drzwi. Gdy weszła, zaskoczyła ją ciemność, więc zapaliła najbliższą lampę i zobaczyła, że król leży pod starym kocem na sofie, nieopodal fortepianu. Gdy Azalea podeszła bliżej, przebudził się.

– Sir! Sir! ty... śpisz tu każdej nocy? – Azalea skrzywiła się, patrząc na sztywny, twardy mebel. – Na pewno nie jest tu wygodnie.

Król zakrył oczy dłonią, gdy Azalea podkręciła mocniej dwie znajdujące się na biurku lampy.

– Azaleo, doprawdy!

– To ważne – powiedziała. Z mieczem wciąż w dłoni, podeszła do niego. Czarne pokrycie na fortepianie, zatrzepotało, gdy go mijała. – Sir, ten miecz. Czy można go naprawić?

Król usiadł; nie był zadowolony, gdy zobaczył Azaleę z mieczem w dłoni.

– Na... boga, Azaleo. To własność rządowa! Odnieś go do galerii, natychmiast.

– Sir, proszę. – Azalea była bliska łez. – Można go naprawić? Mógłbyś przywrócić w nim magię? Jakim cudem w ogóle jest magiczny? Proszę!

Coś w królu zmiękło. Być może było to desperackie spojrzenie Azalei. Westchnął, przetarł dłonią twarz i wstał.

– Chodź ze mną. Czas, abyś się dowiedziała.

Rozdział 20

W galerii było tak zimno, że Azalea nawet po ciemku widziała obłoczki pary wydobywające się z jej ust. Zadrżała i mocniej opatuliła się szalem; król wzniecił ogień w kominku i dodał więcej węgla.

– Cóż. – Odłożył miecz na czerwony aksamit pokrywający piedestał i przykrył szklanym wiekiem. Wyglądał na zmęczonego, ale było w nim wystarczająco siły, by mógł stać prosto i sztywno, jak zawsze. Był jak zrobiony z krochmalu, pomyślała Azalea. Z krochmalu i stali. – Wie o tym jedynie rodzina królewska i premier. Nie mówi się o tym publicznie.

– Ale chodzi o magię?

– Nie – odparł król. – I tak.

Azalea ugryzła kawałek chleba i sera, nie czując ich smaku. Po drodze wstąpili do kuchni, skąd król wziął nieco jedzenia zawiniętego w szmatkę i podał Azalei. Teraz siedział obok niej, na jednej z delikatnych sof, niedaleko kominka. Wątłe nóżki jęknęły, gdy siadał.

– Azaleo, wiesz o Przysięganiu na Srebro, prawda?

Azalea poczuła lekkie mrowienie w piersi, na myśl o chusteczce matki.

– Chyba nie – powiedziała powoli. – Nie bardzo. Jeśli... przysięgasz na srebro, pomaga to... w dotrzymaniu przysięgi? Tak, jakbyś przysięgał na... krew...

Azalea urwała ze wzdrygnięciem. Król spojrzał na nią badawczo.

– Tak. Polega to na tym samym, co przysięga krwi, którą Wielki Król

dokonał, zanim został obalony. Ale jest też tego absolutnym przeciwieństwem. Tak samo silna, z tym, że pośrednikiem tu jest srebro.

– Czyli srebro jest tu... czymś jak magia?

– Dokładnie. Ale magią znacznie potężniejszą, niż jej zwykły rodzaj. Potężniejszą niż magiczne przejścia i magiczny serwis, bo zapieczętowana jest twoim słowem. Poddani Wielkiego Króla D'Eathe nie mieli wiele, ale jakiekolwiek srebro posiadali, trzymali je zawsze przy sobie. Obrączki ślubne, rodzinne pamiątki i podobne. Wierzyli, że srebro jest najczystszym z metali. To właśnie z niego zrobiono ten miecz, na który przysięgali ochronić swoje rodziny i kraj. Teraz przysięgamy na niego także w parlamencie.

Przysięganie na Srebro. Najpotężniejsza magia. Powoli wszystko łączyło się w umyśle Azalei; magia przypieczętowana srebrem. Położyła chleb z serem na kolana i z kieszeni wyciągnęła chusteczkę matki. Obracała ją w dłoni, przypominając sobie, jak matka włożyła ją w jej dłonie.

– Ale to nie ma sensu – powiedziała. – Gdyby to była prawda, to chustka matki byłaby magiczna. Ale ona nigdy nic nie odczarowała. Albo... – Azalea pomyślała o mieczu i o tym, jak z jej rąk nie odczarował przejścia. – Może to ze mną jest coś nie tak.

Król wstał i poruszył pogrzebaczem w kominku, gdzie ogień już dogasał.

– Nic nie jest z tobą nie tak. – Płomienie rozświetlały jego twarz, pogłębiając zmarszczki. – Od wielu lat na miecz przysięgali królowie i ministrowie. Magia w nim płynie bardzo głęboko. Dla tych, którzy na niego przysięgają, dla naszych gości, a nawet dla ciebie, jest tylko mieczem. Nawet jeśli twoja chusteczka jest magiczna – dla ciebie i dla twoich sióstr – jest jednak słaba. Nie możesz oczekiwać, że jedna przysięga...

– Dwie – wtrąciła szybko Azalea. – Matka kazała mi na nią przysiąc. Zanim... zanim... umarła.

Zwróciła wzrok ku chlebowi i serze na kolanach, czując się głupio. Ale nie mogła przecież zignorować pierwszej obietnicy, jakiej dokonała... która wydawała się tak potężna.

Król nie odzywał się przez chwilę. Spojrzał na chusteczkę, którą obracała w dłoni; srebro delikatnie migotało w świetle lampy.

– Podarowałem tę chusteczkę twojej matce w prezencie ślubnym.

Azalea ścisnęła ją w dłoni, modląc się, by nie zażądał jej z powrotem.

Nie zażądał. Zamiast tego spytał:

– Co obiecałaś? Jeśli mogę spytać?

Azalea dotknęła kciukiem wyhaftowanych inicjałów. Nie powiedziała nawet tego swoim siostrom.

– Że... zajmę się dziewczynkami. – Zaległa cisza, ale nie krępująca. – Jakoś nie bardzo mi to idzie.

Azalea poczuła na ramieniu silną, ciężką dłoń króla. Był to tak niespodziewany, pełen uczucia gest, że Azalea nie mogła wydusić z siebie słowa. Król zabrał szybko dłoń, ale gdy przemówił, jego głos był łagodny.

– Idzie ci wspaniale. Nie możesz oczekiwać, by chustka była tak potężna jak miecz. Ale i tak posiada w sobie głęboką magię. Ty do tego doprowadziłaś.

Azalea utkwiła wzrok w swoim chlebie z serem. Pomyślała o matce, o jej dłoni nad sercem Azalei, o tym, kiedy w sali balowej opowiadała o najgłębszym rodzaju magii. Tym ciepłym i łaskoczącym. Azalea wiedziała, że nie jest to często spotykana magia, ani nie jest nią zimne, srebrzyste kłucie podczas Przysięgania na Srebro.

– A co z tym drugim rodzajem magi? – spytała Azalea. – Tym, o którym mówiła matka? Tym bez nazwy.

Zaległa cisza, najdłuższa jak do tej pory. Król, głaszcząc krótko przystrzyżoną brodę, spoglądał na kotary rozwieszone na całej długości

korytarza. Jego oczy były jasne, ale smutne.

– Tak. Mówią, że jest też trzeci rodzaj magii.

Azalea czekała; jej jedzenie leżało zapomniane na kolanach. Król poruszył się sztywno i skupił wzrok na pogrzebaczu w dłoniach.

– To najgłębsza znana magia – odparł w końcu. – Tak głęboka i rzadka, że nie ma swojej nazwy. Nie potrzebuje srebra. Jest związana z tym, co masz w środku. Z twoją duszą. Przysięga tak głęboka, że zaciera granicę między śmiertelnym a nieśmiertelnym. Ta nienazwana magia doprowadziła do wielu dziwnych rzeczy. Tak przynajmniej mówią.

– Jakich rzeczy? – spytała Azalea.

– Nie wiem.

– Nie... nie widziałeś żadnych jej skutków?

– Nie.

– Wierzysz w nią?

Król westchnął.

– Nie wiem, Azaleo. Naprawdę nie wiem. Ale twoja matka wierzyła. Bardziej niż ktokolwiek inny.

Azalea zapatrzyła się w blask dochodzący z kominka, myśląc o tym ciepłym łaskotaniu. Nie czuła go już od jakiegoś czasu, nawet podczas tańca. Łatwo było wierzyć w takie rzeczy, kiedy matka była przy niej. Teraz jednak sama myśl o matce, jej bladych ustach i czerwonej nici wystarczyły by poczuła się, jakby ktoś wlał do jej płuc wiadro lodowatej wody. Azalea wstała szybko, zrzucając na ziemię swój chleb i ser, i podeszła do szklanej gabloty, w której leżał srebrny miecz.

– Niecały rok temu – powiedziała – uszkodziłam go, a przynajmniej częściowo. Gdyby go naprawiono, czy magia w nim byłaby tak silna, jak przedtem?

– Nie sądzę. Trzeba by ponownie na niego przysiąc, wiele razy po jego naprawieniu.

– Och.

Strumień zimnej wody ponownie zalał jej wnętrzności, a Azalea zadrżała tak gwałtownie, że jej zęby zaczęły szczękać. Podskoczyła, kiedy król okrył jej ramiona szalem.

– Jest już późno – rzekł. – Jeśli chcesz, rozpalę w waszym kominku.

– Sir – powiedziała Azalea, gdy król prowadził ją z galerii – ta przysięga krwi, której dokonał Wielki Król – że nie umrze, dopóki nie zabije Harolda Pierwszego... czy Harold Pierwszy nie zmarł w podeszłym wieku?

– Jeśli się nie mylę, chodziło o zabicie Generała Wojsk Królewskich. Nie, niestety dożył starych lat.

– Niestety?

Król wciągnął policzki, jakby wcale nie chciał jej odpowiedzieć. W słabym świetle wyglądał zupełnie jak pierwszy król na portrecie za nim; ta sama linia żuchwy, jasne włosy, krótko przystrzyżona broda.

– On oszalał – odparł. – Nasz pierwszy król. To... rodzinna tajemnica. Zdetronizował Wielkiego Króla, odczarował pałac przy pomocy miecza, ale... – Król przestąpił z nogi na nogę. – Twierdził, że Wielki Król wciąż jest gdzieś w pałacu.

Krew odpłynęła z twarzy Azalei.

– Wierzył, że esencja Wielkiego Króla, czy coś w tym stylu, wciąż istnieje w fundamentach czy też w murach. Jakby się zastanowić teraz, to oczywiście niedorzeczne. Po przekazaniu tytułu Generała Wojsk Królewskich swojemu synowi, Haroldowi Drugiemu, oszalał. Nocami krążył po pałacu, pewien, że Wielki Król powrócił by go zamordować...

– Generał Wojsk Królewskich, Generał Wojsk Królewskich! – krzyknęła

Azalea. – Przecież to ty!

– Panno Azaleo, to było setki lat temu! Zbladłaś... to tylko opowieści!

– Pierwszy król! Mówił, że...

Azalea poczuła się, jakby ktoś przyłożył jej młotkiem.

Kiedy miała siedem lat, spadła z konia, a upadek odebrał jej na długą chwilę dech. W piersiach pozostała pustka, a ona za wszelką ceną próbowała wciągnąć powietrze. Teraz czuła się tak samo, ale tym razem z dodatkową porcją ostrych kolców w płucach. Nie miała czym oddychać, gardło miała zaciśnięte. Ogromna fala lodowatych kolców rozlała się w stronę palców u stóp i dłoni, a potem w kierunku głowy.

– Niebiosa, Azaleo, dobrze się czujesz?

Przysięga! Azalea podparła się o boazerię w korytarzu; bolące mrowienie krążyło w jej żyłach niczym prąd. Obracając się na drżących nogach, Azalea padła w ramiona króla.

Kiedy pięć minut później król położył Azaleę na łóżku, w pokoju dziewcząt zapanował chaos. Lily obudziła się z płaczem, a Kale, która zawsze marudziła, gdy była zmęczona, zaczęła krzyczeć. Zapalono świece, podkręcono ogień w lampach i wszystkie zaspane siostry zebrały się wokół łóżka Azalei. Azalea walczyła o kolejny dech, wciąż czując krążące po jej ciele ostre kolce.

– Co się stało? – spytała Clover, która zmoczyła kawałek materiału w misce z wodą i zaczęła ocierać twarz Azalei.

– Miała coś w rodzaju ataku – odparł król. – Chyba jej bielizna jest za mocno zasznurowana.

Wszystkie dziewczęta, włączając w to Azaleę, pokryły się rumieńcami.

– Sir – zawołała Eve. – Nie powinieneś wiedzieć o słowie na B!

– Nie powinienem? Wybaczcie.

Kiedy do policzków Azalei powrócił normalny kolor, wypchnęły króla z

pokoju i zaczęły rozsznurowywać suknię Azalei. Azalea miała nadzieję, że poluzowanie gorsetu przywróci jej możliwość swobodnego oddychania, ale duszące uczucie odeszło dopiero po godzinie i dwóch filiżankach ziołowej herbaty. Strach i beznadziejność jednak pozostały i Azalea spała ze ściśniętym gardłem.

Spała tak długo, że następnego dnia omal nie opuściła obiadu. Udała się na dół, otrząsając się po drodze z odrętwienia i znalazła siostry, które z czerwonymi od mrozu policzkami zastawiały stół w jadalni. Szczebiotały o wydarzeniach dnia. Clover wyglądała wyjątkowo ładnie z podpiętymi do góry włosami i z kształtną dzięki gorsetowi figurze – prawdziwa dama, mimo, że dopiero co skończyła piętnaście lat! *Piętnaście!* Dziś były urodziny Clover, a Azalea przespała prawie pół dnia, włącznie z Wielkim Gorsetowaniem i urodzinowym korowodem. Znowu czując przypływ mdłości, chwyciła dłonie Clover, starając się uśmiechnąć.

– Wszystkiego najlepszego! Nie mogę uwierzyć, że prawie wszystko przespałam.

– Byłaś chora – odparła Clover, ściskając dłonie Azalei.

– Wynagrodzę ci to. Obiecuję. Podoba ci się gorset?

Clover starała się nie uśmiechnąć, ale jej twarz wprost promieniowała.

– Cz... czuję bicie serca w brzuchu!

– Właśnie takie to uczucie być damą! – rzekła Bramble pośród ogólnego zamieszania i brzdękania sztućców. – Ale jest wystrzałowo. Uwielbiam to.

Azalea podczas obiadu spróbowała jedynie kilka łyżek swojej zupy ziemniaczanej. Dłoń ją swędziała, gdy chciała sprawdzić godzinę na zegarku, którego przecież nie było w kieszeni. Czuła, że Strażnik z każdą minutą stawał się coraz bardziej zły, że ich nie ma.

Król jednak wydawał się być w dobrych humorze, zwłaszcza widząc

Azaleę przy stole, a lord Teddie – jak to on – wprost promieniał. Młodsze dziewczynki walczyły o miejsce przy jego boku i jego uwagę.

– Przynajmniej Azalea pamiętała – powiedziała szeptem Delphinium. Azalea karmiła Lily, siedzącą na jej kolanach. – Król nic nie powiedział. Ani słowa!

– Zapomniał – dodała Eve. – Tego się obawiałam.

– Na litość boską, Clover. – Azalea rzuciła spojrzenie w kierunku szczytu stołu. – Nie powiedziałaś mu?

– Cóż... jesteśmy w żałobie. – Clover wygładziła serwetkę na kolanach. – I... pewnie poczułby się źle, że zapomniał.

– Gdyby to było dla niego ważne – powiedziała wyniośle Delphinium – pamiętałby.

Przy drugim końcu stołu, dziewczynki piszczały ze śmiechu, gdy lord Teddie trajkotał jak szalony. Zjadł zbyt dużo zupy i zbyt wiele herbatników, jak na jego szczupłą, tykowatą sylwetkę, a teraz czytał im książkę „Przewodnik po eathesburiańskich świętach", którą przywiózł ze sobą z Delchastire.

– Jest tu cały rozdział tylko o ogrodach! Fontanny, posążki i wszystko co ogrodowe – mówił, a dziewczynki wspinały się jedna na drugą, by rzucić okiem na rysunki. – Tu piszą, że jeśli ma się szczęście, można znaleźć nawet rzadkie kwiaty Eathesbury!

Dziewczęta zachichotały, a Hollyhock omal nie zakrztusiła się zupą.

– To my! – krzyknęła, gdy skończyła kaszleć. – My jesteśmy kwiatami Eathesbury!

– A wszystkie ładniutkie jak guziczki! – zawołał lord Teddie z promiennym uśmiechem.

Spojrzał w kierunku Bramble, która w czerwone włosy wplotła gałązkę ostrokrzewu i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Panno Clover – odezwał się król, przerywając rozmowę. Przez cały obiad rzucał nieobecne spojrzenia w jej stronę. Azalea wiedziała dlaczego. Z upiętymi włosami i błyszczącymi oczami, Clover wyglądała jak złota wersja matki. Miała nawet ten uśmiech, który rozjaśniał cały pokój. – Panno Clover... wyglądasz... bardzo ładnie – skończył kulawo.

Błękitne oczy Clover pojaśniały.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała.

Król rzucił jej kolejne nieobecne spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na Azaleę, która wymówiła bezgłośnie: „urodziny".

Twarz króla przybrała skonfundowany wyraz. Azalea powtórzyła słowo. Król otworzył usta, potem zamknął ze zmarszczonym czołem.

– To jej urodziny – powiedziała w końcu Delphinium, która nie mogła już wytrzymać. – Od dziś jest pełnoletnia i od rana czekała, aż sobie przypomnisz, ale nie przypomniałeś!

Król zamarł z kieliszkiem wina w pół drogi do ust, a z jego miny nie można było nic odczytać.

– Urodziny?

– Jest pełnoletnia – dodała Azalea.

– A ty zapomniałeś – zaćwierkała Hollyhock.

Król ożył i odstawił kieliszek na stół.

– Och, doprawdy. Ledwie pamiętam o własnych urodzinach.

– Ja jestem pełnoletnia od zeszłego stycznia – wtrąciła Bramble, ściskając mocno nóżkę kieliszka – i o tym także zapomniałeś. Nawet cię wtedy nie było w domu.

– Ja skończyłam osiem lat ostatniej wiosny – dodała Hollyhock. – I n'wet nie dostał'm żadnego prezentu!

Reszta dziewcząt przyłączyła się.

– W kwietniu skończyłam trzynaście lat i na urodziny nie mogłam nawet ubrać nic wyjątkowego...

– My skończyłyśmy dziesięć... ledwie dwa miesiące temu...

– Ja zwykle dostaję książkę na urodziny...ale... w tym roku...

– Moich urodzin też zapomniałeś...

– I moich.

Dziewczęta wyglądały żałośnie. Król otworzył usta i zamknął.

– Sir! – jęknął lord Teddie. – Zapomniałam pan też o moich urodzinach!

Bramble parsknęła śmiechem, ale zaraz zasłoniła dłonią usta, jakby zaskoczona, że w ogóle je otworzyła. Napięcie pękło. Dziewczęta zaczęły się nieśmiało uśmiechać, a lord Teddie promieniał. Prawdopodobnie niewiele dam uważało go za zabawnego. Właściwie to pewnie od większości dostawał w twarz.

– I na tym koniec – powiedział król, wyglądając jakby mu ulżyło.

Posłano Eve po więcej wina i z chwilą, gdy król odkorkował butelkę, wszyscy poczuli uroczystą atmosferę. Jednak Clover odwróciła swój kieliszek do góry dnem.

– Postanowiłam być abstynentką – powiedziała stanowczo.

– Co, chyba nie jak Fairweller? – spytała Bramble.

– Tak. Dokładnie jak Fairweller.

Dziewczęta zaczęły dokuczać Clover, zwłaszcza Bramble, ale król natychmiast zakorkował butelkę i odstawił wino na bok.

– To urodziny Clover – rzekł. – Zrobi jak zechce. Czy chciałabyś coś wyjątkowego z tej okazji, panno Clover? Z pewnością jest coś, czego pragniesz.

Powiedział to tak, jakby był przekonany, że Clover za chwilę poprosi o kucyka. Clover uśmiechnęła się promiennie.

– Czy możemy mieć w domu choinkę? – spytała.

Z twarzy króla zniknęły wszelkie emocje. Azalea przygryzła usta. To

matka zawsze odpowiadała za ozdoby świąteczne i ubieranie choinki. Nawet gdy była chora, pomagała im w dekorowaniu, śmiejąc się przy tym, śpiewając i pomagając robić łańcuchy z suszonych jagód.

– Proszę – rzekła Clover. – Moglibyśmy wszyscy... pójść do biblioteki i... i zrobić dekoracje i nawlec jagody na nitki? Całą rodziną... jak zwykliśmy zawsze robić.

– Co? – spytała Delphinium. – Ale co z tańc...

Azalea mocno nadepnęła jej na stopę.

– To wspaniały pomysł. Och, sir! Proszę, zgódź się!

Król stukał palcami o blat ze wciągniętymi policzkami.

– Prosimy! Prosimy! – wołały młodsze dziewczynki.

– Tylko dlatego, że to urodziny Clover – powiedział w końcu ku głośnym „Hurra!". – Rozejrzymy się za drzewkiem. Ale nie zapomnijcie o tym, że ten dom jest w żałobie!

– Och, tak, sir! – zapiszczały dziewczynki, skacząc wokół stołu w pseudo-korowodzie.

Clover promieniała, wyglądając tak anielsko, że pokój napełnił się blaskiem.

Rozdział 21

Pośród ciepłych złoceń i brązów w zastawionej książkami bibliotece, Clover sprawowała pieczę nad przygotowaniem świątecznych ozdób. Zleciła Delphinium, która dobrze radziła sobie z kredkami i farbkami, malowanie akwarelami kartek, a Hollyhock wraz z młodszymi dziewczynkami zajęły się robieniem bombek z przędzy. Nawet lorda Teddiego zaprzęgnięto do pracy przy zawiązywaniu ozdobnych wstążek. Nad kubkami parującego cydru i pod nieco zdezorientowanym wzrokiem króla, biblioteka wypełniła się śmiechem i ciepłem, a każdy czuł radosny nastrój świąt.

Każdy z wyjątkiem Azalei. Robótki powstrzymywały dziewczęta od tańczenia, co jednocześnie martwiło ją i radowało. Trzęsąc się, Azalea co chwilę wbijała igłę w palce, próbując nawlec suszone jagody na nitkę. W końcu, po wyssaniu z kciuka krwi, przeprosiła wszystkich i pobiegła na górę.

Było już późno. Strach skręcał jej żołądek, kiedy pocierała chusteczkę o inicjały.

Proszę, mówiła w duchu, gdy przeciskała się przez przejście. *Proszę... proszę... niech z matką wszystko będzie w porządku...*

Azalea pobiegła przez srebrny las i dotarła do mostku z szalem tak ciasno owiniętym wokół ramion, że czuła, jak pulsują. Równie mocno ścisnęła chusteczkę – jej jedyną pociechę. To była magia. To ona prawdopodobnie powstrzymywała Strażnika przed zrobieniem czegoś strasznego. Pamiętała, jak

kiedyś wzdrygnął się przed chusteczką.

W pawilonie, Strażnik przechadzał się w tę i z powrotem – płaska sylwetka na tle srebra.

– Ach! – powiedział bez zbędnego ukłonu – Dobry wieczór, księżniczko. A więc Jej Wysokość zdecydowała się zaszczycić mnie swoją obecnością dzisiejszego wieczora. Przyszłaś zatańczyć?

Azalea nie otwierała ust i nie odrywała stóp od mostu.

– A gdzie reszta?

– Dziś... są urodziny Clover – wyjąkała.

– A poprzedniej nocy?

Azalea wpiła palce w srebrny haft.

– No dalej, jestem tylko ciekaw. Nigdy wcześniej nie opuszczałyście tańców.

– K...król czytał im bajki i... zasnęły.

– Jak uroczo. – Strażnik oparł się o łukowate wejście. W jego palce wplątana była szkarłatna nić. Azalea nie spuszczała z niej oczu. – Zwłaszcza gdy wszystkie tak bardzo go nienawidzicie. Och, nie krzyw się tak, moja pani. Myślisz, że tego nie widziałem? – Długie palce Strażnika wplotły się w nić, wykręcając ja i ciągnąc, tworząc prawie pajęczą sieć. – Jeśli ci to pomoże, wiedz, że ja również nienawidzę waszego ojca.

– Nawet go nie znasz.

– Czy muszę? Nienawidzę go, bo jest Generałem Wentworthem. Żywiłem się tą nienawiścią. Nienawiść w pewnym sensie jest cnotą.

Azalea rzuciła ukradkowe spojrzenie za siebie, w stronę gałęzi wierzby. Jeszcze mocniej ścisnęła chusteczkę.

– Panie Strażniku. Proszę. Moja matka... ty nie... to znaczy, mógłbyś... może mógłbyś przeciąć...

– *Może* – uciął krótko Strażnik. – Wróć jutro wraz ze swoimi siostrami. Nie opuszczajcie kolejnej nocy. A wtedy, zobaczymy. Szukałaś?

– Nie mam wyboru.

– Nie, nie masz. *Gąsko*.

W bladym świetle błysnęła zwisająca z nitki igła. Azalea cofnęła się pod poręcz na moście.

– Idź. Przyprowadź je jutro i tańczcie te wasze małe tańce. *Nie* opuścicie kolejnej nocy.

Jego głos był niebezpiecznie aksamitny.

Na tle bladej mgły pawilonu, Strażnik uniósł w górę zaplataną z nitek sieć pomiędzy dłońmi. Czerwona siatka utworzyła napis:

3 dni.

~ ~ ~

– Wspaniale! – Matka śmiała się swym tryskającym śmiechem, który wszystko przywracał do normy. Jej włosy jak zawsze były rozwichrzone, a potargany wygląd sprawiał, że była jeszcze bardziej czarująca. – Jesteś lepsza ode mnie! W górę, w górę. Bardzo dobrze! Płaszcze dam do biblioteki, kapelusze dżentelmenów...

– Do holu. Tak. Pamiętam.

Azalea także się uśmiechała, gdy kucnęła, a krynoliny i jedwabie jej sukni balowej rozłożyły się wokół niej.

– Wyśmienicie. Dżentelmeni oszaleją na twoim punkcie. Zatańcz z każdym i znajdź tego, który najbardziej ci się spodoba.

Nawet kwaśne uczucie, jakie ogarniało ją na myśl o przyszłym mężu nie było takie złe, kiedy była z matką, przy której wszystko stawało się lepsze, jak

syrop na cieście.

– Szkoda, że ciebie nie będzie – powiedziała Azalea.

– Twój ojciec będzie.

Azalea potrząsnęła smutną głową.

Być może stało się tak dlatego, że odeszła we śnie od prawdziwego scenariusza, albo że nie mogła do końca patrzeć na matkę, bo kiedy już podniosła wzrok, pokryte kwiecistą tapetą ściany pokoju matki zniknęły z dźwiękiem pękającego lodu i zamieniły się w ciemny pawilon, wypełniony zamaskowanymi tancerzami i kolczastymi winoroślami. Po twarzy matki spływały łzy. Starała się uśmiechnąć, ale skrzywiła się z bólu. Jej usta były zaszyte.

Tancerze pruli do przodu, ich wypudrowane peruki i ociekające koronką suknie nacierały na Azaleę, popychając ją do tyłu i zwalają z nóg.

Czuła, jak jej żołądek się skręca...

...i obudziła się nagłym zrywem, ciężko dysząc.

Poranny ogień w kominku zgasł, a pokój ogarnął chłód. Drżąc, Azalea wstała z łóżka i dorzuciła węgla, choć cała była roztrzęsiona po niedawnym śnie. Starała się odpędzić od siebie obrazy tancerzy, odciągających od niej matkę i jej poranioną twarz...

– Sen – szepnęła Azalea. – To tylko sen... tylko sen...

Wciąż pamiętała zapach – oliwkę i zasypkę dla dzieci.

Minionej nocy jakimś cudem udało jej się dostać z powrotem do pokoju przez migoczącą zasłonę, choć z trudem powstrzymywała mdłości. Dziewczęta przyszły ledwie kilka minut później, w doskonałych humorach, zachwalając swoje własnoręcznie wykonane ornamenty. Gawędziły o ostrokrzewach i pachnących cynamonem szyszkach. Azalea zmusiła się do uśmiechu i pomogła im się przebrać do spania, potem zwinęła wciąż w ubraniu na swoim łóżku,

oddychając płytko, aż zapadła w sen.

Teraz, ze świeżym obrazem matki przed oczami, stopy Azalei wyprzedziły jej umysł, a ona chwyciła szal i wymknęła się z pałacu prosto w mroźny, zimowy poranek.

~ ~ ~

Cmentarz otulała lodowata, niebieskawa mgła. Śnieg i szron pokrywały niemal każdy nagrobek, gałąź czy żelazną bramę. Przypominało to spacer po zimowym pałacu. Azalea ciaśniej owinęła się szalem.

Ze złożonych dłoni płaczącego anioła nad grobem matki zwisały sople lodu, a na głowie śnieg utworzył białą czapkę. Matka pewnie pomyślałaby, że to zabawne, ale nie Azalea. Strząsnęła śnieg, a końcem szala ułamała sople. Wpatrywała się teraz w anioła – samotna i drżąca, a z każdą chwilą, z którą budziła się coraz bardziej, jej duch upadał.

Co ona tu właściwie *robiła*? Słyszała gdzieś, że ludzie odwiedzają cmentarze, aby nawiązać kontakty ze zmarłymi czy coś w tym rodzaju. Że jakimś cudem będzie wiedziała co robić, jeśli stanie obok grobu matki, z nadzieją na jakąś odpowiedź.

Lecz teraz, stojąc skulona pod nagimi drzewami, wpatrując się w zmrożony posąg, zdała sobie sprawę, że cmentarz jest pusty. Poczuła gulę w gardle.

– Gdzie teraz jest tak głęboka magia, matko? – Jej ściśnięty głos rozległ się echem po cmentarzu. – To ciepłe łaskotanie? Jeśli cokolwiek z tego było prawdą, mogłabyś sprawić, że przynajmniej... przynajmniej mogę *powiedzieć* o tym komuś. Mówiłaś, że to silniejsze od magii! Że pan Strażnik i... i...

Jak tylko wymówiła słowo „Strażnik” zalała ją fala lodowatych kolców i

upadła na kolana przy nagrobku. Śnieg przez przez suknię wyziębił jej skórę. Azalea walczyła o oddech i powoli odzyskała go, a jednocześnie znikało kłucie.

– Nie mogę nawet o tym mówić z umarłymi – wyszeptała. Oparła głowę o szatę posągu, z nadzieją że zamarznięty kamień zapiecze ją w skórę. – Głupia przysięga. Głupia ja.

Żelazna brama zaskrzeczała.

Na cmentarz wszedł dżentelmen, niosąc kapelusz i wieniec z ostrokrzewu. Ubrany był w gruby, brązowy płaszcz, miał długi nos i niemiłosiernie rozczochrane włosy.

Przez myśl Azalei przeszło, by przybrać pozę płaczącego anioła, w nadziei że wtopi się między pozostałe posągi. Zamiast tego, cofnęła się w kierunku jednego z nich, życząc sobie, by zniknęła. Lecz oczy pana Bradforda szybko odnalazły ją skuloną pod nogami anioła. Przez jedną przerażającą chwilę Azalea zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie słyszał jej krzyki.

– Księżniczko! – powiedział, zdejmując z głowy kapelusz. – Wybacz. Czasem przychodzę tu przed poranną mszą. Nie chciałem przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan – odparła, jakby gawędzili przy herbacie, a nie na mroźnym cmentarzu. – Tylko... odwiedzałam.

– Czasem to pomaga.

– Nie. Nie pomaga. Jest pusto.

Pan Bradford przyjrzał się jej badawczo. Podszedł przez skrzypiący śnieg do grobu jej matki, przyklęknął i położył wieniec u stóp płaczącego anioła, tuż obok Azalei, która mogła poczuć ciepło jego ramienia.

– Pani? – zapytał. – Mój sklep jest ledwie kilka kroków dalej, zawsze pali się tam w piecyku. Mógłbym zrobić herbatę. Rozgrzałaby panią.

– Nie trzeba – odparła Azalea, starając się wstać. – Muszę wracać do pałacu. Nie mogę pozwolić, by ktoś mnie zobaczył. Wie pan, żałoba. To

niesprawiedliwe z mojej strony.

– Sklep jest bliżej – rzekła pan Bradford. – A pani usta są niebieskie.

– Z pewnością nie.

– W takim razie, bardziej fioletowe.

Azalea zacisnęła usta, jednocześnie starając się je ogrzać i ukryć. Potem spojrzała na pana Bradforda. Część jego kołnierza była postawiona i osłaniała twarz, druga złożona; krawat jak zwykle miał przekrzywiony. Azalea zawinęła palce wokół szala, by powstrzymać je od sięgnięcia i wyprostowania go.

– Proszę – powiedział pan Bradford.

A w jego oczach – tego samego koloru, co chleb cynamonowy – było tyle troski, że Azalea zaczęła się roztapiać.

– Wie pan – powiedziała, gdy silnym ramieniem pomógł jej się podnieść, uśmiechając się przy tym tak krzywo, jak jego krawat. – Pewnego dnia mnie pan uratuje, a ja będę wyglądała wtedy ładnie.

– Zawsze wygląda pani ładnie.

W tym momencie Azalea mogłaby go pocałować.

~ ~ ~

Sklep pana Bradforda naprawdę położony był naprawdę niedaleko – na placu tuż za katedrą. Całe szczęście, bo stopy Azalei zamieniły się w dwa lodowe bloki. Przez to ledwo szła, a pan Bradford podtrzymywał ją mocno, jakby nic nie ważyła. Owinął ją swoim płaszczem, którego ciepło przesiąkało jej skórę.

Sklep z zegarami pachniał drewnem i olejem. Na ścianach i za szklanymi gablotami znajdowało się tuziny zegarów – zegary z kukułkami, zegary z dzwonami, zegary z wahadłami w kształcie róż. Był to wspaniały, stary budynek, w którym można było sobie pozwolić, by w piecyku paliło się przez cały czas.

Pan Bradford postawił czajnik na piecyku i otworzył schowek pod schodami, w którym na wieszakach wisiało kilka płaszczy, podczas gdy Azalea powoli ogrzewała się przy piecu.

– Często pan tu bywa? – spytała Azalea, dziwiąc się jego najwyraźniej bliską znajomością sklepu.

– Tak – przyznał pan Bradford. – Często przychodzę pomagać panu Grunningsowi przy zegarach.

– Pomagać?

– Lubię je rozkładać na części.

Ach, pomyślała Azalea. Pamiętała, jak raz król pozdejmował z półek wszystkie książki w bibliotece i przesortował je na nowo w innym porządku, bo, jak mówił, tak będzie lepiej. Azalea zaryzykowała odpowiedź.

– I lubi pan je składać na nowo w innym porządku?

Twarz pana Bradforda rozjaśniła się.

– O, tak. Niektóre z tych mechanizmów są strasznie przestarzałe. Trzeba je nakręcać co najmniej dwa razy w ciągu dnia. Z pewnością są lepsze sposoby, by zwiększyć wydajność tak małych cząstek. – Wciąż się uśmiechając, pan Bradford odwrócił się w stronę schowka na płaszcze, które uszyte były w zdecydowanie niemodnym już stylu. Wyglądało to bardziej jak jakaś stara szafa. Z jednego z wieszaków zwisał bardzo stary i znoszony płaszcz. Pan Bradford rzucił spojrzenie na stopy Azalei. – Może jeszcze jeden płaszcz, na stopy?

Azalea wygładziła spódnicę, spojrzała w dół i zamknęła z zażenowaniem oczy. W ciemności nie mogła znaleźć swoich butów i sfrustrowana chwyciła pierwsze, co wpadło jej w ręce, a co uznała za swoje zielone pantofle do tańca. Tak, jeden nim był. Drugim okazał się czerwony pantofel Bramble, zawiązany wokół lewej stopy. Wyglądało to fatalnie... i wyjątkowo świątecznie.

– Ja... potrafię być nieco impulsywna – przyznała Azalea, krzywiąc się.

Schowała swoje niedopasowane stopy pod spódnicą.

– Więc to prawda – rzekł. – Naprawdę tańczycie w nocy.

Azalea otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz ruch za oknem odwrócił jej uwagę. Przed sklepem zatrzymał się właśnie wielki biały koń. Po chwili na schodkach pojawiła się czarna postać.

W mgnieniu przepastnych spódnic, Azalea pobiegła do najbliższego miejsca, gdzie mogła się schować – do szafy.

W której znajdował się już pan Bradford. Został pchnięty pod ścianę, kiedy Azalea skoczyła do środka, przyciskając płasko spódnicę i zatrzaskując za sobą drzwi.

Ogarnęła ich smolista czerń. Kij od miotły uderzył kogoś o głowę i nie była to głowa Azalei. Na zewnątrz zadzwonił dzwonek, sygnalizujące wejście klienta.

Nastąpiła niezręczna chwila wypełniona ciszą.

– Eee – odezwał się pan Bradford.

– Przepraszam – wyszeptała Azalea, zdając sobie sprawę, że jest do niego całkiem przyciśnięta. Pachniał świeżym praniem, mydłem i świerkiem. Z trudem powstrzymała chęć zanurzenia nosa w jego krawacie i zaciągnięcia się.

– To... ee... my tu razem... – wyjąkał. – Chyba...

– Proszę – szepnęła gorączkowo Azalea. – Proszę. Tam jest Fairweller. Niech pan nie pozwoli, by mnie zobaczył. Proszę.

O ladę załomotała laska. Pan Bradford ujął dłoń Azalei.

– Proszę poczekać – rzekł.

Potem przy wielu przepychankach i szeleście płaszczy, spódnic i zgubnej miotły, wyszedł, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, zostawiając jedynie szparkę. Azalea wyjrzała przez srebrne światło.

– Panie premierze – rzekł pan Bradford. – Dzień dobry. Sklep nie jest

jeszcze otwarty. Zdaje się, że pan Grunnings będzie tu dopiero za jakieś dwie godziny.

– Zobaczyłem światło – dobiegł ją jak zwykle całkowicie beznamiętny i jednostajny głos Fairwellera. – Pomyślałem, że wejdę. Miałem tu odebrać zamówiony zegarek z Delchastire, dla damy. Zdaje się, że było opóźnienie. Macie go już może?

Zegarek dla damy! Azalea pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć, chwytając przy tym fragment twarzy Fairwellera i ladę.

– Tak. Wczoraj przypłynął ładunek. Jak wyglądał ten zegarek?

– Srebrny. Na wstążce. I... – Coś drgnęło na twarzy Fairwellera. Azalea żałowała, że nie widzi go lepiej. – I delikatny. Tak delikatny i misterny, że... można by się obawiać, że przy najlżejszym dotknięciu się rozpadnie.

Azalea wstrzymała oddech. Fairweller! Fairweller był *zakochany*! Powstrzymała chęć roześmiania się diabolicznym śmiechem. Och, co za biedna dama. Czekała, aż pan Bradford wrócił z zaplecza, niosąc w ręku małe pudełeczko. Zegarek musiał być kosztowny, pomyślała, gdy Fairweller wypisywał czek. Gdy brał pudełeczko z rąk pana Bradforda, obchodził się z nim z największą troską. Azalea była zdumiona ponad wszelkie wyobrażenie.

Gdy ponownie zamknęły się drzwi, Azalea wypadła z szafy.

– Wielkie nieba – zawołał pan Bradford. – W mojej szafie jest dama.

– Widział pan? – spytała Azalea. – Fairweller! Zakochany! Założę się, że to prezent zaręczynowy. Ciekawe, kto to. Lady Caversham? Musiałaby chyba być szalona.

Pan Bradford uśmiechnął się. Azalea wciąż szczebiotała, kiedy pomagała mu przygotowywać herbatę, a kiedy widziała, jak kiepsko radzi sobie z sitkiem, przejęła je z rąk pana Bradforda. Wkrótce usiedli na stołkach przed czarnym piecykiem. Opatulona w dwa płaszcze Azalea powoli odtajała, kiedy tak pili

herbatę ze sklepowych kubków.

– Mam nadzieję, że kocha tę damę za to, jaka jest – dumała Azalea, mieszając w parującej herbacie. – Nie lubię Fairwellera, ale mam nadzieję, że ona także go kocha. Mam nadzieję, że nie wyjdzie za niego dla jego pieniędzy. To by było takie... smutne. Powinna go poślubić za jego umysł i duszę.

– Jest pani romantyczką? – spytał pan Bradford.

– Nie. Po prostu myślę, że każdy tego pragnie. To znaczy, sama chciałabym kogoś takiego jak...

Urwała nagle, przerażona tym, że jej usta wyprzedziły myśli. Omal nie powiedziała „jak pan".

A wtedy zdała sobie sprawę, że *naprawdę* tak myślała.

To *ona* była zakochana!

Herbata w kubku zadrżała, gdy Azalea utkwiła w niej wzrok. Zakochana! Azalea zawsze odpychała tę myśl – jaki był w tym sens? To parlament miał wybrać jej przyszłego męża. A jednak oto siedział przed nią jej idealny król – nawet sam król by to przyznał – i idealny dżentelmen, z łagodnymi oczami koloru cynamonowego chleba i z delikatnymi dłońmi, cichą inteligencją, potarganymi włosami, krzywym, nieśmiałym uśmiechem. Był taki *kochany*.

Krew napłynęła do policzków Azalei, która nagle poczuła się nieśmiało.

– Tak – rzekł pan Bradford. Nawet jego głos był kochany. – Myślę, że ma pani rację.

– Ha – odparła z roztrzepaniem. – Tak.

– Właściwie, żal mi trochę pani starszej siostry.

Tykanie naściennych zegarów trzasnęło jak biczami.

Azalea powoli opuściła swój kubek.

Och...

To. Zapomniała o *tym*! Myślał, że ona jest Bramble! Na powierzchni morza

umysłu zaczęły unosić się bardziej nieprzyjemne myśli. Prawdopodobnie nigdy już nie odzyskają jego zegarka. I... dlaczego u diabła, było mu jej żal?

– Żal jej panu?

– Bo jest następczynią tronu. Wątpię, czy ktokolwiek może się do tego przyzwyczaić.

Palce Azalea zacisnęły się na łyżeczce.

– Ale... co jeśli ona... znajdzie kogoś kto... może... ją pokocha? – spytała.

– Ale czy będzie on również dobrym królem? Chyba...

– *Pan* byłby dobrym królem – odparła Azalea.

Pan Bradford poruszył się niepewnie. Obrócił łyżeczkę w kubku.

– Nie sądzę.

– Myli się pan – powiedziała Azalea, ściskając kubek tak mocno, że gorąco paliło jej palce. – Jest pan wrażliwy i dobry, i świetny w polityce...

– Cóż – rzekł, rumieniąc się. – To jest... to królowanie... nie chciałbym mieć tego na głowie.

Wnętrzności Azalei opadły. Jej serce, żołądek, cała krew i wszystko, co było w środku człowieka spadło ciężko do jej stóp. Spojrzała na fusy w kubku.

– Naprawdę nie chciałby pan?

– To byłoby... koszmarne, nie sądzi pani?

– Koszmarne – powtórzyła Azalea.

Pod uśmiechem, chciała jedynie płakać.

– Pani ojciec wykonuje wspaniałą robotę – powiedział pan Bradford, widząc że rozmowa zeszła na zły tor. – Jest dobrym królem... najlepszym. Chcę tylko powiedzieć, że...

– Nie, nie – przerwała mu Azalea pustym głosem. – Ma pan rację. Żaden rozsądny dżentelmen nie chciałby być królem. Następczyni tronu nie powinna oczekiwać tak wiele.

Azalea wstała i odstawiła kubek na szklany blat obok czajnika. Skończyła.

– Chciałem tylko powiedzieć – rzekł pan Bradford, kończąc swoją myśl – to znaczy... panno Bramble... – Wstał, pochylił się do przodu, potem cofnął, jakby nie mógł się zdecydować między pójściem naprzód lub wycofaniem się. Koniec końców pozostał przy piecyku, trzymając w dłoniach kubek i nerwowo mieszając w nim łyżeczką. *Klink klink klink.* – Chciałem powiedzieć... Panno Bramble, wiem, że jest pani w żałobie. Ale pomyślałem. Może... mógłbym panią kiedyś odwiedzić? Oczywiście po żałobie? Jeśli, oczywiście, nie ma pani nic przeciwko. Oczywiście. I pani ojciec także. Oczywiście.

Klink klink klink.

Klinklinklinklinklinkinklinklink...

– Muszę iść – powiedziała Azalea.

Twarz pana Bradforda posmutniała. Był zbyt inteligenty, by go dłużej zwodzić, pomyślała Azalea.

– Oczywiście – rzekł.

– Zauważą moją nieobecność przy śniadaniu – powiedziała.

– Oczy...oczywiście – wyjąkał pan Bradford, który jakimś cudem odzyskał swoją poważną postawę i pomógł Azalei z jej rzeczami. – Jeśli pani chce, wezwę dorożkę i eskortuję panią. Proszę zatrzymać płaszcz... na dworze jest zimno.

– Nie chcę dorożki – odparła Azalea omal nie wybuchając płaczem. – Wrócę pieszo.

– Nie wróci pani – powiedział pan Bradford tonem, jaki nigdy wcześniej u niego nie słyszała. – Zamarznie pani. Wezwę dorożkę.

Azalea odwróciła się szybko, stając z nim twarzą w twarz...

Ale pan Bradford rzekł tylko:

– Proszę.

Zgodziła się. Musiała. On tylko chciał być miły, a ona nie mogła go za to

winić. Azalea była opatulona w staromodny, damski płaszcz. Pan Bradford wezwał dorożkę i kilka chwil później jechali już w niezręcznej ciszy z powrotem do pałacu. Pan Bradford, siedział naprzeciwko niej, wpatrując się w szpicrutę leżącą na jego kolanach. Wywijał pętelkę wokół palców, wciąż i wciąż, aż przecięła jego rękawiczkę. Azalea żałośnie śledziła to wzrokiem.

Och, jak mogła być taka *głupia*? Zawsze wiedziała, że tak to się skończy, tylko głupio wierzyła, że...

Azalea rozpłakała się. Nie głośno, ale tak, że można było odmrugać łzy, jeśli tylko nie będzie się myślało o tym, jak źle się czuje. Odwróciła głowę do okna.

– Jest pani na mnie zła – przemówił w końcu pan Bradford. Oparł głowę o oparcie, oderwał palce od szpicruty i pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki, którą po znalezieniu jej podał. – Powinienem... powinienem zrobić to porządnie. Powinienem najpierw zapytać pani ojca o zgodę, albo poprosić ciotkę, by zaprosiła was na herbatę...

– Nie o to chodzi – rzekła Azalea. – Nie chodzi o pana. To tylko... okoliczności.

Pan Bradford mrugnął kilkakrotnie.

– Okoliczności – powtórzył. Wciąż mówił tym dziwnym tonem. – Oczywiście. Oczywiście, że chodzi o okoliczności. Podejrzewam, że mogłaby pani mieć pani każdego dżentelmena, jakiego by pani zechciała. – Ponownie zaczął mocno wykręcać pętelkę szpicruty. – Cóż, nie mogłem pozwolić by pani zamarzła. Niech pani powie, te *okoliczności*, panno Bramble. Czy one są związane z niejakim panem *Strażnikiem*?

Azalea poczuła ukłucie strachu. Spojrzała nagle, a krew odpłynęła jej z twarzy. Teraz to pan Bradford odwrócił się do okna, unikając jej spojrzenia.

– Słyszałem panią na cmentarzu – powiedział. – Proszę wybaczyć. Nie

powinienem był. Czy to jeden z dżentelmenów z waszych królewskich interesów?

Pan Bradford nie spuszczał oczu z mijanych kamienic i sklepików.

Azalea skrzywiła się. Pan Bradford uznał to za odpowiedź przeczącą.

– Ale to dżentelmen, prawda?

Azalea była w stanie tylko przełknąć. Pan Bradford odwrócił się do niej. Na jego twarzy malowała się troska.

– Czy to ma związek... z magią?

Azalea zakrztusiła się. Powóz szarpnął i zatrzymał się tuż przed bramą pałacu, a ona nie czekając, aż pan Bradford pomoże jej wysiąść, otworzyła drzwiczki.

– Jestem spóźniona – powiedziała. – Dziękuję za herbatę. Do widzenia.

Pan Bradford wyskoczył za nią z powozu.

– Zaczekaj... panno Bramble...

– *Nie nazywaj* mnie tak! – krzyknęła Azalea.

Coś, być może ból przemknął przez ciepłe oczy pana Bradforda.

– Księżniczko Bramble – powiedział.

– Jestem księżniczką Azaleą – rzekła. – Azaleą, na miłość boską. Na balu dałam panu chusteczkę Bramble. Chciałam... panu powiedzieć. Przepraszam.

Ciemne brwi pana Bradforda zmarszczyły się, a potem uniosły. Otworzył usta, ale nie opuściły ich żadne słowa.

Azalea nie została, by zobaczyć, co się stanie później. Pobiegła przez bramę i ogrody, z falująca wokół spódnicą i płonącymi płucami. Rzuciła się na mur pałacu, płacząc i starając się wymazać z pamięci urażony wyraz twarzy pana Bradforda.

Długą chwilę później, odrętwiała zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz, wróciła do środka. Ciepło w kuchni zapiekło ją w policzki. Pragnęła tylko rzucić

się na łóżko i zasnąć. Jednak gdy mijała szklane drzwi oranżerii, przystanęła. Zamiast zwykłego porannego widoku – dziewczęta ziewające nad swoimi miskami z owsianką, a król przeglądający poranną pocztę – wszystkie siostry śmiały się w najlepsze i gawędziły, podczas gdy lord Teddie rozdawał naokoło tace z płaskimi ciastkami. Król siedział u szczytu stołu najwyraźniej zmieszany. Lord Teddie śmiał się i trajkotał tak głośno, że Azalea słyszała go nawet przez drzwi.

– Kładziecie jagody albo cynamon lub cokolwiek chcecie na środek, i zawijacie końce – och, świetna robota, Hollyhocky! Wystrzałowo! O, dzień doberek, księżniczko Az!

Azalea chciała uciec, ale lord Teddie otworzył szeroko szklane drzwi i wciągnął do środka.

– Nie jestem głodna – powiedziała, gdy wszyscy zapraszali ją do stołu. Była jednak zbyt zmęczona, by się opierać. – Co to wszystko jest?

– Ha! – Lord Teddie promieniał. Na nosie miał trochę mąki. – To samo mówił twój ojciec. Właśnie im wyjaśniałem, dopiero co wyjaśniałem. Widziałem wczoraj pannę Bramble przy śniadaniu i zauważyłem jak ona nienawidzi owsianki, ale kto ją może winić, doprawdy? Więc pomyślałem, serio! Zrobię wystrzałowy prezent! Więc pani Ciasteczko i ja poszliśmy wczoraj na rynek, a dzisiaj rano wstaliśmy wcześnie i zrobiliśmy śniadanie prosto jak z Delchastire i wyszło *miażdżąco*! Nie tak, pani Ciasteczko?

Trudno było stwierdzić, co pani Graybe sądziła o lordzie Teddiem. Postawiła miskę ze śmietaną na stole i powiedziała: *Tak, proszę pana*, a potem wróciła do kuchni.

– Jedliśmy samymi *palcami*! – krzyknęła Ivy, z dłońmi umaczanymi w dżemie.

– Użyjcie noża i widelca – powiedział król. – Nie jesteśmy zwierzętami!

Sztućce, natychmiast.

– Och, ależ to wszystko popsuje! – zaprotestował lord Teddie. – Śniadanie powinno być wszędzie rozbryzgane! To dopiero budzi człowieka!

Król wciągnął policzki.

– Młody człowieku – powiedział; termin ten jednak w żadnym razie nie pasował do lorda Teddiego. – Czy pański statek nie odpływa dzisiaj?

Twarz orda Teddiego spochmurniała.

– No... tak. Odpływa. – Uśmiechnął się niepewnie i kontynuował. – Ża... żałuję, że wyjeżdżam. Te ostatnie kilka dni były wystrzałowe. Wystrzałowo wystrzałowe. Ogromnie was polubiłem. W... pewnym sensie czuję się tu jak w domu.

Lord Teddie uśmiechnął się nieśmiało w stronę króla, ponad ociekającymi słoikami z dżemem i dzbankami z mlekiem.

– Chciałbym zostać dłużej. Gdyby mnie poproszono, zostałbym.

Król skrzyżował ręce na piersi, całkowicie nieporuszony. Azalea poczuła ukłucie sympatii.

– Być może mógłby nas pan odwiedzić w przyszłym roku, lordzie Haftenravenscher – powiedziała.

Lord Teddie poweselał. Odrobinę.

– Och... w porządku – rzekł. – Albo wszystkie mogłybyście przyjechać do mojej rezydencji! Matka wydałaby wystrzałowy bal; mamy horrendalnie wielką salę balową, spodoba się wam!

A wtedy lord Teddie zwrócił się do Bramble, która, jak zauważyła Azalea, przez cały czas siedziała cicho. Nie powitała Azalei, ani nawet nie spojrzała na nią. Zamiast tego, wpatrywała się w swoje kolana, głaszcząc czarną koronkę przy mankiecie, który powoli się wystrzępiał. Wciąż przyciskała do siebie rozdwojone końce, prawie gorączkowo. Zaciskała usta tak mocno, że były już białe.

– Smakuje ci, Bramble? – spytał lord Teddie. – Lepsze niż owsianka, co nie? – Z nadzieją w oczach pchnął w jej stronę słowik z dżemem. – Ee... księżniczko?

Bramble podniosła wzrok z kolan i utkwiła swoje zielone oczy w lordzie Teddiem. Zmroziło to uśmiech z jego twarzy.

– Pani Graybe – powiedziała. – Pani Graybe! Mamy jeszcze trochę owsianki?

– Co? – zdumiał się Lord Teddie. – Chyba nie chcesz...

– *Uwielbiam* owsiankę! – warknęła Bramble.

– Ale...

– Nie chcę twojej głupiej jałmużny! – krzyknęła. – Wracaj do swojej głupiej rezydencji! Zostaw nas w spokoju!

Rzuciła w nim ciastkiem. Nie trafiła, a ciastko upadło dżemem do dołu.

– Panno Bramble! – zawołał król. – Natychmiast przeproś!

Bramble odsunęła krzesło na bok i wybiegła z oranżerii, z twarzą ukrytą w dłoniach. Bramble nigdy tak naprawdę nie płakała, a jej płacz przypominał raczej łkanie połączone z małymi piskami, które rozlegało się echem po korytarzu.

Lord Teddie wpatrywał się w szklane drzwi oranżerii, a potem na płaskie ciastka, a potem znowu w drzwi. Miał zaciśnięte usta. Pochylił się i odsunął od siebie talerz.

– Do licha – powiedział tonem, które wcale nie był jowialny i wesoły. – Statek niedługo odpływa. Chyba powinienem go złapać, zanim mi ucieknie! Dobrego dnia!

Kilka minut później Azalea znalazła Bramble skuloną na parapecie za kotarą. Światło zza okna sprawiało, że jej czerwone włosy zdawały się płonąć. Pochylona, wydając piszczące łkania, usiłowała jedną ręką zszyć poszarpaną

koronkę na mankiecie.

– Nienawidzę go – szlochała. – I nienawidzę *siebie*.

Azalea wzięła rękę Bramble i sama zacerowała materiał, potem rozpuściła jej włosy i szczotkowała, aż Bramble zapadła w głęboki sen. W pewnym sensie rozumiała, jak Bramble się wtedy czuła.

~ ~ ~

Ponure nastroje szybko przeniosły się także na młodsze siostry, które kłóciły się i marudziły, psując świąteczny klimat. Być może król to wszystko zauważył, bo tuż przed podwieczorkiem z holu wejściowego rozległo się wielkie zamieszanie połączone z tupaniem buciorów i wykrzykiwaniem rozkazów, a gdy dziewczęta zeszły na dół, by zobaczyć co się dzieje, zobaczyły króla, w oprószonym śniegiem i zielonymi igłami ubraniu, taszczącego wielkie świerkowe drzewo. Dziewczynki pisnęły z zachwytu.

– Choinka dla Clover!

Siostry złączyły dłonie i w korowodzie zaczęły śpiewać świąteczną piosenkę.

– To *nie* jest choinka! – powiedział król tak dobitnie, że dziewczęta przestały skakać. – Ten dom jest pogrążony w żałobie. To nic więcej, jak zwykłe drzewo. Pomyślałem, że będzie wyglądać ładnie w środku. I tyle.

Na drewnianym parkiecie utworzyły się kałuże wody, kiedy król wtaszczył drzewko w kąt, pod antresolę, a dziewczęta skakały za nim z jednej nogi na drugą.

– Czy możemy chociaż udekorować drzewko-które-nie-jest-choinką-a-które-jest-tylko-drzewkiem-w-domu? – spytała Bramble.

Król spojrzał na zaczerwienione oczy Bramble i blade policzki, po czym

zmarszczył czoło.

– Jeśli się rozchmurzysz, moja panno – odparł. A kiedy bliźniaczki przyniosły z biblioteki ozdoby z kolorowej włóczki, zapytał: – Gdzie jest panna Clover?

Wszyscy rozejrzeli się wokoło, z zaskoczeniem. Clover nie było z nimi.

– Pewnie znowu pomaga staremu Tomowi w ogrodzie – rzekła Delphinium. – Ostatnie często to robi, to znaczy biega do ogrodów.

– Więcej cydru dla nas– zapiszczała Hollyhock, która przyniosła właśnie z kuchni parujące kubki podgrzanego cydru.

Azalea wzięła swój szal i skierowała się do drzwi.

– Pójdę jej poszukać – powiedziała.

Jako że od kilku dni nie padał śnieg, ścieżki w ogrodzie były czyste, a Azalea nie widziała żadnych odcisków stóp. Udała się więc do najbardziej prawdopodobnego miejsca w którym mogła być Clover: do kamiennych ławek niedaleko zarośniętych figur z bukszpanu, obok wyschniętej fontanny. Wzrokiem szukała taczki Starego Toma.

Już miała się poddać, kiedy jej uwagę przykuło coś innego. W dalekim końcu ogrodów, tuż przy altance stał wielki, biały koń, z długą, śnieżną grzywą. Lady Fair, klacz Fairwellera!

Stara altanka była częstym punktem spotkań eathesburiańskich kochanków. Jako dzieci, Azalea i jej siostry zawsze odganiano stamtąd i mówiono, by dały spokój zakochanym parom, ale Azalea i tak pamiętała, jak podglądały razem przez kratki w treliażu, słuchając dżentelmenów recytujących damom poezję lub mruczących sentymentalne słówka o miłości.

Wtedy było to nawet zabawne. Teraz, mając niejakie doświadczenie w miłości, Azalea nie widziała już w tym niczego do śmiechu.

Jednak wciąż... Fairweller...

Ciekawość zwyciężyła nad rozwagą i Azalea zakradła się na palcach po ścieżce i przykucnęła w krzakach, tuż pod misternym treliażem. Wyjrzała przez kratki.

Zobaczyła jedynie stopy; resztę blokowały ławki. Azalea rozpoznała nieskazitelnie błyszczące buty Fairwellera. Buty damy były sztywne i toporne, podobnie jak te które miała na nogach Azalea, a to oznaczało, że była raczej biedna. A więc odpadała Lady Caversham. Azalea nadstawiła uszu.

– Odciągnij palce – dobiegł ją głos Fairwellera. – Dotknij pięty, zrób krok na bok. Druga stopa do tyłu. Dobrze.

Uczył damę jakiejś wersji walca, której Azalea nie znała. Buty damy obracały się z gracją. Była dobra, nawet w butach. Podobnie, jak Fairweller. Azalea pamiętała, jak znakomicie sobie radził podczas Balu Bożonarodzeniowego.

Dama powiedziała coś tak cicho, że Azalea nie dosłyszała.

– To *ty* jesteś bardzo dobra – powiedział Fairweller. – Jesteś nieporównywalna.

Stopy damy ponownie się obróciły, co znaczyło że Fairweller okręcił ją wokół siebie. Jej stopy zatrzymały się tuż przed Fairwellerem. Dama zaśmiała się cicho, lekkim, słodkim śmiechem, a potem...

Cisza. Azalea stukała palcami o kratkę, czekając, aż coś się stanie.

– Rozmawiałem z ojcem Benedictem.

Głos Fairwellera był cichy i miękki. Dama zrobiła krok w tył.

– Powiedział, że jest gotowy o każdej porze. Moglibyśmy wyjechać dziś wieczorem. Na moim statku. Zabiorę cię do Delchastire. Sale balowe są tam tak wspaniałe, idealne dla ciebie...

– Nie.

Głos damy był stanowczy, a ton sprawił, że Azalei włoski na karku stanęły

dęba.

– Och, moja pani. Twój ojciec nigdy się nie zgodzi. Znam go aż nazbyt dobrze.

Azalea pochyliła się do przodu. Ucieczka... zakazana miłość... gdyby Fairweller został nakryty na zalecaniu się do damy bez zgody jej ojca, skończyłoby się to pojedynkiem. Azalea skrzywiła się.

– Tak nie powinien wyglądać ślub – powiedziała dama. – Śluby to okazja na spotkanie się z rodziną. Nie zgodzę się, dopóki nie będzie tam moich sióstr.

Azalea przestała oddychać. Słodki, czysty ton, jakim dama wymówiła „moje siostry" zadźwięczał w jej uszach.

– Jeśli twoje siostry przybędą na ślub, moja droga, to tylko by mnie zamordować.

Azalea powoli wstała.

– Cóż, przynajmniej tam będą.

Fairweller zaśmiał się – dla Azalei był to obcy dźwięk, a przez treliaż i martwe winorośle, zobaczyła jego ciemną sylwetkę i damę, którą porwał w objęcia. Damę, która miała złote loki, różane policzki i uśmiech godny orszaku aniołów.

Clover.

Rozdział 22

– Och... *och!*

Azalea wmaszerowała prosto do altany. Na swojej drodze natrafiła na pokrytą śniegiem taczkę Starego Toma, z której zdjęła przewieszone rękawice ogrodowe.

Na dźwięk jej butów stąpających po schodkach, Fairweller i Clover odskoczyli od siebie jak poparzeni. Fairweller odwrócił się ku Azalei...

I dostał prosto w twarz parą rękawic.

– Jak *śmiesz*! – krzyknęła. – Tylko dlatego, że ona jest piękna i miła nie znaczy, że możesz... możesz robić to, co *robisz*! – Trzasnęła go ponownie po przystojnej, bezbarwnej twarzy. Jej gniew wzrastał, a oczy piekły. – Powinien pan wiedzieć lepiej! Król nigdy na to nie pozwoli!

Fairweller skrzywił się na dźwięk słowa „król".

– Ja nie... – zaczął.

Trzask!

– Chyba powinien już pan iść, premierze – odezwała się Clover, odciągając Azaleę, zanim zdążyła dołożyć mu kolejny raz. – W porządku, porozmawiam z nią.

Fairweller otworzył usta, zamknął, otworzył, rzucił zrozpaczone spojrzenie w kierunku Clover i zamknął je z powrotem. Z zamarzniętej ławki wziął swój kapelusz, raz jeszcze spojrzał na Clover, a potem wsiadł na Lady Fair i

odjechał.

Kiedy stukot kopyt ucichł, Clover przerwała ciszę i roześmiała się. Zarzuciła ramiona wokół Azalei, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Tak się cieszę, że już wiesz! – powiedziała. – Tak się cieszę! Trzymanie tego w tajemnicy było torturą! Myślałam, że wybuchnę!

Azalea wydusiła z siebie jęk.

– Tak... podejrzewam, że to spory szok – ciągnęła Clover.

– Spory!

Clover pociągnęła Azaleę w stronę niepewnie wyglądającej ławki i ujęła jej dłonie.

– To... to wygląda, jakby był ostatnim draniem, prawda? Ale to nie on. Kocham go od *wieków*, Lea. Od ponad roku!

Azalea wpatrywała się w misterny zegarek na wstążce, przypięty do talii Clover. Był piękny, otoczony srebrnymi ornamentami. Clover dotknęła go delikatnie.

– Wiesz... że nie jestem... zbyt dobra... w mówieniu. Lubię... *obserwować* ludzi – rzekła Clover. – Odkąd tylko został premierem, obserwowałam Fairwellera. Wiedziałaś, że jest członkiem naszej partii?

– Tylko w teorii.

– Tak. – Clover wygładziła fałdy na czarnej sukni. – Ale zawsze zachowywał się, jak jeden z nas. Nawet... nawet kiedy traktowałyśmy go tak okrutnie. Pamiętasz, jak Ivy zgubiła się w ogrodach, kiedy... kiedy miała cztery lata?

– Tak – odparła powoli Azalea. Przywołała w pamięci obraz Ivy ganiającej za małym ptaszkiem i przeciskając się w głąb zarośli na całe popołudnie. Śmiały się wtedy z tego i wróciły do pokoju matki z naręczem kwiatów. Nie myślały o tym więcej, do czasu, aż Ivy nie pojawiła się na obiedzie. Każda obwiniała siebie

nawzajem na niedopilnowanie jej, a potem ona, Azalea, ruszyła do zimnych ogrodów, by odszukać siostrę. – W końcu się odnalazła – powiedziała obronnie. – Wiesz, że nigdy nie odchodzi daleko od stołu.

– Odnalazła się, bo... bo premier Fairweller przeszukał las ze swoimi ogarami. Byłam przy tylnej bramie, kiedy zobaczyłam go, prowadzącego za uzdę Lady Fair, pośrodku zamglonej łąki, z Ivy skuloną w siodle. To... to było jak jeden z obrazków z książek Eve... z tym wyjątkiem, że Ivy zwymiotowała potem na niego, kiedy pomagał jej zsiąść z konia.

Azalea otworzyła usta, a potem je zamknęła.

– A... ten doktor z Delchastire, ten który przyjechał w zeszłym roku... – zaczęła Clover.

– Och, doprawdy! – zawołała Azalea, miażdżąc obcasem zaschnięte liście. – Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że to też jego sprawka? Pozdzierałyśmy sobie ręce, żeby zapłacić za te lekarstwa!

– Premier Fairweller – powiedziała Clover, wstając nagle – zapłacił prawie za wszystkie.

– Nie! – krzyknęła Azalea, rumieniąc się.

– Sły...słyszałam, jak rozmawiał z tym doktorem późno w nocy, i...i musiałam wysyłać listy z zapytaniem, by to wszystko sobie ułożyć. Premier zrobił z tego wielką tajemnicę... oczywiście, że tak! Król *nigdy* by nie pozwolił na taką pomoc!

Clover spacerowała po altanie, niemal rozgorączkowana. Drewniane deski trzeszczały, a spódnica falowała wokół nóg. Zacisnęła pięści.

– W zeszłym roku, Lady Caversham... pamiętasz ją? Znalazła mnie w ogrodzie i... i powiedziała, że da mi pensa, jeśli dostarczę notkę premierowi Fairwellerowi.

– List miłosny? Okropne. Cóż, ale przynajmniej zarobiłaś pensa.

– Ależ *skąd*! – powiedziała Clover, a jej niebieskie oczy płonęły. – *Oczywiście*, że nie wzięłam pieniędzy. Kiedy odeszła, w...wpatrywałam się w ten obrzydliwy, uperfumowany list i... i nie mogłam *znieść* myśli o Fairwelleru z nią! On jest zbyt dobry, zbyt szlachetny i... i... – Pięści Clover zatrzęsły się. – I wtedy zdałam sobie sprawę, że go kocham! I że wyjdę za niego! Fairweller jest *mój*!

– Tak, w porządku, oczywiście – pisnęła Azalea. Aż się skuliła pod tyradą Clover, ściskając mocno za boki ławki. Tysiące maleńkich kolców wpiło się w jej dłonie. Nagle już wiedziała, jak serwis do herbaty czuł się w swoich ostatnich chwilach. – Co powiedział Fairweller? Kiedy dostarczyłaś mu list?

– Och – powiedziała Clover, nieco się uspokajając. – Cóż... właściwie, to nic. Bo ja... przypadkowo... podarłam go na kawałki.

– Przypadkowo – powtórzyła Azalea.

– I wrzuciłam do ognia.

– Och.

Clover szarpała końce swojego szala zawieszonego wokół ramion i uśmiechnęła się nieśmiało:

– Cóż. A więc on należał już do mnie. A teraz w końcu mnie zauważył. Już myślałam, że będę musiała go trzepnąć przez głowę książką, albo coś. – Usiadła obok Azalei, wciąż promieniejąc. – Ale on w końcu przyszedł.

Ku szokowi Azalei, coś się zmieniło.

– Clover. Ty nie... nie...

– Jąkam się? Wciąż... się jąkam. Trochę. Ale z premierem się tak łatwo rozmawia, i... cóż. On mówi, że mam ładny głos – dodała nieśmiało.

Azalea nie miała nic do powiedzenia.

– On chce, żebyśmy uciekli.

– *Słyszałam*.

– Och... ale ja nie mogę! On jest pewny, że król nigdy nie zgodzi się na nasz

związek. Gdyby matka tu była, mogłaby go przekonać. Ale... – Clover gładziła palcem żłobienia w zegarku, a potem uśmiechnęła się promienne do Azalei. – Może *ty* byś mogła!

– Na pewno nie – odparła Azalea.

– Och, Lea! A kto inny? Jesteś najbliższym zastępstwem matki, jaki mamy!

Azalea ścisnęła zmarznięte dłonie i zacisnęła usta. Król będzie wściekły. Fairweller nie tylko zalecał się do Clover podczas żałoby, ale bez jakiejkolwiek wiedzy czy zgody króla. To może się skończyć tylko pojedynkiem. Azalea nie lubiła Fairwellera, ale nie chciała widzieć go rannym. No, a przynajmniej nie za bardzo... Wszystko to pociągnęło ją w dół, jak za ciężkie krynoliny, dołączając do brzemienia groźby Strażnika. Azalea zamknęła oczy.

– Pomyślę o tym.

Clover skoczyła i rzuciła się w ramiona Azalei, ciesząc się przez łzy.

~ ~ ~

Tego popołudnia, kiedy wszystkie dziewczęta były zajęte pieczeniem w kuchni korzennych ozdób na choinkę, Azalea wyślizgnęła się do biblioteki.

Król wstał, gdy tylko ją zobaczył. Dżentelmen siedzący naprzeciwko jego biurka również wstał. Azalea nie rozpoznała go, i jego krzaczastych brwi nad podkrążonymi oczami. Przypominał jej burzę. Już miała się wycofać, kiedy król się odezwał:

– Och, Azaleo. W porządku, zostań. Już skończyliśmy. Do widzenia, panie Gasperson.

– Do widzenia – odpowiedział dżentelmen, przeciągając słowo „widzenia". Gdy przechodził obok niej, Azalea ominęła go szerokim łukiem.

– Kto to był? – spytała, gdy drzwi się zamknęły. – Myślałam, że nie

będziemy mieli gości na święta.

– Co? Och, z pewnością nie. To... królewskie interesy, mniej więcej. Chodź, usiądź. Muszę z tobą pomówić.

– Dobrze. – Azalea usiadła na sofie naprzeciwko biurka. – Ja też muszę z tobą porozmawiać.

– Doskonale. Porozmawiamy wspólnie. – Król otworzył szafkę za biurkiem i wyciągnął dwa kieliszki oraz małą karafkę brandy. Nalał do każdego z kieliszków i podał jeden Azalei. – Nie rozmawiamy zbyt często, prawda?

Azalea niepewnie spojrzała na trunek. O czym król chciał rozmawiać? Dobre wieści raczej nie zaczyna się od..."musimy porozmawiać"?

– Powiedz mi, Azaleo. Co wy wszystkie sądzicie o Lordzie Haftenravescherze?

Król nie tknął swojego kieliszka. Wpatrywał się za to intensywnie w Azaleę.

– o lordzie Teddiem?

– Tak.

Azalea uśmiechnęła się, przypominając salonowe sztuczki lorda Teddiego i jego wesołe usposobienie.

– Jest sympatycznym wesołkiem. Młodsze dziewczynki za nim szaleją. Nawet Delphinium go lubi. Ale sądzę, że jego oczy widzą tylko Bramble.

– Och, tak uważasz?

Uśmiech Azalei znikł. Oparła kieliszek na kolanach.

– Czy on zamierza jeszcze raz spróbować swoich sił w rozwiązaniu zagadki? O to chodzi?

– Nie, nie – rzekł król. – To nie to.

Azalea pomyślała o spadającym na podłogę ciastku z dżemem z poranka i westchnęła. Nie mogła zapomnieć błysku w orzechowych oczach lorda Teddiego,

kiedy spoglądał na Bramble. Z pewnością był nią zauroczony, ale niestety wszystko zrobił nie tak. Przez chwilę Azalea zastanawiała się, czy aby na pewno nie myśli o nich jak o sporcie.

– To dobrze – powiedziała w końcu Azalea. – Wątpię, czy Bramble zniosłaby jeszcze jedno upokorzenie.

– Upokorzenie?

– No, przecież to stało się ledwie rano?

– Och. Tak, pamiętam.

Z powrotem opadł na swój sztywny fotel z wysokim oparciem.

Azalea upiła łyk brandy, maleńki łyk, ale wystarczający, by na języku poczuła palący smak drewna i starych butów. Znowu przed oczami stanął jej obraz pełnego nadziei uśmiechu lorda Teddiego, kiedy patrzył na Bramble, i zalała ją fala współczucia.

– Może będzie mógł przyjechać na nasz Bal Bożonarodzeniowy – powiedziała. – Jeśli naprawdę tak bardzo polubił Bramble, niech pokaże swoje szczere zamiary, a nie te niedorzeczne zabawy. Coś, co pokazałoby, że nie jesteśmy dla niego tylko rozrywką.

Na czole króla pojawiła się zmarszczka.

– Bal Bożonarodzeniowy?

– A, tak – rzekła Azalea, prostując się na krześle. – O tym właśnie chciałam z tobą pomówić. Myślę, że... teraz, kiedy żałoba się kończy, powinniśmy wydać bal. Oczywiście nie dla mnie. Nie obchodzą mnie takie rzeczy. Wiesz o tym. Ale dla Bramble i Clover – one są już pełnoletnie i powinny poznać dżentelmenów. Prawdziwym dżentelmenów, a nie jakieś zagadkowe bzdury. Jeśli nie, w końcu zakochają się w... kimkolwiek. Pomyślałam, że może Clover mogłaby wszystko zorganizować?

Zmarszczki na czole króla znad dokładnie posortowanych dokumentów i

kałamarzy były teraz wyjątkowo widoczne. Azalea przyspieszyła.

– Wszyscy są tak podekscytowani, że kończy się żałoba. To nie musi być wielki bal, tylko mały. Proszę.

Azalea czekała. Król wstał i zaczął przechadzać się przed biurkiem, z rozkojarzoną miną. Kiedy w końcu przemówił, nie patrzył na nią.

– Azaleo. Jeśli chodzi o żałobę...

Azalea opuściła kieliszek z brandy.

– Ty i twoje siostry w miarę dobrze przeszłyście przez okres żałoby. Jestem z was zadowolony. Ale żałoba to symbol. Styl bycia. Ja... nie sądzę, że jesteśmy gotowi na zniesienie żałoby.

Chwilę zajęło, by słowa króla do niej dotarły.

– Och – rzekła powoli.

– Właściwie dla was to to nawet nie żałoba. Wciąż będziecie mieć swoje tańce, pantofle.

– Och.

– I ogrody także.

Azalea wpatrywała się w swój kieliszek z brandy, który przekładała raz do jednej, raz do drugiej dłoni, obserwując jak czerwono-żółty płyn wiruje w środku.

– Nie wiem, co ja im powiem – wymruczała. – Tak się cieszyły z powodu okien, sukienek i tych wszystkich rzeczy.

Król milczał.

– Azaleo – powierzał wreszcie. – Wiem, że żałoba niewiele znaczy dla ciebie i dla twoich sióstr, ale dla mnie znaczy dużo. *Bardzo* dużo.

Azalea palcem gładziła brokatowy kwiat na podłokietniku fotela. Powinna to przewidzieć. Wszystko szło na opak; zbyt wiele wymagała, mając nadzieję, że choć to się uda. Do świąt zostały tylko trzy noce. Świat zdawał się

być pokryty mgłą. Do tego czasu musi wymyślić coś, co pogrąży Strażnika. Kieliszek w jej dłoniach zadrżał. Co było silniejsze od krwawej przysięgi?

To ciepłe łaskotanie. Tak, to o to chodziło. Ha. Matka zawsze o tym mówiła. Azalea nie była pewna czy kiedykolwiek to czuła. Jeśli to rzeczywiście było potężniejsze od jakiejkolwiek magii, z pewność jakoś pomoże. Azalea podniosła wzrok na króla, który z roztargnieniu chował z powrotem butelkę brandy i jej serce stanęło. Nawet jego ruchy były zimne.

– Chciałabym, żebyś był kimś, z kim mogłabym porozmawiać – powiedziała cicho. – Zawsze mogłam porozmawiać z matką.

– Nie jestem twoją matką.

Jego ton był szorstki.

To była prawda. Azalea odstawiła kieliszek na biurko króla. Czuła się ociężała, zmęczona, a nawet jej chód był niestabilny. Jej ruchy musiały rzucać się w oczy, bo zanim dotarła do drzwi, zatrzymał ją głos króla.

– Azaleo. – Marszczył czoło. – Czy coś nie tak?

W miękkim świetle lampy król wyglądał na tak zmartwionego, że przez moment Azalea poczuła, że jednak mogłaby z nim porozmawiać. Zawahała się.

– Sir. Kiedy tańczymy w no...

Łup.

Fala lodowych kolców zalała ją i uderzyła tak mocno, że odebrała jej dech. Mroźne kolce kuły po całym ciele, zabierając głos.

Głowa zawirowała. Przez oczami miała plamki, które zamieniały się w wielkie plamy.

– Azaleo... – głos króla dobiegał jakby z dali.

Wszystko pokryła czerń.

Kiedy się ocknęła, jej głowa pulsowała, a ona musiała mrugnąć, by znowu normalnie widzieć. Leżała na sofie obok fortepianu, a jej oczy zwrócone były ku

znajdującej się nad nią antresoli. Obok niej klęczał król. Miał zmarszczone brwi.

Nad nią znajdowała się kolejna twarz – podobnie zmartwiona, poważna i łagodna. Miała oczy koloru cynamonowego chleba.

– Och – jęknęła Azalea, przypominając sobie swoje ostatnie wspomnienie. – Nie zemdlałam?

– Zemdlałaś – odparł król.

Azalea jęknęła.

– Pan Pudding zaraz przyniesie trochę chleba. Ostatnio omijałaś zbyt wiele posiłków; tak się nie godzi, młoda damo.

Król podciągnął koc pod jej podbródek, a ją owionął zapach świeżego prania i świerku. Nagle zdała sobie sprawę, że koc to tak naprawdę ciemny, gruby płaszcz pana Bradforda.

Zalała ją fala upokorzenia i natychmiast spróbowała usiąść. Król pchnął ją silną dłonią z powrotem

– Nie wstawaj, młoda damo.

– Panie Bradford – powiedziała Azalea. – Co pan tu robi?

– Kapitan Bradford chciałby spróbować swoich sił w rozwiązaniu zagadki – wyjaśnił król. – Oczywiście nie zgodziłem się. W końcu są święta.

– Innym razem – rzekł pan Bradford.

Jego aksamitny głos posłał dreszcze przez pierś Azalei. Twarz pana Bradforda była napięta ze zmartwienia.

– Upadła pani na krótko zanim tu wszedłem. Pójdę sobie, jak tylko odzyska pani nieco kolorów.

Azalea przycisnęła policzek do wezgłówka sofy, pragnąc tylko zwinąć się w kłębek. Zdrada, rozkosz i rozpacz – wszystko to poczuła jedno po drugim na widok ciepłych, poważnych oczu pana Bradforda. Nie wiedziała nawet, dlaczego chciał ją widzieć, ale wiedziała też, że nie miał nikogo, z kim mógł spędzić święta.

Współczucie wzięło górę.

– Dlaczego nie? – spytała króla, gdy ten poprawiał płaszcz wokół jej stóp. – Dlaczego nie miałby zostać? Użyczył mi swojego płaszcza... i... zegarka... i... proszę. Nie ma żadnej rodziny, z którą mógłby spędzić święta.

Prawdopodobnie król myślał, że bełkocze. Wywinął kołnierz płaszcza przy jej brodzie.

– Cóż, kapitanie – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że księżniczka Azalea chce, byś był jej gościem na święta. Jest pan gotowy zostać?

Pan Bradford ukłonił się.

– Hmm... – rzekł król. – Ma pan szczęście, że oboje jesteśmy w dobrych humorach.

~ ~ ~

Azalea przespała obiad na twardej sofie w bibliotece, a obudziła się tylko, gdy jedenastka sióstr objęa ją i zaczęła szturchać. Zaprowadziły ją do pokoju, po drodze wpychając jej do buzi kawałek bułki z obiadu. Azalea czuła się przymulona, ale już było jej lepiej. Wkrótce pantofle były zawiązane, włosy wyszczotkowane i upięte na nadchodzący taneczny wieczór. Mimo że Azalea bez słowa wpatrywała się w swoje pantofle, dziewczęta szczebiotały w najlepsze.

– Nigdy nie zgadniesz, kto tu jest, Az – powiedziała Bramble, gdy Clover szczotkowała kasztanowe loki Azalei.

– Pan Bradford.

Bramble upuściła trzymane w dłoniach szpilki.

– Przyszedł rozwiązać zagadkę – powiedziała Azalea, by mieć to już za sobą. – Poprosiłam króla, by mu pozwolił; nie ma żadnej rodziny, z którą mógłby spędzić święta. Nie mogłam go wyrzucić.

– *Ty* go zaprosiłaś? – Oczy Bramble zwęziły się, a jej usta wygięły w szatańskim uśmiechu, niczym lis w kurniku. – Na święta? No, no, *nooo...*

Azalea przygotowała się na Bezlitosne Dokuczanie

– Mmm – mruknęła Delphinium, gdy siostry zebrały się wokół Azalei. – Krzepki i wysoki. I ten długi nos. Ale te oczy...

– No, wasze dzieci będą miały brązowe oczy. Brąz zawsze zwycięża.

– Och, doprawdy! – żachnęła się Azalea.

Przerwało im ciche pukanie do drzwi. Nie było to krzepkie pukanie pani Graybe ani mocne, donośne pukanie króla. Azalea nie mogła go do nikogo dopasować. Goldenrod, która stała najbliżej drzwi, otworzyła je odrobinę i wyjrzała.

– Nikogo nie ma – oznajmiła.

Otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając do środka chłodne powietrze.

Azalea poczuła ciarki na ramionach.

– Czuję się dziwnie – powiedziała Jessamine.

Jej krystaliczny głosik rozległ się echem. Azalea wstała.

– Miejmy już to za sobą.

Niepokojące uczucie nie opuszczało ich, kiedy schodziły do srebrnego lasu. Wszystkie tuliły się do siebie, całe roztrzęsione. Azalea ściskała w ręku lampę. Drżała, prowadząc je przez srebrny las i zadrżała bardziej, kiedy Strażnik się im ukłonił. Zanim cofnął się i zniknął we mgle, jego oczy spotkały Azaleę, która musiała odstawić lampę, zanim ta wypadłaby jej z rąk.

Mimo że opuściły ostatnie dwa wieczory, żadna z nich nie miała ochoty tańczyć. Azalea trzymała wciąż przestraszoną Jessamine na kolanach. Bramble zmusiła się do uśmiechu czy dwóch, ale poza tym nie schodziła z jednej ze znajdujących się w pawilonie sof. Delphinium nie chciało się uczyć młodszych dziewcząt tańców, a Eve nie była do tego wystarczająco apodyktyczna.

Bliźniaczki natomiast nie znały wystarczająco dużo tańców, by uczyć. Pozostała jedynie Clover, która uczyła Hollyhock, Ivy oraz Kale, podczas gdy reszta się przyglądała.

– Spróbujcie jeszcze raz – powiedziała swoim słodkim jak miód głosem, kiedy dziewczynki pokracznie dygały. – Matka... matka zawsze powtarzała, że trzeba tysiąca kroków, by wykonać ukłon idealny.

Kale zmarszczyła maleńkie brwi.

– Matka? – spytała.

– Och, no przestań, Kabaczku – odezwała się Bramble. – Przecież pamiętasz mamę.

Ciemnoniebieskie oczy Kale pozostały puste.

– Ona nie żyje – wyszeptała Jessamine.

Azalea poprawiła sobie Jessamine na kolanach tak, by mogła widzieć jej małą, bladą twarzyczkę. Zabawne, jak czteroletnia Jessamine mogła czasem wyglądać tak dorosło. Czy pamiętała matkę, która przeczesywała palcami czarne loczki Jessamine i pozwalała jej poczuć kopanie dziecka w brzuchu? Jak można coś takiego zapomnieć?

Clover odsunęła kosmyk ciemnoblond włosów z twarzy Kale.

– Jest teraz w niebie – powiedziała swoim miodowym głosem.

– F niebie! – pisnęła Kale.

Azalea nagle poczuła się słabo, jakby zbyt długo siedziała w dusznym pokoju. Szturchnęła dziewczęta, by się zaczęły zbierać. W wejściu, z mgły, wyłoniła się ciemna sylwetka Strażnika, sprawiając że Azalea natychmiast wstała, zrzucając z kolan Jessamine. Wybiegła przed siostry i stanęła między nimi a Strażnikiem, który płynnymi krokami ruszył na środek parkietu.

– Czy wszystko w porządku? – spytał czekoladowym głosem. – Nie wyglądacie dziś zbyt wesoło.

Dziewczęta z nieśmiałymi uśmiechami zapewniły go, że wszystko jest w porządku. Azalea milczała. Oczy jej i Strażnika spotkały się w intensywnym spojrzeniu. Tak intensywnym, że pokój zapulsował jej tętnem. Strażnik pierwszy przerwał ciszę.

– Pomyślałem, że podaruję wam coś – powiedział w stronę dziewcząt. Na oczy spadał mu zawadiacki kosmyk. – Walc. Żadna z was od dawna nie widziała zamkniętego tańca, prawda? Panno Azaleo?

Wyciągnął do niej dłoń w czarnej rękawiczce. Azalea spojrzała na nią. Wydawała się robić coraz większa. Jego słowa z ciemnego pawilonu rozbrzmiały w jej głowie. *Nigdy więcej nie odmówisz mi tańca...*

Po długiej przerwie Azalea chwyciła jego dłoń.

– Ojej – zapiszczała podekscytowana Delphinium, obserwując scenę razem z młodszymi siostrami. Clover i Bramble miały jednak podejrzliwe miny.

– Ale nie zostaliśmy oficjalnie przedstawieni – powiedziała Clover, wstając. – Panie Strażniku...

– Nie – rzekła Azalea, powstrzymując ją. – W porządku. Kiedyś w końcu musicie zobaczyć zamknięty taniec.

Pośrodku parkietu Strażnik ustawił Azaleę w pozycji. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, a jego długie palce gładziły jej plecy tuż nad gorsetem. Azalea nie poruszała się, nie śmiąc nawet oddychać.

– Masz doskonałą sylwetkę – szepnął – Gdybyś tylko przestała się tak trząść.

Muzyka zaczęła grać ungolianckiego walca. Strażnik prowadził ją gładko szerokimi okręgami wokół parkietu, powolnym krokiem, a potem okręcił nią i powrócili do pozycji wyjściowej. Wszystko co robił, było przesadnie łagodne. W pewien sposób sprawiało, że czuła się jeszcze gorzej. Minęli siedzące dziewczęta; spódnica Azalea musnęła je po twarzach. Zachichotały.

– Ach, tańczysz jak anioł – powiedział szeptem. – Jesteś najlepsza z wszystkich z którymi kiedykolwiek tańczyłem, a tańczyłem z wieloma. Wiedziałem, że będziesz najlepsza. Od pierwszej nocy, kiedy cię ujrzałem, sunącą po marmurze...

Azalea pomyliła krok. Strażnik delikatnie przywrócił ją do rytmu.

– Suniesz tak, jak twoja matka.

Azalea potknęła się, ale tym razem zajęło jej kilka taktów, by powrócić do muzyki. Dłoń Azalei zadrżała w mocnym uścisku Strażnika.

– Strażniku, proszę – powiedziała Azalea, gdy srebro wirowało wokół. – Proszę, potrzebuję więcej czasu.

– Miałaś *wystarczająco* dużo czasu, moja pani.

Ponownie okręcił ją blisko dziewcząt, a Azalea kątem oka uchwyciła czerń ich sukienek.

– Umowa nie obejmuje wydłużania czasu. Sugeruję dokładniejsze szukanie.

– Proszę... panie Strażniku. Król przedłużył żałobę. Gdybym miała więcej czasu...

– Co za sprytne słówka, moja pani. Jednak obawiam się, że zbyt ich wiele. Twoja matka cierpki na tą samą przypadłość. Albo cierpiała.

Azalea próbowała kopnąć Strażnika, ale jej kolana nie były w stanie się poruszyć. Strażnik chwycił ją z niewiarygodną szybkością. Z trzaskiem rękawiczek muzyka ustała.

– Dosyć – powiedział, raz jeszcze z przesadną grzecznością. – Zdaje się, że twoje siostry chcą cię odzyskać. Odpocznij. Chcę, by nasz kolejny taniec był bezbłędny.

Rozdział 23

Tej nocy Azalea nie spała dobrze – kilkakrotnie budziła się z powodu koszmarów. Mimo wszystko, kiedy rano wstała, była na tyle przytomna, by ubrać się porządnie, zacerować dziury w ulubionej sukience, idealnie upiąć włosy i dokonać ostatnich poprawek przed lustrem. Pan Bradford widział ją już w najgorszym stanie; nie mogła pozwolić, by się to powtórzyło.

Przybyła do oranżerii nieco spóźniona, kiedy dziewczęta były już w połowie swoich owsianek, a gdy cicho zamykała za sobą drzwi, wszyscy podnieśli na nią głowy.

– No, proszę! – powiedziała Bramble. – Czy nie wyglądasz dziś ładnie?

Przez stół przelała się fala chichotów. Delphinium szepnęła coś do Eve, która z kolei wyszeptała coś bliźniaczkom. Bliźniaczki podały szeptem dalej. Marszcząc nosy, szczerzyły zęby do Azalei. Z kolei pan Bradford wpatrywał się w nią jak osłupiały, z łyżeczką owsianki zatrzymaną na wpół drogi do ust.

– Dzień dobry – przywitała się Azalea.

Pan Bradford wciąż się gapił.

– Dzień dobry – rzekł i przypomniawszy sobie o manierach, natychmiast wstał. Spóźniony gest sprawił, że Delphinium i Eve chichotały jeszcze głośniej. Azalea pokryła się rumieńcem.

– Och, usiądź, proszę, obok mnie – powiedziała Delphinium.

Krzesło obok niej było puste i znajdowało się także obok pana Bradforda.

Azalea rzuciła Delphinium piorunujące spojrzenie i odmówiła, siadając zamiast tego obok umorusanej owsianką Lily. Delphinium, Eve, bliźniaczki i Hollyhock wybuchnęły chichotami.

– Wystarczy tego. – Siedzący u szczytu stołu król spojrzał znad listu zapieczętowanego zielonym lakiem. Kiedy zobaczył Azaleę, zmarszczył brwi. – Azaleo, powinnaś być w łóżku.

– Już mi lepiej. Naprawdę.

Dziewczęta rozchichotały się raz jeszcze.

– Dużo, dużo, *dużo* lepiej – dodała Bramble.

Azalea zamknęła oczy, pragnąc w tym momencie umrzeć.

– A więc, Lordzie Bradford – zaczęła Flora, przenosząc miskę i siadając obok niego. Z drugiej strony, Goldenrod wyciągnęła skądś złożoną kartkę papieru. – Napisałyśmy dla pana rozkład dnia...

– Dziś nie ma lekcji...

– Jest Wigilia!

– Święta!

– Zobaczmy... dziewiąta rano, pokażemy panu drzewko, a pan pomoże nam zawiesić ozdoby na najwyższych gałęziach. Potrzebujemy do tego kogoś wysokiego.

– A potem o dziesiątej zagramy w bierki...

– A potem pokażemy panu wielki świerk w ogrodach...

– Jeśli tylko przestanie padać, oczywiście.

Azalea wpatrywała się przez cały czas w swoją owsiankę, popychając papkowate ziarna łyżeczką, by po chwili zdecydować, że wcale nie jest głodna. Pchnęła miskę w stronę Ivy i wyślizgnęła się przez składane drzwi. Ostatnie, co widziała, to szczebioczące i wymachujące łyżkami dziewczęta otaczające z wszystkich stron pana Bradforda, Kale ciągnącą za jego marynarkę, próbującą

nakarmić go owsianką, Ivy podkradająca nieco owsianki z jego miski, Lily która wspinała się na niego, próbując złapać go za nos oraz króla wpatrującego się w zamyśleniu w zapieczętowany na zielono list.

W galerii było tak lodowato, że z ust wydobywały się obłoczki pary , ale Azalea nie roznieciła ognia. Zignorowała zasadę żałoby i odsłoniła kotarę nad jednym z okien pozwalając, by jasne, zimowe słońce wpadło do środka. Na zewnątrz płatki śniegu lądowały na szybach. Cienie płatków tańczyły wokół Azalei i spadały na miecz, znajdujący się na piedestale.

Azalea wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

Dobiegał już swoich dni. Popękany, wygięty i porysowany. Bez problemu można by go było zgiąć w pół. Czy odważyłaby się go zniszczyć?

Uwolniłoby to Strażnika. Umysł Azalei skręcił się na samą myśl o tym. Strażnik zaczarowujący na powrót cały pałac. Starający się przejąć królestwo, które czekałoby kolejne rządy terroru. I... i jeszcze krwawa przysięga. Palce u stóp skręciły się jej w butach, razem z żołądkiem. Oczywiście, najpierw odnalazłby króla.

Azalea cofnęła się od piedestału. Nie godziła się dalej krzywdzić własnej rodziny.

Ale... gdyby *jednak* uwolniła Strażnika, król w końcu by się o wszystkim dowiedział. Mógłby się pozbyć Strażnika, zanim ten cokolwiek zrobiłby, prawda?

Tylko że... krwawa przysięga. Strażnik nie mógł umrzeć dopóki...

Azalea nagle odsunęła się i oparła o zmrożone okno. Wciąż czuła na sobie dłonie matki. Czuła się, jak w koszmarze.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka rozgardiasz wesołych głosów. Dziewczęta osłoniły oczy przed światłem i popędziły do okna, przyciskając nosy i dłonie do zimnej szyby, by zobaczyć zamieć.

– Myślałam, że zamierzacie iść pograć w bierki? – powiedziała Azalea, odchodząc od okna, by zrobić miejsce.

– Zmiana planów – odparła Bramble. – Zabieramy pana Bradforda na zwiedzanie pałacu.

– I nie policzymy mu ani pensa! – zapiszczała Hollyhock.

Pan Bradford, którego za jedną dłoń ciągnęła Ivy, a za drugą Kale, zdołał się ukłonić.

– Panie są wyjątkowo wspaniałomyślne.

Jego brązowe oczy uchwyciły Azaleę, która dostrzegła w nich figlarski błysk. Mimo poważnej miny, Azalea wiedziała, że w środku szczerzy zęby w uśmiechu. Dziewczęta usiadły w trójkącie światła pod oknem, wygładzając spódnice i wpatrując się w niego.

– Mówił pan kiedyś, że studiował na uniwersytecie – powiedziała nieśmiało Eve. – Co pan studiował?

Azalea zarumieniła się. Dla dziewczynek przesłuchiwanie dżentelmena było normalne, ale tego ona chciała zatrzymać.

– Ach – odparł pan Bradford, również pokrywając się rumieńcem. – Właściwie, politykę. Trochę filozofii i nauk ścisłych. Ale... obawiam się, że głównie politykę.

– Jak odpowiednio – powiedziała Bramble.

Jej twarz była całkiem nieczytelna.

Flora uniosła w górę palec.

– Proszę pana? – zapytała. – Studiował pan taniec?

Pan Bradford uśmiechnął się i skłonił ku Florze głowę.

– W Delchastire nie wchodzi się na parkiet, jeśli nie praktykowało się u mistrza tańca.

Dziewczęta wydały zbiorowe westchnienie zachwytu, a powietrze

naelektryzowało się od podekscytowania. Ivy klasnęła w dłonie.

– Uczyliśmy się – kontynuował pan Bradford, a jego uśmiech był wyjątkowo krzywy – jak eskortować damę, jak okręcać nią spod ręki, bez przekrzywiania kwiatów w jej włosach. Jak kłaniać się jej po zakończonym tańcu. – Pan Bradford ukłonił się z jedną ręką w pasie, a drugą za plecami. – I jak trzymać dłoń damy. – Ujął dłoń Goldenrod i otoczył ją obiema swoimi dłońmi. – Tak delikatnie, jak skrzydło gołębia.

Jako cień Flory, Goldenrod nigdy nie przywiązywano wiele atencji, a teraz rumieniła się tak mocno, że miała łzy w oczach. Promieniała. Dziewczęta błagały pana Bradforda, by nauczył je modnych tańców z Delchastire. Machnął dłonią, spoglądając w stronę zasłoniętych okien.

– Nie jestem zbyt dobry – powiedział.

– Nie szkodzi! – pisnęły młodsze. – Prosimy!

– Może pan zatańczyć z Azaleą.

Clover uśmiechnęła się słodko. Twarz pana Bradforda pojaśniała.

– Mogę? – spytał. Ukłonił się przed Azaleą, a jego oczy błysnęły po części w nadziei, po części z nerwów, a częściowo po szelmowsku. – Jeśli nie jest pani zajęta.

– Chwyć jego dłoń! – pisnęła Hollyhock.

Azalea chwyciła. Jego dłoń całkiem otoczyła jej. Nawet przez rękawiczkę mogła poczuć zgrubienia i odciski na palcach. Zdusiła chęć pogłaskania ich kciukiem.

Azalea poczuła drżenie w brzuchu, kiedy pan Bradford poprowadził ją na środek korytarza, z dala od szklanych gablot i sznurów z czerwonego aksamitu. Opierając się na jego ramieniu, poczuła zawroty głowy. Uchwyciła delikatny zapach prania, a jej serce zaczęło bić do rytmu jiga Esperaldo.

Jej spódnice zafalowały, gdy ustawił ją w pozycji. Był wysoki; Azalea

wyprostowała się najlepiej, jak tylko umiała, tak że jej oczy znalazły się na wysokości jego podbródka. Dziewczęta pochyliły się do przodu, zapamiętując każdy moment, gdy pan Bradford położył dłoń na jej plecach, tuż pod ramionami, a drugą delikatnie uniósł. Miał wyśmienitą postawę.

– Na pewno skończy się tym, że to Azalea będzie prowadziła – powiedziała Delphinium z drugiego końca korytarza. – Ona lubi rządzić.

Azalea zamknęła oczy. Siostry! Mogłaby je *udusić*!

– Walc na trzy kroki – powiedział pan Bradford z krzywym uśmiechem. Wraz z potarganymi włosami i przekrzywionym krawatem tworzyło to doskonałą symetrię. – Jeśli się pani zgodzi.

Pod stabilną postawą, Azalei zdawało się, że jego palce zadrżały, odrobinę.

– Uwielbiam walca – powiedziała.

Uśmiechnęła się, ukazując dołeczki.

Dziewczęta stojące na końcu korytarza wstrzymały oddechy, gdy Azalea i pan Bradford zaczęli.

Pan Bradford nie był idealnym tancerzem. Jego kroki były nieco płytkie i potykał się nieco przy przejściowych krokach, ale...

Podążanie za nim było szokująco proste. Nacisk jego dłoni, krok stóp, kąt ramy... było jak czytanie mu w myślach. Kiedy odpowiednio się pochylił, ich obrót był perfekcyjny. Porywał ją po sali w zawrotnym tempie. Złocone ramy i szklane gabloty migały jej przed oczami, a Azalea zaczęła kręcić się, spódnice falowały i wzdymały się wokół, a potem złapał ją i powrócił do pozycji wyjściowej. Wydawało jej się, że słyszała grającą muzykę, rozbrzmiewającą w piersi.

Kiedyś matka opowiadała jej o tym idealnym złączeniu w jedno. Nazywała to splataniem i mówiła, że to niezwykle trudne, bo wymaga idealnego

dopasowania sił partnerów, do pokonania wzajemnych słabości podczas wplatania się w jeden cudowny taniec. Azalea poczuła zawroty głowy wywołane nie sparowaniem z obcym partnerem, ale *tańczeniem*. Tak różniło się to od tańca ze Strażnikiem. Nie było tu tego okropnego uczucia, że jest mu coś winna; nie było wstrzymywania oddechu z nadzieją na szybkie zakończenie tańca. Teraz, z zamkniętymi oczami, okręcając się na ręku pana Bradforda, wykonując obrót, czuła jak ją chwyta; poczuła dreszcz bycia dopasowaną.

– Na niebiosa, ale pan jest dobry! – powiedziała bez tchu Azalea.

– *Pani* jest zdumiewająca – rzekł pan Bradford, ciężko oddychając. – To jak taniec ze szczytem!

Azalea potknęła się przy przechodzącym kroku.

– Ze szczytem?

– Och, niezwykle wdzięcznym, delikatnym szczytem – powiedział, rumieniąc się.

Azalea roześmiała się w głos. Porwał ją w niepewnym kroku, a czas czknął i zatrzymał się. Azalea była tak blisko, że mogła poczuć krochmal na jego krawacie.

– Nie sądziłem, że będę miał sposobność zostania z panią sam na sam – rzekł; jego głos gdy cichy, był o wiele bardziej głęboki. Z wahaniem dotknął kosmyka kasztanowych włosów i odsunął z policzka. – Księżniczko Azaleo.

Nagle jej myśli powróciły do chwili, kiedy stała w drzwiczkach powozu, opatulona w staroświecki damski płaszcz i drżąc na porannym powietrzu, a jej słowa ostro wymalowane na tle zmrożonej ciszy ciemnymi, kanciastymi literami głosiły: *Jestem Księżniczką Azaleą...*

Wewnętrzna muzyka ucichła.

– Panie Bradford, dlaczego pan tu jest? – spytała. – To znaczy tu, w pałacu.

Iskra w oczach pana Bradforda przygasła. Otworzył usta, a potem

zamknął. I trzymał zamknięte. Azalea odsunęła się.

– Sądzę, że powinien pan tańczyć z Bramble, nie ze mną – rzekła.

Jego ciemne brwi nie poruszyły się.

– To koniec? – zawołała Bramble z drugiego końca korytarza. W trójkącie utworzonym z padającego przez okno światła, dziewczęta wydymały usta i skrzyżowały ręce na piersiach. – To tylko walc! A do tego żaden wymyślny! Czujemy się oszukane.

Krzywy uśmiech pana Bradforda powrócił na jego twarz i w szeleście spódnic natychmiast porwał Azaleę w ramiona.

– Pokażmy więc *mój* ulubiony taniec! – rzekł. – Polka.

Azalea tańczyła polkę tylko dwa razy w życiu, a teraz nauczyła się jej na nowo podczas zawrotnej szybkości, kiedy zamiatał nią przez korytarz w kwiecistymi galopie. Nigdy nie myślała o panu Bradfordzie, jako o „polkowym" dżentelmenie. Lord Teddie – oczywiście, ale pan Bradford? Ale był w tym dobry! Spódnice Azalei wzdymały się i podskakiwały. Energia rozprzestrzeniła się i nagle wszystkie dziewczęta skoczyły na nogi, tańcząc, klaszcząc i śpiewając wesołe melodie. Kiedy otumaniona i bez tchu, Azalea okręciła się dalej, pan Bradford poderwał do góry Kale, która zapiszczała w zachwycie. Wszyscy wirowali; czarne spódnice falowały nad długim, czerwonym dywanem. Śnieg na zewnątrz wirował razem z nimi.

Hollyhock skakała z takim ferworem, że nie patrzyła nawet gdzie prowadzą ją skoki i śmiejąc się, grzmotnęła mocno o gablotę z mieczem.

Wszystko stało się w zwolnionym tempie, zupełnie jak pod wodą. Cała gablota zatoczyła łuk i spadła na ziemię.

Szkło eksplodowało. Ktoś krzyknął. Miecz poturlał się po podłodze i zatrzymał pod jedną z sof. W sercu Azalei roztoczyło się paniczne, przyprawiające o mdłości uczucie. Jej umysł wrzasnął. Pobiegła w stronę sofy,

uklękła i chwyciła za miecz.

Chociaż wygięty, naznaczony plamami i popękany – był cały. Azalea omal nie zemdlała z ulgi. Ułożyła go delikatnie... przesadnie delikatnie – na sofie. Po upewnieniu się, ze Hollyhock nic się nie stało, posłała Florę i Goldenrod po miotłę i nakazała młodszym siostrom zostać na sofie, aby nie pocięły się szkłem. Pan Bradford znalazł się niemal natychmiast przy niej, przepraszając niezmiernie i podnosząc co większe fragmenty. Kilka minut później wróciły Flora i Goldenrod i ku rozczarowaniu wszystkich, z królem.

– Szedł za nami – powiedziała Flora cichym głosikiem.

– Sam spadł – pisnęła Hollyhock. – Naprawdę.

Król wciągnął policzki na widok roztrzaskanego szkła, przewróconego piedestału i przerażonych dziewcząt. Azalea nie dała mu czasu na wykład i podniosła z sofy miecz.

– Sir – powiedziała, podając mu go. – Mógł się złamać. Zabierzesz go do złotnika? Teraz? *Musi* zostać naprawiony. Proszę.

Król zmrużył oczy na widok jej błagalnej twarzy.

– Na zewnątrz panuje zamieć, panno Azaleo.

– A więc jutro. Tak szybko, jak to możliwe. Proszę.

Być może przez jej troskę, lub bladą, napiętą twarz, król ustąpił naleganiom Azalei i obiecał z rana zabrać miecz. Pomógł im posprzątać szkło, cały czas dając młodszym wykłady o tym, jak to będą musiały cerować własne pończochy, by zapłacić za tak drogą naprawę, a jednocześnie pilnując aby nikt nie nadepnął na ostre kawałki. Azalea pogrążona w swoich ciemnych myślach, pozamiatała wszystko.

~ ~ ~

Tej nocy znowu rozległo się pukanie do drzwi.

Azalea opierała się właśnie o kominek, czując się słabo, podczas gdy Ivy i Kale zmuszały ją do zawiązania im pantofelków. A wtedy usłyszały pukanie. Goldenrod otworzyła drzwi i raz jeszcze pokazała pusty próg. Nikogo za nim nie było. Azalea zmrużyła oczy, gdy owionęło ją drżące uczucie, jakby coś spacerowało pod jej skórą.

– Nie podoba mi się to – rzekła Hollyhock. – Mam ciarki.

Azalea wyszła na zewnątrz i rozejrzała się na prawo i lewo pustego korytarza. Nie opuszczało jej dziwne uczucie. Przełknęła panikę. Czy Strażnik aby nie stawał się silniejszy? Czy był teraz w stanie czarować nawet poza pawilonem? Czy to przez przewrócenie gabloty z mieczem?

– Myślę, że wszystkie powinnyście tu dziś zostać – powiedziała. – To zbyt dziwne. Zostańmy. Już i tak dziś tańczyłyśmy.

Wszystkie głośno zaprotestowały. Zgrzytając zębami, Azalea z całych sił ściskała w ręku lampę, gdy schodziły do srebrnego lasu. Z każdym inkrustowanym srebrem stopniem, dziwne uczucie nasilało się, a na samą myśl o ponownym zobaczeniu Strażnika ogarniał ją strach. Poddenerwowane dziewczęta wcale nie pomagały. Jessamine przylgnęła do spódnicy Azalei i wyszeptała krystalicznym głosikiem:

– Ktoś tu jest. Chyba ktoś tu jest!

– Jess, czy możesz się zamknąć! – warknęła Bramble, ściskając w ramionach Lily.

Idąca na samym końcu Hollyhock wrzasnęła.

– Ktoś nadepnął na mój szal!

Zanurkowała w środek kolumny dziewcząt, zostawiając swój szal na srebrnej ścieżce. Należał do Clover i był zbyt duży dla Hollyhock, która tylko go ciągnęła po ziemi, zostawiając ślad srebrnego pyłu. Azalea udała się na tyły.

– Bzdury – powiedziała, podnosząc do góry lampę. Srebrne liście zamigotały. – Założę się, że po prostu o coś zahaczyłaś. O te gałęzie, widzisz?

Azalea uklękła i strzepnęła z szala igiełki. Po wstrząśnięciu go, złożyła, wstała szybko...

I uderzyła głową o coś twardego i mocnego.

– Au!

– O, przepr...

Głos mężczyzny urwał nagle. Azalea wpatrywała się w pustą mgłę. Nikogo nie było! Za nią, oczy dziewcząt stały się wielkie jak spodki.

– To duch! – pisnęła Flora.

Dziewczęta wrzasnęły. Chwyciły spódnice w obie dłonie i pognały w stronę mostu.

Azalea była szybsza. Wyprzedziła je na łuku mostku, chwytając poręcze po obu stronach, blokując im przejście.

– Wracajcie – powiedziała. – Nie widzicie? Strażnik chce nas przestraszyć. Mam dość. Musimy zawrócić. Już.

– Ale – odezwała się Ivy – zostało nam tylko jutro.

– Nigdy nie powinnyśmy były tu w ogóle schodzić. To było głupie.

– Wyluzuj, Az – powiedziała Bramble, poprawiając sobie na ręku Lily. – My też nie lubimy Strażnika, ale dlaczego miałybyśmy przestawać tańczyć? Nie musisz być taka apodyktyczna.

Palce Azalei mocniej ścisnęły zimną poręcz.

– Czy jest jakiś problem?

Za nimi rozległ się aksamitny głos Strażnika. Opierał się o łukowate wejście, z założonymi rękoma i peleryną spływającą z ramion. Wyglądał na rozbawionego.

– 'Zalea mówi, że mamy wracać do domu – powiedziała Hollyhock.

– I ma całkowitą rację – rzekł, prostując się, Strażnik, którego piękna, twarda sylwetka odcinała się ostro na tle srebrno-białego parkietu. – Sam ledwie mam wystarczająco czasu na przygotowanie wszystkiego do jutrzejszego balu.

Usta dziewcząt uformowały się w rząd idealnych literek „O”

– Prawdziwy... bal? – spytała Hollyhock

– Nie jesteśmy pełnoletnie – powiedziała Ivy.

– Och! Ależ wszystkie jesteście zaproszone. Jako księżniczki, to wasze prawo. A ja będę waszym gospodarzem.

Strażnik złożył razem dłonie, rozłożył i dmuchnął. Podobnie jak wtedy, kiedy wiele miesięcy temu zobaczyły go po raz pierwszy, z jego dłoni wyfrunął migoczący, błyszczący śnieg i zawirował wokół nich. Płatki iskrzyły się, niczym jasne iskry na tle mgły. Przez chwilę Azalea była prawie pod wrażeniem, czując jak płatki opadają wokół na magicznym, wirującym wietrze. Mogła nawet zobaczyć oczyma wyobraźni je same tańczące, mające za partnerów magiczne płatki śniegu, wirujące wokół nich w ożywionym, migoczącym wirze; stoliki z deserami zastawione górami karmelków i czekoladek, sufit ociekający białym ostrokrzewem i błyszczącymi ozdobami.

Flora wydała okrzyk zachwytu, gdy z kieszeni fartucha wyciągnęła kartkę. W podobnym podekscytowaniu reszta również zaczęła wyciągać kartki, które magicznie pojawiły się w ich kieszeniach. Dziewczęta skakały z podniecenia,wymieniając się ozdobionymi srebrem zaproszeniami z ich imionami – zaproszeniami na kolejny wieczór. Azalea wyrzuciła swoją do jeziorka. Przez chwilę unosiła się na wierzchu, ale po chwili zniknęła pod mglistą powierzchnią.

– Więc widzicie – powiedział Strażnik usypiającym głosem, gdy błyszczący śnieg wirował nad jeziorem wokół – naprawdę musicie już wracać. Mam wiele do zrobienia.

– Oczywiście – rzekła Bramble w pełnym podziwu półuśmiechu. – To znaczy... nie spiesz się. Az i tak nie czuła się najlepiej. Zaopiekujemy się nią na jutro.

Bramble uśmiechnęła się pokrzepiająco do Azalei i popchnęła dziewczęta w kierunku gałęzi wierzby.

– Chwileczkę – powiedział Strażnik. – Panno Azaleo.

Serce Azalei stanęło. Odwróciła się wbrew swojej woli i z całą siłą, na jaką mogła się zdać, spojrzała w martwe oczy Strażnika.

– Chciałbym z tobą zatańczyć – powiedział. – Bardzo chciałbym zatańczyć Splątanego. Poprzednim razem nie skończyliśmy.

Dziewczęta popchnęły Azaleę z uśmiechami i błyszczącymi oczami. Splątany był także ich ulubionym tańcem. Nawet Bramble wychylała się, by popatrzeć. Clover jednak chwyciła dłoń Azalei.

– Nie... panie Strażniku – rzekła. – Nie widzi pan, że ona jest chora?

Strażnik strzepnął karmazynową szarfę. Azalea skrzywiła się, przypominając sobie o nici.

– Nie... nie, w porządku – powiedziała, kładąc Clover dłoń na ramieniu. – Zatańczę.

Dziewczęta obserwowały z mostku, przygryzając usta w oczekiwaniu, podczas gdy Strażnik na wpół prowadził, na wpół ciągnął Azaleę na środek błyszczącego parkietu. Azalea chwyciła koniec długiej szarfy z jedną tylko myślą: by jak najszybciej zakończyć taniec i wynieść się stamtąd.

– Powodzenia, panie Strażniku – powiedziała Bramble, gdy młodsze dziewczynki przepychały się, szukając lepszego widoku. – Azalea nigdy nie została schwytana. Ale może pan próbować.

Wpatrując się w nią martwymi oczami, Strażnik wyciągnął z jedwabnej kamizelki zegarek pana Bradforda, otworzył i rzucił na ziemię. Azalea

wzdrygnęła się na ten dźwięk.

– Trzy minuty – rzekł.

Pstryknął długimi palcami w rękawiczce i muzyka zaczęła grać.

Tempo było zawrotne – szybsze, niż Azalea kiedykolwiek tańczyła i od pierwszego kroku została wyprowadzona z równowagi. Wirowała nad i pod szarfą, unikając ciasnych pętli, zanim oplotłyby się wokół jej nadgarstków. Strażnik nie powiedział ani słowa. Jego usta były zaciśnięte mocno, cienko jak ostrza, a oczy zwężone.

Azalea podążała za szalonym rytmem muzyki, ale każdy oddech palił, a pot spływał jej po dekolcie. Z pewnością trzy minuty już minęły. Wściekła, Azalea ponownie uniknęła schwytania i kopnęła Strażnika w kolano.

Strażnik pociągnął za szarfę, tak mocno, że Azalea poleciała razem za nim. Straciła rytm. Używając tylko jednej ręki, Strażnik obrócił ją mocno, szarfą pociągnął jej ręce do góry i oplątał ją wokół nadgarstków, jak pająk łapie ćmę.

Gładko. Ciasno. Tak szybko, że Azalea nie zdawała sobie sprawy, że została schwytana, zanim jej nadgarstki nie zaczęły pulsować pod więzami, a ona sama znalazła się przyciśnięta do piersi Strażnika. Jej palce pulsowały.

Strażnik oplótł ją w pasie ręką, drugą zaś trzymał zaciśniętą na jej nadgarstkach szarfę.

– *Schwytał* ją! – Krzyknęły rozczarowane dziewczynki z mostku.

Azalea starała się uwolnić, ale Strażnik mocno ją trzymał. Szarfa paliła.

– No, no – powiedział bez tchu. Obrócił odrobinę dłoń, a karmazynowa szarfa wpiła się w skórę Azalei. – Wspaniały taniec, moja pani. Naprawdę *jesteś* najlepsza, z jaką kiedykolwiek tańczyłem. Powinnaś być z tego dumna.

– Puść mnie.

– Masz bardzo ładne usta – powiedział, nie zwalniając uchwytu z szarfy. – Często zastanawiam się, czy całujesz tak dobrze, jak tańczysz...

Jego palce zacisnęły się na szarfie, posyłając ukłucia bólu w górę ramion i sprawiając, że kolana jej zmiękły. Zabrał dłoń z jej talii i wplątał swoje długie palce w jej włosy, głaszcząc i szarpiąc jednocześnie.

A wtedy pochylił się ku jej szyi i zaciągnął się głęboko jej zapachem. Włoski na karku Azalei stanęły dęba. Dławiąc się, nie mogła nawet wydusić z siebie krzyku, gdy jego palce ścisnęły jej włosy, a usta wędrowały w górę, ledwie dotykając skóry i kierując się do...

Ze zrywem, głowa Strażnika odchyliła się całkiem do tyłu. Wydał z siebie zduszony, nieludzki odgłos.

Azalea uchwyciła kątem oka jego podskakujące jabłko Adama i natychmiast wyplątała się z szarfy. Krew napłynęła z powrotem do jej palców. Zebrała spódnice i pobiegła w stronę wyjścia, w dół srebrnych schodków, po drodze dławiąc się czymś, co było jak szloch, ale nie do końca.

– Az! – Bramble chwyciła Azaleę, zanim ta upadła na moście. – Dobrze się czujesz? Jesteś blada jak trup. Dlaczego nie chciał cię puścić? Był zwrócony do nas tyłem. Co się stało?

Azalea potrząsnęła głową.

– Nic... nic. Co... co się mu stało? Wtedy na końcu?

Azalea spojrzała niepewnie na Clover.

– On... stracił równowagę – rzekła Clover. – Albo... coś takiego.

– Wyglądało to, jakby jego kucyk obrócił się przeciw niemu – dodała Bramble

– Spójrzcie – odezwała się Goldenrod.

Spojrzały. W pawilonie Strażnik chodził w koło, a jego peleryna powiewała za nim. Skradał się. Jego oczy błyszczały, gdy przeszukiwał wzrokiem każdy cal parkietu.

– Chodźmy stąd – powiedziała Azalea. – Nie wracamy już tam.

Rozdział 24

Przeguby Azalei wciąż pulsowały, kiedy pomagała dziewczętom pozdejmować pantofle ze stóp, rozebrać się, wyszczotkować włosy i ułożyć do łóżek. Rozpaliła w kominku i pogasiła lampy. Potem, ze świeczką w dłoni, udała się po schodach do sali balowej. Ku jej uldze, nie była zamknięta. Trzęsąc się cała, rzuciła się na najbliższe tremo. Po chwili wdychania uspokajającego, znajomego zapachu gałki muszkatołowej, podciągnęła rękawy, by przyjrzeć się swoim pulsującym nadgarstkom.

Były spuchnięte i czerwone, a każdy z nich znaczyła obolała, czerwona bransoleta. Azalea dotknęła ich i skrzywiła się. Jej oczy zapiekły.

Strażnik wiedział, że się poddała. I była to prawda. Czuła się, jakby niewidzialna igła zaszywała jej gardło. Zanurzyła twarz w dłoniach, z gardłem zbyt ściśniętym, by nawet płakać.

– Księżniczko.

Azalea odskoczyła od lustra, omal nie przewracając świecy.

– Wybacz... to... tylko ja.

W słabym świetle, przy drzwiach stał pan Bradford, jak zwykle potargany, lecz z twarzą wyrażająca śmiertelną powagę. Podszedł do niej i uklęknął. Przez ramię miał przewieszoną starą, wyświechtaną szmatę. Azalea rozpoznała ją jako jeden z płaszczy, które trzymał w sklepowej szafie.

– Wszystko w porządku? – spytała Azalea. – Dlaczego pan...?

– Panno Azaleo, śledziłem was.

Brwi Azalei złączyły się, kiedy wyciągnął chusteczkę z kieszeni. Rozłożył ją, ukazując pośrodku stary, złoty zegarek z ornamentami na pokrywce i śniedzią w zagłębieniach. Chwycił dłoń Azalei i położył na niej zegarek.

Azalea zmarszczyła brwi, spoglądając na stare, złote zdobienia. Nagle zrozumiała.

Odskoczyła z krzykiem, zrzucając zegarek na marmurową podłogę.

– Pański zegarek!

Pan Bradford ujął jej dłonie w swoje wielkie. Jego palce pogładziły jej nadgarstki, a ona wzięła drżący wdech. Chwilę później jego marynarka znajdowała się już na jej ramionach, a pan Bradford rozpalał w kominku.

– Tak – powiedział, starając się ją uspokoić. – Tak. Śledziłem was. Przez przejście. I srebrny las. Wszystko widziałem.

Azalea czuła się, jakby kroczyła niezdarnie przez nieznany taniec, jakby jej stopy nie mogły nadążyć za rytmem i ginęły pod stopami partnera.

– J...jak?

Pan Bradford miętosił swój wytarty, nagryziony przez mole płaszcz.

– To coś w rodzaju rodzinnej tajemnicy. Proszę spojrzeć.

Wstał, oddalił się na kilka kroków i z niezdarną zamaszystością, okrył się płaszczem.

Wtopił się w ciemność.

Azalea skoczyła na równe nogi, przeszukując wzrokiem czerwone aksamity zasłon, by zobaczyć, gdzie się podział. Gdzie *zniknął*. To ją przeraziło... zbyt bardzo przypominało to styl Strażnika!

Tymczasem pan Bradford pojawił się na nowo, materialny i znów widzialny. Płaszcz wisiał teraz na jego ramieniu.

– Peleryna niewidka! – zawołała Azalea, gdy pociągnął ją w stronę

kominka.

Nogi Azalei drżały i nagle, z poczuciem ulgi, uklękła na ziemi, a spódnice wzdęły się wokół niej.

– Ta sama. – Pan Bradford niezdarnie złożył ją i ponownie przyklęknął przed Azaleą. – Była przekazywana w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Pani przodek, Harold Pierwszy, podarował ją nam, ale jako że nigdy nie było po temu okazji, nie używaliśmy jej. Gdy zobaczyłem panią na cmentarzu, tak bladą, wiedziałem, że coś jest nie tak. Po prostu *wiedziałem*.

Azalea wpatrywała się w niego, w migoczące refleksy w jego oczach.

– Więc... pomyślałem, że powinienem coś zrobić – zakończył kiepsko.

– Widział pan wszystko?

Pan Bradford uśmiechnął się krzywo.

– Przecież pukałem.

– Chyba pan nie widział pana... pana...

– Pana Strażnika? – wypluł imię pan Bradford. – O, tak. Widziałem pana *Strażnika*. Trudno było nie zauważyć. Widziałem, jak próbował panią pocałować. Albo, co on nazywał pocałunkiem. Chciałbym skręcić mu ten kark!

Azalea zasłoniła usta dłonią, zszokowana że ktoś tak poważny i dystyngowany jak pan Bradford posiada w sobie tyle jadu. Delikatnie ujął jej dłonie i podkasał rękawy, ukazując spuchnięte nadgarstki. Jego palce gładziły po siniakach.

– Zatrzymał go pan – powiedziała Azalea. Pochyliła nieśmiało głowę. – Nie pozwolił pan, by... by...

– A, tak, moja pani! – Uśmiech pana Bradforda był teraz wyjątkowo krzywy. – Jego kucyk aż się prosił o pociągnięcie.

Azalea zaśmiała się z zaskoczeniem. Pan Bradford wyszczerzył zęby.

– Proszę mi wszystko powiedzieć – rzekł, siadając obok niej. – Wszystko,

co pani może.

Opowieść wypłynęła z Azalei wielkimi strumieniami, jakby przez długi czas była uwięziona wewnątrz. Opowiedziała mu o odkryciu, o Strażniku, pantoflach, conocnym tańczeniu, przysiędze i zegarku. Z trudnością powiedziała mu o nawiedzonym balu, matce, o tym, jak zdała sobie sprawę, kim naprawdę jest Strażnik.

Czuła ciarki, gdy opowiadała mu o wszystkim, ale nie były zapierające dech w piersiach ani wszechogarniające jej ciało. Magia przysięgi jakimś cudem wiedziała, że pan Bradford znał cały sekret.

Gdy skończyła, ogień w kominku przygasł. Azalea siedziała obok pana Bradforda, przyglądając się jego palcom z odciskami, marząc, by móc potrzeć policzek o jego ramię. Pan Bradford przyciągnął kolana pod brodę, głęboko zamyślony.

– Ojciec opowiadał mi o Wielkim Królu – powiedział do swoich długich palców. – Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem, że potrafił chwytać dusze. Myślałem, że to tylko plotki. Dusze. To głęboka magia. To naprawdę była pani matka?

Azalea wciąż czuła usta matki przyciśnięte do jej dłoni. Szwy z nici. Odwróciła głowę.

– To było... koszmarne – rzekła.

W ciepłej poświacie z kominka, pan Bradford ujął jej dłonie i uśmiechnął się krzywo.

– Księżniczko. Ja na nic nie przysięgałem. Musimy komuś powiedzieć.

– Król!

– Otóż to! – Pan Bradford ścisnął mocniej jej dłonie. – Ten diabelny Strażnik musi zostać uwolniony. Szczerze wątpię, by pański ojciec tolerował Wielkiego Króla pod swoim dachem! Możemy zorganizować sąd wojskowy. Jeśli

on ma być uwolniony, zrobimy to na *naszych* warunkach. Nie *jego*.

Krew napłynęła do policzków Azalei ciepłą falą, lecz ustała, gdy pojawiła się nowa myśl.

– Nie jestem pewna, czy Strażnik w ogóle może umrzeć – powiedział. – Przysięga krwi...

– Banialuki – rzekł pan Bradford, otrzymując uśmiech ze strony Azalei. – Król z pewnością będzie wiedział, co robić. Zna magię lepiej, niż ktokolwiek z nas wszystkich.

Nas. To słowo w połączeniu z silnymi, stabilnymi dłońmi wokół jej własnych, wzmogło jej odwagę. Już nie była sama. Azalea chciała krzyczeć, tańczyć i śpiewać jednocześnie. Skoczyła na równe nogi, ale zawroty głowy i zbyt częste opuszczanie posiłków sprawiło, że potknęła się nieco.

– Och, panie Bradford! Jest pan *wspaniały*... och... mogłabym pana *ucałować*!

Azalea natychmiast zrobiła krok w tył, a gorący rumieniec pokrył jej twarz, aż po korzonki włosów.

– Och – odparł pan Bradford, który nawet w słabym świetle był widocznie zaróżowiony. – Cóż.

– Ch...chyba powinnam już iść... obudzić króla – wyjąkała Azalea.

– A...tak. O...nie. Niech pani nie idzie. Jest prawie ranek, a pani zaraz zaśnie na stojąco. Z samego rana znajdziemy króla.

– Och... tak. Oczywiście... z samego rana. Oczywiście.

– Oczywiście.

– Proszę... zaczekać.

Pan Bradford wyciągnął z kieszeni marynarki małe zawiniątko i podchodząc do niej, otworzył chusteczkę z pokruszoną muffinką. Na podwieczorek jedli kardamonowe muffinki – wielki świąteczny rarytas. Azalea

nie mogła przełknąć swojej porcji, więc dała ją Ivy. Ivy z kolei podarowała ją panu Bradfordowi, co znaczyło, że okropnie go lubi. Nigdy sama z siebie nie oddawała swojego jedzenia. Teraz pan Bradford ofiarowywał ją Azalei, trzymając w złożonych, wielkich dłoniach.

Azalea wzięła ją, starając się odmrugać niechciane łzy. Spojrzała na niego, na jego ciepłe, brązowe oczy i wysoką sylwetkę i przez chwilę rozważała wspięcie się na palce i pocałowanie go w ucho lub policzek. Pokrywając się rumieńcem, zdała sobie sprawę, że *omal* tego nie zrobiła – a potem odsunęła się, przypominając sobie ten niechlubny ranek sprzed kilku dni.

Zamiast tego, zanim odeszła, wyciągnęła dłoń, i wygładziła jego potargane włosy.

Pan Bradford wprost promieniał.

~ ~ ~

Następnego ranka Azalea obudziła się późno w pustym pokoju, lecz w doskonałym humorze i w świątecznym nastroju. Śpiewała pod nosem, podczas wkładania sukni, śpiewała gdy upinała włosy i tanecznym krokiem przeszła przez korytarz i dalej schodami w dół. Za każdym razem, kiedy skręcała za róg, dodawała obrót, a spódnice muskały o tapetę na ścianach.

Po szybkim, spóźnionym śniadaniu, składającym się z chleba cynamonowego i śmietany (świąteczne śniadanie na Wigilię), Azalea dowiedziała się od pani Graybe, że dziewczęta udały się do ogrodów na wycieczkę z panem Bradfordem, zanim znowu by się rozpadało. Azalea wyszczerzyła zęby na myśl o tym, jak mogła wyglądać ta wycieczka. Zapewne zmusiły go do ciągnięcia je przez całą zamarzniętą sadzawkę, a potem kazały mu balansować na poręczy mostku tylko po to, by sprawdzić, czy umie.

Pani Graybe powiedziała, że król także znajdował się w ogrodzie, omawiając jakieś królewskie interesy z pewnym dżentelmenem. Okropnie zniecierpliwiona, by znaleźć jego oraz pana Bradforda i mieć już za sobą całą sprawę, Azalea wdziała płaszcz i wyszła do słonecznego ogrodu.

Zbliżał się już czas na herbatę, a wiatr powoli zamieniał się w wichurę, kiedy Azalea znalazła króla w pachnących słomą stajniach, siodłającego Dickensa. Do siodła przymocowany był srebrny miecz. Azalea przypomniała sobie, że król obiecał jej naprawienie go.

Obok Dickensa stał nieznany jej, kasztanowej maści koń. Azalea rozpoznała natomiast jego właściciela. To był „burzowy" gość – pan Gasperson. Azaleę zastanawiało, jakie interesy z królem mogły go sprowadzić w samą wigilię. Rozmawiali przyciszonymi głosami, a Azalea kątem oka uchwyciła srebrną pieczęć na liście. Królewskie insygnia.

– ...oczywiście tak szybko, jak panienka Bramble będzie gotowa – powiedział dudniącym głosem mężczyzna w czerni.

Dosiadł konia.

– Tak będzie.

Król spojrzał znad grzbietu Dickensa i zobaczył stojącą w wejściu do stajni Azaleę.

– Panno Azaleo.

– Szukałam ciebie. Chcę z tobą pomówić. Nie przeszkadzam?

– Nie, wszystko już załatwione.

Zaintrygowana Azalea poczekała, aż dżentelmen odjedzie, po drodze kłaniając się jej uprzejmie, zanim weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Król pozostał u boku Dickensa, dopinając sprzączki popręgu i poprawiając uprząż.

– Bramble? – spytała. – Gotowa? Co mu dałeś?

Król dopiął siodło.

– Zaraz spadnie śnieg – rzekł. – Powinnaś wracać do pałacu.

– Pani Graybe mówiła, że rozmawiałeś z nim od samego rana – powiedziała z upartą ciekawością Azalea.

Nie podobało jej się, kiedy król ignorował jej pytania.

– Azaleo, czy chciałaś mi o czymś powiedzieć?

– Och, tak. – Zawahała się. – Ale najpierw powiedz mi o Bramble. Proszę. Przecież do mnie należy opieka nad dziewczętami.

Przez brodatą twarz króla przeszedł dziwny wyraz. Zmierzył wzrokiem Azaleę. Zawahał się

– Cóż – zaczął.

– Cóż? – podsunęła zachęcająco Azalea.

Król potaknął. Z kieszeni marynarki wyciągnął zapieczętowany na zielono list. Podał go Azalei.

– Od zeszłego tygodnia zalewał mnie listami. Co najmniej trzy dziennie. Kupił nawet kamienicę na High Street. Ten list jest najnowszy. Powiedz, co o nim sądzisz.

Azalea z przejęciem rozłożyła wielokrotnie składany list i przeczytała pospieszne, rozrzucone słowa.

Wasza Najwyższa Wysokość, Królu, etc, etc.:

Nie wiem już co, do pioruna, mogę zaoferować. Wasza Wysokość nie chce figi z moich ziem ani pieniędzy, czy czegokolwiek, co mogłoby być wartościowe dla kogoś innego. Sądzę, że to czyni Cię dobrym ojcem, ale dla mnie to niezły kwas. Nie mam nic innego do zaoferowania, z wyjątkiem szczerego serca, które pragnie tylko

Bramble, jej słodkiego, rezolutnego hartu ducha, jej bystrych, ciętych ripost, jej serca i jej drogiej ręki.

– Jej ręki? – spytała Azalea.

Jestem w agonii, mając nadzieję że mój zarządca przekona Waszą Wysokość. Jeśli nie, to chyba powybijam wszystkie szyby w oknach mego domu i utopię się w misce z wodą.

Z najszczerszymi intencjami –
Lord Edward Albert Hemly Haftenravenscher, Esq.

Azalea wpatrywała się w list.

– Małżeństwo! Lord Teddie chce ją poślubić! Poślubić Bramble!

Król uśmiechnął się.

– W rzeczy samej. – Zabrał list z rąk Azalei. – Uważa ją za główną nagrodę w krykiecie, malinowy dżem na toście, ognistą czerwień na pustej kartce. Tak właśnie pisał.

– Ma nie po kolei w głowie – rzekła Azalea. – Powybijać wszystkie okna? Oszalał.

– Ach, nie – odparł król. – Szaleństwem byłoby zrobienie tego. Jeśli tylko *chcesz* rozbić wszystkie okna w domu i utopić się w misce z wodą, ale tego nie robisz, cóż, to jest właśnie miłość.

Azalea poczuła się skonsternowana.

– Ale ty powiedziałeś mu nie, prawda?

Król zawahał się. W długim, ciężkim momencie, wszystko obróciło się do góry nogami, a Azalea pomyślała, *o nie...*

– Och, Azaleo. – Król położył jej dłoń na ramieniu. – Powiedziałem mu, że mógłby.

– Co!

– Właśnie wysłałem przez jego zarządcę kontrakt małżeński. Z pewnością odmówiłem mu już zbyt wiele razy. Ale... ach. – Król położył teraz obie dłonie na jej ramionach. – On ją kocha. Nie obchodzi go jej posag; kocha ją za to, kim jest.

Azalea wymawiała bezgłośnie słowa, zanim w końcu opuściły jej usta.

– Ale... ale... tak się nie robi – wyjąkała. – Nie możesz tak po prostu zaaranżować małżeństwa Bramble, nawet nie pytając się jej o zdanie! Tak się nie robi w dzisiejszych czasach!

– Jestem doskonale świadom, jak w dzisiejszych czasach się robi – powiedział cierpko król. – Nie jestem aż tak stary. Sama powiedziałaś, że jeśli lord Teddie dowiedzie swojej szczerości...

– Ale nie w ten sposób!

– A co więcej – kontynuował król, a jego ton stawał się coraz głośniejszy i bardziej cierpki – od kiedy to jakakolwiek moja decyzja nie spotyka się z wielką rebelią z waszej strony? Czy myślisz, że gdyby wszystko zostało zorganizowane inaczej, Bramble by to rozważyła?

Opiekujemy się sobą nawzajem, Azalea obiecała to Bramble. *Król nigdy nie zaaranżowałby twojego małżeństwa... a ja nigdy bym mu na to nie pozwoliła...*

Paznokcie Azalei wpiły się w jej dłonie. Spacerowała teraz niespokojnie między boksami, z każdym krokiem rozrzucając naokoło słomę. Jej spódnica trzasnęła, gdy się odwróciła. Policzki płonęły gorączkowo. Jej nagłe ruchy wprawiły Dickensa w niepokój.

– Jak śmiałeś! – powiedziała Azalea z zaciśniętymi pięściami. – Moje siostry *będą* miały wybór! Sir, musisz odwołać ten kontrakt!

– Nie zrobię tego...

– Matka nigdy nie pozwoliłaby ci zrobić coś *takiego*!

– Nie mów mi, co twoja matka zrobiłaby lub nie! – Król podprowadził Dickensa pod stołek do wsiadania. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że nią nie jestem. Będziecie musiały zaakceptować moją decyzję, nieważne jak jest ona bolesna!

Wściekłość eksplodowała.

W szybkich, nagłych ruchach, Azalea wyrwała lejce z rąk króla. W jednym gładkim i prawie tanecznym skoku, Azalea stanęła przed królem i dosiadła Dickensa. Jej czarne spódnice opadły na boki i zad konia.

– Sama zawiozę miecz do złotnika. To ja go zepsułam, czy nie tak?

– Daj spokój, Azaleo. Nie mów do mnie takim tonem – powiedział król wyciągając ku niej rękę.

Azalea kopnęła ją od siebie nogą i wbiła pięty w boki Dickensa, tak jak zrobiłby to dżentelmen. Dickens ruszył naprzód. Zryw omal jej nie zrzucił, ale chwilę później galopowała już przez drzwi stajni.

– Nie masz na sobie płaszcza! – wrzasnął król. – Spadniesz!

~ ~ ~

Król mógł dosiąść Tackereya i w mig ją dogonić, więc Azalea popędziła Dickensa przez brukowane ulice pokryte śniegiem i lodem. Ludzie ze świątecznych straganów korkowali drogi; wszyscy sprzątali swoje kramy przed zamiecią. Azalea gorączkowo rozglądała się za kasztankiem, na którym odjechał zarządca. Postanowiła, że go odnajdzie i przemówi do rozsądku.

Tłum przerzedził się wraz z obudzeniem się zimnego wiatru i ku jej szczęściu, Azalea dostrzegła kasztanka i szmaragdowy płaszcz zarządcy. Wbiła pięty w boki Dickensa, zmuszając go do galopu, podczas gdy kurczowo trzymała

się jego grzywy z obawy przed upadkiem.

Śnieg zaczął tańczyć na wietrze i nagle wszystkie ulice stały się wyludnione. Zanim dotarła na Most Curtroad, śnieg ułożył się na drodze, sprawiając, że ta stała się lodowata i śliska. Dickens zląkł się i cofnął.

– Dickens, proszę cię – powiedziała Azalea. – Tylko przejdź przez most!

Dickens ponownie się odsunął. Z palącymi dłońmi, Azalea wbiła mocniej obcasy w bok konia, który ze zrywem skoczył do przodu.

W mrożącej krew chwili, w której słychać było tylko skrobanie kopyt o lód i głośny brzdęk, Azalea spadała.

Jej żołądek zdał sobie z tego sprawę jeszcze przed nią. Dickens poślizgnął się i razem z dłonią Azalei wplątaną w lejce, ześlizgnęli się z kamiennego nasypu. Uwolniła dłoń i w powiewie krynolin i spódnic, zleciała z grzbietu zwierzęcia.

Wpadła do wody, która ją pochłonęła. Przebijając się na powierzchnię, walczyła o dech, próbując dodatkowo wygrać z prądem, gdy wychodziła na brzeg. Ubrania przylgnęły do jej skóry jak ciężki, lodowy płaszcz.

Dickens, ociekając, także stał już prosto. Jego piękną sierść pokrywało błoto. Kaszląc i plując, Azalea użyła cugli, by się podciągnąć.

Co ona *wyprawiała*? Zimna woda ochłodziła nieco jej temperament. Czy ona oszalała? Galopując tak pośrodku zawieruchy? Omal nie zabiła ich obojga!

Dom. Azalea musiała wracać, inaczej zamarznie na śmierć. Wiatr przedostawał się przez warstwy ubrań. Musi się przebrać i dostać do ognia. Trzęsąc się niemiłosiernie, Azalea próbowała wspiąć się na grzbiet Dickensa. Nie udało jej się, dłonie przypominały dwa lodowe bloki; uderzyła o skórzaną pochwę miecza.

Miecz! Azalea walczyła z zamknięciem i nagle poczuła, jak po raz drugi wpada do lodowatej wody. Z tym wyjątkiem, że teraz woda zalała ją od środka, wypełniając żołądek.

Miecz zniknął.

Rozdział 25

Trzęsąc się okropnie, Azalea przeszukiwała wzrokiem lodowatą wodę z nadzieją, że dostrzeże błysk srebra lub światła. Szukała podczas trwającej zamieci, po obu stronach brzegu, podczas gdy wiatr wiał tak mocno, że Azalea ledwie go czuła.

Miecz zniknął. Wiedziała to. Wiedziała już wtedy, gdy usłyszała odgłos uderzenia o kamienie podczas upadku i ogarnęło ją to samo dławiące uczucie pustki, jak wtedy, gdy król odczarował cukrowe szczypce. Z tym wyjątkiem, że teraz było tysiąc razy gorzej. Azalea osunęła się na Dickensa. Musiała znaleźć króla.

Nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się dosiąść Dickensa, albo jak odnalazł on drogę do pałacu przez kamienie i muliste zbocze, a potem przez mglistą i śnieżną zamieć. Pozwoliła mu samemu wrócić do domu. Gdy wjeżdżali do stajni, Azalea straciła resztki sił i spadła z siodła.

Zanim uderzyła o ziemię, została złapana w niezdarnym uścisku.

– Tu jest panienka! Cała przemarznięta!

– Panie P...P...Pudding – wymamrotała, szczękając zębami.

Musiała mrugnąć kilkakrotnie, by zobaczyć dobrze jego i na wpół osiodłanego Miltona.

– Gdzie się panienka podziewała? Całe królestwo się zamartwia, a król sam nawet wyruszył na poszukiwania! Cała jest panienka przemoczona...

chodźmy, trzeba panienkę ogrzać, a potem poślę po Sir Johna. Gorączka się podnosi!

– K...k...król...

Pan Pudding mówił do niej swoim szorstkim, ale uspokajającym głosem, lecz do Azalei niewiele docierało. Była jedynie ledwie świadoma, że jest niesiona do swojego pokoju, a pani Graybe razem z dziewczynkami biegają wokół niej, pomagając zdjąć jej suknię, po czym kładą do łóżka pod masę koców.

Z kominka przyniesiono gorące cegły, owinięto w szmaty i włożono między koce. Przybył Sir John, ale Azalea była zbyt słaba, by jakiekolwiek czynione przez niego badania do niej docierały.

– Spójrzcie na to – dobiegł głos Eve, a po chwili Azalea czuła, jak wszyscy przyglądają się czerwonym skaleczeniom – otarciom od cugli. Po tym pochłonęła ją całkowita czerń.

~ ~ ~

Azaleę obudził ból. Głowa pulsowała równo z biciem jej serca. Palce paliły. Podobnie jak oczy. Czuła emanującą ze skóry aurę gorączki. Podniosła koc, a jej wzrok wypełniły plamki i, potykając się, podeszła do okrągłego stolika, na którym stała lampa i filiżanka zimnej herbaty. Obok leżała notka. Azalea odmrugała plamki i przeczytała ją.

Az,

Cóż, doprowadziłaś do niezłego skandalu. Gdzie ty, u diabła, byłaś? Króla nie ma od rana, a przez to pani Graybe podała nam na obiad zupę, zamiast świątecznego puddingu. Bardzo ci za to dziękuję.

W każdym razie, idziemy bez ciebie. Nie gniewaj się, to nasza ostatnia noc, a nigdy wcześniej nie zaproszono nas na bal. Sir John mówił, że powinnaś leżeć kilka dni w łóżku, ale jeśli się obudzisz, przyjdź na dół (Wiesz, że Clover ma srebrny zegarek? Ciekawe, skąd wytrzasnęła takie cudeńko?!)

Tęsknimy, ale nie na tyle, by zostawać na górze.

Serwus.

B.

Azalea *rzuciła się* do kominka.

Pędziła przez przejście w takim pośpiechu, że rozsypała na falujące zasłony rozżarzone węgle, a na podłodze zostawiła ślady sadzy. W biegu uderzyła o drzwi, od których odbiła się z impetem i upadła na kolana.

Klatka schodowa skończyła się szybciej niż zwykle. Jej głowa pulsowała, gdy oczy próbowały przyzwyczaić oczy do otoczenia.

Pokój, w którym się znajdowała, był ogromny – tak samo duży i rozmieszczony, jak ich sypialnia na górze, lecz ze ścianami z cegieł zamiast boazerii. Sprawiał wrażenie ostrego, rzeczywistego i pachniał stęchlizną. Obok niej, wzdłuż ścian, w kufrach i pudłach leżały wstążki oraz blaszane i szklane ozdoby. Świąteczne ozdoby! Azalea podniosła się na nogi i sięgnęła po jedną z pudła na kapelusze – maleńką altankę z figurką baleriny, która tańczyła w środku. Migotała na sznureczku. Wewnątrz muzyczka brzdęknęła.

– Nasz składzik – powiedziała Azalea, gdy ozdoba wciąż wibrowała jej w dłoniach.

Magia zniknęła.

Za nią rozległ się szelest materiału. Azalea odwróciła się.

Z maleńkiego okna, tuż przy suficie jaśniało delikatne, błękitne światło, spadające na bezwładną postać. Rozpuszczone włosy leżały na drewnianym parkiecie i zacerowanej sukience. Azalea upuściła ozdobę.

– Matko? – wyszeptała.

Postać leżała bez ruchu.

Ledwie ośmielając się uwierzyć, Azalea podbiegła do jej boku i przewróciła na plecy, czując pod palcami realną, materialną postać matki. Niebieskawe światło padało w upiorny sposób na jej twarz; krawędzie były rozmyte, jak gdyby była z mgły, lub została narysowana niedokładnym szkicem. Azalea przełknęła płacz. Usta matki wciąż były zaszyte.

– Matko – wyszeptała. – Matko, czy to naprawdę ty? Zbudź się. – Azalea zaczęła szukać w kieszeni nożyczek, tylko by po chwili zdać sobie sprawę, że zostawiła je w drugiej sukience. Mimo to, kiedy powieki matki drgnęły, w Azalei rozgorzała nadzieja.

– Już dobrze, wydostaniemy je – powiedziała Azalea, dotykając ust matki tak delikatnie, jak tylko mogła. Były lodowate. Cała jej skóra była niemal przeźroczysta i drżała pod palcami Azalei. – W porządku. Nie próbuj się uśmiechać. Zabierzemy cię gdzieś, gdzie jest ciepło.

Matka była lżejsza, niż oczekiwała Azalea, dużo lżejsza niż normalna osoba, lecz wciąż solidna w dotyku. Azalea weszła po rozklekotanych stopniach, z ręką wokół talii matki, pomagając jej wspiąć się w górę schodów. Jej stopy poruszały się, jakby nie czuły pod sobą stopni. Przeraziło to Azaleę, która ścisnęła mocniej zimne dłonie matki, w obawie, że ta po prostu się jej wyślizgnie.

Drżąc, wciągnęła matkę na najwyższy stopień i, najdelikatniej jak potrafiła, oparła ją o drewno i cegły. Matka opadła, a jej spódnice osunęły się powoli wraz z nią. Azalea potarła chusteczkę o znak D'Eathe, aż ten zaczął palić. Srebro zamigotało i eksplodowało, ukazując błyszczącą zasłonę blasku.

Azalea odwróciła się do matki i choć jej oczy wciąż były zamknięte, łzy ciekły jej z oczu i spływały na szwy.

– Już dobrze – rzekła Azalea, sama starając się nie rozpłakać. – Nie płacz...

Przyłożyła chustkę do oczu matki, by otrzeć łzy.

Pod dotykiem materiału, przezroczysta powierzchnia jej skóry zaskwierczała i zaczęła się roztapiać. Jej skóra skapywała niczym woskowa świeca. Azalea wrzasnęła i natychmiast zabrała chustkę. Krew pulsowała w jej uszach, gdy skóra matki z powrotem odzyskała normalną strukturę.

– Już dobrze. Przepraszam... Ta magia... to...

W porywie spojrzała na rozsypany wokoło węgiel. Jeden kawałek wciąż żarzył się na czerwono. Szybko zakryła go chustką.

Ta zapaliła się, roztopiła i skurczyła się w kwaśnym, smrodzie spalenizny. Powietrze wypełniło uczucie pustki po odczarowaniu magicznego przedmiotu. Ogień zgasł, zostawiając po sobie jedynie migoczący popiół. Azalea zakrztusiła się powietrzem, gdy wpatrywała się tak w kupkę popiołu, a potem popędziła do boku matki. Jej oczy były wciąż zamknięte, kiedy pomagała jej wstać. Była lekka jak papier.

– Nie potrzebujemy już tego – powiedziała Azalea. – Nie sądziłam, że magia może... tutaj... – Azalea wzięła zimną dłoń matki. – Chodźmy, zanim się zamknie.

Oczy matki otworzyły się nagle. Azalea w zaskoczeniem zobaczyła, że nić wokół jej ust powoli znika, zostawiając gładką, nieuszkodzoną skórę.

– Patrz pod nogi – powiedziała matka.

I pchnęła Azaleę.

Azalea spadła ze schodów; spódnice i stopy powykręcały się, tworząc jedną całość. W powietrzu rozległ się trzask pękającego lodu. Azalea uderzyła o drewnianą podłogę i złapała dech w samą porę, by zobaczyć, jak ozdoby wokoło

unoszą się ze swoich pudeł. Uderzały o siebie z brzdękiem i błyszcząc, wzlatywały i unosiły się, niczym białe płatki podczas zamieci.

Nagle zatrzymały się i pozostały w powietrzu – nieruchoma burza błyskotek. Trzęsąc się, Azalea spojrzała w górę, na matkę.

Stała na szczycie schodów. Zamazana, nieziemska przezroczystość jej skóry i sylwetki zniknęła, zastąpiona ostrą, martwą bladością oraz krwawoczerwonymi ustami. Oparła łokieć o talię, a z wystającego w górze palca zwisała jedna z ozdób.

– Matko?

Matka podrzuciła ozdobę w górę, pstryknęła palcami, a ozdoba zatrzymała się w powietrzu. Z maleńkim ruchem jej dłoni, zawieszone ozdoby zadygotały i zaczęły wirować wokół pokoju, z Azaleą w centrum. Powietrze wypełniło migoczące brzdękanie.

Matka wykonała gwałtowny gest i ornamenty roztrzaskały się na podłodze...

I powstały ponownie, niczym duchy; ich srebrne zdobienia pęczniały, tworząc spódnice, szklane odłamki formowały się w dopasowane fraki. Z ornamentów powstały damy i dżentelmeni z upudrowanymi twarzami, białymi jak zamarznięte szkło. Zamiast oczu mieli ziejące dziury. Azalea skuliła się, gdy ją otoczyli.

Matka z gracją zeszła po schodach; jej niebieska spódnica powiewała za nią. Uśmiechnęła się do Azalei, ale jej oczy pozostały czarne. Te same czarne oczy mignęły w pamięci Azalei i przypomniała sobie, jak błyszczały, kiedy Strażnik nachylił się, by ją pocałować...

– Strażnik! – warknęła z pogardą Azalea. Skoczyła do przodu, lecz szkieletowi tancerze otoczyły ją, pochwyciły za nadgarstki, talię i ramiona, odciągając do tyłu i mocno trzymając.

Strażnik roześmiał się wesołym śmiechem.

– Och, proszę cię – powiedział głosem matki. – Chyba nie sądziłaś tak naprawdę, że to była twoja matka? Byłaś tak bardzo zdesperowana, by uwierzyć, że ludzie mają dusze, by uwierzyć w to wszystko? Głupia, *głupia*. Wielkie dzięki za chusteczkę. To była ostatnia cząstka magii, która mnie tu więziła. Dobra robota.

– Gdzie one są? – spytała Azalea. – Co zrobiłeś dziewczynkom?

Strażnik odsunął się. Dołeczki i błyszczące oczy pochłonęły Azaleę. Dotknął broszki przy zacerowanym kołnierzu.

– Nie są martwe – rzucił lekko. – Jeszcze.

Azalea usiłowała wyrwać się dłoniom. Te jednak, twardymi i cienkimi jak haczyki do ozdób palcami, ciasno trzymały jej ręce i talię.

– Wiesz, z tego byłaby absolutnie wyśmienita baśń – powiedział Strażnik, ukazując dołeczki w policzkach. – Zupełnie jak jedna z tych, które opowiadała ci matka. Jeśli chcesz, możesz sobie nawet wyobrazić, że *ja* jestem twoją matką. Zobaczmy... jak one się zaczynają?... „W pewnym kraju..."

Głos matki był słodki jak miód, z dodatkową gładkością czekoladowej barwy głosu Strażnika. Dotknął twarzy Azalei, gładząc ją zimnym palcem.

– Było sobie dwanaście tańczących księżniczek – wyszeptał. – A ich małe serduszka były złamane. Lecz pewnego dnia znalazły magiczne miejsce pełne srebra i muzyki, gdzie mogły tańczyć i zapomnieć o wszystkich kłopotach. Lecz niestety! Nic nie trwa wiecznie. Musiały spłacić swój dług; a kiedy rachunki zostały wyrównane, cena małych księżniczek okazała się niewystarczająca. I tak, kiedy młode księżniczki przybyły na Wigilię, zostały zaczarowane w pałacowe lustra...

Azalea wrzasnęła, lecz dźwięk ten szybko został stłumiony przez cienkie dłonie, które zakryły jej usta. Zamiast bicia, jej serce krzyczało.

– … i umarły w ciągu kilku godzin, tuląc się w poszukiwaniu ciepła. Bo wiesz, lustra tak mają. To coś związanego z ruchomą materią w połączeniu z nieruchomą. W rzeczywistości, magia jest dość naukową dziedziną. A najstarsza księżniczka została zamknięta w tym oto pokoju, tylko by zostać odnaleziona dopiero po wielu tygodniach, zwinięta w małą, suchą kulkę obok przejścia. Szkoda, bo była dobrą tancerką.

Strażnik pochylił się blisko, tak blisko, że Azalea mogła zobaczyć własne, przerażone odbicie w broszce, lecz trupie, cienkie dłonie, które ją krępowały, nie pozwalały się poruszyć. Ustami dotknął szyi Azalei. Były zimne.

Azalea zerwała się. Dłonie nie zdążyły chwycić ja na czas, w którym to zdążyła rzucić się z pazurami do gardła Strażnika i zerwać broszkę z kołnierza niebieskiej sukni matki. Ręce z powrotem uwięziły Azaleę, chwytając za nadgarstki. Azalea krzyczała.

Broszka zatoczyła łuk i z brzdękiem spadła na drewnianą podłogę. W mgnieniu oka, niczym zgaszona świeca, matka przemieniła się w ciemną, przystojną postać Strażnika. Nie poruszał się, ale stał nieruchomo, uśmiechając się z pewnym siebie ociąganiem.

– Ach – powiedział. – Więc już wiesz, dlaczego *strzegę* rzeczy. Z tego samego powodu, dla którego twój ojciec strzeże rzeczy waszej matki przed wami oraz dla którego ogłosił żałobę. Każdy obiekt, jaki posiada człowiek, nieważne jakby był biedny, ma w sobie jego cząstkę.

– Król nigdy ci na to nie pozwoli! – warknęła Azaleą. – Nigdy nie uda ci się przejąć królestwa! Regimenty...

Strażnik zasłonił jej usta dłonią z szeroko rozpostartymi palcami, uciszając ją i jednocześnie ściskając policzki.

– Ciii – powiedział łagodnie. – Czy naprawdę sądzisz, że obchodzi mnie wasze bezsilne, zubożałe królestwo? Nie, księżniczko. Jest tylko jedna rzecz,

której pragnę.

Przycisnął dłoń mocniej do jej ust.

– Ach. Nigdy nie dokończyłem mojej opowieści. Jako to się zwykle kończy? Ach, tak. I pałac na nowo stał się magiczny pod ręką jego prawowitego właściciela, który w końcu zamordował Generała Wojsk Królewskich i wszystko dobrze się skończyło. Koniec. Wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Strażnik pochylił się tak blisko, że jego usta niemal dotykały dłoni, którą zakrywał jej usta.

– A teraz – wyszeptał. – Mam do wypełnienia przysięgę krwi. Żegnam, moja pani.

Pchnął ją prosto w chmarę dłoni.

Wokół wszystko zawirowało masą bieli i szarości. Azalea została wepchnięta w taneczną formację. Upiorna cisza wszystko tłumiła: muzykę, kroki, szelest sukien.

Azalea obijała się o przeróżne układy, próbując się wyrwać. Kopała i odpychała się łokciami od chwytających ją dłoni, aż wreszcie, szczęśliwie, wyrwała się i ruszyła po chybotliwych schodach.

Serce zamarło w jej piersi, gdy zobaczyła pustą platformę. Przejście z cegieł zamknęło się. Zaczęła rozdrapywać paznokciami znak. Nie miała przy sobie żadnego srebra, by się wydostać.

Skostniałe palce chwyciły ją za kostki i zaczęły ciągnąć w dół. Azalea na wpół spadała, na wpół była niesiona przez tancerzy, którzy krzyżowali się, zmieniali partnerów i wpychali ją do prawidłowych pozycji. Gdyby zemdlała, prawdopodobnie bawiliby się nią jak marionetką.

Oczywiście, że to była sztuczka. Ta cała farsa z duszami. A teraz Strażnik, niepowstrzymany przez żadną srebrną magię, miał wolną rękę, by ponownie zaczarować pałac. A dziewczęta...

Uwięzione w lustrach...

I król!

Z całą siłą, na jaką mogła się zdać, Azalea ponownie usiłowała uciec na schody. Bezokie, migoczące postacie tancerzy rzuciły się za nią. Zanim dotarła do trzeciego stopnia, ich kościste dłonie ściągnęły ją na dół. Wyrywała się przez suknie i peruki, kopiąc i wijąc się pod naciskiem ich chwytów. Pchnęli ją do tyłu, a ona zaczęła spadać...

Spadać...

Łuu...

Nigdy nie usłyszała reszty odgłosu; odcięła go ciemność.

~ ~ ~

Gdy Azalea się obudziła, miała na sobie suknię balową. I stała.

Przez chwilę wpatrywała się jedynie w swój strój. Potarła palcami o przewiewne zakładki na spódnicy, czując pod skórą splot tkaniny. Jej głowa już nie pulsowała. Azalea rozejrzała się dokoła.

Pokój matki. Stała na jego środku, pomiędzy fotelem a toaletką. Pachniało ciepłem, białym pudrem, różami i oliwką dla dzieci. Komoda zastawiona była domowej roboty kartkami, a wszystko oświetlał wesoło płonący w kominku ogień.

Sen! Tym razem jednak każdy zapach, ruch, uderzenie serca skupiało się w jeden, wyostrzony obrazek. Widziała nawet tę odrobinę kurzu, która wirowała w świetle wpadającym przez okna.

W kwiecistym fotelu, z ręką na ciążowym brzuchu, siedziała matka. Uśmiechnęła się do Azalei, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Jakimś cudem, zamiast się ucieszyć, Azalei zrobiło się gorzej. To był tylko głupi sen, a łzy

i tak piekły jej oczy.

– To nie jest prawdziwe – powiedziała. – To wszystko. Wiesz, zawsze mówiłaś o tym ciepłym, mrowiącym uczuciu w środku. Ale teraz wiem, że to nieprawda. To nigdy nie była prawda. Obudzę się, czując pustkę.

– Azaleo? – rzekła matka. – Gąsko, o czym ty mówisz? Wszystko w porządku?

Azalea oparła się o komodę, ściskając w dłoniach gałki od szuflad znajdujących się za jej plecami.

– Nie, matko. Nic nie jest w porządku. Już nigdy nie będzie w porządku.

Matka przywołała do siebie Azaleę; iskry w jej oczach błyszczały. Sięgnęła po dłoń Azalei, zmuszając ją tym samym do uklęknięcia. Zielone, zwiewne warstwy spódnic Azalei wzdęły się wokół niej. Matka trzymała jej palce w swoich ciepłych dłoniach, a potem odwróciła dłoń Azalei i przyjrzała się jej wewnętrznej stronie.

Obok maleńkich blizn w kształcie półksiężyców od zbyt częstego wbijania paznokci, pojawiły się nowe, czerwone ślady, powstałe kiedy Azalea straciła nad sobą panowanie i rozcięła sobie dłonie o cugle. Matka obejrzała je i delikatnie pogładziła.

– Zawsze to robiłaś – powiedziała. – Gdy byłaś młodsza. Potrafiłaś być taka zagniewana. – Matka uśmiechnęła się. – Miałam nadzieję, że z tego wyrośniesz.

Azalea zabrała dłoń.

– O pewne rzeczy warto się wściekać.

Matka podniosła głowę, sięgnęła ręką i odsunęła zabłąkany kosmyk z twarzy Azalei, a kciukiem wytarła łzy. Azalea mrugnęła i odwróciła głowę, nieco zaskoczona, że jeszcze się nie obudziła. Sen nigdy nie trwał tak długo.

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś, Azaleo. Zawsze opiekowałaś się twoimi

siostrami. Jestem z ciebie taka dumna.

– Racja – powiedziała Azalea. – Wykonałam świetną robotę, co nie?

Pomyślała o siostrach stulonych w lustrach i skrzywiła się.

– Ale – rzekła matka – twój ojciec. Z nim nie poszło ci najlepiej.

Azalea odwróciła się nagle. Ze zmarszczonymi brwiami, odszukała twarz matki. Znalazła iskrę w jej oczach i znajomy, nikły uśmiech na ustach. Ona także intensywnie przyglądała się twarzy Azalei.

– Słucham? – spytała Azalea.

Matka ponownie ujęła dłonie Azalei w swoje i w błysku srebra, zacisnęła je na chusteczce. Jej dłonie były miękkie i ciepłe; tak ciepłe, że uspokoiły drżące palce Azalei, a ciepło rozeszło się po jej rękach i klatce piersiowej. W sercu Azalei coś się przekręciło. Przygryzła usta.

– Spróbujemy jeszcze raz – powiedziała matka. Uśmiechnęła się, a pokój przez to wydał się jaśniejszy. – Zaopiekujesz się siostrami *oraz* twoim ojcem? Twoją całą rodziną? Obiecasz mi to, Azaleo?

Gardło Azalei ścisnęło się, a palce zapiekły. Palce pulsowały na opuszkach, gdzie były przyciśnięte do materiału.

– On... nikogo nie potrzebuje – wymruczała. – Powiedział... powiedział, że nie może znieść...

– Właśnie wtedy potrzebował was najbardziej – powiedziała matka. – I potrzebuje was *teraz*. Potrzebuje was wszystkich. Proszę, Azaleo. Obiecaj mi to.

Azalea zajrzała w oczy matki, które błyszczały od łez. Coś kłuło ją w serce. Przypomniała sobie wszystkie te razy, kiedy atakowała króla ciętymi słowami. To, jak z palącym gniewem w sercu złożyła przysięgę i tańczyła z czystej upartości. A teraz to z jej winy Strażnik mógł...

Azalea mocno zacisnęła dłonie wokół chusteczki i zagryzła zęby. Jej oczy płonęły, lecz nie z gniewu.

– Tak. Zrobię to. Moją całą rodzinę. Wszystko naprawię. Obiecuję.

Zalała ją fala dreszczy, zaczynająca się od środka i ogarniająca resztę jej ciała, aż po opuszki palców. Uczucie ogarnęło ją dużo silniej, niż w zeszłym roku. Ogarnęło ją, wypełniając nowym oddechem. Mrugnąwszy, Azalea poczuła krople łez na rzęsach.

Matka uśmiechnęła się, lecz uśmiech ten nie był związany bólem. Jej oczy błyszczały. Pochyliła się i pocałowała dłonie Azalei. Miała ciepłe usta.

W tym momencie Azalea nie musiała się upewniać, by wiedzieć, że usta matki miały piękny różany kolor – tak inny, niż w zeszłym roku. Zamiast tego zamknęła oczy, zacisnęła palce na materiale chusteczki, wdychając zapach zasypki i oliwki i pozwalając, by ciepło matki rozeszło się po niej. Pozwoliła, by wypełniło jej duszę.

A wtedy się obudziła.

...uup!

Uderzyła o drewno głową, która eksplodowała bólem.

Azalea leżała rozłożona na podłodze. Jej oczy i policzki były mokre. Wszystkie wspomnienia nagle zalały ją jedną falą – Strażnik, siostry, krwawa przysięga. Skoczyła na równe nogi.

Żadne cienkie, twarde palce nie wciągnęły ją do tańca. Wokół niej, tancerze cofnęli się w kręgu; ich oczodoły ziały pustką.

A wtedy...

zdała sobie sprawę, że w dłoni ściska coś, czego wcześniej tam nie było. Azalea otworzyła dłoń i w słabym świetle przyjrzała się zawartości.

Błysnęło srebro.

Chusteczka matki.

Wyhaftowane inicjały, srebrna koronka na brzegach. Azalea mogła przysiąc, że pachniała zasypką dla dzieci. Słowa króla sprzed kilku dni powróciły

echem w jej pamięci:

Ta magia sprawiała, że wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy...

– No nie żartuj! – zawołała Azalea.

Uniosła ją do góry.

Tancerze cofnęli się. Stali się dziwnie przezroczyści, jak szkło, zamigotali, w ich oczodołach pojawiły się gałki oczne, a z cer zniknął puder. Wtedy roztrzaskali się jak zwykłe ozdoby na tysiące małych odłamków.

Czarna aura wokół ścian zniknęła, przywracając nagie cegły. Składzik znów był pusty, a podłogę pokrywało pokruszone szkło.

Azaleę zalało wspaniałe uczucie. Utopiło pulsowanie i ból w uszach. Wbiegła na schody, pędząc z nowo odnalezioną energią. Musiała uratować swoją rodzinę.

Rozdział 26

Pałac nie był już tym samym pałacem.

Azalea wyszła z kominka i zobaczyła, że ich łóżka, połatane pościele, uleżałe poduszki i okrągły stolik zniknęły, a zastąpiły je misterne, barokowe meble. Żyrandol spływał ze sklepionego sufitu, na którym wymalowano kupidyny, a ciemność była odczuwalna w sposób niemal namacalny. Odsłonięte okna zasłaniały cierniste pnącza, które wiły się wokół szyb, uniemożliwiając dostęp światłu.

– Zupełnie jak w książkach do historii – powiedziała Azalea. – Pałac otoczony kolcami...

Śśśświst!

Mała strzałka, długości dłoni, z metalowym sercem zamiast grotu, wbiła się w ścianę tuż obok Azalei, która wyrwała ją i spojrzała w górę. Po suficie fruwały malowane kupidyny.

– Och, tego nie było w książkach do historii!

Azalea rzuciła w nich strzałkę. Kupidyny rozpierzchły się, a ona popędziła w kierunku drzwi.

Śśśśświstwistwist!

Tuziny maleńkich strzałek wbiły się w drzwi w momencie, gdy Azalea zatrzasnęła je za sobą. Zastanawiała się, co jeszcze w pałacu zostało zaczarowane i spojrzała na swoją chusteczkę. Jeśli była choćby w małym stopniu

tak potężna, jak miecz – a wiedziała, że jest potężniejsza, niż była wcześniej – to może Strażnik nie będzie w stanie więcej czarować. Mogło to także oznaczać, że pozostałby uwięziony w pałacu, tak jak był uwięziony w pawilonie. To dało Azalei nadzieję. Najpierw odnajdzie siostry i króla. Potem przyjdzie czas na Strażnika.

Azalea biegła przez jaskrawe, nieznajome korytarze, na próżno szukając schodów lub czegokolwiek, co prowadziłoby do biblioteki czy sali balowej, która była jedynym pomieszczeniem w całym pałacu z więcej niż jednym lustrem. Portrety również zostały zaczarowane, a starzy członkowie parlamentu i prababki spoglądały na nią przekrwionymi oczami. Głosy szeptały i mruczały.

W złotym korytarzu, który niegdyś mógł być galerią portretową, kątem oka Azalea uchwyciła błysk zbliżającego się światła.

– Och! – zawołała, cofając się. – Kto tam jest?

Z klikającym dźwiękiem zakradała się do niej świeca. Szła sama. Mała, miedziana podstawka była rozdwojona na końcu i wywinięta tak, że tworzyła nóżki. Wyglądała jak mały szkrab, który bezradnie kręci się wkoło.

– Och... no już – powiedziała Azalea, pochylając się tuż nad świecą. Przypominała jej cukrowe szczypce. – Wiesz jak dojść do sali balowej?

Świeca zapłonęła.

– Aa! – krzyknęła Azalea i natychmiast zgasiła ogień na spódnicy, zostawiając smród spalenizny. Świeca czmychnęła na krzywych, miedzianych nóżkach. Azalea już chciała ją gonić i dać porządnego kopniaka, ale zaniechała. Z końca korytarza dobiegło ją znacznie głośniejsze klikanie. Właściwie brzmiało to bardziej jak brzdękanie.

Maleńka świeca uciekła i schowała się za nogą sofy. Na końcu korytarza zapłonęło światło, za którym pojawiła się gigantyczna masa poplątanego żelastwa. Z góry spływał wosk ze świecy. Azalea rozpoznała w nim stary

żyrandol z północnego strychu.

W kłębie spódnic, skoczyła w stronę kominka, gdy żyrandol ruszył za nią. Przewróciła stojak na pogrzebacz i podniosła zmiotkę. Żyrandol zanurkował w jej stronę, z płomieniem na przedzie. Serce krzyczało, głowa pulsowała, a Azalea, odskoczywszy na bok, trzasnęła zmiotką o żyrandol. Dwie świeczki odleciały, a potem ożyły na nowo.

Żyrandol przystąpił do ponownego ataku, a Azalea uciekła w podskokach.

Rzucił się za nią na długi, gruby i karmazynowy dywan...

Trzask!

Jednym gładkim, wężowym ruchem, dywan pochłonął armaturę i zwinął się, z przerażającym sykiem gasząc ogień na świecach. Ciężko dysząc, Azalea patrzyła jak ostatni błysk na żyrandolu znika.

– Racja – powiedziała z ulgą, gdy przeskoczyła przez dywan, zamiast po nim przejść. – Lepiej tego nie dotykać.

Mała świeczuszka podeszła do niej nieśmiało na klikających nóżkach. Jej płomień był mały, jakby chciała przeprosić.

– Widziałaś króla? Albo dziewczynki? – spytała Azalea. – Salę balową?

Płomień podskoczył w górę, a małe nóżki zaczęły przebierać jak szalone. Z kwitnącą w niej nadzieją, Azalea pobiegła za nią.

~ ~ ~

Kilka minut później, po pokonaniu krętych, złotych korytarzy wypełnionych misternymi ozdobami i klatkach schodowych z szepczącymi portretami, Azalea prześlizgnęła się przez hol wejściowy, prosto do sali balowej. Jak zauważyła z ulgą, ta część pałacu nie została zaczarowana; pozostała stara i nudna boazeria, i białe sufity.

Podbiegła do najbliższego lustra i omal nie wrzasnęła.

Spoglądała na nią Delphinium. Obejmowała się rękoma, cała drżąc, a po jej policzkach spływały łzy. Jej rzęsy były pokryte szronem. Na jej ładnej, bladej twarzy, tuż obok ucha widniały trzy cięte rany. Krwawiły.

Strażnik! Pomyślała Azalea. Przycisnęła dłonie do szkła, a drżąca dłoń Delphinium zrobiła to samo.

– Delphi. Trzymaj się. Wydostanę cię stąd. Gdzie reszta?

Delphinium powiedziała coś, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Potrząsnęła głową i wskazała na lustro obok.

Eve trzęsła się ze środka kolejnego lustra. W ręku trzymała swoje okulary, które już zamarzły, lecz w jej oczach rozgorzała nadzieja na widok Azalei. Azalea wydusiła z siebie kilka pocieszających słów i podbiegła do kolejnego lustra, które więziło Ivy. Siedziała skulona na podłodze zwierciadła z mokrymi od łez policzkami, żując kosmyk włosów. Azalea przyłożyła dłoń do szkła, starając się dodać jej otuchy.

Tuż obok była zwinięta w małą kulkę Hollyhock, z rękoma schowanymi w rękawach. Potem Flora i Goldenrod, tulące się do siebie, by utrzymać ciepło. Clover, Kale i Lily trzymały się blisko w lustrze obok. Clover opatuliła obie dziewczynki swoim szalem i obejmowała je rękoma. Kiedy podobnie, jak pozostałe dziewczęta zobaczyła Azaleę, jej oczy pojaśniały.

Azaleę najbardziej zmartwił widok Jessamine. Kuliła się sama, nawet się nie trzęsąc. Kiedy Azalea do niej przemówiła, ona ani drgnęła. Dopiero gdy Azalea mocno zapukała w szkło, powieki Jessamine drgnęły. Była taka malutka... miała ledwie cztery latka. Nie miała sił długo trzymać ciepła.

Z ósmego, a zarazem ostatniego lustra, dobiegł ją stukający odgłos i Azalea odnalazła tam Bramble, z dłońmi przyciśniętymi do szkła i rozpuszczonymi czerwonymi włosami. Jej cienkie usta były fioletowe, ale

wyglądała na zdeterminowaną. Gorączkowo chciała pokazać coś Azalei, a z bezsilności jej usta robiły się coraz cieńsze. Przyłożyła dłonie płasko do lustra i zaczęła coś pisać na nim palcem.

– Napisać... list? – spytała Azalea.

Bramble pokiwała głową. Udała, że wpycha rękę do kieszeni, której nie miała w sukience i zaczęła podskakiwać na piętach, po czym wybuchnęła niemym chichotem.

– Do Lorda Teddiego?

Drżąc, Bramble potaknęła.

– Tak? – spytała Azalea. – Co napisać?

Bramble przełknęła i otworzyła usta, potem zamknęła i ponownie przełknęła. Zadrżała, nie podnosząc żółto-zielonego spojrzenia znad stóp.

Bezgłośnie wymówiła: „Przepraszam" i wzruszyła ramionami. Na policzku widniał łzawy ślad.

Jakby instynktownie, Azalea wyciągnęła chusteczkę, by otrzeć Bramble twarz. Wydała się ona rozjaśnić lustro, a Bramble spojrzała na nią. Przyłożyła tam dłonie, jakby ogrzewała je przy ogniu.

– Magia? – wymówiła bezgłośnie.

Przepełniona nadzieją, Azalea zaczęła gwałtownie pocierać chusteczką o twarz Bramble. Może uda jej się jakoś wytrzeć siostry z luster...

Ale nic takiego się nie stało. Bramble zadrżała i potrząsnęła głową.

– Nie wystarczy – wymówiła.

Mimo to, Azalea pobiegła do lustra z Jessamine i przycisnęła do niego chusteczkę. Po kilku chwilach Jessamine przebudziła się, a jej powieki uniosły się nieco. W odbiciu za nią mała pajęcza świeczka uciekła, zostawiając za sobą złoty ślad. Ciemna, przystojna postać szkła w ich stronę po parkiecie. Azalea odwróciła się szybko, trzymając chusteczkę przyciśnięta do lustra za nią.

Strażnik!

Nie podszedł do niej, a zamiast tego, udał się do lustra Clover i przyłożył mocno do niej pięść. Wszystkie trzy dziewczynki skuliły się.

– Proszę to puścić, panno Azaleo.

Azalea zawahała się. Strażnik uderzył pięścią o lustro, które z mocnym chrzęstem, zaczęło pękać. Kale wydała niemy krzyk.

– *Puść to!*

Nienawidząc siebie samą, Azalea rzuciła chusteczkę na ziemię. W tym samym momencie jej głowa uderzyła o marmur, a długie, cienkie palce Strażnika zacisnęły się wokół jej szyi.

– Gdzie twój ojciec? – warknął.

Nie odnalazł jeszcze króla! Azalea próbowała pozbyć się mruganiem czarnych plamek sprzed oczu.

– No? – spytał Strażnik, zaciskając palce.

– Nie wiem.

Strażnik uderzył nią ponownie o marmur, a przed jej oczami eksplodowały kolory.

Cmentarz.

Słowo te pojawiło się w jej umyśle w pełni uformowane.

– Cmentarz – wydusiła z siebie Azalea. – Jest na cmentarzu.

Czarne oczy Strażnika zwęziły się.

– Matka... – Gardło Azalea wydawało się przylegać do uszu. – Dziś mija rok, odkąd umarła.

Oczy Strażnika pozostały małymi szparkami, ale zwolnił uścisk. Azalea odetchnęła świeżym, słodkim powietrzem.

– *Cmentarz* – powiedział. – Oczywiście.

W kolejnej chwili stał już przed lustrem z Jessamine, szerokim łukiem

obchodząc chusteczkę. Jessamine kuliła się i trzęsła, a jej ciemne loki były potargane. Kiedy zobaczyła górującego nad nią Strażnika, zaczęła płakać małymi, niemymi łkaniami.

Strażnik rozpostarł palce i z pewnym wysiłkiem pogłaskał lustro, niczym ukochane zwierzątko. Przyłożył płasko dłoń do szkła i zamknął oczy.

Jego twarz stała się jakaś chuda, prawie przezroczysta, a lustro zmieniało się wraz z nim. Niczym światło na tle ciemnego okna, Azalea zobaczyła własne, przezroczyste odbicie we szkle. Powoli stawało się coraz bardziej widoczne, aż Azalea w pełni odbijała się w lustrze. Odbicie Jessamine wydało z siebie krzyk...

… a Azalea zdała sobie sprawę, że była to prawdziwa Jessamine, skulona na podłodze.

Czując pulsowanie w głowie, Azalea pobiegła do niej. Chciała ogrzać jej drżące ciało. Strażnik odepchnął ją, porwał w ramiona Jessamine i udał się w kierunku wyjścia. Azalea pokuśtykała za nim, a świadomość tego, co się właśnie stało, dodało jej nadziei. Miała *rację* co do chusteczki! Strażnik nie mógł opuścić pałacu!

– Wiesz, gdzie jest cmentarz, panno Jessamine? – powiedział, niosąc ją pod ręką jak owcę. Otworzył szeroko drzwi wejściowe. Splątane sznury i czarne gałęzie wiły się wokół, maskując wyjście.

Strażnik zamknął oczy i przyłożył dłonie do splątanej masy pnączy, a jego twarz przybrała kolor popiołu – zupełnie jak wtedy, gdy podniósł poziom wody te wiele miesięcy temu. Jego oddech stawał się ciężki. Pnącza zaczęły się wić, aż w końcu ustąpiły, wpuszczając do środka strumień światła.

– Nie możesz wrócić, dopóki nie znajdziesz króla – powiedział Strażnik, dysząc. – Pnącza nie wpuszczą cię, chyba że będziesz z królem. Zrozumiano? Nie ociągaj się, moja droga.

Azalea chwyciła szal z wieszaka i owinęła nim ciasno Jessamine.

– Nie wracaj – szepnęła. – Znajdź króla. Ale *nie przyprowadzaj go tu*. Nie wracaj!

Jessamine mrugnęła jasnoniebieskimi oczami na Azaleę. Strażnik złapał ramię Jessamine i wyrzucił ją przez otwór z gałęzi. Wyleciała na zewnątrz, omal nie potykają się na długich, szarych stopniach.

– Tak, znajdź króla – powiedział. – Powiedz mu, że zabijam jego najstarszą księżniczkę.... *powoli*. Zatrzasnął drzwi.

Azalea miała zamiar rzucić się po chusteczkę, lecz Strażnik był szybszy i wrzucił do środka sali, a potem pchnął na jedną z zasłon. Sznur z frędzlem samoistnie oplątał jej obolałe już i tak nadgarstki. Zdusiła krzyk, gdy zacisnął się jeszcze mocniej i boleśniej.

– Rozkoszujmy się tym – powiedział.

Z przesadną delikatnością jego długich palców, Strażnik zaczął wyciągać szpilki z jej włosów i rzucać za siebie; szpilki brzęknęły o podłogę. Azalea wyrywała się, starając się cofnąć głowę jak najdalej od palców Strażnika, lecz sznur trzymał ją ciasno w miejscu. Kosmyki kasztanowych loków opadły aż do jej talii. Dziewczęta w lustrach obserwowały wszystko szeroko otwartymi oczami. Azalea wiła się w upokorzeniu.

– No – szepnął Strażnik, kiedy ostatnia szpilka opadła na ziemię. – Czy nie wyglądasz pięknie?

Pochylił się ku Azalei. Czuła zatęchły, herbaciany zapach, którym emanował. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę chciała go kiedyś pocałować.

– Powiedz – rzekł cicho. – Jakim cudem odzyskałaś chustkę? Bardzo chciałbym wiedzieć...

Zatrzymał się, słysząc cichy odgłos pociągania nosem. Gdy się odwrócił, zobaczył Jessamine, stojąca w drzwiach sali – małą, i trzęsącą się pod szalem. Jej czarne włosy spływały wokół ramion, posklejane i ociekające od roztopionego

śniegu. Była sama. Oczy Strażnika zwęziły się.

– Jak, u *licha* – powiedział, a jego peleryna wydęła się, kiedy do niej podszedł – tu wróciłaś? Sama? Co?

Oczy Jessamine lśniły jasno ze strachu, lecz nie cofnęła się. Zaiskrzyła w nich odrobina wyzwania.

– Mój ojciec mówi – wyszeptała, unosząc głowę. – Mój o...ojciec mówi... mówi... że jeśli ją skrzywdzisz... *da ci łupnia*.

Strażnik wpatrywał się w jej drżącą postać. Uśmiech wstąpił na jego twarz.

– Och, tak powiedział? Już się trzęsę.

Uklęknął przed Jessamine i ujął jej maleńką rączkę.

– Zagrajmy w grę – powiedział. – Słyszałem, że niektóre dzieci robią tak ze świerszczami, ale z ludźmi to lepsza zabawa. Miałem ogromną nadzieję zrobić to twojemu ojcu, ale niestety... – Strażnik westchnął. – Nie ma go tu. Może zaczniemy z kciukami?

Palcami osłoniętymi czarną rękawiczką ujął jej kciuk i...

Został mocno trzepnięty po twarzy.

Cios nadszedł znikąd i rozległ się echem po całej sali. Strażnik poleciał do tyłu i zderzył z marmurowym parkietem. Zabrzmiał bardzo satysfakcjonujący trzask głowy uderzającej o kamień.

Strażnik *dostał łupnia!*

Rozdział 27

Strażnik natychmiast skoczył na równe nogi, rozmasowując sobie policzek. Jego oczy zamieniły się w szparki i zaczęły rozglądać się naokoło.

– Wygląda na to, że mamy gościa. – W półuśmiechu ukazał się jeden dołeczek, ale oczy błyszczały mu nieustępliwie. – Wit...

Bam.

Strażnik po raz kolejny znalazł się na ziemi.

– Och, zaraz zobaczymy! – warknął. Z kocią gracją rzucił się na coś niewidzialnego. Chwycił to rękami, ściągając na ziemię. Rozległo się trzaśnięcie i niewidzialna istota przygniotła Strażnika do podłogi.

Peleryna niewidka!

Pan Bradford! Serce Azalei podskoczyło.

Ale nie... ruchy niewidzialnej postaci były... sztywniejsze. Twardsze.

– Sir! – krzyknęła Azalea.

Strażnik sięgnął dłonią przez powietrze i pociągnął, ukazując unoszącą się głowę z policzkiem umazanym krwią. Kolejnym mocnym szarpnięciem zdarł resztę starej, znoszonej peleryny, ukazując króla.

Królowi udało się wymierzyć jeszcze jeden dźwięczny cios w twarz Strażnika, zanim ten z wielkim wysiłkiem rzucił króla na zasłony, dwa okna obok Azalei. Nłote sznury natychmiast wpiły się w jego marynarkę, krępując ruchy. Musiało zaboleć, ale król nie wydał żadnego dźwięku. Zamiast tego, przywiązany

do zasłon, mierzył Strażnika takim spojrzeniem, jakiego Azalea nigdy wcześniej nie widziała.

– No, no, *no* – rzekł Strażnik, ciężko dysząc. – Co za cudowna niespodzianka, Wasza Wysokość. I peleryna niewidka! Oboje witam ze szczerego serca. – Strażnik ukłonił się szyderczo i zaczął krążyć wokół króla, przyglądając mu się. Błysnął zębami w uśmiechu. – Jestem zaszczycony, że mogę cię w końcu poznać. Przez ostatnie miesiące mieliśmy z twoimi córkami wyśmienitą zabawę. Wasza Wysokość, naprawdę nie powinien wychowywać ich na tak ufne.

Strażnik pochylił się do króla, zatrzymując kilka centymetrów od jego twarzy, wydychając ciche słowa na jego skórę.

– Czekałem setki lat na tę chwilę, rozmyślając o tych wszystkich sposobach, na które mógłbym skrzywdzić cię najmocniej. To będzie zabawa.

Król nie odpowiedział. Jego twarz była tak napięta, że Azalea widziała pojedyncze żyły i mięśnie.

Strażnik podszedł do Azalei, wyplątał ze sznurów i przyciągnął tuż przed króla. Ścisnął jej ręce i splótł za plecami, a ból powstrzymywał ją od wyrywania się. Udało się jej jednak kopnąć go w piszczel.

– Od najstarszej do najmłodszej – rzekł Strażnik. – Jeśli te w lustrach nie umrą pierwsze. To niestety jest nieszczęśliwy efekt uboczny lustrzanego czaru. Zostawiasz je tam za długo, a one umierają. Szkoda, szkoda. Przypomniałem sobie ten ładny ukłon, który Azalea niegdyś pokazywała. Jak on się nazywał? Ach, tak... Ukłon Duszy...

Obrócił Azaleę tak, że teraz stała z twarzą w twarz, a świat zawirował jej przed oczami. Przełknęła wrzask. Strażnik ściskał mocno drżące palce, włosy spływały wokół twarzy. Wykręcił jej palce i wygiął do tyłu, co spowodowało prąd bólu, który rozszedł się w górę rąk, a kolana się pod nią ugięły. Upadła na ziemię i wydała z siebie zduszony płacz.

– Co za ubaw...

Trzask...zgrzyt...ŁUP!

Strażnik puścił Azaleę, kiedy kotary wraz z karniszem – złocone żelazo i ciężkie aksamity – upadły na ziemię. Azalea wylądowała na parkiecie, a król powalił Strażnika i cisnął o marmur.

Bam.

Powietrze przeciął odgłos wystrzału z pistoletu, dochodzący zza poskręcanych gałęzi.

Świat eksplodował.

Ostry dźwięk pękającego szkła rozległ się echem. Ze wszystkich stron wydęły się aksamitne zasłony. Kopyta zadźwięczały o marmur, chrzęszcząc po rozbitym szkle, podczas gdy materiał zasłon przybrał kształt aksamitnych koni i ich jeźdźców, walczących z atramentowymi pnączami i splątanymi sznurami.

Na końcu, po prawej, uwolnił się jeden z jeźdźców, którym okazał się być premier Fairweller na Lady Fair. W tym samym czasie, tuż obok drzwi do sali, pan Pudding zerwał sznur ze ściany i zaczął walczyć z zapętlonymi, drapiącymi gałęziami pod kopytami Tackereya.

Dalej walczył Sir John, a obok niego sidła otoczyły dżentelmena, który odplątywał je z szyi swojego wierzchowca. Pan Gasperson, zarządca Lorda Teddiego! Azalea ledwie miała czas, by go rozpoznać, kiedy tuż obok przez okno wpadł sam Lord Teddie na koniu, z twarzą pokrytą zadrapaniami, ciągnąc za sobą splatane gałęzie. Na jego twarzy wypisana była determinacja. Odkopnął na bok pnącza, które upadły na ziemię w kawałkach, rozrzucone po parkiecie niczym szkło.

A wtedy okno naprzeciwko niej zostało rozbite kopytami Dickensa, którego dosiadał nie kto inny, jak pan Bradford. Azalea uchwyciła wzrokiem zacięty, kamienny wyraz jego twarzy, pistolet w ręku i śnieg wirujący wokół.

Cętkowane światło rozsypanego szkła rzucało odbicia na ściany. Sala balowa rozbłysła jasnymi błyskami światła odbijającego się od szkła, które trzeszczało pod kopytami. Dżentelmeni i ich wierzchowce byli podobnie obdrapani i krwawiący.

Azalea zdołała wyprostować się pod sznurami, unikając końskich kopyt i szkła. Nagle jej przegub chwyciła czyjaś dłoń i mimo że uchwyt nie był mocny, wciąż zabolało. Azalea przełknęła płacz, gdy zobaczyła że to król. Jego twarz znaczyły krwawiące, poszarpane ślady.

– Wciąż ją masz? – spytał.

Azalea doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Zanurkowała przez salę po chusteczkę, ignorując przeszywający jej ciało ból i pobiegła w stronę luster.

W pierwszym z nich trzęsła się Delphinium. Jej usta były niebieskie. Król chwycił pogrzebacz ze stojaka obok kominka i owinął końcówkę chusteczką. Azalea chwyciła za drugi koniec, a król położył na wierzchu swoje sztywne dłonie. Biorąc zamach, pozwoliła, by ręce króla pokierowały ją i rozbiły lustro na kawałki.

Zwierciadło pękło, odkrywając zniszczoną ścianę. Azaleę ogarnął terror. Lecz gdy odłamki lustra z Delphinium upadły na marmur, uformowały się w prawdziwą Delphinium, jak gdyby przez cały ten czas kuliła się na podłodze przed lustrem.

Niemal natychmiast, marynarka króla znalazła się na jej ramionach, a potem król pociągnął Azaleę w stronę Eve. Eve odsunęła się, gdy wzięli zamach, a następnie grzmotnęli pogrzebaczem w lustro. Odłamki upadły na ziemię.

Zamgliło się, a chwilę później Eve, ze szczękającymi zębami, szukała już po podłodze swoich okularów. Pan Pudding owinął ją swoją własną wystrzępioną marynarką i poprowadził w stronę kominka, gdzie rozpalono ogień. Kolejne lustro roztrzaskało się i Lord Teddie opatulił marynarką małą Ivy,

którą zaniósł do kominka, jako że była zbyt słaba, by chodzić. Hollyhock również przeniesiono. Bliźniaczki rozpłakały się, kiedy zostały uwolnione, szlochając w piąstki. Następne były Clover z Kale i Lily, która wydawała się trzymać najlepiej z nich wszystkich.

Zanim Azalea wraz z królem dotarli do ostatniego lustra, siły powoli ich opuszczały. Potrzeba było pięciu uderzeń, by rozbić szkło na kawałki, które scaliły się z powrotem w Bramble. Bramble zgięła się w pół, kaszląc, z bladą jak śmierć twarzą. Miała w sobie jednak wystarczająco Bramble, by powiedzieć:

– Az, wyglądasz okropnie.

Wszystkie dziewczęta stuliły się wokół kominka, płacząc i drżąc. Azalea osunęła się na ścianę, czując na sobie ostry, śnieżny wiatr wiejący z porozbijanych okien.

Z dłoni króla spływała krew, a jego twarz była zielonkawa. Wciąż swoimi oficjalnymi, wymierzonymi ruchami, zdjął z końca pogrzebacza chusteczkę, a wzrokiem przeczesał salę balową.

– Niech to diabli wezmą! – warknął.

Po szybkim spojrzeniu na salę było już wiadomo, co mieli wziąć diabli. Strażnik zniknął. Po kolejnym badawczym omieceniu wzrokiem jasnej, biało-szarej sali, przez przebierające kopytami konie i rozbite szkło, Azalea zdała sobie sprawę, że peleryna także zniknęła.

– Nie może opuścić pałacu – powiedziała, kiedy wokół króla zebrała się prowizoryczna kawaleria. – Chusteczka mu na to nie pozwoli. On nie ma w sobie wystarczająco magii.

Król skinął głową.

– Więc przeszukamy pałac. Sir Johnie... – Król odepchnął doktora, który opatrywał mu dłoń. – Najpierw panie. Trzeba je zabrać gdzieś, gdzie jest ciepło.

Rozgorzała dyskusja. Chcieli zabrać dziewczynki z pałacu, do domu Lorda

Teddiego w mieście lub do kawiarni „Srebrny Kompas", lecz król, spoglądając po trzęsących się dziewczynkach i ich sinych ustach, odmówił.

– Jest za zimno. Nie mamy wystarczająco dużo koni. I nie chcę spuścić dziewcząt z oczu. Lordzie Haftenravenscher, panie Gasperson – poszukajcie jakiegoś niezaczarowanego pokoju.

Lord Teddie zasalutował niezgrabnie i natychmiast udał się energicznie w stronę drzwi. Pan Gasperson poszedł za nim.

Wraz z ciepłem kominka, Azalea poczuła zmęczenie. Całe jej ciało pulsowało. Oparła się o ścianę, lecz nawet to nie mogło utrzymać ją na nogach, które się pod nią ugięły.

Chwycił ją pan Bradford.

– Dobrze się pani czuje?

Azalea skinęła głową, zbyt zmęczona by odpowiedzieć, ale uśmiechnęła się. Pozwoliła, by część strachu i bólu odpłynęła, gdy opierała się na jego mocnym ramieniu. Zastąpiło je ciepło. Pan Bradford zaprowadził ją do aksamitnego fotelu obok kominka, a upewniwszy się, że nic jej nie jest, zajął się swoim pistoletem. Obserwowała go, gdy przeładowywał broń. Robił to w wyjątkowo służbowy sposób, z napiętą twarzą, mimo że miał na sobie tylko koszulę i kamizelkę – zakrwawioną i na dodatek pogniecioną. Teraz nie trudno było zobaczyć w nim kapitana regimentu.

Azalea w myślach zebrała razem wszystkie wydarzenia dnia. Wyobraziła sobie pana Bradforda, pomagającego królowi je szukać, mówiącego mu o Strażniku, a potem zbierającego na widok ciernistych pnączy wokół pałacu grupę mężczyzn. Azalea zwinęła palce w butach (nawet to bolało) i uśmiechnęła się do pana Bradforda. Zauważył to i odwzajemnił go krzywo.

Lord Teddie wrócił do sali zaskakująco długimi krokami. Pan Gasperson człapał za nim.

– Biblioteka, sir! – powiedział bez tchu. – Naprzeciwko holu! Nie została tknięta, a w kominku pali się już ogień!

Król skinął krótko głową i mimo ran jedną ręką podniósł Kale i Lily. Pozostali dżentelmeni zaczęli pomagać dziewczętom. Lord Teddie wyciągnął dłonie do Bramble. Jego lnianą koszulę pokrywały rdzawe plamy krwi, a mimo to uśmiechał się promiennie.

– Co ty tu robisz? – spytała Bramble, krzywiąc się na jego pokrwawione ręce.

– Pomagam ci wstać – odparł.

– Wypchaj się. – Bramble była bliska łez. – Gdybyś został w swoim głupim kraju, nie byłbyś... teraz taki cały poszarpany....

Spróbowała wstać, ale trzęsła się tak, że nie zdołała. Lord Teddie skoczył, by jej pomóc.

– *Och!*

Ze strony bliźniaczek dobiegł jednoczesny okrzyk. Obie zakrywały usta dłońmi, a ich oczy były szeroko otwarte w przerażeniu. Azalea podążyła za ich spojrzeniem.

W plamach światła pod oknem, podrapany Fairweller trzymał w objęciach płaczącą Clover, tuląc jej głowę do ramienia. Szeptał jej coś do ucha.

Delphinium krzyknęła.

– Clover, jak mogłaś? – spytała Eve.

– Dobrze całuje? – spytała Hollyhock.

Król nic nie powiedział, kiedy do nich podszedł. Natychmiast oderwał Fairwellera od Clover, zamachnął się i grzmotnął go prosto w twarz.

Fairweller potknął się i upadł na ziemię, a szkło zachrzęściło pod jego ciężarem.

– Jutro może pan złożyć rezygnację – powiedział król. – *Były* premierze

Fairweller!

~ ~ ~

Grupka utykających, obszarpanych dziewcząt i dżentelmenów szła lub była niesiona do biblioteki. Azalea zamykała ten pochód, marząc, by wszystko to się już skończyło, by mogła zapaść w głęboki, głęboki sen i zanurzyć w poduszkach i puchowej kołdrze. Potarła palcami piekące usta, a gdy odsunęła dłoń, zobaczyła krew. Instynktownie poszukała chusteczki, lecz w panice zdała sobie sprawę, że jej nie ma.

Pobiegła więc niepewnymi krokami przez hol wejściowy do sali balowej, starając się przypomnieć, czy król odplątał ją z pogrzebacza. Przeszukała wzrokiem szklane odłamki, rozglądając się za kawałkiem materiału.

W chwili, gdy zobaczyła pogrzebacz, tuż przy ostatnim lustrze i z pewnością bez owijającej koniec chusteczki, gdy Azalea przypomniała sobie, jak król zdjął ją z pogrzebacza – jej usta zasłoniła dłoń i ktoś pociągnął ją do tyłu.

A przynajmniej zdawało jej się, że to była dłoń. Nie widziała jej. Kolejna niewidzialna ręka owinęła się wokół jej talii i podniosła nad ziemię. Azalea kopała i wyrywała się niewidzialnej sile. Strażnik!

– Tak, krzycz – powiedział piękny głos tuż przy jej uchu. – Przyjdzie cię szukać. Współczucie, czy inne bzdury. A kiedy przyjdzie...

Dłoń, którą zakrywał jej usta, drżała, a Azalea skorzystała z nagłego przypływu odwagi. Nie miał już siły – z pewnością nie pozostało mu wiele magii! Okręciła się na jednej stopie i naparła na niewidzialna siłę wszystkim co miała, czując pod palcami szorstką wełnę. Skoczyła i obróciła się, ściskając koniec peleryny i zagryzając usta, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Najpierw wyłoniła się głowa Strażnika, a po kolejnym szarpnięciu,

ukazała się jego cała reszta. Pociągnął. Azalea mocno trzymała materiał, ślizgając się na marmurze. Owinęła sobie pelerynę wokół dłoni, by wzmocnić chwyt, a w górę ramienia powędrował ból.

– Ach! – rzekł Strażnik. – Chcesz zatańczyć Splątanego? To raczej nietradycyjna pozycja.

Pociągnął Azaleę do pozycji stojącej, a ona wygięła się do tyłu. Strażnik popuścił nieco pelerynę. Azalea chwiejnie okręciła się dookoła i zrobiła unik, lecz on rzucił nią przez salę, w stronę okien.

– Wiesz – powiedział, dysząc. – Naprawdę wymyśliłem ten taniec. Żadna dama ze mną nie wygrała. Nieważne, jak bardzo się starały. Ty byłaś najbliżej.

Strażnik pociągnął do siebie pelerynę i uderzył Azaleę lekko w twarz. Tym razem przed jej oczami nie eksplodowały kolory, lecz jej chwyt osłabł, kiedy świat naokoło zawirował. Odchyliła się, prawie poza jedno z wybitych okien. Wiatr i śnieg rozwiewał i plątał jej rozpuszczone włosy. Strażnik szarpnął...

… i poślizgnął się.

Na parkiecie brzdęknęły szpilki. Nogi Strażnika zatoczyły wdzięczny łuk, a on sam upadł na marmurową podłogę. Azalea przeskoczyła wraz z peleryną przez okno i spadła prosto w wystające, połamane gałęzie.

Minęła chwila, zanim plamki zniknęły jej sprzed oczu. Azalea musiała uspokoić oddech i uciszyć ból. Każda część jej ciała bolała i piekła. Trzęsącymi się dłońmi, powoli odplątała się z krzaków. Konie, które zostały wygonione z powrotem na dziedziniec, przyglądały się dzielnej walce Azalei z kolczastymi krzakami z leniwą, końską obojętnością. Lady Fair podeszła nawet do Azalei i zanurzyła nozdrza w jej włosach.

Azalea odsunęła łeb Lady Fair z tą samą werwą, z jaką rozprawiała się z kującymi, drapiącymi gałęziami. Jej dłoń była umazana krwią. Zdołała wepchnąć się z powrotem przez okno, w samą porę przypominając sobie o pelerynie

niewidce, zanim Strażnik zdążyłby się na nią rzucić.

Zarzuciła podarty, wystrzępiony materiał na ramiona. Przeszedł przez nią mrowiący dreszcz, a jej spódnice zniknęły. Świat zamigotał jak za szkłem.

Przygotowała się na atak Strażnika, lecz ten nie nadszedł. Azalea rozejrzała się.

Sala balowa była pusta.

Przysięga. Zamierzał użyć ostatniej dozy sił przeciw królowi, a wiedział już, że udali się do biblioteki. Ściskając pelerynę pod szyją, Azalea zebrała spódnice i *pobiegła*.

Rozdział 28

Wciąż niewidzialna, Azalea minęła smutno wyglądającego Fairwellera, stojącego w drzwiach do biblioteki. Ogarnęło ją ciepło bijące z pomieszczenia, które piekło w nos i policzki. Wzrokiem przeskanowała scenę przed nią, tuż obok zasłoniętego fortepianu i ścian z książkami. Na przysuniętych bliżej kominka sofach stłoczyły się dziewczęta w swoich czarnych sukienkach. Ich ramiona okryte były marynarkami lub płaszczami dżentelmenów. Wciąż trzęsły się z zimna, lecz ich twarze odzyskały już żywe kolory.

A król! Azalea powoli wypuściła powietrze. Był cały i zdrów. Stał obok biurka i rozmawiał przyciszonym głosem z zresztą dżentelmenów. Na jego twarzy widniały ślady krwi, ale poza tym nic mu nie dolegało. Strażnika tam nie było.

Azalea odetchnęła z ulgą. Już miała zdjąć pelerynę, kiedy zobaczyła matkę.

Stała pomiędzy dziewczętami siedzącymi na sztywnych i kwiecistych sofach, rozmawiając cichym głosem. Obok niej stał pan Bradford z nieobecnym wzrokiem i również mówiący do niej szeptem. Azalea przysunęła się bliżej, a jej serce podskoczyło, kiedy zdała sobie sprawę, że kwadratowa szczęka i potargane, rozpuszczone włosy nie należały do matki...

To ja! Krzyknął umysł Azalei.

Strażnik!

Azalea skoczyła w jego stronę... ale zaraz zatrzymała się tak nagle, że spódnice zaplątały się wokół jej nóg. Delikatny powiew wiatru poruszył włosami dziewcząt. Jej sobowtór trzymał w ręku coś stalowego. Pistolet pana Bradforda!

Zagryzłszy zęby, Azalea postanowiła działać ostrożnie. Jej widok rozmywał kaptur peleryny. Ostrożnie zbliżyła się do Strażnika. Dziwnie było tak iść, nie widząc przed sobą stóp. Zakradła się i stanęła tuż przy panie Bradfordzie, obok sofy z bliźniaczkami. Siedziały z szeroko otwartymi oczami, szepcząc coś do siebie.

– ...uważa pan, że nie jestem w stanie? – Strażnik przyłożył pistolet do Azalei... a raczej do *swojej* piersi, trzymając go z dala wyciągniętej dłoni pana Bradforda. Azalea zastanawiała się, czy naprawdę ta koszmarnie blada twarz należała do niej, a jeśli tak, to nie prezentowała się najlepiej – cała podrapana, posiniaczona i drżąca.

– Nie, nie o to chodzi – odparł pan Bradford. – Po prostu nie wiedziałem, że umie pani strzelać.

– Nie umie – powiedziała Bramble ze swojej sofy za nim.

Azalea-Strażnik okręciła pistolet wokół palca, który zawirował z taką szybkością, że mignął w blasku lamp, niczym metalowy pierścień. Podrzuciła go następnie w górę, chwyciła drugą dłonią, obróciła i z trzaskiem zatrzymała bębenek.

Dziewczętom opadły szczęki. Pan Bradford mrugnął, mierząc Strażnika od spódnicy po potargane włosy nieco zmieszanym... a potem podejrzliwym spojrzeniem.

– Tylko jeden strzał? – spytał Strażnik, bawiąc się pistoletem drżącymi dłońmi. Jego głos uderzająco przypominał głos matki. – Nie wymyślili jeszcze pistoletu z, dajmy na to, trzynastoma strzałami? Ha! Żartuję! Jeden w zupełności wystarczy!

– Chyba nie czuje się pani dobrze – rzekł pan Bradford, podchodząc do Strażnika. – Panno Azaleo, wojsko będzie tu za niecałe dwadzieścia minut... nie potrzebuje pani tego...

– Właśnie, że *tak!* – warknął Strażnik, cofając się w stronę zasłoniętego fortepianu, a zielonymi oczyma dziko rozglądając się wokół biblioteki. Uniósł pistolet z dala od wyciągniętej ręki pana Bradforda, ponad jego głową.

Sztywna, mocna dłoń złapała nadgarstek Strażnika od tyłu. Strażnik zbladł, co jeszcze bardziej uwydatniło rany na jego – Azalei – twarzy. Azalea obserwowała, jak starał się wyrwać królowi, lecz albo był zbyt słaby, albo król zbyt silny. Prawdopodobnie z obydwu powodów.

Mimo to, Strażnik nie puścił pistoletu. Jego szczupłe palce ściskały go tak mocno, że pobielały mu knykcie. Król westchnął i przystąpił do wyrywania broni z ręki Strażnika. Gdy ten nie puścił, zmarszczki na czole króla pogłębiły się.

– Panno Azaleo – powiedział surowym, niecierpliwym tonem. – Wszyscy jesteśmy przerażeni, ale nie ma teraz czasu. Oddaj mi pistolet.

– Nie.

– Azaleo, puść pistolet.

– Nie.

– Azaleo...

– Nie puszczę! – zawołał Strażnik, wyrywając się ze stalowego uścisku króla. Kopał go w piszczele i wbijał obcasy w stopy, ale król nie okazywał bólu. Był najbardziej niezłomnym dżentelmenem, jakiego Azalea znała. Zbliżyła się.

Dziewczęta obserwowały wszystko ze swoich miejsc na sofach w zafascynowaniu, z głowami ledwie wystającymi poza oparcia. Gdyby pistolet wystrzelił, kula trafiłaby w sufit.

– Panno Azaleo – rzekł król. – Proszę puścić. Gdyby twoja matka tu była...

– Nie mów mi, co matka zrobiłaby lub nie! – syknął Strażnik. – Ona *nie*

żyje!

Azalea skrzywiła się. Przez chwilę uchwyt króla na przegubach Strażnika osłabł. Potem jednak znów przypominał stalowy uścisk.

– Azaleo...

– Nie żyje – krzyknął Strażnik, a zieleń jego oczy buchała jak ogień. – *Nie żyje, nie żyje...*

Azalea ścisnęła pelerynę pod szyją. Czuła się, jakby dostała po twarzy.

Na sofach przed kominkiem, Kale i Jessamine zwinęły się w małe kuleczki i zaczęły płakać. Jessamine swoimi krystalicznymi, małymi łkaniami, Kale przeszywającymi kwileniami. Lily, którą Clover trzymała na rękach, wyczuła nastrój i także się rozkleiła.

– Lea, przestań – powiedziała Clover.

– Panno Azaleo – odezwał się król, który wciąż nie zwalniał chwytu wokół nadgarstków Azalei. – Sądzę, że wszyscy jesteśmy tego świadomi. Pozostaje nam tylko mężnie to znieść...

– Po jakie licho? – spytał Strażnik. Jej głos rozległ się po pokoju. – To nie będzie to samo. Nie z *tobą*.

Dłoń króla na nadgarstku Azalei zadrżała. Nastąpiła dziwna, niezręczna chwila – drgnięcie czasu, jakby ktoś wywrócił powietrze na drugą stronę. Twarz króla stała się bardziej pomarszczona, a gdy Azalea zbliżała się do niego z każdym krokiem, zobaczyła jak staro wyglądał. Azalea przypomniała sobie ten niezręczny moment z zeszłego lata, kiedy jego wewnętrzna nić skręciła się mocno; teraz wydawał się ona skręcać tak, że jego rysy były napięte z wysiłku.

– Robimy, co w naszej mocy, panno Azaleo – wydusił z siebie. – W rodzinie...

– Nie jesteś – rzucił Strażnik – częścią tej rodziny.

Król puścił Strażnika gwałtownym ruchem, a Azalea w nagłym błysku

wspomnień, które zadziałały jak uderzenie, zdała sobie sprawę, że to były jej prawdziwe słowa.

– Jak *śmiesz*! – krzyknęła Azalea. Peleryna opadła, a ona rzuciła się i powaliła Strażnika na ziemię, zanim on zdążył z ogóle podnieść pistolet, który z brzdękiem upadł gdzieś obok. – Jak *śmiesz*! *Wydrapię ci oczy!*

– Och... och... – krzyczał Strażnik. – Och... Au!

Azalea zadała mu cios w jego drobną, podrapaną twarz.

dżentelmeni natychmiast rozdzielili je i skrępowali ręce za plecami, wyglądając jednocześnie na przerażonych i zafascynowanych. Zarówno Strażnika, jak i Azaleę nie trzeba było mocno trzymać – oboje trzęśli się ze słabości i gniewu.

Król, którego rysy twarzy wciąż były napięte, odezwał się pierwszy.

– Co *to* wszystko znaczy?

Obie Azalee zaczęły się przekrzykiwać. Azalea – wściekle, Azalea-Strażnik – defensywnie, a obie krzywiły się, gdy dżentelmeni zaciskali dłonie na obolałych nadgarstkach. Dziewczynki za nimi rozpłakały się. Król uniósł do góry dłoń, uciszając wszystkich.

– Panno Azaleo.

Obie Azalee ponownie zaczęły krzyczeć.

– Sir, nie widzisz, to ja jestem Azalea... to jest Strażnik! Używa magii!

– Ty kanalio! – krzyknęła Azalea. – Ty parszywy... On chce cię zabić!

– Nawet nie brzmisz, jak ja!

– Dość! – wrzasnął król.

– Och, sir! – Lord Teddie podskakiwał na piętach. – Sir, czytałem raz o takiej magii, sir! Jedynym sposobem jest zabicie ich obydwu. Tak było w Biblii!

Zaległa cisza. Lord Teddie skulił się pod spojrzeniem króla.

– Ee, nieważne – powiedział szybko.

– Sir, oto dowód – rzekł Strażnik, wyrywając się słabo pod chwytem pana Bradforda. – Strażnik zabrał pelerynę niewidkę, i teraz *on* ją ma!

– Sir, oto dowód – powiedziała Azalea. Przeczesała umysł w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, który do niej należał, a który Strażnik zabrał jej i mógł użyć przeciwko. Lecz wtedy naszła ją kolejna myśl. Azalea uniosła podbródek.

– Chusteczka – powiedziała. – Ty *wiesz* o jej magii.

Król odwrócił się do niej, jak gdyby widział ją po raz pierwszy. Uniósł brwi.

– Tak – rzekł król. – Tak.

I z kieszeni kamizelki wyciągnął zwiniętą, srebrną chusteczkę. Teraz Azalea przypomniała sobie, jak zdejmował ją z końca pogrzebacza. W słabym świetle lampy, w bibliotece zajaśniało srebro. Zielone oczy Strażnika błysnęły.

– Złóż ją dla mnie, proszę – powiedział cierpko do Strażnika.

Azalea czerpała dziwną przyjemność, oglądając jak z jego i tak bladej już twarzy całkowicie znika kolor. Jego oczy biegały od drzwi do pistoletu na ziemi przed nim i z powrotem do chusteczki.

– On pierwszy – powiedział głosem Azalei, wskazując na nią podbródkiem.

Nie zdejmując wzroku ze Strażnika, król podał Azalei chusteczkę. Złożyła ją elegancko, przyciskając szwy do szwów, a potem podniosła i zaprezentowała królowi. Gdy przemówił, głos króla był twardy.

– Kapitanie Bradford – rzekł.

Strażnik wyrywał się panu Bradfordowi. Uwolnił się szybkim ruchem, uderzył o fortepian, po czym runął na ziemię. Zanim pan Bradford zdążył podnieść Azaleę-Strażnika, ta wstała i uniosła głowę.

– Niech to piekło... – powiedziała. Wyciągnęła rękę w stronę Azalei. – Podaj mi chusteczkę.

Jej dłoń drżała. Druga schowana była w zakładkach spódnicy. Azalea uchwyciła wzrokiem błysk stali.

Pistolet!

Azalea nie myśląc, rzuciła się na Strażnika, zanim ten zdążył w ogóle unieść broń. Oboje upadli na dywan, a pistolet wyślizgnął się pod fortepian. Azalea uczepiła się czarnej spódnicy Azalei-Strażnika, ciągnąc ją do tyłu.

Strażnik obrócił się i smagnął Azaleę przez ramię. Na jej policzek polały się krople krwi, a ona straciła chwyt. Strażnikowi udało się wstać i skoczyć w kierunku drzwi.

– Za nim! – rozkazał król. Podniósł pistolet z podłogi i pognał za Strażnikiem. – Nie... panowie! Panie zostają tutaj!

– Ani mi się śni, że tu zostaniemy! – krzyknęła Bramble.

Gdy wszyscy wylecieli z pokoju, Azalea pobiegła za nimi, ściskając swoje krwawiące ramię. Jej stopy nie miały prawa nieść ją po schodach płynnymi, tanecznymi ruchami, lecz jej temperament buzował, a żar w żyłach był silniejszy niż ból. Wyprzedziła dziewczynki, panów, a nawet króla i zostawiła daleko w tyle. Biegła przez nieznajomy pałac z białymi sufitami i nawiedzonymi portretami.

Na końcu korytarza przystanęła, by złapać oddech. Spod białej, pokrytej jedwabiem sofy, błysnęło nikłe światło. Krótka nóżka wskazała na schody.

– Wielkie dzięki! – powiedziała Azalea i pobiegła.

Strażnik zmierzał w stronę wieży.

Kilka minut później, Azalea skoczyła na trzeszczącą platformę wieży, ciężko dysząc. Wszystko wydawało się być nieruchome, jak gdyby wieża wstrzymywała powietrze. Szaro-niebieskie kolory burzy śnieżnej rzucały na podłogę cienie w kształcie liczb. Mniejsze cienie wirowały wokół.

Rozległ się ostry brzdęk, po którym nastąpił rozdzierający skrzek. Zegar,

budzący się gigant, oznajmiał, że wznawia swe działanie. Azalea miała jedynie chwilę, by zdać sobie sprawę, że plomba, którą założył pan Bradford, została wyciągnięta. Azalea zanurkowała. Szufla z kominka o włos minęła jej głowę i uderzyła o tarczę zegara.

Szkło zasypało Azaleę odłamkami, które wylądowały na podłodze. Zawierucha dostała się na platformę. Azalea zdążyła odsunąć się w samą porę, kiedy Strażnik wyrwał szuflę z pękniętej tarczy i uderzył tam, gdzie tuż przed sekundą znajdowała się jej postać. Pobiegła w górę pajęczych schodków na dzwonnicę, cofając się w kierunku wielkich jak koła powozu kół zębatych. Rozległo się kliknięcie, a Azalea przygotowała się na nadchodzące uderzenie wskazówki minutowej. Rzuciła się na brudną podłogę, przyciskając się do niej, kiedy dzwony zatrzeszczały i zahuśtały się nad nią, rozsypując naokoło kurz i pył. Dźwięk był tak głośny, że zdawał się przebijać do jej umysłu.

Wstając, cała pokryta kurzem, Azalea miała tylko chwilę na zrobienie uniku przed kolejnym zamachnięciem Strażnika, zanim poleciała do tyłu na zgrzytającą masę zębatych kół.

Zegar zaskrzeczał i zatrzymał się. Azalea próbowała wstać, lecz stopy wyślizgiwały się spod niej. Wyciągnęła szyję, by spojrzeć na znajdujące się za nią koła i zobaczyła, że jej spódnica wkręciła się w zęby. Azalea chwyciła za suknię, szarpiąc i wykręcając dla lepszego chwytu. Nagle nad nią pojawił się Strażnik, uśmiechając się słodkim uśmiechem Azalei. W słabym świetle błysnęły jego zęby. Uniósł szuflę.

– Azaleo...

Obie Azalee zwróciły głowy w kierunku niższej platformy, widocznej w częściach przez tryby i koła. Król!

Szmaragdowe oczy Strażnika błysnęły. Rzucił szuflę z brzdękiem i przecisnął się przez plątaninę mechanizmów.

– Sir! – krzyknęła Azalea. – Uważaj!

Król odwrócił się, z uniesionym w ręku pistoletem. Zobaczył biegnącego ku niemu Strażnika z trzepoczącą za nim spódnicą.

– Sir! – powiedział, ciężko dysząc. – Zastrzel go! Zastrzel! Szybko!

Wskazał delikatną, drżącą dłonią na Azaleę. Król wyjrzał przez mechanizmy i zobaczył klęczącą tam Azaleę. Ich oczy się spotkały. Zmarszczki na twarzy króla pogłębiły się.

Azalea podniosła chusteczkę.

Trzask.

Król rzucił Azaleę-Strażnika na ziemię i przyszpilił go tam, z pistoletem wycelowanym w jego ładną główkę. Jego kasztanowe loki leżały rozrzucone na zakurzonym parkiecie. Śnieg wirował wokół nich, dostając się do środka przez rozbitą tarczę zegara.

– Tutaj! – krzyknął król, nie ruszając się ani o włos. – Na górze!

Strażnik słabo siłował się pod chwytem króla i wydał z siebie zduszony jęk. Zaczął płakać.

– Proszę. Proszę, nie krzywdź mnie.

Król zawahał się.

Strażnik zaczął się wyrywać i przez chwilę, nawet Azalei zrobiło się żal – przypominał skomlącego kotka, z potarganymi, kasztanowymi lokami i podrapaną twarzą i ładnymi policzkami całymi we łzach.

– Proszę – mówił dalej głosem Azalei. Szloch ugrzązł w jej gardle. – Proszę, *tato...*

Król rzucił pistolet. Brzęknął o drewno. Odsunął się.

– Nie – powiedział. – Azaleo...

– To *nie* ja! – wrzasnęła Azalea.

Oczy Strażnika błysnęły.

– Boże, chroń króla – rzekł i wymierzył pistolet w pierś króla.

Bam.

Tak wolno, niczym w koszmarze... tak wolno, że płatki śniegu zawisły w powietrzu... król upadł na twarz.

Strażnik kopniakiem obrócił go na plecy. Uderzył o podłogę. Głuchy łomot rozległ się echem po wieży.

Nie... nie...

– Nie! – krzyknęła Azalea. Z całej siły szarpnęła spódnicę, która z rozdzierającym dźwiękiem w końcu uwolniła się spod zębów.

Zegar jęknął do życia. Koła brzęknęły i tyknęły. Azalea przedarła się przez koła pasowe z bólem, który ledwie czuła.

Wymizerowany Strażnik zaczął wracać do swojej prawdziwej postaci. Odrzucił pistolet na bok i próbował wstać, lecz upadł z powrotem na kolana, kaszląc i dusząc się. Przerażona Azalea przyglądała się metamorfozie Strażnika.

Jego włosy stały się srebrno-białe, a potem splątały się w zwisające kołtuny, które rozpadały się w nicość na wietrze. Skóra przylgnęła do jego szkieletowej twarzy, a Azalea omal nie zakrztusiła się, gdy rozpoznała starego Strażnika – identycznego, co na portrecie na strychu.

Krwawa przysięga. Azalea była wstrząśnięta, obserwując jak wszystkie lata utrzymywania się przy życiu spadły na Strażnika. Skurczył się, jego skóra pokryła się plamami, a potem zaczęła topnieć, jak gdyby zrobiona z wosku. W przytłumionym świetle, jego czarne, podkrążone oczy spoczęły na nieruchomej postaci króla, a potem przeniosły sna Azaleę. Błyszczały w triumfie. Jego głos przypominał strony w starej, pomarszczonej księdze.

– Wygrałem – powiedział.

Azalea rzuciła się na niego, lecz zanim go dosięgła, wiatr rozwiał to, co z niego pozostało, rozdmuchując go w chmurę pyłu. Osłupiała Azalea zrobiła krok

do tyłu. Ostateczny powiew wiatru wyrwał chusteczkę z jej dłoni, poza tarczę zegara i prosto w zawieję na zewnątrz.

Gdzieś błysnęło srebro i zniknęło.

Dong. Wieża wybiła godzinę.

Azalea przełknęła ślinę i odsunęła się od krawędzi, a potem pobiegła do boku króla.

– Sir – powiedziała. – Sir!

Dotknęła jego policzka. Był lepki. Król się nie poruszał.

Na szczycie schodów pojawił się pan Bradford, ciężko dysząc.

– Proszę sprowadzić Sir Johna! – zawołała Azalea. – Szybko!

Pan Bradford zniknął na schodach. Azalea próbowała myśleć. Przystawić lusterko do twarzy, powinno zaparować... nie, nie miała lusterka... zatamować krwotok... nie miała chusteczki, a krwi było wiele... zbyt wiele. Próbowała wyczuć puls na nadgarstku, lecz jej dłonie za mocno się trzęsły, by mogła cokolwiek poczuć.

Siostry Azalei pojawiły się platformie, a ich oczy rozszerzyły się na widok króla.

Żadna nie wydała z siebie dźwięku. Ani gwałtownego westchnięcia, ani krzyku, ani płaczu. Śnieg wirował wokół nich, gdy stały jak zaczarowane. Flora zakryła usta dłońmi. Kale i Lily przylgnęły do spódnicy Clover. Bramble była tak blada, że śnieg wydawał się przy niej szary.

We wspomnieniu zachowanym głęboko w pamięci, tak dalekim, że pozostały po nim jedynie dźwięki i kolory, trzyletnia Azalea zawodziła: – *Tato*.

– Tato – powiedziała Azalea do nieruchomej postaci króla. Słowo to było tak obce, że ugrzęzło jej w gardle. – Tato... nie możesz nas zostawić, tato... to byłoby bardzo... niewłaściwe...

Bramble uklękła naprzeciwko niej, chwytając zabandażowaną dłoń króla.

– Ona... ona ma rację, tato – wyjąkała Bramble. – Mamy... zasady...

Clover upadła na kolana i przycisnęła swoją chusteczkę do rany na piersi. Krew przesiąknęła przez nią.

– Tato – wyszeptała.

Dziewczęta uklęknęły wokół króla, ich spódnice rozłożyły się jak porzucone pączki kwiatów, szepcząc jedno słowo.

– Tato.

– Tato.

– *Tato*.

Szepty niosły się silniej, niż wiejący śnieg lub trzeszczenie zegara, który brzmiał dziwnie i obco. Azalea ścisnęła bezwładną dłoń króla.

– Tato.

Wiatr wiejący przez pękniętą tarczę zegara przybrał na sile i stał się...

Ciepły.

Śnieg, który przyklejał się do skóry Azalei, wcześniej zimny i mrożący, teraz *palił*. Burza eksplodowała , a Azalea szybko zdała sobie sprawę, że to nie była burza – lecz ona.

W środku jej piersi, ciepłe, łaskoczące *coś* rozlało się w niej aż po koniuszki palców, stóp, ogrzewając niczym jaskrawy promień słońca. To nie było gorące, wrzące uczucie jej temperamentu, ani zimna fala kolców, którą niosła Przysięga na Srebro. To było coś głębszego. Nie przelewało się tylko przez jej ciało, lecz przenikało duszę.

Azalea wciągnęła powietrze.

Uczucie znikało, aż pozostało po nim jedynie migotanie w piersi, rozjaśniając jej serce niczym świeca. Wiatr wył, znowu zimny, a śnieg wirował wokoło i lądował na jej policzkach – lecz ciepło pozostało.

Bez tchu, Azalea spojrzała na swoje siostry.

Clover przyciskała jedną dłoń do piersi, oddychając szybko i płytko. Cienkie brwi Bramble uniosły się tak bardzo, że sięgnęły linii włosów. Bliźniaczki trzymały się za ręce, a Hollyhock pocierała twarz o spódnicę. Nawet najmłodsze – Kale, Jessamine i Lily nie płakały już, ale mrugały szeroko otwartymi oczami po sobie. Delphinium była tak blada, że gdyby zemdlała, nikt nie pomyślałby, że udaje. Wszystkie wyglądały na tak poruszone, jak Azalea.

– Na wszystkie kamizelki świata – wydusiła z siebie Bramble. – Co *to* było?

Między dłońmi Azalei, które z całych sił ściskały dłoń króla, coś się poruszyło.

Azalea przyłożyła dłoń do ust.

Jego dłoń była ciepła. Właściwie to tak ciepła, że dorównywała migotaniu w jej piersi.

Głos króla był równie słaby, co jego ruchy.

– Uff...

– Sir! – krzyknęła Azalea. Zarzuciła mu ręce na szyję. – Och... sir! *Tato!*

– Uff...

– *Tato!* – krzyknęły dziewczęta.

Nagle wszystkie rzuciły się na niego z otwartymi ramionami. Azalea próbowała je odciągnąć, lecz sama była zbyt poruszona. Ich krzyki i płacz szczęścia rozległy się echem po wieży, a śnieg wirował wokół nich – biały, czysty i świeży.

Rozdział 29

Azaleę obudziła przedziwna rzecz: światło słoneczne.

A co ciekawe, obudziła się pośród grubych, puchowych poduszek. Gdyby nie jej obolałe ciało, pomyślałby, że to sen. Nie znajdowała się w swojej sypialni, ani nawet w pałacu, lecz w modnie urządzonym pokoju w obcej rezydencji z pasiastymi tapetami oraz oknami w stylu Delchastire.

Azalea przypomniała sobie to euforyczne uczucie, dżentelmenów przybyłych na platformę, śnieg, a potem – czerń. Ach, zemdlała. Znowu.

Flora i Goldenrod, które siedziały w nogach łóżka, podskoczyły w zachwycie, kiedy Azalea się przebudziła. Obie chwyciły ją za jedną rękę, ciągnąc jak ulubioną szmacianą lalkę, a szczebiotały przy tym, jak szalone.

– Obudziłaś się!

– Spałaś przez prawie *dwa* dni!

– Sir John mówi, że nic ci nie będzie, ale musisz odpocząć.

– Och! – Flora zamknęła usta dłonią. – Kazały nam obiecać, że damy znać, kiedy się obudzisz!

Bliźniaczki wybiegły z pokoju, który kilkanaście minut później wypełniały już wszystkie siostry Azalei. Wciąż ubrane w czerń, nieco obdrapane i blade, lecz w doskonałych humorach. Nawet Delphinium uśmiechała się, mimo że jej ładna twarz naznaczona była poszarpanymi ranami. Wszystkie wyglądały na wniebowzięte, widząc, że się obudziła. Azalea także cieszyła się na ich widok.

– Witamy z rezydencji Fairwellera – oznajmiła Bramble z szerokim uśmiechem i podtykając Azalei pod nos filiżankę miętowej herbaty. – Bardzo luksusowej, bardzo *czystej*. Zdążyłyśmy już pobrudzić dywan w jadalni, ku uciesze służących.

– Pan Fairweller przebywa obecnie w swoim mieszkaniu w mieście – dodała Clover, podając jej misternie zrobione ciasteczko z odciśniętym kształtem kwiatka.

– Tylko do czasu, aż król znajdzie miecz i odczaruje pałac – rzekła Bramble. – Albo, aż król zamorduje Fairwellera.

– Aż *tata* zamorduje Fairwellera – zapiszczała Hollyhock.

– Tak. Tata. – Bramble wyszczerzyła zęby. – Tata, tata. Musimy się do tego przyzwyczaić.

Azalea uśmiechnęła się z buzią pełną ciastek. A więc król był zdrów.

Dziewczęta poprosiły służących o kąpiel dla Azalei, wciąż szczebiocząc podczas asystowania jej. Azalea nigdy nie brała takiej kąpieli – w rezydencji był nawet osobny pokój z wanną oraz bieżąca woda. Siedząc po szyję w bąbelkach, powoli odwinęła bandaże z dłoni i ramion i zmyła całą zaschniętą krew. Młodsze dziewczynki bawiły się bąbelkami, podczas gdy starsze opowiedziały wszystko, co się wydarzyło.

– Powinnyśmy były cię posłuchać – powiedziała Eve. Jej okulary zaparowały od ciepła. – Co do powrotu do pawilonu. Miałaś rację.

Azalea machnęła dłonią.

– Co się stało, kiedy przekroczyłyście przejście?

Twarze dziewcząt spochmurniały.

– Pawilon... nie był taki sam – powiedziała tylko Bramble.

Azalea przypomniała sobie ciemny pawilon, grom pół-zwierzęcych, pół-ludzkich tancerzy, ich kościste dłonie ciągnące za kostki. Wyobraziła sobie, jak

musiało to wszystko wyglądać z perspektywy dziewcząt – przybyć tam, a potem zostać zaczarowanym w lustrach. Wzdrygnęła się.

– Nieważne – powiedziała. – Nie myślmy już o tym.

Dziewczęta jednak nalegały, by Azalea opowiedziała im swoją wersję, więc zaczęła od początku – od nawiedzonego balu, matki, poznania prawdy o Strażniku, aż po pelerynę niewidkę i czar z broszką. Zanim skończyła opowiadać, woda w wannie ostygła, a dziewczęta siedziały z podciągniętymi pod brody kolanami i szeroko otwartymi oczami.

– Ale historia – skomentowała Bramble. – „Herald" oddałby wszystko, żeby to usłyszeć!

Przybyły służące z parującą wodą, a wraz z nimi Delphinium z naręczem jedwabi i aksamitów. Przywykła do czerni Azalea, wpatrywała się jak wygłodniała w jasne róże, fiolety i błękity. Kiedy służące wyszły, wszystkie ruszyły do Delphinium, ciągnąc za materiały, strzepując i ukazując suknie wszystkich rozmiarów.

Galimatias koronek i wymian między sobą zakończył się tym, że każdy strój trafił do właściwych rąk. Delphinium z rumieńcami podekscytowania rozłożyła na krześle spódnicę z koronkową bluzką dla Azalei. Z wielkim rozmachem dodała pasującą kokardę.

– Krawcowa powiedziała, że już miała je gotowe i ma nadzieję, że będą pasowały! Och, Eve, ten kolor naprawdę podkreśla twoje oczy! Lawendowy jest wprost idealny dla bliźniaczek, nie sądzisz?

– Ale, skąd one są? – spytała Azalea.

– Od króla! – zawołała Flora. – Podarował nam je.

– Ta-ty – poprawiła Goldenrod, rozpinając czarną sukienkę Flory.

– Tak, od taty. Powiedział, że to będzie jego świąteczny prezent dla nas!

– Tak powiedział?

Azalea zmarszczyła brwi. Król chciał, żeby zostali w żałobie, czy nie tak?

– W końcu nie będziemy wyglądały, jak pomioty Fairwellera. – Bramble wyszczerzyła się. Uśmiech zniknął jednak na widok miny Azalei. – To znaczy... cieszysz się, prawda?

Azalea wyłowiła kilka bąbelków z wody, a potem w zamyśleniu je zatopiła.

– Tak – odparła. – Tylko, że... nie tak dawno powiedział mi, że nie jest gotowy, by znieść żałobę.

– Ale teraz już jest – powiedziała promienne Delphinium. Jej uśmiech zniknął, gdy zobaczyła twarz Azalei i mocno przycisnęła do siebie różową sukienkę. – Nigdy nie pamięta naszych urodzin.

– A ty pamiętasz jego?

Delphinium pokryła się szkarłatem.

– Cóż... to co innego.

Azalea potarła podbródek o chłodną porcelanę wanny.

– Tak sobie tylko myślałam. Zawsze dawał nam prezenty na święta, ale... od nas nie dostawał nic.

Bramble wzruszyła ramionami.

– Nigdy o nic nie prosił.

– Prosił. Tylko nie wprost. Jest naszym tatą, czy nie? – Azalea uniosła brwi na swoje siostry, uśmiechając się lekko. – Więc od teraz będziemy się tak zachowywać.

~ ~ ~

Azalea była z nich dumna. Nie mogła nie być. Wszystkie, nawet Delphinium, zgodziły się znowu założyć czerń. Żadna nie wiedziała, na jak długo

król będzie chciał zachować żałobę, lecz nikt nie narzekał. Przetoczyły się hałaśliwie przez surową, pachnącą miętą rezydencję Fairwellera z nawoskowaną podłogą, wypełnioną koronkami, pudłami z czekoladą i pozasłaniały wszystkie okna. Nawet służba pomogła, po tym jak Clover wszystko im wyjaśniła.

– Żegnaj słońce. – Delphinium wzdychała głośno, gdy zasłaniała kotary w galerii. Portrety przodków Fairwellera, wszystkich ubranych na czarno, pokrył cień. – Żegnaj dniu!

– Słońce, dzień – powiedziała Bramble. – Zgiełk! – Zamaszystym ruchem zasłoniła kolejne okno.

– Bramble – odezwała się nagle Azalea. – Napisałaś już do Lorda Teddiego?

– Do kogo?

– Do Lorda Teddiego. Chciałaś, żebym do niego napisała. Nie pamiętasz?

– O co ci chodzi? – spytała Bramble, uśmiechając się do niej spod zmarszczonych brwi.

Azalea spojrzała na dłonie Bramble, zaciśnięte na materiale zasłon. Jej knykcie były białe.

– Co to wszystko znaczy?

Azalea omal nie podskoczyła z radości na dźwięk tego głosu, mimo że każdy cal jej ciała bolał. Na końcu galerii stał król, opierał się ciężko o laskę, a przez ramię miał przewieszoną wojskową torbę.

– Tato! – zawołała Azalea, gdy wszystkie ruszyły do niego, jak wróble do chleba. – Och... usiądź. Zaraz się przewrócisz.

– Nie przewrócę się – rzekł król, gdy dziewczęta popchnęły go w stronę najbliższego fotela. Usiadł na aksamitnym siedzeniu, krzywiąc się. Był zabandażowany, blady, zmęczony i ciężko oddychał, ale... jego broda była starannie przystrzyżona. Dobry znak. Skoro był w stanie się ogolić, na pewno nic

mu nie dolegało.

– W końcu wstałaś, panno Azaleo – powiedział, przyglądając się jej, gdy skakała wokół niego. – Wyglądasz lepiej.

– *Ty* wyglądasz lepiej, jak na kogoś, kogo postrzelono! – powiedziała Azalea, a dziewczęta usiadły wokół na wypolerowanej podłodze.

– Według Sir Johna, kula trafiła w guzik kamizelki – odezwała się Eve. – Tak mówił Sir John.

– I... i drasnęła skórę. – Bramble wyglądała na kompletnie nieprzekonaną.

– Słucham? – spytała Azalea. – *Guzik kamizelki?* Nie widziałyście tej całej krwi?

– Azaleo – rzekł król.

– Wszyscy to widzieliście! Była na całej podłodze! Cale *litry*!

– Azaleo – powtórzył król, a coś w jego tonie sprawiło, że zamilkła.

Ich oczy spotkały się. Zajaśniało w nich dziwne światło, a ona przypomniała sobie ten palący śnieg.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Znośnie. – Król posłał jej nikły uśmiech.

– Twoja torba jest taka ciężka – zapiszczała Hollyhock, która bawiła się sprzączkami. – Co tam jest? Otwórz.

Król uśmiechnął się, zrzucił torbę z ramion i wyjął zawinięty tobołek. Rozwinął materiał, a na ziemie spadł ciężki, długi kawał srebra, który brzęknął o drewno. Raz jeszcze potrząsnął materiał i na podłodze zadźwięczała rękojeść.

– Przeszukaliśmy rzekę – rzekł król.

– Miecz! – Azalea podniosła szczątki. – Zniszczyłam go!

– Cóż. I tak, i nie – odparł król. – Prędzej czy później i tak by się rozpadł. Oczywiście, okoliczności mogłyby być korzystniejsze, ale... – Król uśmiechnął się, a Azalea zobaczyła w uśmiechu nieco cierpkości, niemal jak u Bramble. – Można

go naprawić. A teraz, o co tu chodzi? Z zasłanianiem okien? Co z waszymi sukienkami? Nie dostałyście nowych?

Dziewczęta złożyły dłonie na kolanach, spuszczając nieśmiało wzrok. Azalea przemówiła za nie.

– To nasz prezent. Dla ciebie. Wiemy, że żałoba wiele dla ciebie znaczy. I... nam to nie przeszkadza. Możemy wytrzymać jeszcze trochę bez tańczenia i tych wszystkich rzeczy.

– Zwłaszcza, że nasz Wielki Pantoflowy Skandal ożywił umarlaków i omal nie zniszczył pałacu – powiedziała Bramble. – Obrzydziło to nam taniec przynajmniej na jakąś godzinę. W każdym razie. Wesołych Świąt... tato.

– Wesołych Świąt – zaświergotała Hollyhock.

– Wesołych Świąt – powiedziały chórem dziewczęta.

Twarz króla przybrała trudny do odczytania wyraz. Otworzył usta, a potem je zamknął. Położył dłoń na czarnych loczkach Lily, która podciągnęła się na jego nogawce i zaczęła żuć materiał, zostawiając mokrą plamę. Podsadził ją na kolano.

– Nigdy nie zastanawiałyśmy się, jak ty się czujesz – powiedziała Azalea, zaciskając dłonie w pięści, by nie widzieć czerwonych śladów od paznokci. – Poprawimy się. Ja się poprawię.

Król położył mocną, solidna dłoń na ramieniu Azalei. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich błysk, nie tak różny od tego u matki.

– Ja też – rzekł. – Będzie z ciebie wspaniała królowa, Azaleo.

Azalea pokryła się rumieńcem na tą nieoczekiwaną pochwałę, lecz uśmiechnęła się promiennie, gdy dziewczynki szturchały ją i chichotały. Król wstał, a Lily objęła jego szyję małymi rączkami.

– Żałoba się skończyła – powiedział. – Mówię poważnie. Odsłońcie kotary. Wasza matka nie chciałaby, żeby to trwało tak długo.

Dziewczęta zaczęły wiwatować i tańczyć, ciągnąc za poły marynarki króla, gdy ten pomagał im odsłonić okna.

~ ~ ~

Miecz został naprawiony, a parlament ponownie na niego przysiągł. Mimo że król kulał i był obwiązany bandażami, wraz z pomocą pana Puddinga oraz wojska, zajął się odczarowaniem pałacu. To, co nie zostało odczarowane za pomocą osłabionej mocy miecza, spalono i zastąpiono. Zaopatrzone w topory wojsko pozbyło się kolczastych pnączy, które otaczały pałac i ogrody. Pajęcze lampy zniszczono, a w miejsce okien i luster wstawiono nowe. Sufit zamalowano na biało. Kupidyny kuliły się w kątach, aż ich także pokryła farba. Zaskakujące było to, jak twierdził król, jak dużo Strażnik był w stanie zaczarować w tak krótkim czasie.

Król codziennie wracał do rezydencji Fairwellera długo po zachodzie słońca, opierając się ciężko na swojej lasce. Czekające na niego co wieczór dziewczęta prowadziły go do jadalni na gorącego bażanta i inne fairwellerowskie dania, by razem zjeść kolację.

– Wszystkie te prace i nowe zakupy – powiedziała Azalea pewnego wieczora podczas kolacji, składającej się z pieczonej przepiórki w karczochach. – Jak my się wypłacimy?

– Parlament przeznaczył na to pewną sumę – odparł król. – A my ją łaskawie przyjęliśmy. Od jakiegoś już czasu pałac potrzebował renowacji.

– Możemy jutro pójść z tobą? – zapiszczała Flora. – Proszę?

– Nie.

– Och, ale tak bardzo tęsknimy! – dodała Flora.

– Prosimy, pozwól nam iść!

– *Plosimy*, och *plosimy*!

Dziewczęta powstawały ze swoich krzeseł i otoczyły króla, ciągnąc za poły marynarki.

– Prosimy, tato! Tato! – wołały. – Och, tato, *prosimy*!

Poszły.

Pałac był inny. I nie chodziło o bałagan, dźwigi ani o murarzy czy szklarzy, którzy restaurowali fasadę, wieżę i okna, kłaniając się dziewczętom, gdy przyłapywali je na podglądaniu robót. Nie był to też dziennikarz „Heralda", który wyglądał przez bramę z piórem w gotowości, błagając by go zaproszono, a któremu w odpowiedzi król zatrzasnął bramę przed nosem. Nie chodziło też o światło, które wpadało do pałacu jak kiedyś.

Przez miniony rok, w pałacu czuć było napięcie, ciążące niczym mrok. Lecz podobnie jak zasłony, zniknęło. Pałac nie był tak jasny, od czasu kiedy matka była jeszcze zdrowa.

– Większość pałacu została odczarowana – powiedział król, prowadząc je do wschodniego skrzydła, do galerii. – Ale miejcie oczy szeroko otwarte. Jeśli zobaczycie coś, co zostało przeoczone, krzyczcie. Nie wchodźcie na dywan. Jest nieco... głodny.

Azalea przeskanowała wzrokiem znajomą galerię, pilnując, by nie nadepnąć na dywan. Miała wielką ochotę uściskać pajęcze, nietrwałe na plamy meble i ucałować portrety. Żadna z dziewcząt nie miała zaczerwienionych oczu. Ku uldze Azalei, wszystkie wpatrywały się przed siebie bez wyrazu. Po dokładnym zbadaniu, okazało się, że portret ciotecznej babki Chrysanthemum uległ niewielkiej zmianie. Spoglądała teraz na wszystkich wilkiem.

– Ach – odezwał się król, podążając za wzrokiem Azalei. – Niestety ten odczarowałem w złym momencie.

– Tato? – zawołała Flora, kiedy młodsze zebrały się wokół nowego

portretu, opartego o boazerię. Był to bardzo piękny portret, namalowany bogatymi kolorami i pewnymi pociągnięciami pędzla. Azalea gapiła się na postać na nim – potargane, kasztanowe włosy, słodki uśmiech i błysk w oczach, który wydawał się migotać poza płótno.

– Wielkie nieba – powiedziała Azalea, pragnąc przytulić obraz. – Wygląda dokładnie jak ona!

– Wiem – odparł król.

Sprawiał wrażenie, jakby cierpiał.

– Jakim cudem było nas na to stać? – spytała Bramble. Jej palce drgały, jakby chciały dotknąć portretu. – Na pewno został wykonany w konserwatorium w Delchastire.

– Panno Bramble!

Słowa zadźwięczały przez galerię. Wszyscy odwrócili się szybko. Bramble zbladła.

W wejściu, na końcu korytarza stał Lord Teddie. W podskokach podbiegł przez parkiet w galerii, omijając zaczarowany dywan i zatrzymał się kilka kroków przed Bramble, która ściskała materiał spódnicy tak mocno, że jej dłonie drżały.

– Lord Haftenravenscher – powiedziała z poważną miną.

Lord Teddie skurczył się. Wepchnął ręce do kieszeni, wyciągnął i schował z powrotem. Wskazał głową na portret.

– Do... dopiero go przywiozłem. Ja... miałem nadzieje, że tu będziesz. Podoba ci się? Pamiętałem waszą mamę sprzed lat i kiedy dowiedziałem się, że ona... no wiesz... ona... w każdym razie, pomyślałem że będzie bajkowo, jeśli zbiorę wszystkie jej portrety, jakie mogę znaleźć i zlecę Carriveighowi – to nasz rodzinny malarz – by ja namalował. I to miała być niespodzianka dla was wszystkich. Bo, cóż. Nie macie już mamy.

Bramble mocno zaciskała usta. Jej pięści drżały.

– Zabierz to – powiedziała. Patrzyła w podłogę, lecz jej słowa cięły jak bicz. – Nie chcemy obrazka. Nie chcemy twojej *jałmużny*. Zabierz to!

Teddie wyprostował się do swojej pełnej, patykowatej wysokości.

– N-niech to licho...NIE! To nie jest *jałmużna* i nie zabiorę tego! To *prezent*! Prezent, do licha! Ponieważ lubiłem waszą mamę! I lubię twoje siostry! I *ciebie*, Bramble! *Kocham* cię!

Słowa rozległy się echem. Wszyscy zasłonili dłońmi usta i wpatrywali się w Lorda Teddiego, który głośno oddychał, lecz nie spuszczał uniesionej wysoko głowy. Usta Bramble wciąż były zaciśnięte, a teraz jeszcze białe.

– Młodzieńcze – odezwał się łagodnie król. – Czy twój statek czasem nie ma wkrótce odpłynąć?

Azalea założyła, że z całym tym fiaskiem, król anulował jakiekolwiek porozumienia między Bramble a Lordem Teddiem. Cała przypominająca ciągutkę postać Lorda Teddiego sflaczała. Odwrócił się, a sprężystość w jego kroku zniknęła.

– Mówisz serio?

Lord Teddie odwrócił się gwałtownie. Usta Bramble wciąż były zaciśnięte, lecz jej oczy jaśniały na żółto.

– O rany, *tak*. Kocham cię tak mocno, że bolą mnie palce!

– Och! – Bramble zasłoniła dłońmi usta i okręciła się wokół. – Och... och-och-*och*! – Zadrżała. Trudno było stwierdzić, czy płakała, kaszlała a może było jej niedobrze. – *Och!*

Bramble rzuciła się przed siebie. To było wielkie jeté warte delchestariańskiej primabaleriny. Wylądowała prosto na Lordzie Teddiem i zarzuciła mu ręce na szyję, a jemu nie pozostało nic innego, jak tylko ją złapać. A potem, ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, pocałowała go.

– O... ja cię – powiedziała Clover.

Nikt jednak nie był tak zaskoczony, jak Lord Teddie, pod którym ugięły się kolana, przez co chwiejnym krokiem wszedł na magiczny dywan. Dywan natychmiast się wokół nich owinął, przypominając czerwoną, lwią paszczę.

Cały ładunek w środku przewrócił się z głośnym łomotem.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy gapili się tylko na tę scenę.

– Przepraszam – odezwała się Eve. – Co się właśnie stało?

Ze środka dywanu dobiegło ich przytłumione *Mmm mmm mmfph.*

– Lepiej ich wyciągnijmy – powiedziała Azalea. – Zanim zacznie się trawienie.

Z pomocą Clover, rozwarłły dywan, ukazując Bramble wtuloną w ramiona Lorda Teddiego, z nosem zanurzonym w zielonej muszce; była bliska płaczu.

– ...okna w sali balowej i kiedy zobaczyłam cię tam, myślałam, że się *rozryczę,* byłeś taki dzielny...

– Serio – rzekł Lord Teddie. – Serio!

Król chwycił Bramble w pasie i oderwał od Lorda Teddiego. Koniec dywanu wyślizgnął się z rąk Azalei i ponownie owinął wokół Lorda Teddiego.

– Doprawdy, Bramble! – powiedział król.

Na twarzy Bramble widniał największy uśmiech, jaki Azalea u niej widziała.

Król wyglądał na bezradnego. W roztargnieniu przeczesał palcami włosy. Wiedząc, że matka na pewno wiedziałaby, jak to rozwiązać, Azalea wystąpiła do przodu.

– Lordzie Teddie, zostanie pan na herbatę?

– No *raczej*! – odezwał się dywan.

~ ~ ~

Zanim odpłynął statek, Lord Teddie spędził z Bramble godzinę w ogrodach – pan Pudding robił za przyzwoitkę. Dziewczęta obserwowały przez okna, jak Lord Teddie gawędził przez chwilę z Bramble, a potem oboje uciekli panu Puddingowi w zaśnieżone części ogrodów. Dziewczęta wyruszyły na ich poszukiwanie i w końcu, po godzinie polowań, odnaleźli ich w motylim lesie, gdzie Bramble siedziała na przewróconym wiadrze, chichocząc, podczas gdy Lord Teddie całował jej palce. Obaj, pan Gasperson *i* król musieli go siłą odciągać, by nie spóźnił się na statek. Bramble stała tam oparta o balustradę, wyglądając na oszołomioną, lecz szczęśliwą.

Nieustanna fala wychwalań Lorda Teddiego przez Bramble w niczym nie pomogła jednak sprawie z Clover. Nieważne, jak bardzo Azalea nie lubiła Fairwellera, nie mogła słuchać nocnym szlochów Clover, która wkrótce straciła także apetyt, skubiąc jedynie swoje jedzenie, a resztę oddając Ivy. Azalea zaczęła się martwić.

– Naprawdę nie wiem, *jak u licha* możesz go w ogóle *lubić*, Clover – powiedziała pewnego ranka Delphinium, kiedy z każdym dniem było bliżej lutego. Wprowadzili się z powrotem do pałacu. Teraz, gdy wstawiono okna, dziewczynki były wniebowzięte, bo mogły wrócić do swojego starego, nudnego i odczarowanego pokoju. Gdy się ubierały, przez okna wpadało światło dnia, rzucając na wszystko złote odcienie.

Clover nie poruszyła się ze swojego miejsca na brzegu łóżka, ściskając wokół siebie szal i nic nie mówiąc.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – rzekła Bramble, wiążąc wokół szyi zieloną wstążkę. – Nie mieliśmy od niego żadnych wieści od Gwiazdki. To były wieki temu! On cię porzucił. Niespodzianka!

Dłonie Clover zacisnęły się na szalu.

– Chwila – zapiszczała Ivy, która wyglądała właśnie przez zachodnie okno, wychodzące na dziedziniec poniżej. – Czy on... Fairweller przyjechał!

Clover skoczyła do okna. Reszta dołączyła do niej. Pod nimi do wejścia zbliżał się dżentelmen; Lady Fair była przywiązana do balustrady.

– Jest też jego zarządca.

– O, patrzcie, król wyszedł go przywitać.

– Z *bronią* – zauważyła Bramble.

Wszystkie wychyliły się do przodu.

– Pistolety! – krzyknęła Clover. Wybiegła z pokoju.

– Clover... pojedynki nie są... a niech to – powiedziała Bramble. – Zamierza zrobić coś szalonego. Cóż, przynajmniej wszystko stąd zobaczymy.

Dwie sekundy później, Clover wyleciała przez frontowe drzwi i biegła po schodach z powiewającą za nią spódnicą. Panowie mieli zaledwie chwilę, zanim Clover rzuciła się na króla, rozsypując wokół żwir i płacząc, obejmując go wokół szyi ramionami.

Okno tłumiło ich głosy. Wszystkie przysunęły się jeszcze bardziej do szyby.

Clover upadła na kolana i zaczęła całować skraj płaszcza króla.

– Och, no nie przesadzajmy – wymruczała Bramble.

Fairweller zdjął płaszcz i zarzucił go Clover na ramiona, lecz król zepchnął go i okrył ją własnym. Następnie nakazał gestem, by Fairweller poszedł z nim do środka.

Dziewczęta spacerowały w tę i z powrotem przed biblioteką, czekając aż Fairweller, Clover i król skończą. Głos króla niósł się przez drzwi w interwałach – najczęściej brzmiał wściekle. Przełamywały go miodowe tony Clover – silne i niejąkające się. Żadna z nich jednak nie zdołała zrozumieć, o czym mówili.

Po pewnym czasie drzwi otworzyły się i wyszedł Fairweller, który

wyglądał jak ktoś, kto właśnie został uratowany przez anielski chór. Oszołomiony, z potarganymi włosami, rozglądał się wokół; jego oczy błyszczały. Clover promieniała.

– Ani dnia wcześniej... – warknął król.

– Tak, oczywiście – odparł Fairweller. – Jak każesz, Wasza Wysokość.

– I wyjedzie pan...

– Tak... natychmiast. Jak karzesz.

Ukłonił się nisko królowi. A ku zaskoczeniu Azalei, ukłonił się także w stronę dziewcząt. Następnie z wielką delikatnością ujął dłoń Clover i musnął ją ustami. Wyszedł, jakby szedł po chmurach.

– Och, *tato!* – zawołała Clover, kiedy drzwi się za nim zamknęły. Rzuciła mu się na szyję. – *Dziękuję!*

– Nie... nie... nie! – rzekł król. – Bardzo się na ciebie gniewam, młoda damo! Azaleo!

Pochylił się ku Azalei, kiedy Clover puściła go i zaczęła tańczyć po holu, pociągając za sobą młodsze dziewczynki do korowodu.

– Będziesz musiała przedstawić Clover wielu dżentelmenom na balach, wieczorkach i podobnych – powiedział cicho. – Zanim skończy siedemnaście lat. Musisz zaznajomić ją z innymi dżentelmenami. A najlepiej tymi z naszej partii!

– Oczywiście – odparła Azalea, obserwując śmiejące się i skaczące wokół Clover dziewczynki. Światło wpadające przez okno rzucało jasne, złote refleksy na włosy Clover, która uśmiechając się wyglądała piękniej, niż Azalea kiedykolwiek widziała. – Tylko, że... cóż. On naprawdę wydaje się ją kochać.

– Zdrajca – rzekł król.

Rozdział 30

– Jakie to uczucie się całować? – spytała pewnego lutowego poranka Delphinium.

Król wyszedł w królewskich interesach, zostawiając dziewczęta same przy stole w oranżerii, nad miskami z parującą owsianką; ich oczy były głodne, lecz nie śniadania.

Przez minione kilka dni, zachowanie Bramble i Clover przyprawiało o mdłości. Pisywały długie listy do swoich dżentelmenów; Bramble szczebiotała o tym, jak *wystrzałowy* był Lord Teddie, a Clover wychwalała dobroć i wstrzemięźliwość Fairwellera. Wstrzemięźliwy, dokładnie takiego słowa użyła.

– Mmm... właściwie to jak taniec. – Bramble pchnęła swoją owsiankę w stronę Ivy i wyszczerzyła zęby. – Jak ten moment, tuż po obrocie, kiedy wszystko wokoło wiruje. Co myślisz, Clover?

Clover potrząsnęła złotą głową.

– Myślę, że to bardziej... jak wtedy, gdy dżentelmen chwyta cię w ramiona – to ciepłe uczucie, które skręca ci palce u stóp.

Twarz Bramble wykrzywiła się.

– Nie... to nie to. Cóż, gdybyśmy tylko znały więcej tańców...

– Azalea fna *mnóftwo* tanfów! – zapiszczała Ivy z ustami pełnymi owsianki.

– O, tak! – zawołała Flora, lecz widząc wyraz twarzy Azalei,

spochmurniała. – Och... nie, chyba jednak nie.

Azalea wstała nagle, a jej krzesło uderzyło o parapet z różami.

– Na pewno nie! – oznajmiła. Rzuciła swoją serwetkę w stronę Bramble, która przynajmniej wysiliła się, by wyglądać na skruszoną, i wyszła z oranżerii.

Kiedy dotarła do swojego pokoju, nie rozpłakała się. Była na to zbyt wściekła. Zamiast tego, posprzątała, ułożyła poduszki na miejsce, poskładała sukienki, wrzuciła je do kosza i zaczęła gniewnie cerować pończochy. Wysłuchiwanie Clover i Bramble było nie do zniesienia, zwłaszcza gdy ona sama nie miała żadnych wiadomości od pana Bradforda. Martwiła się, że ją kocha, lecz niezbyt mocno.

Azalea zamierzała już zdjąć pończochy i zacerować je na nowo, kiedy do pokoju wszedł król.

– Dziewczęta powiedziały, że cię tu znajdę – rzekł z progu.

Obserwował, jak Azalea wbija igłę w materiał.

– Azaleo.

– Tak, byłam tu cały czas – odparła łamanym, wesołym głosem. – Oczywiście, że tu byłam, naprawiając i reperując wszystko, co potrzeba, bo Clover i Bramble nie mają na to czasu, więc ja muszę się wszystkim zająć. W końcu mam tyle czasu, prawda?

Oczy ją piekły. Król stukał palcami o framugę.

– Chodź ze mną – rzekł. – Mam coś dla ciebie.

Król wyciągnął wysłużoną srebrną monetę z kieszeni i podszedł do kominka.

– O, nie... nie, nie. – Azalea cofnęła się. – Nie wrócę tam znowu.

– No chodź. Śmiało – powiedział król, biorąc ją za rękę. Delikatnie pociągnął ją przez srebrną zasłonę i pozwolił, by drżącymi palcami uczepiła się jego ramienia, gdy schodzili w dół zatęchłych, drewnianych schodów. Azalea

rozejrzała się wokół, przełykając nieprzyjemne wspomnienia związanie z tym miejscem.

W składziku było jasno od światła, które wpadało przez okna pod sufitem. Rozbite ozdoby świąteczne zostały zmiecione na kupkę w rogu. Król podszedł do pudła pod ścianą i wyciągnął z niego coś małego.

To była broszka. Król zbliżył się do niej i umieścił broszkę na dłoni Azalei.

– Co? Nie! – zaprotestowała Azalea. – Nie mogę... Należała do matki!

– Teraz należy do ciebie i twoich sióstr – odparł król i położył na niej swoją dłoń. – To tylko szkło. Nic wyjątkowego czy drogiego. Twoja matka o tym wiedziała, kiedy jej to ofiarowałem. I wiedziała, że tańczę tak dobrze jak kłoda. Wiedziała o obowiązkach i polityce, i odpowiedzialności związanej z poślubieniem monarchy. Wiedziała o tych wszystkich... niefortunnych sprawach. Sprawach, które niektórzy mogliby nazwać *koszmarnymi*.

Azalea poderwała głowę. W kąciku ust króla widniał nikły uśmiech.

– Ale... Czy nie byłoby smutno, gdyby się na to nie zgadzała?

Łzy zakuły w oczy Azalei. Jej palce owinęły się wokół broszki. Wyobraziła sobie ojca jako młodego króla i zastanawiała się, czy zawsze otaczał go wianuszek elegancko ubranych dam, prawiących mu fałszywe, piękne komplementy... nie dlatego, że je obchodził, lecz tylko dlatego, że pragnęły zyskać tytuł królowej. Po raz pierwszy dotarło do niej to, że choć król nie potrafił tańczyć, doskonale ją rozumiał.

Azalea zarzuciła mu ręce na szyję.

Był sztywny i nieprzejednany. I za to go kochała.

– Cóż – rzekł król, gdy Azalea się odsunęła; wyglądał na nieco zakłopotanego, ale i szczęśliwego. – Pospiesz się, młoda damo. Kapitan Bradford czeka na ciebie w sali balowej. Spędził wiele godzin, wypełniając dokumenty i czekając na pozytywną odpowiedź parlamentu, zanim zgodziłem się na widzenie

z tobą.

Do Azalei powoli dotarło pełne znaczenie tych słów i nie czekając długo, wbiegła na górę po schodach, cala w skowronkach. Szła niecierpliwie, czekając aż król zamknie przejście i schowa srebrną monetę. Kątem oka dostrzegła błysk. Odwróciła się.

Obok jej stóp leżała mała kupka popiołu.

Zapominając o pośpiechu, Azalea pochyliła się i dotknęła jej. Popiół zapiekł ją w palec i zamigotał, gdy obróciła do góry dłoń.

– Sir. Tato?

– Mmm?

Głos Azalei ugrzązł w gardle.

– Nieważne.

Wytarła popiół z palca, zostawiając na spódnicy srebrno-szare ślady, mając w pamięci światło, które się rozpływało w niej, to jak ciepła była dłoń króla... i to migotanie, które wciąż czuła w środku. I zrozumiała. Wiedziała, dlaczego ten rodzaj magii... najgłębszej magii... nie został nazwany. Niektóre rzeczy nie sposób nazwać.

~ ~ ~

Azalea pomogła królowi zejść do sali balowej, denerwując się coraz bardziej. Z jakiegoś powodu, król wydawał się odczuwać to samo, bawiąc swoim kieszonkowym zegarkiem i zwalniając, zanim doszli do drzwi.

– E... Azaleo – powiedział.

– Tak?

Azalea uniosła się na palcach i opuściła.

– Zapomniałem o czymś wspomnieć.

O-o. Szepnął głos w jej głowie.

– Jak wiesz, szykują się oświadczyny.

Azalea omal nie wyskoczyła ze swoich butów z radości. Wykonała piruet przed królem na giętkich, niczym sprężyny stopach.

– No... tego się spodziewałam – odparła, śmiejąc się i podskakując jednocześnie. – A właściwie... miałam nadzieję. To znaczy, teraz skoro przewodzi parlamentowi i w ogóle i... Bramble i Clover są już zaręczone i...

Zatrzymała się w pół obrotu, widząc minę króla.

– Azaleo. To nie on będzie się oświadczał.

Sprężyny w stopach Azalei siadły.

– Słucham?

– Ty przewyższasz go rangą. – Król poruszył się, niezręcznie. – Byłoby wysoce niestosowne, gdyby to on ci się oświadczył. Królowa Delchastire musiała oświadczyć się...

– Nie zrobię tego! – zawołała Azalea.

– Azaleo – rzekł król, twardszym tonem. – Musisz przestrzegać zasad. Poza tym, to twoja szansa, by mieć ostatnie słowo, czyż nie?

– Ja zawsze mam ostatnie słowo! Jak przerażająco nieromantycznie!

– Więc chcesz, żebym go odesłał?

– Nie! Nie rób tego!

– Więc do dzieła – powiedział król i wepchnął ją do sali balowej. Omal nie przytrzasnął jej sukni, pragnąc jak najszybciej zamknąć za nią drzwi. Azalea odwróciła się i kopnęła w nie.

– Wielkie dzięki! – powiedziała.

Za nią rozległo się kurtuazyjne kaszlnięcie. Obróciwszy się, Azalea ujrzała refleksy słońca odbijające się w nowych lustrach i padające na pana Bradforda. Ubrany w dobrze skrojony garnitur, wyglądał bardziej elegancko, niż Azalea

kiedykolwiek go widziała – kołnierz koszuli leżał płasko, a krawat był równo przypięty. Jednak jego brązowo-blond włosy pozostały niemiłosiernie rozczochrane. W dłoniach miął kapelusz i uśmiechał się promienne.

– Księżniczko – rzekł.

– Kapitanie! – zawołała Azalea, przyciskając się do drzwi za sobą. Uśmiechała się do niego, a wesołość łaskotała jej wnętrze. Z całych sił powstrzymywała się przed zachichotaniem.

– Wyglądasz jak zawsze pięknie – powiedział.

Azalea wyszczerzyła zęby, postanawiając nie przypominać mu tych ostatnich razy, kiedy widział ją przemokniętą, przemarzniętą, nieprzytomną czy przypominającą podrapanego umarlaka.

– A więc przewodzi pan parlamentem?

– Tak... jak powinienem był już wieki temu. Chyba byłem tchórzem.

– Bzdura. Tchórz nie wpada konno do sali balowej, rozbijając po drodze okno.

Uśmiech Azalei drgnął, kiedy przypominała sobie tamtą sytuację. Wciąż przyciskała się do drzwi, klamki wpijały się w jej plecy.

– Panie Bradford. Nie zamierzam się panu oświadczyć.

Iskra w oczach pana Bradforda przygasła. Podobnie jak jego uśmiech, chociaż starał się go zatrzymać na twarzy. Wyglądało to na bolesne zadanie.

– Och – rzekł.

– Panie Bradford?

– Tak?

– Miałby pan coś przeciwko, gdyby... no... to pan oświadczył się mnie?

Iskra w jego oczach ponownie się rozpaliła. Uśmiechał się tak szeroko, że prawie wcale nie krzywo.

– Jeśli pani chce.

Podszedł do Azalei, położył jej dłoń na jego ramieniu i poprowadził na środek sali balowej. Obcasy Azalei stukały na marmurze.

– Najpierw jednak – rzekł i poprowadził ją przed sobą – chcę pani coś dać.

Pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął małe zawiniątko zapakowane w brązowy papier i owinięte sznurkiem, które podał Azalei. Zaciekawiona, pociągnęła za sznurki lekkiego pakunku. Papier odwinął się.

W środku znajdowała się srebrna chusteczka. Miękka i gładka jak ta należąca do matki. W rogu widniały wyhaftowane inicjały: *A.K.W.*

Azalea jednocześnie roześmiała się i rozpłakała. Rzuciła się na szyję pana Bradforda, pragnąc przytulić go tak mocno, by mogła poczuć jego duszę.

– Tak – powiedziała. – *Tak!* Tak, tak, *tak!*

– Ja... jeszcze nic nie powiedziałem.

Mimo to przyciągnął ją jeszcze bliżej i objął rękoma. Azalea przycisnęła policzek do jego kołnierza, gniotąc go i wdychając zapach krawata. Pachniał praniem. Poczuła policzek pana Bradforda na czubku głowy. Jego usta dotknęły jej włosów.

Przerwał im przytłumiony głos.

– Kiedy zamierzasz ją *pocałować*?

Odsunęli się od siebie. Za oknami, z nosami i dłońmi przyciśniętymi do szyb stały dziewczynki. Weszły pomiędzy kujące różaneczniki, szczerząc się swoimi małymi, szelmowskimi uśmieszkami. Delphinium i Eve szeptały do siebie i chichotały; twarz Bramble rozjaśniał szeroki uśmiech i błysk z jej zielono-żółtych oczach.

Pomiędzy nimi stała jeszcze jedna postać. Miał ręce skrzyżowane na piersi – stał sztywno, prosto i oficjalnie...

...A jednak nie wyglądał na niezadowolonego.

– Ci mali, paskudni szpiedzy! – rzekła Azalea.

Pan Bradford roześmiał się i rzucił kapelusz na parkiet. Przyciągnął do siebie Azaleę, obracając ją; jej spódnice wydęły się i musnęły nogawki jego spodni. Prowadził ją z taką łatwością, że Azalea poczuła zawroty głowy z radości. Ponownie ją do siebie przyciągnął i okręcił.

Tym razem Azalea nie wróciła w jego ramiona, lecz wykonała ukłoń. Ukłoniła się całą sobą; każdy mięsień, każda cząstka skupiła się i stopiła w głęboki, nieskazitelny dyg. Ze skrzyżowanymi nogami, prawie zniknęła pośród warstw spódnic, które rozłożyły się wokół niej. Zanurzyła w nich nos, prawie całując podłogę; jej prawa ręka wyciągnięta była w stronę pana Bradforda, a lewa schowana z tyłu. Azalea była pewna, że lepszego Ukłonu Duszy nie wykonałaby nawet matka.

Zaryzykowała spojrzenie na pana Bradforda, którego usta były lekko otwarte. Kiedy zachichotała, on także się roześmiał i upadł przed nią na kolana. Pchnął ją lekko, a cienka, krystaliczna nić równowagi pękła. Azalea upadła prosto w jego ramiona. Mrugnęła, spoglądając na jego twarz. Uśmiechnął się, lecz tym razem z większą determinacją i powagą, a Azalea instynktownie zamknęła oczy, gdy jego wielka dłoń dotknęła jej twarzy, przysuwając ją do pocałunku.

Rzeczywiście, to było jak taniec – pełen zawrotów głowy i ogólnego roztrzepania, ale z miękkością delikatnego dotyku. Poderwało to jej duszę i podrzuciło do góry.

Drzwi do sali balowej otworzyły się, wpuszczając do środka powiew chłodnego powietrza i radosne głosy. Pan Bradford pomógł Azalei wstać, kiedy rozweselone dziewczynki pobiegły do nich, ciągnąc za spódnicę Azalei i marynarkę pana Bradforda.

Azalea, zdyszana i roześmiana, ustawiła je wszystkie do korowodu.

Powitalnego, rodzinnego korowodu, podobnego do tego, który zaprezentowały rok temu przed Lily. Azalea wiedziała, że będzie także jeden dla Lorda Teddiego oraz jeden dla Fairwellera.

– Świetnie, Ivy – powiedziała Azalea. – Idealna postawa! Jess... trzymaj ręce. Pójdziemy powoli, tak by Lily mogła nadążyć, skoro już umie chodzić. Wspaniale, Delphi. Wszystko gotowe? Świetnie! Czekajcie...

Ich krąg nie był kompletny.

Azalea odwróciła się do króla, który stał kilka kroków za nimi, z założonymi rękoma i zmieszanym uśmiechem na twarzy. Azalea wyciągnęła do niego dłoń.

– Zatańczysz z nami?

Uśmiech króla zamienił się w grymas.

– Stanowczo odmawiam. Dobrze wiesz, jak tańczę.

Azaleę to nie obchodziło. Ona i dziewczęta ścisnęły mocno jego ręce, wciągnęły do kręgu i zaczęły wolno, tak by mógł nadążyć za ich krokami. Azalea poczuła ciepłe migotanie w środku. To był najlepszy taniec, jaki kiedykolwiek razem zatańczyli.

Koniec.

Polskie odpowiedniki imion księżniczek :)

Azalea – Azalia

Bramble – Jeżyna

Clover – Koniczyna

Delphinium – Ostróżka

Evening Primrose (Eve) – Wiesiołek

Flora – Flora (jak flora i fauna)

Goldenrod – Nawłoć

Hollyhock – Malwa

Ivy – Bluszcz

Jessamine – Jaśmin

Kale – Jarmuż

Lily – Lilia